

Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!

Sukcesja



DC
DI CARO

PATRICIA CABOT

PATRICIA CABOT

Sukcesja

Przełożył
Wojciech Usakiewicz



Wydawnictwo Da Capo
Warszawa

Tytuł oryginału WHERE
ROSES GROW WILD

Copyright © 1998 by Patricia Cabot

Koncepcja serii Marzena
Wasilewska-Ginalska

Redakcja
Krystyna Borowiecka

Ilustracja na okładce
Robert Pawlicki

Opracowanie graficzne okładki
Sławomir Skryśkiewicz

Skład i łamanie
„Kolonel”

For the Polish translation Copyright ©
2001 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition Copyright ©
2001 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-7157-413-4

DRUKARNIA GS: Kraków, tel. (012) 65 65 902

1

Anglia 1860

Lord Edward Rawlings, młodszy, lecz jedyny pozostały przy życiu syn niedawno zmarłego księcia Rawlings, był nieszczęśliwy.

Nie chodziło o to, że Yorkshire nie jest najmiłszym miejscem do spędzania zimy, aczkolwiek słońca nie widziało się tam całymi tygodniami. Nie chodziło nawet o to, że lady Arabella Ashbury, do której męża należała sąsiednia posiadłość, była teraz zbyt pochłonięta swoimi sprawami, by obdarzać Edwarda swymi występnyimi względami.

Nie, Edward był nieszczęśliwy z powodów, których nie umiałby wyłuszczyć, nawet gdyby chciał, a przecież wcale nie chciał, bo jedyną osobą w pobliżu była wicehrabina Ashbury. A chociaż znano ją w całej Anglii z licznych walorów, takich jak piękna jasna cera i smukłe, zgrabne kostki, to z pewnością nie należała do nich umiejętność słuchania innych ludzi.

- Każę pani Praehurst zamówić gęsiich wątróbek dla pięćdziesięciu osób - powiedziała lady Ashbury i uzupełniła listę przypomnianych sobie w ostatniej chwili artykułów, którą Edward miał przedstawić swojej gospodyni, zanim goście z Londynu stawią się w weekend na polowanie. - Zauważyłam, że na wsi

nie wszyscy lubią wątróbki. Zresztą kiedy córki Herberta słyszą „wątróbka”, to rozumieją „woń trupka”.

Edward, wyciągnięty na szezlongu przed kominkiem w złotym salonie, ziewnął. Starał się stłumić to ziewnięcie, ale bez powodzenia. Na szczęście dla niego lady Ashbury nie była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni ziewają w jej obecności, toteż po prostu tego nie zauważyła.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle zaprosiłeś dziewczęta Herberta - ciągnęła lady Ashbury. Jej ton nie był kapryśny, lecz również nie żartobliwy. - Nawet jeśli ich ojciec jest u ciebie zarządcą, to nie wydaje mi się, żebyś miał z niego wielki pożytek Edwardzie.

Edward uniósł się na szezlongu, by nalać sobie jeszcze kieliszek brandy z karafki stojącej na stoliku. Był już mocno pijany i za mierzal do wieczora jeszcze pogłębić ten stan. Jedną z największych zalet wicehrabiny Ashbury było to, że pozostawała obojętna na takie zachowanie. A jeśli nawet nie, to w każdym razie nigdy tego nie okazywała.

- Bądź co bądź, Edwardzie- ciągnęła lady Ashbury - gdyby nie tak zwane gorliwe starania sir Arthura Herberta na rzecz majątku Rawlingsów, to byłbyś teraz księciem. Ty, a nie bachor twojego brata.

Edward znów usadowił się wygodnie na szezlongu i zaczął sączyć brandy, spoglądając w górę. Sufit w salonie był pomalowany na stonowany żółty kolor, dopasowany ich aksamitu, i draperii zasłaniających okna. Edward głośno odchrząknął i powiedział tubalnym głosem, który przerażał wszystkich stojących w Rawlings Manor:

- Wszyscy zdają się zapominać, że syn Johna jest leganym dziedzicem tytułu i majątku.

Lady Ashbury wydawała się nie zauważać ostrzegawczego tonu.

- Ale nikt nie wiedział o istnieniu tego chłopca, dopóki Arthur nie zaczął wścibiać nosa...

- Nie wiem, czy pamiętasz, Arabello, że zrobił to na moje wyraźne polecenie.

- Och, Edwardzie, nie mów do mnie takim protekcyjnym tonem. - Lady Ashbury z trzaskiem odłożyła pióro i wstała od sekretarzyka inkrustowanego kością słoniową, głośno szeleszcząc przy tym spódnicą swej bładniebieskiej, aksamitowej sukni. Podeszła do szezlongu. Dobrze wiedziała, że na tle żółto-brązowych draperii jej jasna karnacja i bardzo jasne loki prezentują się wyjątkowo korzystnie. Właśnie dlatego wicehrabina zawsze nalegała, by Edward spędzał z nią czas tutaj, a nie w wygodniejszym, lecz mniej twarzowym niebieskim pokoju dziennym.

- Nic nie stało na przeszkodzie, abys powiedział księciu, że również syn Johna nie żyje, podobnie jak jego rodzice. Wtedy tytuł przeszedłby na ciebie - stwierdziła. Edward spojrzął na nią kpiąco.

- Czy doprawdy nie, Arabello? Miałbym skłamać przed ojcem leżącym na łożu śmierci? Przez dziesięć lat ojciec przeklinał Johna za to, że poślubił córkę szkockiego proboszcza, i za nic nie pozwoliliby wychowywać w Rawlings jego chłopca, mimo że według prawa właśnie temu sierocie należał się w spadku tytuł. A kiedy wreszcie zmiękł w ostatniej chwili... Doprawdy, Arabello! Postąpiłbym niehonorowo, gdybym przynajmniej nie spróbował wypełnić ostatniej woli umierającego starego człowieka.

- E tam, powiesz się z honorem - burknęła lady Arabella. Przecież nawet nie widziałeś tego chłopca na oczy!

- Nie - przyznał Edward. Dopił czwarty kieliszek brandy i napełnił naczynko po raz piąty. - Ale zobaczę go jutro, kiedy Herbert z nim przyjedzie. Uśmiechając się pod nosem, zaczął głośno myśleć: - Jednego nie możesz sobie wbić do tej swojej uroczej główki, Arabello. Ja po prostu nie chcę być księciem. W odróżnieniu od ciebie i twojej mamy, która za punkt honoru postawiła sobie znalezienie ci męża z tytułem, byłbym całkiem zadowolony, będąc najzwyczajnym człowiekiem.

Lady Ashbury parsknęła zniecierpliwiona. - A powiedz mi, lordzie Edwardzie, jak z dochodów najzwyczajszego człowieka utrzymałbyś te wszystkie konie, które masz w stajni? Albo dom na Park Lane w Londynie? Nie wspomnę już o tej monstrualnej budowli, którą nazywasz dworem. Jedyne znany mi człowiek bez tytułu, którego na to stać, to pan Alistair Carl Wright, a jak dobrze wiesz, jego bogactwo jest tak samo dziedziczne jak twoje. Nie, Edwardzie. Jesteś synem księcia i jako taki masz arystokratyczny gust. Spotkało cię tylko to nieszczęsne, że me urodziłeś się przed swoim pechowym bratem Johnem. Edward zerknął na nią z ironią.

- Do diabła, Arabello. Czy naprawdę sądzisz, że jako książę byłbym szczęśliwy? Miałbym mitrzyć całe dnie na zajmowaniu się majątkiem? Być bez przerwy ścigany przez ludzi pokroju Herberta, którzy zajmowaliby mi każdą wolną chwilę przedstawianiem ksiąg rachunkowych? Przejmować się losem dzierżawców i pilnować, żeby mieli co roku świeżą strzechę na chatach wyedukowane dzieci i szczęśliwe żony? - Wzruszył ramionami bardzo zde gustowany tym wyobrażeniem. -Przez takie życie ojciec przedwcześnie się postarzał, właśnie to go wbiło, choć mógł żyć jeszcze długo. Nie zamierzam skończyć tak samo. No a ten szczeniak po moim bracie, wieczny odpoczynek racz mu panie, ma swój przeklęty tytuł. Herbert dopilnuje zębów Rawhm przedwcześnie nie spłonęło do szczytu, a za dziesięć lat, chłopak skończy Oksford, może tu wrócić i zajac należne mu miejsce w uświęconych murach książęcego dworu..

- A co z tobą, Edwardzie? - spytała Arabella ze słabo ukrywanym zniecierpliwieniem. - Polować możesz tylko od listopada do marca a Londyn w lecie trudno znieść. Potrzebujesz pracy, mój drogi

- Co ty sobie myślisz, że jestem Amerykaninem?- I roześmiał się dość nieprzyjemnie i wypił zawartość kolejnego kieliszka. - Uwielbiam, Arabello, kiedy czujesz się w obowiązku udzielać mi rad. Zawsze przypominam sobie wtedy o różnicy

wieku, jaka nas dzieli. Powiedz mi, czy twojemu mężowi nie przeszkadza, że ciągle gnasz przez wrzosowiska do mężczyzny dwa razy młodszego od niego i w dodatku dziesięć lat młodszego od ciebie?

- Czy musisz tyle pić? - odparła kwaśno wicehrabina Ashbury. Edward westchnął i skreślił w myślach jeden z punktów na liście jej walorów. - Aż przykro patrzeć, jak całkiem młodemu czło wiekowi tu i ówdzie przybywa.

Edward spojrzął na swój biały, przykładnie zawiązany halsztuk zdobiący muskularną klatkę piersiową i smukły tors okryty kamizelką.

- Przybywa mi? - zdziwił się. - Gdzie?

- Masz wory pod oczami. - Arabella podeszła do niego i wyjęła mu z ręki kieliszek. - Poza tym wyraźnie widać u ciebie zaczątki obwisłej skóry na policzkach, takiej samej, jaką miał twój ojciec.

Edward zaklął i zerwał się z szezlongu, aczkolwiek dosyć chwiejnie, ponieważ wypił niemało brandy. Jego postura zawsze wydawała się imponująca, miał wszak sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale w złotym salonie Rawlings Manor wrażenie to było jeszcze spotęgowane. Delikatne, złocone, wybite zielonym aksamitem meble wydawały się przeznaczone dla krasnoludków, a miękkie, pieczołowicie wyczyszywane perskie dywany ugiwały się pod ciężkimi, lśniącymi, czarnymi butami do konnej jazdy.

Tymczasem Edward stanął przed lustrem ściennym i zaczął wypatrywać u siebie objawów starzenia.

- Doprawdy, Arabello - powiedział do odbicia wicehrabiny w lustrze - nie wiem, co miałas na myśli. Jaka obwisła skóra?

Ufał, że to nie próżność czyni go ślepy na oznaki starzenia się. Gdyby istotnie jakieś były, to bez wątpienia by je zauważył. Zresztą nie przywiązywał aż tak wielkiej wagi do swego wyglądu, choć naturalnie niejedna kobieta mówiła mu, że nie ma się czego wstydić. Sam jednak doskonale wiedział, że mimo elegancko skrojonego odzienia będzie wydawał się nie na miejscu w każdym salonie - złotym czy nie złotym. Miał śniadą, posępną twarz

pirata, a może zbójcy, i przydługie, smoliste włosy kręcące się przy kołnierzu fraka. W odróżnieniu od lady Ashbury, której cera była prawie tak jasna jak runo jagnięcia, Edward miał w twarzy tylko jeden jasny szczegół - szare oczy, które kojarzyły się z mgłą wciąż nadciągającą z nad wrzosowisk otaczających Rawlings Manot i spowijającą dwór.

- Wcale nie chciałam powiedzieć, że już masz obwisłe policzki - zastrzegła się wicehrabina Ashbury, nagle bardzo zajęta jakimś przedmiotem na blacie sekretarzyka. Ale jeżeli nie będziesz uważał...

Przedtem ujęłaś to inaczej. Edward nie wiedział, co bardziej go skonsternowało: czy to, że Arabella sprowokowała go do wstania z szezlongu. czy to, że gdy już wstał, właściwie nic go tu nie zatrzymywało. Wszak łatwiej byłoby mu rozpamiętywać swoje nieszczęście w bibliotece albo w sali bilardowej, gdzie mógłby palić i pić do woli, a żadna sekutnica nie zwracałaby mu uwagi na wory pod oczami.

Zanim jednak zdążył wymyślić pretekst pozwalający mu stosunkowo bezboleśnie opuścić nadzwyczaj drażliwą wicehrabinę, z którą wcześniej spędził kilka bardzo miłych godzin w pokoju gościnnym na drugim piętrze, do salonu wszedł Evers i glosno odkaszlnął - Sir Arthur Herbert, milordzie. - Kamedynerowi, który służył w rodzinie Edwarda od bez mała pięćdziesięciu lat i niewątpliwie miał służyć jeszcze nowemu księciu Rawhaa przez najbliższe dwadzieścia, nawet nie drgnęła powieka na wdiok chlebobdawcy zdradzającego objawy upicia o tak wczesnej porze.

- Herbert? - powtórzył zdumiony Edward. Dlaczego tak szybko wrócił? Spodziewałem się go w najlepszym razie jutro. Evers, czy szczeniaku... to znaczy, czy jego wysokość książę jest z sir Arthurem Evers ani na chwilę nie odwrócił wzroku od amtku znajdującego się nieco powyżej gzymsu kominka z zielonago marmuru

- Sir Arthur jest sam, milordzie, i pozwolę sobie dodać wydaje się bardzo wzburzony.

- Do diabła! - Edward potarł podbródek, na którym, mimo iż dopiero co minęło południe, już było widać ślady świeżego zarostu. Skoro Herbert był sam, to najprawdopodobniej informacja z Aberdeen okazała się fałszywa, podobnie jak poprzednie. A Herbert zaklinał się, że tym razem źródło jest wiarygodne! Wyglądało na to, że trzeba będzie włożyć jeszcze więcej czasu i pieniędzy w znalezienie dziedzica fortuny Rawlingsów. Jak to możliwe, że ten dziesięcioletni chłopiec dosłownie zapadł się pod ziemię?

- Do diabła! - powtórzył ze złością Edward. - Wprowadź go, Evers. Wprowadź.

Gdy tylko kamerdyner znalazł się poza zasięgiem głosu, wicehrabina ostentacyjnie westchnęła.

- Och, Edwardzie, czy musisz przyjmować tutaj tego nieprzyjemnego człowieka? Czy nie mógłbyś kazać mu poczekać w bibliotece? Nie mam ochoty wysłuchiwać, jak obaj wygadujecie nedorzecznosci o tym wstrętnym bachorze...

- Właśnie, wstrętnym! - Sir Arthur, otyły i jak zwykle spragniony towarzystwa, szybko wszedł do środka, nie czekając nawet, aż Evers otworzy przed nim drzwi na całą szerokość. Po prostu przepchnął się obok kamerdynera, lekceważąc jego zdziwione spojrzenie. W rzeczy samej jest to wstrętny bachor, lady Ashbury! Trudno o lepsze określenie!

Sir Arthur był tak rozkojarzony, że nawet nie pozwolił, by lokaj pomógł mu zdjąć płaszcz i kapelusz, toteż z jego przygarbionych ramion osypywał się śnieg. Evers postępował za nim i ze zboląłą miną oglądał mokre ślady zostawione na dywanie przez kalosze adwokata. Wielki Boże, człowieku - powiedział Edward, zaskoczony niechlujnym wyglądem zarządcy. - Wracasz ze Szkocji czy z piekła?

- Z tego drugiego, milordzie, zapewniam, że z tego drugiego.

Zanim Evers zdążył go powstrzymać, sir Arthur bezsilnie opadł na intensywnie zielony, obity aksamitem szezlong, z którego dopiero co wstał pan domu. W ciepłe ognia z kominka śnieg, który znalazł się na miękkich poduchach, natychmiast zaczął topnieć.

- Tyle miesięcy szukam już dziedzica po twoim ojcu, milordzie ale jeszcze nie zdarzyło mi się natrafić na coś tak oburzającego

Wicehrabina, przyglądająca się rozwojowi wydarzeń z nie znacznym grymasem na twarzy, zerknęła na kamerdynera.

- Evers, sądzę, że sir Arthurowi przydałby się łyk brandy

- Nie, nie! - krzyknął sir Arthur, unosząc pulchną dłoń. Dziękuję, milady. Nigdy nie pijam brandy przed południem. Lady Herbert byłaby o tym jak najgorszego zdania.

- Ależ sir Arthurze... - Arabella uśmiechnęła się kpiąco. Jest już po pierwszej.

- No, skoro tak... -Kamerdyner już stał przy zarządcy z pełnym kieliszkiem. - Dziękuję, Evers, poczciwy człowieku. Tego było mi trzeba... zresztą Virginia wcale nie musi o tym wiedzieć, prawda ?

Edward, który w obecności najbardziej zaufanego doradcy swego niedawno zmarłego ojca prawie zawsze miał ochotę cisnąć o ziemie jakimś szklanym przedmiotem, spytał przez zaciśnięte zęby:

- Czy z pańskiego braku opanowania mam wnosić, że znów zostaliśmy wystrychnięci na dudka?

Sir Arthur podniósł wzrok znad kieliszka. Na jego nalanej, nieciekawej twarzy odmalował się dość komiczny wyraz zaskoczenia.

- Co? Na dudka? Nie, milordzie. W żadnym wypadku. Wreszcie znaleźliśmy właściwego chłopaka. - Wydał dramatyczne i bardzo głośnie westchnienie. - Na nasze nieszczęście.

Wyciągnął drżącą dłoń ku karafce, stojącej na zdobionym zlocenia-mi stoliku przy szezlongu, ale Edward i Evers jednocześnie rzucili się by go powstrzymać. Kamerdynere kierowało poczucie obowiązku. Edward zrobił to z czystej złości. Okazało się że nie jest na tyle pijany, by nie okazać się sprawniejszym od pięćdziesięcioletniego ojca pięciorga dzieci i siedemdziesięcioletniego sługi. Przyklęknął obok szezlongu, chwycił za szyjkę karafki. Był tak wysoki, że tylko na na klęczkach mógł spojrzeć siedzącemu sir Ani mrowi prosto w oczy. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, jak groźne miał spojrzenie.

- Co się stało w Szkocji? - wycedził przez zęby.

Sir Arthur przestał wpatrywać się z żalną miną w dno kieliszka, ponieważ nie był w stanie uniknąć hipnotyzującego wzroku Edwarda.

- No, tego... - wybąkał. - No, mamy go. Księcia, milordzie. Młodego Jeremy'ego Rawlingsa...

- Znalazł go pan? - W głosie Edwarda wyraźnie było słycać ulgę. - Dzięki Bogu. - Ułga szybko jednak ustąpiła miejsca zniecierpliwieniu. - Skoro tak, to dlaczego nie przywiózł go pan do Rawlings?

- Bo nie chce przyjechać. - Sir Arthur wzruszył ramionami.

Edward nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Przepraszam, sir Arthurze, ale chyba nie dosłyszałem. Czy mógłbyś powtórzyć?

- Nie chce przyjechać! - powiedział jeszcze raz sir Arthur. -Był w tej sprawie bardzo stanowczy, milordzie. Nie ruszy się z miejsca bez...

- Nie chce przyjechać? - ryknął Edward. Zerwał się na równe nogi, zaciskając dłonie w pięści. Zauważył, że Arabella przygląda mu się z dość spłoszoną miną, ale nie był w stanie zapanować nad wzburzeniem. Zaczął chodzić po salonie jak lew w klatce. -Nie chce przyjechać? Chłopcu powiedziano, że jest dziedzicem olbrzymiego majątku i posiadłości będącej perłą Yorkshire, powiedziano mu, że jest księciem, a on nie chce przyjechać?... Czy to jest idiota? - zagrzmiał, zaskakując tym Eversa, który próbował dyskretnie usunąć pustą już karafkę. Spłodzić idiotę to byłoby nawet podobne do Johna, pomyślał rozwścieczony Edward.

- Nie, milordzie. - Sir Arthur się wzdrygnął. -- Przeciwnie. Jest zdrowy jak koń, ma dziesięć lat i diabła za skórą. Na powitanie, gdy tylko wysiadłem z powozu, rozbił mi jajko na głowie.

Edward starał się zachować cierpliwość.

- Dlaczego z panem nie przyjechał?

- Tu chodzi nie tyle o chłopca, milordzie, co o jego ciotkę.

- Ciotkę?- Arabella przerwała oględziny swoich paznokci i podniosła głowę. - Chłopiec ma ciotkę ?

- Tak, milady. Jest sierotą. Lord John przedwcześnie zmarł przed dziesięcioma laty, a jego matka, nieszczęsna żona lorda Johna, odeszła z tego świata wkrótce potem. Księża wychowywała siostra jego matki razem ze swoim ojcem, który jednak też nie żyje mniej więcej od roku. Straszna historia, jak słyszałem. Upadł na ambonie i już nie wstał. Był proboszczem.

Edward z wolna nabierał przekonania, że może z wyjątkiem Eversa jest jedyną osobą w pokoju, która jeszcze zachowuje resztki rozsądku.

- Co z tą ciotką? - spytał, by skierować rozmowę na właściwy tor. - Czy to ona nie chce chłopca puścić?

- Niezupełnie, milordzie. Chłopiec nie przyjedzie bez ciotki. Jest do niej bardzo przywiązany. To bardzo wzruszające, że w tych czasach widzi się dziecko, które...

Do diabła, Herbercie! - zagrział Edward. Dlaczego nie powiedziałeś pan tej przeklętej ciotce, że może przyjechać razem z chłopcem?

Sir Arthur spojrział na niego spłoszony.

- Zrobiłem to, milordzie, daję słowo. Objąłem ją zaproszeniem powiedziałem, że może przyjechać do Rawlings Manor i mieszkać tu tak długo, jak zechce. Nawet do końca życia. - Urwał i nagle zaczął zdejmować wierzchnie odzienie. -Co za okropny żar, panie Evers. Chyba ogień w kominku jest zbyt duży.

- I co? - Edward przestał przechadzać się po salonie i stanął wsparty łokciem o gzyms kominka. Jemu wcale się nie wydawało, by ogień był zbyt duży. -I co ta przeklęta kobieta na to?

- No, bardzo stanowczo odrzuciła moje zaproszenie, milordzie. Nawet nie chciała o tym słyszeć. A chłopiec naturalnie nigdzie się bez niej nie ruszy. - Herbert wzruszył ramionami. Dlatego wróciłem.

- Odrzuciła zaproszenie? - Edward pomyślał, że chętnie rozbiłby coś na drobne kawałki. Ponieważ zaś Evers wykorzystał

akurat tę chwilę na odgrodenie Herberta od kominka parawanem, Edward wyładował się na całkiem niewinnym przedmiocie. Jednym ciosem pięści przewrócił delikatny, ręcznie malowany parawan na podłogę.

Arabella wydała stłumiony okrzyk, a Herbert dosłownie osłupiał. Tylko Evers zachował zimną krew. Spokojnie podniósł parawan i spojrział karcąco na chlebobdawcę.

- Czy ta ciotka jest idiotką? - spytał Edward.

- Przeciwnie, milordzie. - Sir Arthur zaczął się obficie pocić, nie wiadomo, czy z powodu gorąca, czy ze strachu przed Edwardem. Być może wyobraził sobie, że jeszcze chwila i to na niego milord zamachnie się pięścią. W każdym razie na twarzy pojawiły mu się liczne kropelki potu. - Nie jest idiotką w żadnym wypadku. Jest zwolenniczką liberałów.

Nawet gdyby otyły zarządca napluł na parkiet, na Edwardzie nie zrobiłoby to większego wrażenia.

- Kim? - sapnął.

- Zwolenniczką liberałów.

Sir Arthur uśmiechnął się z wdzięcznością do Eversa, gdy ten podszedł po płaszcz i kapelusz, które sir Arthur zwinął w mokry kłębek i odłożył na szeszlono.

- Przekonaną antyroyalistką, milordzie. Nie chce mieć nic wspólnego z arystokracją. Twierdzi, że arystokraci są odpowiedzialni za brak reform, które ułatwiłyby życie normalnym ludziom. Jej zdaniem, konserwatyści nic nie robią w tym celu, żeby masę nie biedowały, bo wolą, by jeden procent społeczeństwa mógł dysponować dziewięćdziesięcioma dziewięćdziesięcioma procentami dóbr. Posiadacze ziemscy, tacy jak milord, są według niej pustogłowymi utracjuszami, którzy myślą tylko o polowaniach i dziwkach... - Urwał zakłopotany i zerknął na wicehrabinę. - Bardzo przepraszam, lady Ashbury. Arabella uniosła brew, ale nie odezwała się ani słowem. Edward słuchał zarządcy z najwyższym zdumieniem. Nie wierzył własnym uszom. Dziedzic tytułu księcia Rawlings został od-

naleziony, ale nie przyjedzie do majątku, bo jego zwariowana ciotka jest zwolenniczką liberałów? Jak to możliwe?

- Nie rozumiem. - Edward z trudem zachowywał spokój. Ale gdyby znowu stracił panowanie nad sobą, nie pozostałoby mu nic innego, jak dzielić sir Arthura w tę tłustą, roześmianą gębę ponieważ i bez tego zarządca dyszał już jak stary miech, Edward nie chciał mu zrobić krzywdy. - Mówisz pan, że ta kobieta odrzuciła zaproszenie do jednego z najwspanialszych majątków w Anglii z powodu swoich przekonań politycznych?

- Właśnie tak, milordzie - zachichotał sir Arthur. - A chłopak naturalnie nie przyjedzie bez niej.

- A ta... - Edward przełknął ślinę. - Ta kobieta nie ma męża z którym można by rozsądnie porozmawiać?

- Nie, milordzie. Panna MacDougal nie ma męża.

- Panna MacDougal?

- Tak, milordzie. Pegeen Mac Dougal. Od śmierci ojca mieszka razem z chłopcem w domku niedaleko plebanii. O ile wiem utrzymują się z niewielkiego kapitału pozostawionego im przez matkę panny MacDougal. Proboszcz nie zostawił im ani pensa.

- Stara panna - syknął Edward. - Pozwoliłeś pan, żeby pokrzyżowała ci szyki zdziwaczała ciotka o liberalnych przekonaniach? Do diabła, człowieku! - Edward omal nie zaczął sobie rwać włosów z głowy, zadowolony jednak tak potężnym ryknięciem na zarządcę, że drgnął nawet Evers. - Czyś ty jest niespełna rozumu? Co może być łatwiejszego? Czy ty nic nie wiesz o kobietach? Nie umiałeś jej przekupić? Oczarować? Ująć pochlebstwem? Czy nie ma na tym świecie niczego, co chciałaby dostać ta przeklęta kobieta, a co moglibyśmy jej dać w zamian za przywiezienie chłopca?

Sir Arthur odchylił się do tyłu na tyle, na ile pozwalał szezlong, ale i tak nie zdołał umknąć przed spojrzeniem lorda Rawlingsa, które parzyło go jak ogień. Wsunął palec za halsztuk i próbował go rozluźnić, jednak bez skutku. Raz po raz głośno przelękał ślinę.

- Ależ, milordzie, już powiedziałem! Ona nie chciała mieć ze

mną nic wspólnego! Po prostu wyrzuciła mnie za drzwi. I cisnęła za mną garnkiem! - Ton sir Arthura był błagalny. - A ten chłopiec, milordzie, to wcale nie żaden chłopiec, tylko diabeł wcielony. Wsadził mi do kieszeni jakąś ohydną łasicę, a koniowi w zaprzęgu wsunął rzepy pod uprząż. Już myślałem, że nie wrócę do lady Herbert cały i zdrowy!

Edward nagle odwrócił się tyłem do prawnika, kuląc ramiona. Cóż, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jak musi postąpić. Popełnił błąd, wysyłając zarządcę z zadaniem, które znacznie lepiej wypełniłby osobiście. Czyż jego ojciec nie powtarzał wielokrotnie, że łatwiej jest coś zrobić samemu, niż bez końca tłumaczyć najętemu człowiekowi, o co chodzi? To był właśnie klasyczny przykład. Co wiedział sir Arthur o kobietach, choć był ojcem pięciu córek? Ożenił się z pierwszą kobietą, która go chciała, a chociaż Virginia Herbert była całkiem przyjemną osobą, to z pewnością nie miała żadnych cech, które stanowiłyby wyzwanie dla błędnego rycerza.

Trudno, było tylko jedno rozwiązanie. Edward musiał wybrać się do Aberdeen i osobiście przywieźć chłopca do Rawlings Manor razem z jego przeklętą ciotką.

Zwolenniczka liberałów! Niech Bóg go strzeże przed przeuczonymi kobietami! Co ten proboszcz sobie wyobrażał, pozwalając córce czytać gazetę? Ona nie powinna nawet znać różnicy między liberałami a konserwatystami. Nic dziwnego, że jest starą panną. Z pewnością nią pozostanie, jeśli to, co powiedziała Herbertowi, stanowi przykład jej zdolności w prowadzeniu konwersacji.

Evers chrząknął od progę.

- Przepraszam, milordzie, ale czy już wszystko?

Edward, który stał przy kominku z dłońmi splecionymi za plecami, raptownie się odwrócił.

- Nie, Evers. Przekaż mojemu pokojowcowi, że niezwłocznie udajemy się do Szkocji. Niech zapakuje mi bieliznę na co najmniej trzydniowy pobyt. Roberts niech podstawy powóz. Wyjeżdżam natychmiast, gdy tylko zakończy się pakowanie.

Arabella, pochylona nad sekretarzykiem, głośno odłożyła pmi
 - Edwardzie, oszalałeś? Nie myślisz chyba o tym, żeby osobiscie jechać do tej nieprzyjemnej kobiety?

- Właśnie to zamierzam zrobić - odparł. - Czemu ci się to nie podoba? Czy sądzisz, że nie mam dość siły przekonywania? Czy stara panna ze Szkocji zapatrzona w liberałów to dla mnie zbyt trudna przeciwniczka?

Lady Ashbury wybuchnęła śmiechem. Edward zwrócił kiedyś uwagę na brzmienie tego śmiechu. Było chłodne, brzękliwe, jak odgłos dzwonka wzywającego na obiad, płaski i dość natarczywy

- O nie, milordzie. Wszyscy wiemy, jak wielką masz siłę przekonywania, jeśli tylko chcesz. - Zmierzyła go spojrzeniem Uwagi Edwarda nie umknął wyraz zadowolenia, który przemknął jej po twarzy, gdy na chwilę zatrzymała wzrok na wypukłości z przodu jego spodni. - Ale musisz być naprawdę zdesperowany, mój drogi, jeśli chcesz tuc się aż do Szkocji w taką pogodę. Czemu ci tak pilno? Wiemy już, gdzie jest ten bachor, i na pewno stamtąd nie zniknie

- Chcę załatwić tę sprawę - powiedział cicho Edward, znów odwróciwszy się do ognia. - Mój ojciec nie żyje od prawie roku a Rawlings przez cały ten czas niszczeje bez księcia. To już trwa dostatecznie długo.

Arabella znów się roześmiała.

- Ho, ho, od kiedy to troszczysz się o Rawlings? Doprawdy, sir Arthurze, wywierasz pan na niego bardzo zły wpływ. Jeszcze trochę i lord Edward zapragnie objechać pastwiska dla owiec.

Sir Arthur zerknął na Edwarda, przerażony wizją podróży milorda do Szkocji.

- Milordzie, porzuć ten pomysł, błagam! Niech czas zrobi swoje. Może za miesiąc lub dwa ta kobieta jednak odzyska rozsądek i zgodzi się tu przyjechać. Zrozum, milordzie, panna MacDougal była święcie przekonana, że chłopiec nic a nic starego księcia nie obchodził. Przeżyła olbrzymie zaskoczenie, gdy do wiedziała się, że nie został wydziedziczony...

- Nie mam dość cierpliwości, żeby czekać cały miesiąc - odrzekł Edward. - Wyjeżdżam dzisiaj i jestem gotów się założyć, że ci dwoje, chłopiec i ciotka, w ciągu dwóch tygodni znajdą się w Rawlings.

- Jeśli zamierzasz czynić jakieś zakłady, to najlepiej zbudź swojego przyjaciela ze szkolnej ławy, pana Cartwrighta - zauważyła oschle Arabella. - Odsypia w bibliotece nocną grę w bilard. Czy zamierzasz wziąć go z sobą, Edwardzie? Dobrze wiesz, jak wielką przyjemność sprawiłby mu mały flirt ze szkocką starą panną.

- Nie potrzebuję w tej podróży korzystać z wątpliwej jakości usług Alistaira - odburknął Edward. - Możesz go tu zatrzymać, Arabello, będzie cię zabawiał podczas mojej nieobecności. Pilnuj, żeby nie potłukł niczego wartościowego, a gdyby potłukł, to żeby odkupił.

- Milordzie, muszę nalegać, abyś jeszcze raz rozważył swoje plany. - Sir Arthur, poruszony decyzją chlebobdawcy, podniósł się z szezlongu i podszedł do miejsca, w którym stał Edward. - Obawiam się, że nie wiesz, jak porywczą naturę ma ta kobieta. Ona bezwzględnie gardzi arystokracją i stanowczo odmawia...

Edward roześmiał się i położył swą ciężką rękę na ramieniu zarządcy.

- Herbercie, stary przyjacielu, pozwól, że powiem ci coś o kobietach. Wszystkie są jednakowe. - Przesłał kpiące spojrzenie wicehrabinie. - Wszystkie czegoś chcą. Musimy tylko odkryć, czego chce panna MacDougal, i dać jej to w zamian za przywiezienie siostrzeńca. Koniec, kropka.

Sir Arthur nie wydawał się przekonany.

- Problem polega na tym, że, moim zdaniem, panna MacDougal chce...

- No, czego, Herbercie?

- Twojej głowy, milordzie. Nabitej na włócznię.

Pegeen ostrożnie kołysała w ramionach płaczącego noworodka.

- Cicho, cicho - przemawiała czule. Z ust unosiły jej się obłoczki pary. - Nie przejmuj się. Wiem, że tu nie jest tak przyjemnie jak tam, w środku, ale musisz się przyzwyczaić, nie ma rady.

Na posłaniu, które było właściwie stertą mokrej słomy i szmat, matka dziecka zdobyła się na słaby uśmiech.

- Dobrze wygląda, panno MacDougal prawda? Ma wszystkie palce?

- Dziesięć tu i dziesięć tam - odparła Pegeen z udaną beztroską. - Jak będzie miał na imię, pani MacFearley?

- O, Boże. Nie wiem.

- Skończyły ci się pomysły na imiona, co? -- Pani Pierce, akuszerka, odwróciła się od namiastki ognia w kominku, który przez ostatnią godzinę z dość mizernym skutkiem próbowały z Pegeen rozniecić i podtrzymać. Ogień, do rozpalenia którego z braku węgla można było użyć jedynie kilku wilgotnych kawałków torfu, nie dawał wiele ciepła, chociaż MacFearleyowie i tak mieli lepiej niż większość ich sąsiadów, których walące się budy nawet

nie miały kominków. - Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie dziwi. Które to już twoje? Szesnaste?

Pani MacFearley z dumą przytaknęła.

- Ósmy syn, jeśli nie liczyć tych trzech, którzy urodzili się martwi. - Myśl o zmarłych dzieciach na chwilę zasmuciła położnicę. Spytała cicho: - Panno MacDougal, czy byłoby coś złego w tym, gdybym nazwała go tak samo, jak jednego z nieżywych? Bardzo mi się podoba imię James, ale to był ten ostatni, który nie przeżył...

Pegeen spojrzała na kwilące zawiniątko z czerwonymi piastkami, które kołysała, i nagle poczuła, że nie wytrzyma tu ani minuty dłużej. Miała wrażenie, że poczerniała od dymu ściany jedynej izby w chacie zbliżają się do siebie i chcą ją udusić, a normalna w tym miejscu i dość nieprzyjemna woń kapusty i ludzkich odchodów stała się dziesięć razy silniejsza, do czego przyczyniły się też zapachy towarzyszące porodowi.

Pegeen poczuła, jak śniadanie, na które jadła owsiankę, podchodzi jej do gardła. Wydała krótki jęk i pospiesznie wcisnąwszy niemowlę w wyciągnięte ręce akuszerki, wybiegła na podwórze.

Potykaçąc się w śniegu, zdążyła dotrzeć do sterty śmieci i tam zwymiotowała. Opróżniwszy żołądek, oparła się o tyczkę od sznura do rozwieszania bielizny, przytknęła policzek do zimnego, chropowatego drewna i zamknęła oczy, żeby nie raziło jej ostre, zimowe słońce. Na dworze zapach nie był wiele lepszy niż w chałupie, ale przynajmniej nie patrzyła na tę wymizerowaną twarz i patykowato chude ciało, które rodziło dziecko za dzieckiem.

Drzwi do chałupy otworzyły się i wyszła z nich pani Pierce, trzymająca wiadro, którego zawartość obficie parowała na zimnie. Pegeen szybko sięgnęła do torebki, wyciągnęła stamtąd chusteczkę i otarła nią usta, pomagając sobie jeszcze odrobiną czystego śniegu, który podniosła z ziemi.

Pani Pierce podeszła do niej, mrużąc coś pod nosem. Gdy

znalazła się blisko i zobaczyła świeże ślady na śniegu, cmoknęła z dezaprobatą.

- Nie wiem, dlaczego za każdym razem pani się upiera, żeby mną chodzić, skoro robi się pani od tego niedobrze - stwierdziła.

Szybkim ruchem przewróciła wiadro do góry dnem i wylała jego zawartość na wymiocinę. Pod wpływem znajomego odoru Pegeen znów zrobiło się niedobrze. Uchwyciła się tyczki, jakby mogło to powstrzymać mdłości. Przycisnęła chusteczkę do warg.

- Och, pani Pierce - westchnęła żałośnie. - To jest takie okropne. Jak pani może to wytrzymać? Ta kobieta się zabija, rodząc dzieci rok w rok. Ktoś musi porozmawiać z mężczyznami z osad. Czy pani nie może tego zrobić?

- To nie do mnie należy i pani dobrze o tym wie, panno MacDougal - oświadczyła z wyrzutem pani Pierce. - Ten obowiązek spoczywa na proboszczu. A jeśli sądzi pani, że nasz nowy proboszcz zamierza się zniżyć do rozmów z takimi kobietami jak Myra MacFearley, to ma pani bzika tak samo jak pani tatuś.

Pegeen nawet nie obraziła się o tę aluzję do ekscentryczności swojego ojca, tylko westchnęła i schowała chusteczkę do torebki.

- Pewnie ma pani rację. Ale to jest niesprawiedliwe. Szesnaścioro dzieci w tak krótkim czasie, w dodatku co trzecie martwe. A pani MacFearley ma dopiero trzydzieści lat, pani Pierce! Tylko dziesięć lat więcej niż ja, a wygląda...

- Tak staro jak ja? - Pani Pierce puściła do niej oko i pięknie się uśmiechnęła. - Dokładnie na pięćdziesiąt?

- Och, wie pani, co mam na myśli. - Pegeen zerknęła ponuro na czubki swoich trzewików i rąbek brunatnej wełnianej sukni, teraz mokry od śniegu. - Może wobec tego ja porozmawiam z panem Richlandsem - zaproponowała bez przekonania.

- Pani? - Akuszerka odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, którego brzmienie na ciasnym, zagraconym podwórzu wydawało się dziwnie płaskie. - Pani miałyby rozmawiać z pas-

torem o miejscowej prostytutce? Och, dawno się tak nie uśmiałam, panno MacDougal!

Pegeen zmarszczyła czoło.

- Co w tym dziwnego? Przecież oboje jesteśmy dorośli. Rozmawianie ze zbrojem o takich sprawach stanowi obowiązek pana Richlandsa. Bóg mi świadkiem, że mój ojciec tego próbował.

- Pan Richlands zzieleniałby na twarzy i też zwrócił śniadanie, gdyby poruszyła pani przy nim taki temat. - Pani Pierce pokręciła głową. - Nie, moja droga. Nie godzi się, by młoda, niezamężna kobieta rozmawiała z kawalerem o czymś takim, nawet jeśli to pastor. A już zwłaszcza taka kobieta jak pani.

- To znaczy? - spytała urażonym tonem Pegeen.

- Och, niech pani nie robi takiej zagniewanej miny - Pani Pierce roześmiała się. - Miałam na myśli kobietę pani urody. Te aktorki z gazet do pięt pani nie dorastają. Ale proszę sobie wyobrazić... Piękna kobieta, taka jak pani, próbuje rozmawiać z pastorem o czymś, o czym większość mężatek nie wspomniałaby nawet przy mężu... Nie, panno MacDougal, tego nawet pani nie może. Zresztą wiem, że pani ojcu też by się to nie spodobało, chociaż dawał pani różne książki do czytania.

Poczuwszy się nieco lepiej. Pegeen puściła tyczkę i z posępną miną potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, pani Pierce, ale mniejsza o to. Powinam już wrócić do domu. Jeremy niedługo przyjdzie na obiad, a ja jeszcze niczego nie przygotowałam. Proszę powtórzyć pani MacFearley, że odwiedzę ją wieczorem i przyniosę trochę chleba dla niej i dla dzieci.

- Na pewno to zrobię, moja droga. Pani Pierce jeszcze raz puściła do niej oko i poklepała ją po ramieniu. - Możesz na mnie liczyć.

Droga na plebanię z końca osady zamieszkanego przez biedne rodziny nie była długa, jeśli skracało się ją przez cmentarz, a ponieważ Pegeen nie była przesądna, poszła właśnie tamtędy, dziarskim krokiem próbując bronić się przed zimnem. Do Mac-

Fearleyów wybiegała w wielkim pośpiechu, żeby zdążyć przed porodem, toteż zapomniała czepka i teraz jedynie długie, ciemnokasztanowe włosy chroniły jej głowę i uszy. Kryjąc dłonie w rękawach zniszczonej pelisy, Pegeen nasłuchiwała chrzestów śniegu pod stopami. Machinalnie przebiegała wzrokiem po epitafiach, które знаła na pamięć, ponieważ mieszkała w tej osadzie od urodzenia. *Tu leży Enid* - głosiło jedno z nich, które zawsze najbardziej ją poruszało - *moja żona, moja miłość, moje życie*. Jak to by było, gdybym kogoś darzyła takim uczuciem? Pegeen często się nad tym zastanawiała. Nie umiała sobie jednak wyobrazić, że jakkolwiek mężczyzna mógłby dla niej tyle znaczyć. Kochała Jeremiego - to prawda, i była całkiem pewna, że w razie czego oddałaby za niego życie. Ale darzyć uczuciem obcego mężczyznę, spoza rodziny, i to tak głęboko, by nazwać go swoim życiem? Taka miłość wydawała jej się wręcz porażająca. Żał jej było nieszczęsnego męża Enid, zrozpaczonego po stracie. Czyż nie byłoby rozsądniej, gdyby kochał swoją żonę o wiele mniej?

- Panno MacDougal!

Peggy zmartwiała. Nie, tylko nie to.

- Panno MacDougal!

Jej najgorsze przecucie się potwierdziło. Wyszedł zza dużej płyty nagrobnej, otrzepując śnieg z kolan. Co on tam robił? Czyżby wcześniej zauważył, jak mijała plebanie, i czekał na jej powrót? Dziwny człowiek. Chciała udać, że go nie usłyszała, i dalej iść przed siebie, ale zanim zrobiła pierwszy krok, już był przy niej. Pozostało jej zdobyć się na wymuszony uśmiech. - Dzień dobry, panno MacDougal!

Pan Richlands zdjął z głowy cylinder i skłonił się z bardzo komicznym entuzjazmem, Pegeen zrobiła jednak wszystko, by się nie roześmiać. Bądź co bądź, był następcą jej ojca, duchowym przywódcą społeczności osady. To nie jego wina, że swoją chuderlawą sylwetką i niezgrabnymi ruchami czasem kojarzył się Pegeen z marionetką.

- Jak pięknie pani wygląda w ten zimowy poranek - przymilnie zagał duchowny, wysapując białe kłęby pary.

Pegeen nadal wykrzywiła wargi w uśmiechu.

- Dzień dobry, panie Richlands. Szkoda, że nie mogę pana odwiedzić, ale muszę wrócić do domu i przygotować obiad Jeremiyemu.

- Wobec tego proszę pozwolić, że panią odprowadzę - zaofiarował się pastor i podał Pegeen ramię. - Droga jest śliska, nie mogę pozwolić, żeby pani, nie daj Boże, upadła i skręciła nogę w kostce.

Pegeen nie była przekonana, czy jest zadowolona z tego, że pastor myśli o jej kostkach. Był młodzieńcem słusznego wzrostu - Pegeen sięgała mu tuż powyżej ramienia - a choć poruszał się niezgrabnie, to miał miłe, niebieskie oczy i rudawe włosy. W odróżnieniu od innych panien w osadzie Pegeen wykazywała jednak dużą odporność na jego wdzięki i nawet nie bardzo rozumiała, czym tu się tak zachwycać.

Widząc, że musi skorzystać z zaproszenia, bo inaczej naraziłaby się na posądzenie o nieuprzejmość, wsparła się na ramieniu pastora i pozwoliła, by poprowadził ją dalej cmentarną alejką. Przez cały czas pan Richlands opowiadał o zmianach, jakie zaprowadził na plebanii. Mimo że Pegeen była całkiem zadowolona z małego domku na obrzeżu kościelnej posiadłości, gdzie ostatnio mieszkała, to jednak nie potrafiła całkowicie wyzbyć się poczucia własności w stosunku do miejsca, w którym dorastała, rozżłościło ją więc na przykład to, że pan Richlands położył tapetę w salonie. Głupiec. Czyżby nie wiedział, że przewód kominowy kopci i w ciągu roku papier będzie do wyrzucenia?

Pan Richlands popisywał się przed nią prawie do samej bramy cmentarza. Tam Pegeen, która już od dłuższej chwili rozważała pewne zagadnienie, zmienacka mu przerwała:

- Panie Richlands, właśnie byłam u MacFearleyów, w tej walącej się chałupie. Pomagałam przyjmować szesnaste dziecko Myry MacFearley...

Pan Richlands zdrewniał, po czym odsunął się od niej ze zgrozą
 - Co?! - krzyknął, sprawiając wrażenie bardzo wzburzonego
 Czy to ma być żart, panno MacDougal? Jeśli tak, to w wyjątkowo złym guście.

Pegeen spojrzała na niego surowo.

- To nie żart, panie Richlands. Rozmawiałam z panią Piętro, akuszerką, i obie uważamy, że jako proboszcz Applesby ma pan obowiązek porozmawiać z miejscowymi mężczyznami. Niech przynajmniej przez rok trzymają się z daleka od pani MacFearley bo bo inaczej biedaczka wkrótce umrze z wycieńczenia. Powinniśmy też zrekompensować jej utracone w tym czasie zarobki z pieniędzy zebranych na tacę.

- Panno MacDougal! - Wielebny zbladł jeszcze bardziej, jego twarz przybrała odcień zbliżony do koloru leżącego na ziemi śniegu. Pegeen z ciężkim sercem stwierdziła, że pani Pierce miała zupełną rację. Pastor przeżył poważny wstrząs i teraz ona, Pegeen, miała ponieść tego konsekwencje.

- Jestem naprawdę zdumiony, szczerze zdumiony, że pani. młoda, niezamężna kobieta asystuje przy narodzinach! To niesłychane! W dodatku przy narodzinach bękartu wiejskiej ladaczniczki! Jak to możliwe, że akuszerka na coś takiego pani pozwoliła? Stanowczo muszę porozmawiać z tą kobietą. To jest hańba, tak wielka, że... że aż nie wiem, co o tym myśleć!

Wspomnienie wymizerowanej twarzy Myry MaeFearley wciąż było żywe w myślach Pegeen, podobnie jak wspomnienie straszliwego odoru w chacie. Tupnęła nogą, bardzo zirytowana tym, że pastor traci czas na zastanawianie się nad niestosownością jej obecności przy porodzie, zamiast zająć się wieloma ważniejszymi sprawami, które niewątpliwie należą do jego obowiązków.

- Nie ma o czym mówić, panie Richlands. Mimo młodego wieku nie jestem nieświadomym dzieckiem. Wiem, skąd się biorą dzieci, i umiem przyjmować poród, a teraz proszę pana, jako proboszcza Applesby, żeby pomógł pan Myrze MaeFearley...

- O tym nie ma mowy! - wykrzyknął pan Richlands. - Nie zniżę się do udzielania pomocy kobiecie, która jest tak rozwiązła, że rozkłada uda, zanim zdola odzyskać siły po porodzie.

- To jest pański obowiązek! Mój ojciec...

- Pani ojciec! Pani ojciec! Czy pani ma pojęcie, jaki jestem znużony słuchaniem o jej ojcu, panno MacDougal? On wcale nie był takim oświeconym myślicielem, za jakiego pani go uważa. Jeśli był taki bystry, to dlaczego zostawił panią i kuzyna bez środków do życia? Tylko dobra wola Kościoła... moja dobra wola ratuje panią przed trafieniem do przytułku.

Pegeen zamrugła. Ze złości łzy cisnęły jej się do oczu, ale przecież nie mogła się rozplakać.

- Jeśli takie są pana poglądy, panie Richlands - powiedziała głosem, który wydał jej się zupełnie obcy - to żegnam.

Obróciwszy się na pięcie, odeszła sztywnym krokiem. Co za bezczelność! Jego dobra wola ratuje ją przed przytułkiem! Jest zmęczony słuchaniem o jej ojcu! Co tam, nie będzie musiał o nim więcej słuchać. Nie usłyszy już ani jednego słowa. Pegeen postanowiła w ogóle się nie odzywać do tego bufona. Nigdy więcej.

Pastor zawołał ją po imieniu. Było słyhać, że jest wyjątkowo wzburzony. Ruszył za nią, a ponieważ Pegeen nie przystanęła, niespodziewanie chwycił ją od tyłu za ramiona i odwrócił ku sobie. Bardzo ją to zaskoczyło. Do tej pory pastor bardzo się pilnował, żeby jej nie dotykać, nawet na wieczorkach tanecznych w pobliskich domach, organizowanych przez życzliwych sąsiadów, którym bardzo zależało na tym, żeby dobrze się prezentujący duchowny porozumiał się z piękną córką poprzedniego pastora.

- Panno MacDougal - wysapał pan Richlands, zaciskając dłonie na jej pelisie. - Przepraszam, że panią obraziłem i błagam o wy słuchanie. Od dawna żyję w przeświadczeniu, że pani ojciec, choć był dobrym człowiekiem, stanowczo zbyt liberalnie traktował parafian, a zwłaszcza zbyt liberalnie wychowywał córkę...

Pegeen chciała ostro zaprotestować, ale pastor nie dopuścił jej do głosu.

- Jednak wiedza, która jest z gruntu niestosowna dla młodej panny, może bardzo się przydać żonie pastora. Jestem więc skłonny zapomnieć o pani wyjątkowo niestosownym zachowaniu

Pegeen wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Panie Richlands - powiedziała w końcu - czy na pewno

- Tak, panno MacDougal. Nie sądzę, aby było to dla pani wielkie zaskoczenie, że już od dłuższego czasu widzę w pani nie tylko przyjazną duszę. Mam nadzieję, że uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną.

Tak ją zdumiał, że omal nie parsknęła śmiechem. Wielki Boże, przed chwilą wysłuchiwała pierwszych oświadczeń w swoim życiu, a tymczasem w pierwszym odruchu chciała się roześmiać! Choć doprawdy nie wypadało tak reagować.

Pan Richlands miał na twarzy wyraz śmiertelnej powagi. Pegeen pomyślała, że jest bardziej przejęty niestosownością tematu, który wcześniej poruszyła, niż jej odpowiedzią. Takiego skutku naturalnie nie zamierzała osiągnąć.

Wykonała ruch ręką, żeby uwolnić ramiona z uścisku wielebnego, i powiedziała:

- Panie Richlands, myli się pan, sądząc, że domyślałam się prawdziwej natury jego uczuć wobec mojej osoby. Przykro mi, jeśli niechcący dałam do zrozumienia, że darzę pana czymś więcej niż zwykłą przyjaźnią. Ponieważ jednak jest to istotnie tylko przyjaźń, obawiam się, że nie mogę przyjąć tej wielkodusznej propozycji. A teraz proszę mnie puścić.

Duchowny nadal trzymał ją za ramiona, więc spróbowała się wyszarpnąć.

- Słyszał mnie pan, panie Richlands?

- Pegeen, mów do mnie Jonathanie - odpowiedział pastor, pochylając się, by ją pocałować.

Przez chwilę Pegeen nie wiedziała, co robić. Tymczasem

spomiędzy suchych, gorących warg pastora wysunął się język, który próbował się wedrzeć między jej mocno zaciśnięte wargi. Pegeen szybko odzyskała zdolność reagowania. Ostрым czubkiem trzewika kopnęła wielebnego w goleń.

Zawył i cofnął ręce, a Pegeen zakasała spódnicę, by pognać cmentarną alejką tak szybko, jak tylko chciały ją nieść smukłe nogi. Wprawdzie słyszała, że pastor za nią woła, ale nie zważając na to, biegła. Choć ślizgała się na zmrożonym śniegu, nie odważyła się zwolnić z obawy o to, że pastor ją dogoni i znów zacznie przeproszać. Miała poważne wątpliwości, czy po pozbyciu się śniadania z żołądka byłaby w stanie strawić takie przeprosiny.

Zimny wiatr rozwiewał poły jej pelisy i powodował łzawienie oczu. Już na wiejskiej drodze omal nie wpadła na panią MacTurley, żonę piekarza, ale tylko krzyknęła przez ramię: „Przepraszam!”. Nic jej nie obchodziło, że wszyscy mieszkańcy osady mogą dokładnie się przyjrzeć jej kostkom, a może nawet i łydkom. Musiała uciec przed pościgiem. Minęła plebanię, wbiegła do ogrodu i bez wątpienia dopadłaby drzwi swojego domku, gdyby nagle nie stanęła jej na drodze wielka, ciemna przeszkoda...

- Uff!

Z pewnością upadłaby oszołomiona siłą uderzenia, gdyby nie podtrzymały jej silne ręce. Ten sam męski głos, który przed chwilą uffnął, zachichotał.

- Powoli, gołąbeczko. Dokąd ci się tak spieszy?

Dysząc ciężko, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała w górę...

Prosto w najbardziej niezwykle oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Były szare, przejrzyste i śmiały się do niej spomiędzy drobnych zmarszczek. Opalenizna mężczyzny natychmiast przypomniała Pegeen słoneczne dni i fioletowe wrzosa kołysane lekkimi podmuchami wieczornego wiatru. Ostrem kontrastem dla szarych oczu stanowiły kręcone, smoliste włosy, otaczające twarz o wyrazistych rysach, zdecydowanie posępną, z gęstymi, ciemnymi brwiami i zmysłowymi wargami.

Wpatrując się z zapartym tchem w tę twarz, Pegeen pomyślała, że mężczyzna mógłby być piratem z książek, które nieustannie musiała czytać Jeremu. Ręce, które ją trzymały, były krzepkie, a barki okryte czarną peleryną tak szerokie, że tors mężczyzny przesłonił jej widok. Owionął ją sączący się z kamizelki męski zapach: tytoniu, wyrobów ze skóry i, mniej wyczuwalny, konia. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że przenikliwe szare oczy zuchwale wpatrują się w miejsce, gdzie rozchyła się jej pelisa, odsłaniając smukły stan sukni i stanik okrywający jędrne piersi, falujące w rytmie przyspieszonego biegu oddechu. Musiała potrząsnąć głową, żeby odzyskać jasność myślenia. Co się dzieje? Pozwoliła się objąć obcemu mężczyźnie, chociaż przed chwilą za to samo kopnęła pastora w gołęń. Szarpnęła się. Chichoczący mężczyzna natychmiast ją puścił.

- Pali się gdzieś, gołąbeczko? - spytał, unosząc swoje gęste, czarne brwi. - A może goni cię roznamiętniony subiekt?

Pegeen wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, wciąż za bardzo zdyszana, by wydusić z siebie choć słowo. Policzki zalał jej ciemny rumieniec, czuła to, ale miała nadzieję, że przy takiej pogodzie mężczyzna nie domyśli się powodu i złoży to na karb zimna. Naturalnie powód był zgoła inny. Nikogo tak przystojnego Pegeen jeszcze nie widziała, jak więc miała się nie zarumienić?

- Co się stało, dziecko? Język ci się zaplątał?

Szelmowsko się do niej uśmiechnął. Na ten widok mocniej zabiło jej serce.

- Stoję tu już od dłuższego czasu i próbuję zbudzić twoją panią - ciągnął. - A może nie ma jej w domu? Jeśli tak, to czy nie mogłabyś przynajmniej wpuścić mnie do środka, żebym mógł poczekać w cieple? Ani chybi przeziębę się na dworze.

Pegeen usłyszała, że ktoś woła ją z drogi. Wspięła się na palce i zerknęła nad ramieniem ciemnowłosego dzentelmena. Zobaczyła naturalnie pana Richlandsa, który kuśtykał w ich stronę, wymachując kapeluszem.

- O, nie! - jęknęła.

Jej niezapowiedziany gość obojętnie zerknął przez ramię i powiedział tubalnym głosem:

- Ten człowiek sprawia takie wrażenie, jakby cię szukał, gołąbeczko.

- Wiem. - Pegeen znów jęknęła. - W tym cały problem.

Rzuciła się do drzwi, których nigdy nie zamykała na klucz, i wpadła do środka, jeszcze potknąwszy się na progu. W salonie natychmiast odrzuciła torebkę na bok, a drugą ręką zaczęła rozpinąć pozostałe kołki pelisy.

- Psiakostka! - mruknęła. W zafrasowaniu nie zwróciła uwagi na to, że nieznajomy wszedł za nią do domu i teraz przez okno obserwuje pana Richlandsa, który zatrzymał się przy furtce, najwyraźniej przeczuwając, że jego obecność nie jest pożądana. - Zaraz wróci Jeremu!

- Czy ten mężczyzna ci się narzuca, gołąbeczko? - spytał ciemnowłose gość. - Bo jeśli tak, to z przyjemnością pomogę ci się go pozbyć.

- To niemożliwe. - Pegeen jęknęła, odkładając pelisę na oparcie kanapy. Przycisnęła dłoń do czoła, jakby broniła się przed nadchodzącym bólem głowy. - Nie uda się to panu. Już próbowałam, proszę mi wierzyć.

Wysoki mężczyzna jeszcze raz wyjrzał przez okno.

- Nie pojedynkowałem się z nikim od czasów college'u, w każdym razie nie na pięści, ale on nie wygląda groźnie. Owszem, jest młodszy, ale to mi nie przeszkadza. Jak, pani zdaniem, poradziłby sobie z pistoletem?

Pegeen spojrzała na niego i wybuchnęła dźwięcznym, radosnym śmiechem. Nie miała pojęcia, skąd jej się to wzięło.

- Pan nie mówi poważnie! To jest nasz pastor, pan Richlands.

- Mówię śmiertelnie poważnie. Nie zawahałbym się nawet wtedy, gdyby był arcybiskupem Canterbury. Z przyjemnością zabiję go dla pani. Wystarczy jedno słowo.

Szare oczy omiotły spojrzeniem miły, choć skromnie umeblowany pokój, wkrótce jednak skupiły się na jego mieszkance. Pegeen nagle uświadomiła sobie, jak obcisła w talii jest jej zamoknięta, brązowa suknia z zaśnieżonym rąbkiem.

- Przemyslałem sprawę - odezwał się znów obcy. - Nie warto go zabijać. To mogłoby się komuś nie spodobać i ściągnąć tutaj masę ludzi. Nie, wystarczy, że go stąd przegonię. Potem rozpalę ogień w kominku, usiądziemy sobie i będziemy mogli lepiej się poznać, zanim wróci twoja pani, gołąbeczko.

- Moja pani? - powtórzyła Pegeen. - Jaka pani?

W tej chwili drzwi raptownie się otworzyły i do saloniku wkuśtykał pastor. Wyprostował się dumnie i powiedział tonem głęboko urażonego człowieka:

- Proszę mi wybaczyć to najście, ale jestem winien pani przeprosiny, panno MacDougal.

- Panna MacDougal! - powtórzył nieznajomy, przeszywając Pegeen wzrokiem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pan Richlands znowu doszedł do głosu.

- Śmiem twierdzić, że młode kobiety często są skłonne odrzucać pierwsze oświadczenia dżentelmena, dlatego nie biorę sobie zbyt do serca pani odmowy. Proszę się nie obawiać, będę prosił panią o rękę dopóty, dopóki nie zgodzi się pani uczynić mi zaszczytu zostania moją żoną.

Teraz nic już nie mogło usprawiedliwić rumieńca Pegeen. Nigdy w życiu nie czuła się równie upokorzona. Jak pastor może prowadzić taką rozmowę przy obcym człowieku?

- Zapewniam, panie Richlands - odparła zapalczywie - że bez względu na to, ile razy mi się pan oświadczy, wynik będzie zawsze ten sam. Czy uważa mnie pan za płochą młódkę, która igra z męskimi uczuciami i traktuje je jak myśliwskie trofea? Jeśli tak, to grubo się pan myli. - Władczym ruchem wskazała mu drzwi. - Będę wdzięczna, jeśli teraz opuści pan mój dom.

W pierwszym odruchu pan Richlands ruszył ku drzwiom, wnet jednak zatrzymał się i wlepił wzrok w postawnego, obcego mężczyznę.

- Chciałbym spytać, co sprowadza tego dżentelmena do pani domu. - W jego głosie pobrzmiwało potępienie. - Nie wypada, sir, składać wizyty młodej kobiecie, której nie towarzyszy przyzwoitka.

Szarooki mężczyzna wydał się w najwyższym stopniu zaskoczony. Pegeen dopiero w tej chwili zaczęła się zastanawiać, czego właściwie przybysz sobie życzy. Nikt nigdy nie odwiedzał jej i Jeremy'ego, jeśli nie liczyć kilku parafianek, które wspólnie z Pegeen krzewiły dzieło miłosierdzia. Kim jest ten przystojny nieznajomy? Tak ją skonsternowały oświadczenia pana Richlandsa, że wcześniej w ogóle nie przyszło jej do głowy, żeby się nad tym zastanowić.

Dżentelmenowi wyraźnie zabrakło słów.

- Widzę, że zaszło nieporozumienie - wycedził w końcu.

- Nieporozumienie? - Pegeen wlepiła w niego wzrok. Nieznajomy był elegancki. Miał na sobie płaszcz z przedniego sukna i buty z cholewami tak wyglansowane, że dosłownie lśniły. Śnieżnobiały halsztuk był zawiązany niezwykle fachowo. Krótko mówiąc, mężczyzna natychmiast przyciągał wzrok. Nagle jednak Pegeen zaczęła się zastanawiać, czy nie dostrzega w jego wyglądzie czegoś znajomego. Te szare oczy...

- Przyjechałem do panny MacDougal - powiedział niepewnie. - Ale panna MacDougal, której szukam, jest ciotką niejakiego Jeremy'ego Rawlingsa...

Pegeen nagle zrobiło się ciężko na duszy.

- To ja. - Westchnęła i w nagłym przyplywie znużenia skuliła ramiona. -- Co znowu Jeremy zmalował? Cokolwiek to jest, przysięgam, że wynagrodzę panu szkodę. Czy ktoś poniósł stratę, sir? Proszę wierzyć, że jest mi niewymownie przykro...

- Hm, źle mnie pani zrozumiała. - Nieznajomy spojrział jej prosto w oczy, bardzo wyraźnie zakłopotany. - Wszystko wskazuje na to, że jestem pani szwagrem. Nazywam się Edward Rawlings.

Przez chwilę Edwardowi zdawało się, że panna zemdleje. Rumieniec odpłynął jej z policzków, lekko się zachwiała. Szybko do niej podszedł, by podtrzymać ją, w razie gdyby miała upaść. W myślach przeklinał się za wyrozumiałość wobec Herberta. Czemu nie zabił tego głupca, póki była okazja? Jak ten kauzyperda mógł mu zasugerować, że należy się spodziewać spotkania z zasuszoną starą panną, podczas gdy Edward dawno już nie miał takiej uczty dla koneserów kobiecej urody.

Gdy panna wpadła na niego z impetem armatniej kuli, wziął ją, o zgrozo, za ponętą służącą! Ale takiej zgrabnej figury, a tym bardziej alabastrowej cery, nie miała żadna służąca z tych, które jego przyjaciele trzymali w swoich londyńskich domach. Panna MacDougal była od nich ładniejsza, choć na pewno nie starsza. Już po pierwszych jej słowach powinien był jednak się zorientować, że nie jest służącą, bo w ogóle nie miała szkockiego akcentu. Mówiła po angielsku jak uczennica renomowanej szkoły. Ech, do diabła z Herbertem! Przecież kiedy odsunęła z twarzy tę potarganą grzywę ciemnych włosów i mógł spojrzeć w jej szmaragdowe oczy... dziękował szczęśliwej gwieździe, że panna jest tylko służącą, bo inaczej znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie.

Tymczasem panna wcale nie była służącą, tylko jego szwagierką. Najwidoczniej właśnie ta informacja omal nie przyprawiła jej o omdlenie.

A jednak panna MacDougal zachowała przytomność. Nie osunęła się ani na podłogę, ani nawet w przygotowane ramiona Edwarda, lecz na kanapę i z jękiem ukryła twarz w dłoniach.

- Nie, nie, nie! - zawołała gardłowym głosem, którego brzmie nie wydawało się Edwardowi bardzo przyjemne, dopóki nie przekonał się, do kogo należy. - Niech mnie ktoś obudzi. Ten dzień to jeden wielki koszmar.

Edward spojrział na nią z wysoka, starając się nie okazać, jak bardzo ubodło go skojarzenie z koszmarem.

- Bardzo przepraszam, ale... może zadzwonię na służącą?

- Na służącą! - wykrzyknął z pogardą pastor. - Ona nie ma służącej. Raz w tygodniu przychodzi do niej kobieta, która wykonuje najcięższe obowiązki, i to tylko dzięki temu, że opłacam ją z własnej kieszeni!

Zatrzymawszy wzrok na pochylonej głowie panny MacDougal, Edward próbował dostrzec, jaki jest wyraz twarzy ukrytej za zasłoną ciemnych włosów z rudawym poblaskiem.

- Nie masz, pani, służącej? Czy to znaczy, że mieszkasz w tym domu sama z chłopcem?

Zupełnie sama - odparł Richlands, dając upust swoim plotkarskim skłonnościom. - Nie ma nawet kobiety, która by tu nocowała. Panna MacDougal nie chce się na to zgodzić, mimo że proponowałem jej usługi mojej drogiej, owdowiałej ciotki, pani Peabody. Powiedziała, że nie ma u niej miejsca, a poza tym nie życzy sobie, żeby ktoś jej się wymądrzał. Panna MacDougal zawsze była wysoce oryginalna, sir, czasem w bardzo niestosowny sposób. A ja od początku mówię, że to wstyd, żeby młoda, niezamężna kobieta mieszkała sama. Lepiej przemilczeć, co może przyjść do głowy mężczyznom z osady...

- To prawda - przyznał Edward, przesyłając pannie MacDougal

cieple spojrzenie. - Lepiej przemilczeć. Jakiś mężczyzna może nawet jej się narzucać i domagać, żeby go poślubiła, bo opłaca za nią kobietę do sprzątanania, która przychodzi raz w tygodniu. Z satysfakcją stwierdził, że młody bufon poczerwieniał ze złości. Zaraz jednak z powrotem przeniósł wzrok na Pegeen i spytał łagodnie: - Czy mogę w czymś pomóc, panno MacDougal? Może podać pani sole trzeźwiące?

- Sole trzeźwiące? - Pegeen raptownie uniosła głowę. Kasz tanowy lok zasłonił jej jedno oko. - Sole trzeźwiące? Dobre sobie. Nie sądzi pan, że bardziej na miejscu byłby łyk whisky?

Zaszokowany jej bezceremonialnością, zmarszczył czoło.

- Whisky? - Jej mina przekonała go jednak, że to nie żart. A gdzie ją pani trzyma? - spytał nieco wbrew sobie.

- Panno MacDougal! - wykrzyknął Richlands tym samym zgorzonym tonem, który przedtem przyprawił Edwarda o zgrzytanie zębów. - Błagam o opamiętanie. Alkohol nie jest odpowiedzią...

- Och, wynoście się obaj!

Kobieta wstała i głośno stukając obcasami o podłogę, opuściła pokój.

Edward stał, wpatrując się w pastora. Minę miał morderczą. Było oczywiste, że odwiedził pannę MacDougal w wyjątkowo niefortunnej chwili. Może gdyby przyjechał innego dnia, kiedy niepożądani adoratorzy nie wyznawali jej miłości, to odniosłaby się do niego przychylniej i z większą uwagą. Inna sprawa, że zanim panna MacDougal dowiedziała się, kogo gości, zachowywała się przy nim swobodnie, można byłoby nawet zaryzykować twierdzenie, że życzliwie. Pochlebiał sobie, że widział w jej oczach nieklamany podziw. Dlaczego zresztą miałoby być inaczej? Wszak przynosił chlubę męskiemu rodzajowi. A już na pewno był lepszy niż ten chępliwym pastor.

Stanowczo nie zamierzał opuścić tego domu przed wyjściem pastora, tymczasem ten bynajmniej nie zbierał się do odwrotu.

Przeciwnie, przeszył Edwarda wyzywającym spojrzeniem i powiedział:

- Nie wiem, za kogo pan się uważasz, ale na wszelki wypadek informuję, że zamierzam poślubić pannę MacDougal, więc jeśli żywi pan, powiedzmy, niezbyt uczciwe zamiary wobec jej osoby, to radzę mu opuścić ten dom.

- Powiedziałem ci już, ty nadęty firecyku - burknął Edward i z przyjemnością odnotował, że wątlej szy od niego pastor zbladł, usłyszawszy w jego tonie groźbę. - Jestem jej szwagrem i zamierzam jedynie zabrać stąd mojego kuzyna, aby mógł zostać siedemnastym księciem Rawlings.

Pastor odchrząknął.

- Jeśli takie są pańskie zamiary, to spotka go rozczarowanie. Panna MacDougal za nic nie pozwoli, żeby ktoś odebrał jej panicza Jeremy'ego. Kocha go jak własnego syna. Ja, naturalnie, też chciałbym wychować go jak własnego, pod warunkiem, że panna MacDougal zgodzi się go wysłać do szkoły z internatem.

- Jak to szlachetnie z pańskiej strony, że stawiasz pan jej życzenia przed swoimi - zakpił Edward. - Kim pan dla niej jesteś?

Młodzieniec, bo za takiego uważał go Edward, chociaż pastor prawdopodobnie nie był od niego dużo młodszy, wydał się zbity z tropu.

- Kim jestem dla panny MacDougal? A cóż ma znaczyć takie pytanie?

- Podobno opłacasz pan kobietę, która u niej sprząta. - Edward czuł wyraźny niesmak w ustach. - Czy panna MacDougal jest pańską kochanką?

- Jak pan śmiesz! - Richlands stał się czerwony jak owoc granatu. - Moje starania o rękę panny MacDougal są jak najuczciwsze. Gdyby nie szczodrość kościoła, mojego kościoła, sir, ona i ten przeklęty chłopak byłiby już w przytułku i nie mogliby mieszkać we względny luksusie tego domu...

Edward rozejrzał się po pokoju, który, choć miło urządzone, był mocno niedograny, a z wszystkich jego kątów ziało bieda.

- Nazywasz pan to luksusem, pastorze? - spytał z ironią.

Bywałem w cieplejszych grobowcach. Czy nie dostarczasz jej pan dość węgla, żeby mogła ogrzać tę przeklętą budę?

- Sir! - Pastor wyglądał tak, jakby w każdej chwili groził mu atak apopleksji. - Za pozwoleniem, równie dobrze mógłbym spytać pana, który mienisz się jej szwagrem, dlaczego dotąd nie uznałeś pan za stosowne przysłać pannie MacDougal choćby pensa na edukację siostrzeńca? Gdybym wiedział, że jej krewni są tak dobrze sytuowani, bardzo stanowczo namawiałbym pannę MacDougal, żeby napisała do nich list i opowiedziała o swojej biedzie.

Zbulwersowany zarówno tonem głosu Richlandsa, jak i tym, że należało wyrazić mu podziękowanie za utrzymywanie kuzyna, Edward sięgnął do kamizelki i wyjął sakiewkę.

- Ile? - spytał krótko.

- Słucham pana?

- Ile w sumie kościół wydał na pannę MacDougal i jej siostrzeńca od dnia śmierci jej ojca?

Pastor miał nieprzeniknioną minę.

Och, tego nie da się policzyć. Chrześcijańskie miłosierdzie nie ma ceny.

- Powiedz pan ile, do pioruna, albo skręcę ci ten twój świętoszkowaty kark!

Pastor z irytacją tupnął nogą.

- Siedemnaście funtów i osiem pensów, sir.

Edward odliczył pieniądze i podszedł do duchownego. Jedną ręką chwycił go za kołnierz, drugą wsypał mu monety do kieszeni.

- A teraz - warknął z myślą, że stanowczo za dobrze się bawi - jeśli nie opuścisz pan tego domu, zanim policzę do dziesięciu, to wywlokę go na dwór i wygarbuję mu skórę. Czy wyrażam się jasno?

Richlands sapnął.

- Czy wiesz pan, z kim rozmawiasz? Jestem przewielebny

Jonathan Richlands, proboszcz parafii Applesby, i czuję się głęboko urażony pańskimi...

- Jeden - odburknął Edward.

- ...ohydnyymi groźbami...

- Dwa.

Richlands przybrał zatroskaną minę.

- Nie byłbym dżentelmenem, gdybym zostawił takiego człowieka jak pan sam na sam z panną MacDougal.

- Trzy. Nie jesteś dżentelmenem, Richlands. Gdybyś nim był, nie próbowałbyś szantażować niewinnej panny.

- Szantażować? Co za pomysł, sir?

- Wypominasz jej pan dług wdzięczności, a potem się oświadczasz. Ja to nazywam szantażem. Poza tym ciekawi mnie, co miałeś pan na myśli pod pojęciem „takiego człowieka jak pan”?

- No, niewątpliwie jesteś pan arystokratą, sir. Słyszałem, co tacy ludzie robią urodziwym, bezbronnyim dziewczętom. Myślisz pan, że z racji swego tytułu i kawałka posiadanej ziemi masz prawo galopować po wsi i deprawować wszystkie napotkane kobiety? Nic z tego. Pegeen nie będziesz miał. Będę... będę o nią walczył. Będę! W seminarium trenowałem boks, nawet byłem w tym całkiem niezły.

- Cztery. - Edward podziwiał starania adwersarza. To znaczy, że pan też jesteś liberałem, tak?

- Bezwzględnie. Zawsze bronię dobra zwykłego człowieka. Zwłaszcza przed zdradzieckimi uwodzicielami, takimi jak pan.

- Dziesięć - oznajmił Edward, bo miał szczerą ochotę sprać tego ciemiaka na kwaśne jabłko. Niestety, okazało się, że Richlands nie dorównuje siłą mięśni sile swoich przekonań, zbladł bowiem jak płótno i wybiegł na dwór, wzywając pomocy.

Edward ścigał go aż do furki, było jednak jasne, że pan Richlands nie zamierza wpaść mu w ręce. Oddalał się, niezgrabnie balansując na oblodzonej drodze, i wkrótce znalazł bezpieczne schronienie na plebanii. Edward wzruszył ramionami i wrócił do domu panny MacDougal.

Pobieżne oględziny umeblowania potwierdziły jego domniemanie, że mimo swej dumnej postawy panna MacDougal żyje niebezpiecznie blisko granicy ubóstwa. Nie wiedział, jak wiele zostawili jej rodzice, był jednak przekonany, że nie więcej niż czterdzieści funtów rocznie, gdyż wyraźnie nie starczało tego na samodzielne życie. Dom był własnością Kościoła i bez wątpienia został jej wynajęty za obniżony czynsz ze względu na nagłą śmierć ojca i trudną sytuację, w jakiej się znalazła. Wprawdzie meble były zadbane i dobrej jakości, lecz stare, prawdopodobnie odziedziczone po którymś ze zmarłych parafian. Pelisa też wyglądała na noszoną przez przynajmniej dziesięć zim i zapewne miała wcześniej innego właściciela. Nawet gazety, które Edward znalazł równo złożone na stosiku przy kanapie, nosiły ślady innego składania, zapewne przez pierwszego czytelnika.

Dokonawszy tego podsumowania, Edward uznał, że zdecydowane odrzucenie przez pannę MacDougal najpierw propozycji Herberta, a teraz oświadczyn pastora, jest zjawiskiem zgoła niezwykłym. Wprawdzie trudno mu było wyobrazić sobie mniej wartościowego męża niż pyszałkowaty pan Richlands, ale Pegeen MacDougal nie miała w posagu nic oprócz urody i zgrabnej figury. W dodatku była skazana na opiekę nad siostrzeńcem. Prawdopodobnie niewielu mężczyzn w Applesby chciałoby wziąć pod swój dach pannę bez złamanego pensa przy duszy, a razem z nią dziesięcioletniego chłopca. Pan Richlands mógł być jej ostatnią nadzieją. A jednak odprawiła go nie mniej zdecydowanie niż wcześniej Herberta. W czym tkwił problem? Edward nie miał okazji poznać Katherine, żony swojego brata, przypuszczał jednak, że MacDougalowie muszą mieć szaleństwo we krwi.

Pannę MacDougal zastał w kuchni. Podgrzewała gar czegoś, co bardzo apetycznie pachniało, a jednocześnie hałaśliwie nakrywała stół dla dwóch osób. Włosy miała związane na karku, smukłą talię osłoniła nijakim fartuchem, ale jeśli chciała w ten sposób stać się mniej pociągająca, to jej zamierzenie chybiło celu. Spojrzała na niego bardzo koso.

- Wyraźnie pamiętam, że kazałam panu opuścić ten dom.
- Gdzie pani wyrobiła sobie takie maniere? - spytał Edward, opierając się o framugę. - Krewny jedzie kawał drogi z Yorkshire specjalnie po to, żeby nawiązać znajomość, a pani nawet nie zaproponuje mu filiżanki herbaty? Fe!

- Nie jesteś, pan, moim krewnym - odparła. Z szuflady wyjęła bochen razowego chleba i zaczęła go kroić wielkim nożem. - Nigdy w życiu pana nie widziałam. Nawet nie wiem, czy jesteś pan tym, za kogo się podajesz. Równie dobrze możesz być całkiem obcym człowiekiem, który dostał się do tego domu i planuje porwanie Jeremy'ego, żeby potem zmusić go do niewolniczej pracy w Londynie.

- Czy wyjrzała pani na dwór? - Edward podszedł do niej. Stała przy kuchennym blacie, który znajdował się tuż pod oknem. Mimo zaszczonej szyby, na drodze przed furtką wyraźnie było widać jego powóz. - Proszę zobaczyć. Na drzwiach powozu jest herb Rawlingsów - powiedział, a ponieważ kobieta wciąż była odwrócona do niego plecami, oparł ręce na krawędzi blatu w taki sposób, że znalazła się w potrzasku. - Lokaje noszą zielono-białą liberię Rawlingsów - ciągnął spokojnie, choć znaleźli się w bardzo rozstrajającej bliskości. Przy każdym jego wydechu poruszały się pasemka włosów na karku panny MacDougal. - Proszę również spojrzeć na konie, same kasztany, starannie dobrane. W całej Szkocji nie znalazłaby pani piękniejszych, choć naturalnie wcale nie chcę przez to obrazić pani kraju. Czy ten zaprzęg mógłby należeć do kogoś, kto porywa dzieci do niewolniczej pracy?

Gdy w końcu się odwróciła, natychmiast zwrócił uwagę na ciemną barwę jej lekko podwiniętych rzęs przysłaniających wyraziste zielone oczy. Ładnie pachniała, mydłem i czymś jeszcze. Chyba fiołkami. Kark miała tak szczupły, że chyba mógłby objąć jej szyję jedną dłonią. Zaczął się zastanawiać, jak by zareagowała, gdyby dotknął wargami tej szyi tuż poniżej płatka ucha.

Bliskość tego mężczyzny wywierała na Pegeen dziwne wrażenie.

Promieniowało od niego ciepło, a gdy spojrziała na wierzch dłoni opartych na blacie, zobaczyła, że są mocne i opalone, prawdopodobnie od częstej jazdy konnej i polowań. Nie było jednak na nich odcisków, które świadczyłyby o wykonywaniu jakiejkolwiek pracy. Spłonęła rumieńcem, całkiem mimo woli wyobraziła sobie bowiem te dłonie przesuwające się po jej ciele. Wielki Boże, co jej się roi? Spotkała tego mężczyznę przed godziną, a już snuje fantazje o...

Zacisnęła dłoń na trzonku noża. A więc na tym polega jego gra!

Ponieważ Edward jednak odparł pokusę pocałunku, bardzo się zdziwił, gdy ni stąd, ni zowąd Pegeen z całej siły wbiła nóż w blat może centymetr od jego palca wskazującego. Wydał okrzyk i wyrwał jej niebezpieczne narzędzie z ręki, a potem obrócił ją ku sobie.

- Ty mała kocico! - krzyknął z wściekłością. - Mogłaś mi obciąć palec!

- Czy jest pańskim zamiarem uwieść mnie w mojej własnej kuchni? - spytała z udanym spokojem. - Jeśli tak, to ostrzegam, milordzie, że mam dużo więcej noży podobnych do tego i nie zawaham się ich użyć.

Edward wytrzeszczył na nią oczy, a ona w odpowiedzi ponuro się uśmiechnęła.

- Sprawdźmy, czy zgadnę, co zaszło. - Zielone oczy przeszły go do głębi. - Biedny, bezradny sir Arthur wrócił do Rawlings Manor, żaląc się, że okrutna ciotka nie pozwala małemu księciu wrócić na łono rodziny. Pan naturalnie zbeształ nieszczęsnego sir Arthura. Już to słyszę: „Co?! Pozwoliłeś, żeby zwykła kobieta stawiała ci warunki? Teraz my się tym zajmujemy”. No i przyjechał pan do Applesby, spodziewając się znaleźć tutaj sekretnicę, której można przeciwstawić się głębokim umysłem i jeszcze głębszą sakiewką. Tymczasem znalazł pan mnie, co zmusiło pana do zmiany taktyki. Z manipulacji na uwiedzenie. Mam rację?

Edward był taki zły, że tylko parsknął pod nosem. Co to za

córka pastora, która pije whisky i grozi mu nożem? Nie miał zielonego pojęcia, jak powinien zareagować na takie brewerie. Nie znał żadnych młodych panien z wyjątkiem pięciu córek Herberta, ale te co do jednej zdawały się za wszelką cenę go unikać. Miał niejasne podejrzenie, że postępują tak, ponieważ żona Herberta ostrzegła je przed niepoprawnym uwodzicielem. Prawdą było przecieź, że żadna dama z towarzystwa mająca uczciwe zamiary nie starała się poznać go ze swą córką. Zresztą nawet gdyby spróbowała, to Edward nie umiał sobie wyobrazić którejkolwiek z tych białych panien, jak dziarsko wymachuje nożem do chleba.

Tychczasem ta zielonooka jęzda sprawiała takie wrażenie, jakby ćwiczyła się w tym od dzieciństwa.

- Wcale nie próbowałem pani uwieść - skłamał, przy czym jego cichy głos zabrzmiał cokolwiek ochryple.

- Nie? Zdawało mi się, że właśnie o to oskarżył pana Richlands, zanim wypłoszył go pan z mojego domu.

Edward spojrział na nią z irytacją. Denerwująca pannica! Czyżby miała magiczne zdolności, że tak trafnie odgadła istotę jego starcia z pastorem? Jeszcze tylko szwagierki czarownicy brakowało mu do szczęścia. Ciekawe, co John sobie wyobrażał, wżenając się do takiej ekscentrycznej rodziny? Inna sprawa, że jeśli Katherine dorównywała urodą swojej siostrze, to nietrudno było sobie wyobrazić, jak musiała pociągać Johna. Mimo wszystko wydawało się jednak dziwne, że księżę wydziedziczył starszego syna.

Pegeen znów odwróciła się do niego plecami i zaczęła kroić razowiec na pajdy.

- Skończmy z tymi gierkami, milordzie. Znam powód pańskiego przyjazdu...

- Naprawdę? - Edward nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc taki oficjalny ton.

- Nie jestem głupia. - Odłożyła nóż. Skrzyżowała ramiona na piersi i znów odwróciła się przodem do niego. - Nie rozumiem tylko dlaczego.

- Dlaczego? - Uśmiech szybko mu stopniał. - Co dlaczego?
- Z pewnością łatwiej byłoby panu po prostu przyjąć książęcy tytuł. Po co zadałeś pan sobie tyle trudu, żeby odnaleźć Jeremy'ego? Gdyby powiedział pan, że chłopiec prawdopodobnie nie żyje, wszyscy by w to uwierzyli. Nikt nie kwestionowałby pańskiego prawa do tytułu. No więc dlaczego?
- Dlaczego? - Edward ze złością potrząsnął głową. - Wszyscy w kółko mnie o to pytają. Nikt zdaje się nie zauważać, że honor nie pozwala mi przyjąć tytułu, który należy się komu innemu!
- Pegeen uniosła brwi.
- Honor? To zadziwiające, że w pańskiej sferze można znaleźć taką cechę. Myślałam, że honor i szlachetność spoczęły w grobie razem z rycerzami Okrągłego Stołu.
- Masz, pani, bardzo mgliste pojęcie o tak zwanej mojej sferze - stwierdził. - Czy mogę spytać, czym ktoś z nas przewinił, by zasłużyć na takie potępienie?
- Niczym. W tym właśnie problem. Macie bogactwa, macie całą władzę, a jednak nawet nie ruszycie palcem, żeby pomóc tysiącom takich ludzi jak ja, którzy nie mają nic.
- Edward wyprostował się.
- Proszę zrozumieć...
- Niech pan nie zaprzecza. Nie widzę, żeby Izba Lordów starała się wprowadzić jakiegokolwiek reformy. Nie widzę, żebyście pracowali dla dobra przeciętnego człowieka. Założę się, że chciałeś pan odnaleźć Jeremy'ego wyłącznie po to, by nie musieć przejmować się czymś tak irytującym, jak prowadzenie majątku, i móc bez przeszkód oddawać się swoim hedonistycznym upodobaniom.
- Edwarda zatkało. Jeszcze nigdy nikt nie zwrócił się do niego w ten sposób, a już na pewno nie kobieta dziesięć lat młodsza i stojąca o wiele niżej w hierarchii społecznej. Nieważne, że w tym, co powiedziała, było ziarno prawdy. Wzmianka o hedonizmie uraziła go do żywego.
- No więc dobrze, panno MacDougal - powiedział oschle,

- nieświadomie przybierając pozę Pegeen. - Skoro mamy unikać gier, to powinniśmy porozmawiać o pani przyszłości.
- Pegeen spojrzała na niego tak, jakby był niedorozwinięty umysłowo.
- Słucham?
- O pani przyszłości. Pani i Jeremy'ego. Z pewnością myślała pani o tym, co się stanie, gdy pieniądze matki się wyczerpią, prawda?
- Drgnęła nerwowo.
- Co pan wie o pieniądzach mojej matki?
- Wiem, że nie jest ich wiele i że nie starczą na zawsze. Bądźmy szczerzy, panno MacDougal. - Celowo spojrzał na nią z wielką surowością. - Bo w tym pani celujesz. Już miałem okazję o tym się przekonać.
- Ku jego zdziwieniu panna MacDougal się zarumieniła. Pąs splamił jej alabastrowe policzki; spuściła oczy.
- Dobrze pan to ujął - przyznała bez uśmiechu.
- Z zadowoleniem stwierdził, że wreszcie zdołał przejąć inicjatywę.
- Wróćmy do sprawy. Odrzuciła pani propozycję mojego zarządcy i przynajmniej jedno oświadczyły. Jakie ma pani plany na przyszłość? Czy zamierza pani już zawsze żyć z łaski Kościoła?
- Na pewno nie. - Pociągnęła nosem. - To jest tymczasowa sytuacja.
- Tymczasowa? Czyli oczekuje pani innych, bardziej korzystnych propozycji małżeństwa?
- Wyprostowała się dumnie.
- Nie - odparła. - Nie zamierzam wyjść za mąż.
- Aha. - Potarł podbródek, przez cały czas bacznie jej się przyglądając. - Z powodu nienawiści do mężczyzn?
- Nie wszystkich mężczyzn nienawidzę - sprzeciwiła się. - Tylko niektórych. Ale nie dlatego nie zamierzam wyjść za mąż. Powód jest taki, że prawo na naszej wyspie czyni z kobiety zwykłą

rzecz w rękach mężczyzny. Mężatki nie mogą posiadać własności, nie mogą się rozwieść nawet w przypadku, gdy mąż źle je traktuje lub porzuca, a opieka nad dzieckiem z takiego związku jest zawsze powierzana mężczyźnie, żeby był nie wiadomo jakim lajdakiem...

- Rozumiem. - Edward nie mógł powściągnąć uśmiechu. - Małżeństwo odmalowane przez panią zaiste stanowi niemiłą perspektywę.

- Nie tylko przeze mnie, milordzie. Tak samo widzi je wiele innych kobiet w Anglii, jak również za granicą. Każdy, kto czytał *Obronę praw kobiet* Mary Wollstonecraft, może panu powiedzieć...

- Wszystko pięknie, panno MacDougal - wpadł jej w słowo. Za wszelką cenę musiał przerwać wykład o prawach kobiet. Te, które przewijały się przez jego życie, były bardzo zadowolone ze swego losu, a jeśli nie były, to kupował im coś z biżuterii albo kamienicę i tym zamykał im usta. - Zdaje mi się jednak, że rozmawialiśmy o Jeremym, a nie o pani poglądzie na instytucję małżeństwa. Czy pani się zastanawiała, co konkretnie robi, kiedy wyczerpią się pieniądze matki, a Kościół zrezygnuje z roli dobroczyńcy?

Pegeen zawahała się. Najwidoczniej tego nie wiedziała.

..... Naturalnie nikt nie zabrania pani piętnować niesprawiedliwości czynionych przez ludzi, ale musi pani pamiętać o siostrzeńcu.

Pegeen wpadła w złość.

- Zawsze pamiętam o Jeremym, milordzie. W odróżnieniu od niektórych...

- Jeremy jest dziedzicem wielkiego majątku - przerwał jej znowu. - Nic pani na to nie poradzi, bez względu na swoje przekonania polityczne. Siostrzeniec musi wziąć na siebie obowiązki siedemnastego księcia Rawlings i tak się stanie.

- Czyżby?

Powinien był przewidzieć, że do tego dojdzie. Że panna MacDougal nie będzie potulnie wysłuchiwać jego tyrady. Pochłonięty swoim wywodem, zlekceważył jednak wszelkie znaki ostrzegaw-

cze. Niebaczenie przerwał spacer po kuchni, obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem, bynajmniej nie poprosiwszy o pozwolenie ani nie zaproponowawszy pani domu, aby również usiadła.

- Tak jest, panno MacDougal - odparł bardzo zadowolony z siebie.

- Proszę mi więc powiedzieć, milordzie... - Słowo „milord” wypowiedziała bardzo zjadliwym tonem. Ramiona, dotychczas skrzyżowane na piersiach, opuściła, a dłonie zacisnęła w pięści. - Skoro Jeremy jest księciem Rawlings, to gdzie podziewał się jego wielki majątek do tej pory? Nie dostałam ani centa wsparcia od wspaniałego rodu Rawlingsów. Mój ojciec i ja wychowywaliśmy Jeremiego od dzieciństwa, od zeszłego roku robię to sama, najlepiej jak umiem. A pan ma czelność oskarżać mnie o to, że nie myślę o chłopcu!

Edward uświadomił sobie, że być może trochę się zagalopował.

- Panno MacDougal, nie zamierzałem sugerować, że pani nie...

- Jak wytłumaczy pan brak zainteresowania rodziny przez ostatnie dziesięć lat? - spytała stanowczo. - Jest pan wujem chłopca tak samo, jak ja jestem jego ciotką. I gdzie pan w tym czasie był?

Edward niespokojnie poruszył się na krześle. Był krzepkiej postury, a krzesło zaprojektowano dla kogoś znacznie drobniejszego.

- Doskonale pani wie...

- Doskonale wiem, że jest w pańskim interesie, by Jerry został księciem Rawlings. Za to nic a nic pana nie obchodzi, co jest w interesie Jerry'ego. O tym nawet pan nie piśnie.

- To nieprawda i pani świetnie o tym wie - szybko odparł Edward. - Mój ojciec wydziedziczył rodziców Jeremiego. Kiedy usłyszał, że nie żyją, przyjął to, aż przykro mi powiedzieć, z radością. Dopiero na łożu śmierci zmiękł i zgodził się uznać Jeremiego za swego dziedzica...

- A z powodu głębokiego rozczarowania pańskiego ojca mał-

żeństwem starszego syna, który wybrał córkę szkockiego pastora, zamiast londyńskiej damy, Jeremy od śmierci mojego ojca musi spać ze mną w jednym pokoju, bo nie stać nas na węgiel do dwóch kominków. Musi nosić ubrania po innych dzieciach, bo nie mam dość pieniędzy, żeby kupić mu buty albo spodnie... Edward uniósł się z krzesła.

- Panno MacDougal...

- Musi codziennie, jak rok długi, jeść na śniadanie owsiankę, bo stać mnie najwyżej na dwa jajka w tygodniu, a te jemy na kolację, bo mięso jest za drogie... - Głos jej się załamał. Edward ze zdumieniem stwierdził, że z tych pięknych oczu przypominających klejnoty popłynęły łzy. - I musi znosić litość takich odrażających ludzi jak pan Richlands! A pan ośmielasz się oczekiwać, że po tym wszystkim, co chłopiec wycierpiał, będzie na klęczkach dziękował za podarowanie mu książęcego tytułu? Czyżby pan się spodziewał, że po tym, na co skazała go pańska rodzina, Jeremy będzie panu wdzięczny? Niedawno wspomniał pan o honorze. Czy sądzi pan, że Jeremy go nie ma? Zapewniam, że ma i że przez ostatni rok bardzo cierpiał z tego powodu. Na całym świecie nie starczyłoby książęcych tytułów, żeby mu to wynagrodzić!

Ku zaskoczeniu Edwarda panna odwróciła się do niego plecami i wybuchnęła szlochem.

- A pan jeszcze się zastanawia, dlaczego popieram liberałów - dokończyła przez łzy.

Edward całkowicie stracił kontenans. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że panna MacDougal może nienawidzić jego rodziny za sposób potraktowania jej siostry i siostrzeńca, chociaż naturalnie powinien był to przewidzieć. Co innego mogła czuć ta kobieta niż urazę? Rodzina Rawlingsów przysporzyła MacDougalom samych kłopotów.

- Panno MacDougal, nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro...

Stała odwrócona do niego tyłem. Ramiona jej się trzęsły. Nie pojmowała, jak może płakać w obecności obcego, lecz nie mogła się opanować. Niczego nie wstydziłaby się bardziej, niż okazania słabości przed tym zarozumiałym, lecz niesamowicie przystojnym mężczyzną, a jednak szlochała histerycznie, jakby nagle wylał się z niej cały żal gromadzony latami. Próbowwała jeszcze coś powiedzieć, ale do Edwarda dotarły tylko strzępki zdań:

- ...ohydny staruch... dzieci cierpiały za błędy rodziców... spodziewa się pan, że po prostu z panem pojedziemy, jakby nigdy nic...

Edward wreszcie odsunął krzesło i wstał.

- Panno MacDougal, proszę mi wierzyć, że nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Dopiero w zeszłym miesiącu ustaliliśmy miejsce pobytu Jeremy'ego. Nie wiedzieliśmy, że przez cały czas samotnie wychowuje go ciotka...

Smukłe ramiona zatrzęsły się jeszcze gwałtowniej. Edward miał nie więcej doświadczenia w osuszaniu łez młodych panien niż w radzeniu sobie z ich impertynencją, uznał jednak, że z dwójga złego woli impertynencję. Od łkania Pegeen krajało mu się serce.

- Panno MacDougal, proszę przestać. Musi mi pani uwierzyć! Dałbym wszystko, naprawdę wszystko, żeby móc zrekompensować wszystkie trudy życia, jakie musiała pani znieść...

Podszedł do niej z myślą, że może obieca jej bransoletkę albo podobne świecidełko. To zawsze pomagało, gdy któraś z jego kochanek wybuchała płaczem. Z pewnością nie miał innych zamiarów niż ukojenie rozpaczy Pegeen. Cokolwiek poza tym byłoby wysoce niestosowne.

Ale gdy położył dłonie na jej szczupłych ramionach i obrócił ją ku sobie, gdy spojrział w te urocze, załzawione oczy, stało się nagle coś dziwnego.

Edward, który miał w życiu setki kobiet i zawsze doskonale panował nad swoimi instynktami, poczuł nagle nieodparte pragnienie pocałowania tych wilgotnych, zapraszająco rozchylnych

warg. Nieważne, że całowanie szwagierki w każdych okolicznościach byłoby czynem wyjątkowo nieroztropnym, a w obecnych - wręcz katastrofalnym. Nieważne, że był od niej o dziesięć lat starszy i prawdopodobnie już i tak ją skompromitował tą wizytą pod nieobecność przyzwoitki. Nieważne, że panna MacDougal była na świecie sama jak palec i tylko łajdak mógłby wykorzystać kobietę w takim stanie ducha i finansów. Pragnienie pocałunku okazało się silniejsze od niego, więc zapomniawszy o skrupułach, po prostu mu uległ.

4

W chwili gdy Pegeen poczuła dotyk ust Edwarda, raptownie uniosła przymknięte powieki. Mężczyzna zacisnął jej palce na ramionach, jakby obawiał się, że mu ucieknie, a chociaż nie dalej jak godzinę wcześniej właśnie w ten sposób zareagowała na pocałunek pana Richlandsa, to teraz wcale o tym nie myślała. Obudziły się w niej zupełnie nieznanne doznania. Instynktownie objęła Edwarda za szyję. Chwilę później poczuła, jak odsuwa jej gruby warkocz i podtrzymuje głowę, by językiem rozchylić wargi. Wrażenie było tak silne, że ugięły się pod nią kolana. Między udami zrobiło jej się gorąco, a sutki stwardniały pod koronką koszulki. Cicho jęknęła, nie na znak protestu jednak, lecz przyjemności.

Edward, owszem, spodziewał się reakcji po tej nader bezpośredniej pannie, ale bynajmniej nie takiej. Wcale nie zdziwiłby się, gdyby go spoliczkowała i powiedziała mu parę słów do słuchu. Tymczasem trzymał w objęciach tak uległą kobietę, że mógłby ją unieść, położyć na białce i wziąć tyle razy, ile tylko by chciał. Z pewnością nie usłyszałby ani słowa protestu. Skąd jednak mógł wiedzieć po zaledwie godzinie znajomości, że za maską pruderii Pegeen MacDougal kryje się zadziwiająca zmysłowość? Nie pamiętał, by kiedykolwiek pragnął kobiety z taką siłą. Dowodziło

tego jego gwałtownie bijące serce, by nie wspominać o znaczącej wypukłości spodni.

Nie wiadomo, co jeszcze mogłoby się stać, gdyby nie to, że nagle otworzyły się kuchenne drzwi. Owionął ich mroźny podmuch. Zanim Edward zdążył cokolwiek zrobić, przywołał go do porządku duży kłębek wełny, najwidoczniej ciśnięty do wnętrza domu podmuchem wiatru.

- Co robisz, Pegeen? - spytał dziecięcy głos zza jaskrawego szalika, opasującego dół twarzy.

Pegeen odskoczyła od Edwarda niczym smagnięta biczem. Czerwona jak piwonia, wsunęła dłonie we włosy i zaczęła poprawiać warkocz, który został przez niego mocno nadwreżony.

- Spóźniłeś się, Jerry - powiedziała po chwili i szybko podeszła do drzwi, żeby zamknąć je za chłopcem.

Edward, całkowicie zdezorientowany nagłą zmianą sytuacji, musiał się odwrócić, żeby nie było widać, co się z nim dzieje. Dyszał, jakby właśnie ukończył wyścig. W tej chwili najchętniej wsadziłby księcia Rawlings nosem w zaspę, by móc dalej rozkoszować się wdziękami jego ciotki.

- Wytarłeś nogi, młody człowieku? - spytała groźnie Pegeen. Edward pozazdrościł jej opanowania.

Jeremy Rawlings zignorował jednak ciotkę i choć z całej twarzy było mu widać tylko szare oczy, zmierzył wzrokiem Edwarda.

- Pegeen, co robiłaś? - spytał bardzo wojowniczo.

- Oj, Jeremy... - Pegeen zaczęła rozplątywać szaliki małego. - Nie należy się tak odzywać do wuja Edwarda.

- Do jakiego wuja?

- Twojego wuja Edwarda.

Panna zdjęła księciu wełnianą czapkę. Okazało się, że chłopiec podobnie jak wuj ma czarne, kręcone włosy. Mróz wymalował mu rumieńce na policzkach upstrzonych piegami, widocznymi zresztą również u Pegeen. Także grymas ust wydał się Edwardowi znajomy.

- To jest twój wuj Edward, który właśnie... hm...

- Całował twoją ciotkę na przywitanie - usłużnie podpowiedział zainteresowany. Wciąż jednak nie śmiał odwrócić się przodem do nich. - Dawno jej nie widziałem.

Jeremy Rawlings z pewnością nie należał do tępych dzieci. Spojrzał na zaczerwienioną Pegeen i powiedział bez wahania:

- To mi nie wyglądało jak całowanie na przywitanie. Tak całuje pani MacFearley, kiedy mężczyźni płacą jej...

- Zdejmij buty i siadaj, bo wystygnie ci obiad - przerwała mu Pegeen.

Przyglądając się chłopcu, Edward przecesał dłonią włosy i ciężko westchnął.

- Niech mnie kule - mruknął pod nosem. - Przysiągłbym, że jestem znowu w dziecięcym pokoju ze starszym bratem, który mnie dręczy. To są dokładnie jego usta. Nigdy potem nie widziałem takiego grymasu okrucieństwa.

Pegeen podsłuchiwała te słowa i zrobiła kwaśną minę.

- Jeremy nie jest taki - stwierdziła. - Psotny, owszem, ale nie okrutny.

Jeremy przeszył wuja niezłomnym spojrzeniem.

- Czy to twój powóz stoi na dworze? - spytał. Pogardliwy, podejrzliwy ton głosu zupełnie nie pasował do twarzy cherubinka.

Edward uniósł brwi.

- Mój. Podoba ci się?

- Lepszy niż sir Arthura - mruknął ponuro Jeremy. - Nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał taką czerwoną twarz jak on. Najprawdziwsza wiśnia. Zdawało mi się, że w każdej chwili może dojść do samoczynnego zapłonu.

Edward zrobił bardzo zdziwioną minę.

- To z *Samotni* - wyjaśniła Pegeen. - Wieczorami czytamy na głos Dickensa. Niektórym jego postaciom zdarza się samoczynny zapłon. Jeremy, usiądź i przestań pleść banialuki. A jeśli dbasz o własne interesy, to zdejmij buty, bo inaczej znowu będziesz w sobotę szorował podłogę.

Edward nie miał zielonego pojęcia, o czym mowa, wiedział za to, że z zaróżowionymi policzkami i potarganymi włosami Pegeen wygląda jeszcze bardziej ponętnie niż przedtem. Brązowa suknia była na nią chyba nieco za mała, bo przez tkaninę stanika wyraźnie było widać zarysowane spore grudki. Edward pożałował, że nie skorzystał z okazji, póki mógł się dobrać do tych skarbów.

- Czy mam rozumieć, milordzie, że zostajesz na obiedzie? - spytała Pegeen.

Edward zerknął na stół i stwierdził, że jest nakryty tylko dla dwóch osób. Bratanek chciwie pożerał coś, co pachniało bardzo apetycznie. Edward z poczuciem winy pomyślał o służbie marzącej na zewnątrz.

- Prawdę mówiąc...

- Dla was wszystkich nie starczy - rzeczowo stwierdziła Pegeen. - Powinien pan wysłać służbę do pubu. Tam podają bardzo smaczny lancz oracza. A może chce pan zjeść razem z nimi'?

- Czarownica - skwitował tę propozycję Edward.

Uśmiechnęła się ujmująco.

- Niestety, nie. Gdybym nią była, sprawiłabym, żeby pan zniknął.

Zanim Edward wrócił, wyprawiwszy stangreta i lokai do pubu, na stole pojawiło się trzecie nakrycie, a obok dymiącego talerza z potrawką stanął kufel piwa. Ten mały luksus zaskoczył go i wzruszył. Pegeen MacDougal nie miała wiele, ale była gotowa wszystkim się podzielić. Ech, ileż w niej było sprzeczności. Mimo to Edward coraz bardziej ulegał jej urokowi.

Mając tego świadomość, po skosztowaniu pysznej potrawy doszedł do wniosku, że znalazł się w olbrzymim niebezpieczeństwie. Popelnił już fatalną nieostrożność, bo pozwolił sobie pocałować pannę MacDougal. Nie mógł dopuścić do tego, by w przejawie jeszcze większej nierozwagi zapalać do niej uczuciem. Wolał, żeby panna MacDougal broniła się przed nim wykładami swoich liberalnych teorii, niż siedziała naprzeciwko, sącząc piwo i wyglądając jak anioł.

Odechrząknął więc i od razu przeszedł do rzeczy.

- Powiedz, Jeremy, czy chciałbyś mieć taki powóz jak ten, który stoi na drodze?

Jeremy odłożył łyżkę. Oczy zrobiły mu się jak spodeczki.

- Czy chciałbym?! - krzyknął. - No, pewnie. Pojechałbym prosto do Brandona McHugh i napluł mu w oko...

- Wykluczone - stwierdziła Pegeen, z hukiem odstawiając kufel na stół. - Milordzie, będę bardzo wdzięczna, jeśli powstrzymasz się przed podsuwaniem dziecku takich pomysłów.

- Ale Jeremy jest księciem Rawlings. - Edward wzruszył ramionami. - Jeśli jego wysokość chce mieć taki powóz jak mój i pojechać nim do Brandona McHugh, żeby napluć mu w oko, to ma do tego święte prawo.

Zielone oczy Pegeen zaiskrzyły się gniewem.

- Milordzie...

- Księżę musi mieć własnego konia - ciągnął Edward, udając, że nie dosłyszał. - Naturalnie będziemy więc musieli wybrać się do Londynu, żeby znaleźć odpowiedniego wierzchowca. Co, Jeremy?

- Konia? - Pierwszy raz od chwili poznania wuja chłopiec spojrział na niego z nieklamany szacunkiem. - Własnego? Prawdziwego konia? Nie jakiegoś pioruńskiego kuca?

- Nie używaj brzydkich słów, Jeremy - zganiała go ciotka.

- Prawdziwego konia - szybko potwierdził Edward. - Huntera, takiego, żeby był odpowiedniej wielkości dla ciebie. Kupimy też... kupimy jabłkowitzą klacz dla panny MacDougal.

- W odróżnieniu od dziesięcioletniego chłopca, mnie nie można przekupić koniem, milordzie - powiedziała Pegeen z uśmiechem naznaczonym domieszką gorczy. Ale uśmiech pozostawał uśmiechem, więc Edward kuł żelazo, póki gorące.

- To nie wszystko, Jeny. Będziesz miał własną sypialnię, pokój do nauki, najlepszych nauczycieli, jakich można znaleźć, i pokój pełen zabawek.

Zwróciwszy swą anielską twarz ku wujowi, chłopiec odpowiedział:

- Zabawek nigdy nie miałem. Dziadek mówił, że są tylko dla małych dzieci.

- Będziesz miał zabawki, wasza wysokość - zapewnił go Edward. Podniósł chłopca z podłogi i posadził sobie na kolanie. Ku jego zaskoczeniu, Jerry nie zaprotestował. - Jedyne problem, Jerry, polega na tym, że twoja ciotka Pegeen nie chce ze mną jechać.

Pegeen przesłała mu spojrzenie, od którego zastygłaby lawa tocząca się z krateru.

- To nie jest jedyny problem, milordzie - zwróciła mu uwagę.

- Czy jest coś - ciągnął zamyślony Edward - co mógłbym dać twojej ciotce, żeby zechciała pojechać z nami do Rawlings?

Jeremy zmierzył Pegeen spojrzeniem przez stół.

- Nie wiem - powiedział niepewnie. - Ale wygląda tak, jakby była zła. Co jej zrobiłeś, wuju?

- Może nową suknię? - zaryzykował Edward, nie zwracając uwagi na zdziwienie chłopca. - Jerry, czy chciałbyś obejrzeć ciotkę Pegeen w sukni od Wortha? Czy nie wyglądałaby w niej jak anioł?

Chłopiec z wahaniem skinął głową, choć z pewnością nie wiedział, o czym mowa.

- Dla mnie Pegeen zawsze wygląda jak anioł, wszystko jedno, co ma na sobie - powiedział.

- To prawda. No, więc twoja ciotka będzie miała takie nowe suknie, jakich tylko zapragnie, i klejnoty Rawlingsów. I służące, i... - Rozpaczliwie starał się wymyślić coś, co zrobiłoby na tej pannie wrażenie. W odróżnieniu od jego kochanek wydawała się całkiem obojętna na wzmianki o wspaniałych kreacjach i biżuterii. Nagle przypomniał sobie o gazetach. -I całą bibliotekę do swojej dyspozycji, jedną z najlepszych w kraju. Naturalnie również gazety, których nikt przedtem nie czytał...

Tym wreszcie przyciągnął jej uwagę. Spojrzała na niego, ale jeszcze chłodniej niż przedtem.

- Pegeen lubi gazety — potwierdził Jeremy. — I książki też. Pegeen, słyszałaś, co powiedział wuj? Będziesz miała mnóstwo książek i gazet.

- Słyszałam - odrzekła tępo.

- Ciocia dostanie też pensję na własne potrzeby, przynajmniej tysiąc funtów rocznie. Będzie mogła wydawać te pieniądze, jak chce i...

- A ja będę miał prawdziwego konia? - upewnił się jeszcze raz Jeremy. - Tylko mojego?

- Tak. I szklarnię, w której róże rosną przez cały rok, nawet w zimie.

Pegeen przygryzła wargę drobnymi, równymi zębami. Zaraz jednak znów się odezwała.

- Ośmiesz się pan. Kto słyszał o różach w zimie, do tego w Yorkshire?

Edward starał się odwrócić spojrzenie od jej pełnych, czerwonych ust, które nieustannie kusily go do pocałunku. Przez myśl przemknęło mu pytanie, czy pastor też ją całował, i natychmiast pożałował swojej wyrozumiałości. Powinien był spuścić lanie temu klesze.

- U nas, w Rawlings Manor, są- powiedział, ale musiał odchrząknąć. - Nie kłamie. Niech pani ze mną pojedzie i sama się przekona. W ramach naszej umowy z największą przyjemnością zajmę się również przeganianiem niechcianych adoratorów. Bez dodatkowych warunków.

Pegeen stłumiła mimowolny uśmiech.

- Jerry, zmykaj już stąd. Musisz wracać do szkoły.

Jeremy ani drgnął.

- Czy nie możemy z nim jechać, Pegeen? Chcę obejrzeć róże, które rosną przez cały rok, nawet zimą.

- Twój wuj i ja porozmawiamy o tym - obiecała. - Ale muszę cię ostrzec, że raczej nic z tego nie będzie.

Zawiedziony chłopiec jęknął.

- Czemu nie?
 - To nie jest takie proste, jak ci się zdaje, Jeremy. Pegeen wstała od stołu i zaczęła zmywać naczynia, bardzo się pilnując, by lord Edward nie zauważył łez, które znów napłynęły jej do oczu. - Ludzie... ludzie nie mogą tak po prostu spadać z nieba, obiecywać hunterów i róż w zimie z przekonaniem, że wtedy zapomnimy o tym, co było, i to wybaczymy. - Polewając talerze zimną wodą, Pegeen mruknęła w stronę zaszczonego okna: -Nie dam się kupić. Nawet za stertę gazet.

Edward zszedł Jeremy'ego z kolan i wstał. Poczł nagle, że musi się usprawiedliwić, i bardzo chciał, by panna MacDougal przyjęła jego tłumaczenie.

- Wiem, że niczym nie zrekompensuję trudów, jakie poniosła pani przez ubiegły rok, samotnie wychowując Jeremy'ego, ale proszę mi uwierzyć, że gdybym wiedział, nie dopuściłbym do takiej sytuacji. Teraz proszę panią, a nawet błagam, żeby pozwoliła mi spróbować naprawić tę krzywdę. Proszę jechać ze mną do Rawlings Manor. Tam jest dość węgla, by ogrzać wszystkie pokoje, a Jeremy będzie mógł zjadać na śniadanie tyle jajek, ile mu się zamarzy.

Ta podniosła przemowa nie wywarła jednak na pannie MacDougal spodziewanego wrażenia. Pegeen dalej zmywała naczynia. Za to Jerry wydawał się bardzo poruszony.

- Codziennie rano jajka!? - Chłopiec podszedł do ciotki i po ciągnął ją za spódnice. - Słyszałaś, Peggy? Codziennie rano jajka!

Widząc, że nieoczekiwanie szala zwycięstwa przechyla się na jego korzyść, Edward atakował dalej.

- A codziennie wieczorem mięso na kolację.
 - Och, Peggy, czy nie moglibyśmy z nim jechać? spytał Jerry błagalnie. - Naprawdę nie?
 - Może - ustąpiła Pegeen. Wytarła ręce w ścierkę, zdjęła fartuch i powiesiła go na kołku przy drzwiach spiżarni. Ale teraz stanowczo musisz wrócić do szkoły.

Jeremy spojrzł na Edwarda z promiennym uśmiechem.

- Kiedy Peggy mówi może, to zawsze znaczy tak - szepnął. Udzieliwszy mu tej bezcennej informacji, poszedł włożyć buty.

Dopiero gdy Jeremy znikł za furtką, jego ciotka odwróciła się do Edwarda i wymierzyła mu tak siarczysty policzek, że zobaczył gwiazdy w oczach.

- To za pocałunek - powiedziała. Potem jakby nigdy nic podeszła do kredensu, wyjęła z niego butelkę whisky i dwie szklaneczki.

Edward nie od razu doszedł do siebie po uderzeniu, które było zaskakująco mocne jak na taką smukłą pannę. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio kobieta go spoliczkowała, w każdym razie doświadczenie było zdecydowanie przykre. Rozcierając szczękę, przyglądał się, jak Pegeen nalewa trunek do dwóch naczynek, a potem jedno przesuwa w jego stronę.

- Proszę - powiedziała, siadając dokładnie naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu. - Wygląda na to, że oboje potrzebujemy czegoś mocnego. - Wprawnym ruchem wlała sobie zawartość szklaneczki do gardła. - Och, dobre... - Zakasłała. - Tego mi było trzeba.

Edward, wciąż oszołomiony, nie próbował odpowiedzieć. Ciekawiło go, co ta panna właściwie myśli. Czyżby pocałunek nie był dla niej tak samo przyjemny, jak dla niego? Przecież nie wymyślił sobie pragnienia widocznego w jej oczach ani tego, że sama do niego lgnęła. Może jest niespełna rozumu? A może po prostu teraz nie chce się przyznać do swoich uczuć?

Przytknął szklaneczkę do warg i wypił whisky. Wnętrznosci stanęły mu w ogniu. Zaczł się krztusić.

- Co to jest? - spytał, gdy wreszcie zdołał wydobyć z siebie głos. Peggy z miną niewiniątka zerknęła na dno swojej pustej szklanej naczki.

- Nasza whisky, destylowana tutaj, w Applesby. A co się stało? Za mocna dla pana?

- Mocna? - Edwardowi wciąż łzawiły oczy. - To jest jak witrjol.
 - No cóż, do tego smaku trzeba się przyzwyczać. Ja to piję całe życie. - Jakby dla zilustrowania swojego twierdzenia Pegeen nałala sobie następną szklaneczkę. -Dla mnie to mleczko. Jeszcze jedną?

Edward pokręcił głową.

- Proszę trzymać to z dala ode mnie - ostrzegł, grożąc jej palcem. - Odkąd panią poznałem, zostałem znieważony przez duchownego, potem omal nie straciłem palca pod nożem, dostałem po twarzy, a teraz wypaliła mi pani wnętrzności. Nie wiem, czy jestem w stanie znieść więcej.

Miło się do niego uśmiechnęła.

- Gdybyś posłuchał pan sir Arthura i nas nie nachodził, to mógłbyś pan palić cygaro i popijać brandy przy ogniu trzaskającym w kominku, opierając głowę o łono kochanki.

Edward spiorunował ją wzrokiem.

- Co pani wie o kochankach? - spytał chyba trochę zanadto podejrzliwie.

Uśmiech Pegeen stał się zdecydowanie kwaśny.

- Naturalnie nic. Co może wiedzieć o światowym życiu prawdziwych dżentelmenów zwykła córka wiejskiego pastora.

Edward nadal spoglądał na nią bardzo karcącym wzrokiem. Pamiętał ich pocałunek. Wprawdzie był pewien, że Pegeen nie spotyka się z mężczyznami na co dzień, lecz mimo to musiała dużo wiedzieć o całowaniu, choć trudno mu było odgadnąć skąd.

- Z tych słów wnoszę, że jest pani znacznie bardziej uświadomiona, niż się do tego przyznaje. Właściwie ile pani ma lat?

Zrobiła zdziwioną minę.

- Co za impertynencja. Po co to panu wiedzieć?

Edward wzruszył ramionami.

- Jestem pani krewnym.

- Jeremy nie jest moim synem - zwróciła mu uwagę. - W od różnieniu od mojej siostry Katherine nigdy i za nic nie poślubiłabym arystokraty.

- Zdawało mi się, że wspominała pani o trwaniu w panieństwie bez względu na okoliczności. - Uśmiechnął się szeroko. - Sądziłem więc, że zastrzeżenie dotyczy nie tylko takich mężczyzn jak ja.

- Zupełnie słusznie, aczkolwiek uważam, że mężczyźni pańskiego pokroju zasługują na wyjątkową pogardę.

Złapał ją na obserwowaniu jego reakcji w taki sposób, w jaki uczeń obserwuje pajaka, któremu wbrew poczuciu przyzwoitości właśnie oderwał nogi.

- Czemuż to, jeśli wolno spytać?

- Mężczyźni pańskiego pokroju powstrzymują istotne reformy, które pomogłyby tysiącom cierpiących kobiet i dzieci w tym kraju - odrzekła ostro. - A może nawet na całym świecie, ponieważ wszyscy patrzą na Anglię jak na bastion moralności.

Edward omal nie wybuchnął śmiechem.

- O czym pani mówi, na miłość boską?

- Nie wie pan? - Pegeen przewróciła oczami, rozdrażniona jego ignorancją. - Mówię o wysyłanych do Londynu na naukę zawodu małych dziewczynkach, które kończą jako ulicznice, bo zostały zgwałcone albo uwiedzione przez swoich chlebodawców...

- Co takiego? - spytał niedowierzająco Edward.

- Ich rodziny uważają, że to hańba, więc te nieszczęsne dziewczęta nie mają gdzie się podziać i pozostaje im tylko prostytutka - ciągnęła Pegeen, nie zwróciwszy uwagi na wtępotę Edwarda. Łokcie oparła na stole. - Mówię także o kobietach, które muszą żyć, rodząc dziecko za dzieckiem, co rok prorok, bo nie mają wykształcenia i nie umieją zapobiegać ciąży. A wszystko dlatego, że mężczyźni nie uważają edukacji córek za konieczną inwestycję...

- Boże wielki - jęknął Edward, purpurowiejąc na twarzy. -Co, na miłość boską, wyobrażał sobie pani ojciec, pozwalając jej czytać gazety? To zupełnie tak, jakby dać komuś bombonierkę czekoladek na niestrawność!

- Bardzo pana przepraszam! - Pegeen pociągnęła nosem i wygodniej oparła się na krześle. - Mówię prawdę. Nic nie poradzę

na to, że pochłonięty ściganiem Bogu ducha winnych lisów, nie widzi pan tego, co dzieje się tuż obok.

- Moja droga panno, stanowczo za długo mieszkałaś sama.

Kiedy zabiorę cię do Rawlings...

Sporunowała go tak strasznym spojrzeniem, że zamilkł.

- No, co pan zrobi? Skaże mnie na głód intelektualny, który kobiety cierpią od wieków?

- Przełożę panią przez kolano i dam pani zasłużonego klapsa. Co pani może wiedzieć o prostytutkach albo o ciąży? Jeszcze nawet nie minął rok, jak skończyłaś szkołę.

- Tak się składa - oznajmiła ciężko urażona - że w przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia lat!

Edward z chichotem opadł na krzesło. Panna spjrzała na niego ze złością.

- Co pana tak śmieszy? - spytała.

- Pani. Jednak zdradziła mi pani swój wiek. Z radości plasnął się w kolano. Był tak z siebie zadowolony, jakby właśnie ograł w bilard Alistaira Cartwrighta.

Pegeen przyglądała mu się z niechęcią, w końcu jednak wzruszyła ramionami i znów upiła whisky.

Edward nadal wpatrywał się w nią z zachwytem, choć wiedział, że bardzo źle robi. Z tymi ciemnymi lokami, rumieńcami na policzkach i alabastrową cerą wyglądała jak niewinna pensjonarka. Ale gdy przesunął wzrok niżej i zwrócił uwagę na grymas jej różanych ust, pojął, że to tylko pozory, sztuczka wymyślona na jego użytek. Ta anielska twarz należała bowiem do panny, która tęskniła za namiętnymi doznaniem nie mniej niż inne znane mu kobiety. Do tego Pegeen cechowała się niezaprzeczną bystrością. Boże, co z nią zrobić?

Najbardziej irytowało go, że wciąż ma ochotę pocałować ją w te prowokujące usta. Nieznośne są takie młode dziewczęta. Stanowczo wołał starsze kobiety, a najbardziej lubił mężatki.

- Skoro mamy razem zamieszkać - odezwał się to c/y nie możemy przynajmniej zostać przyjaciółmi?

Pegeen wstała i podeszła do zlewu przepłukać szklaneczkę po whisky. Spojrzenie, którym mu odpowiedziała, było pełne podejrzliwości.

- Razem zamieszkać? Co pan ma na myśli?

- Powiedziała pani, że zgadza się towarzyszyć Jeremy'emu do Rawlings.

- Nic takiego nie powiedziałam!

Miał w tej chwili minę, która kiedyś przyprawiła jedną z córek Herberta o atak hysterii, i wiedział o tym, ale nie był w stanie tego zmienić.

- Powiedziała pani, że może...

- Owszem. Ale od kiedy może znaczy tak?

- Panno MacDougal - Zaczynało mu brakować słów. Od dłuższego czasu sądził, że batalia jest wygrana, nagle zrozumiał jednak, że jeszcze na dobre się nie zaczęła. Poczł przemożną chęć wyładowania złości, ale niestety nie było w pobliżu pastora. - Przeprosiłem za postępowanie mojego ojca. Spłaciłem co do pensa dług, który, zdaniem pastora, miała pani wobec Kościoła. Staram się dowieść, że mam szczere intencje, gdy obiecuję, że w Rawlings na niczym nie będzie pani zbywało, jeśli zgodzisz się tam pojechać z Jeremym. Co jeszcze mogę zrobić, aby pokazać, że naprawdę chcę wynagrodzić krzywdy pani i Jeremy'emu?

Stała odwrócona do niego plecami. Gdy wreszcie się odezwała, miał wrażenie, że mówi do okna.

- Nic. Wierzę panu. Tylko...

- Tylko co?

- Tylko... Jak wiele wiesz, milordzie, o mojej rodzinie? - W tej chwili spjrzała na niego i jej oczy wydały mu się nienaturalnie duże. - Co wiesz o mojej siostrze?

- Nic. - Edward wzruszył ramionami. - Ale jeśli była podobna do pani, to nie dziwi mnie, że brat zmarł przedwcześnie.

Pegeen nie rozbawił ten żart, co go zresztą nie zdziwiło.

- Nic? Zupełnie nic? Nie miał pan okazji jej zobaczyć?

- Sama pani wie, że nie. Mój brat poznał pani siostrę w Applesby, kiedy przyjechał tu na tydzień polować. Dość nierozsądnie i z pewnością pośpiesznie razem uciekli, a gdy mój ojciec odmówił uznania ich małżeństwa, przenieśli się na kontynent, skąd ani jedno, ani drugie nie wróciło żywe. Do czego zmierzasz, pani?

Nie odpowiedziała mu od razu. Wbiła wzrok w dłoń.

- Pojedziemy z panem - powiedziała nagle tak cicho, że Edward nie był pewien, czy nie uległ złudzeniu.

- Słucham?

- Pojedziemy z panem - powtórzyła Pegeen, tym razem głośniej.

- Panno MacDougal!

- Pod kilkoma warunkami.

Edward zmarszczył czoło.

- Panno MacDougal...

- Będę miała ostatnie słowo we wszystkich sprawach dotyczących Jeremy'ego. Nie pozwolę, aby rozpieszczali go i zasypywali prezentami ludzie, którzy chcą się wkraść w jego łaski. Należy go wychowywać całkiem normalnie...

- Nic z tego nie będzie, panno MacDougal - parsknął Edward. - Jeremy jest księciem Rawlings. Chce pani, żeby chodził do wiejskiej szkoły ze zwykłymi bachorami?

- Jeremy też jest zwykłym bachorem, milordzie. W każdym razie był nim do dzisiaj. I chciałabym, żeby został nim jak najdłużej. Poza tym, gdybym miała z nim jechać, to muszę mieć coś dla siebie.

- Słucham?

- Muszę mieć zajęcia, żeby nie marnować czasu. W odróżnieniu od pana nie jestem przyzwyczajona do odpoczynku. Może zaczęłabym prowadzić dom?

- Mam ochmistrzynię - odburknął Edward.

- To może będę prowadzić rachunki? Póki żył ojciec, pod moją opieką były wszystkie księgi parafialne. Mam glowy do liczb.

- To mnie nie dziwi - odparł oschle Edward. - Ale rachunki rozlicza w moim imieniu sir Arthur.

- Trudno, milordzie. - Jej zmarszczone czoło niewątpliwie świadczyło o irytacji. - Tak czy owak musi być coś, czym mogłabym się zająć w Rawlings Manor.

Edward wbił w nią wzrok. Doskonale wiedział, do jakich funkcji panna MacDougal nadawałaby się wprost idealnie. Ale nie były to funkcje stosowne dla niezamężnej panny, a z pewnością nie dla panny, która przeczytała całą *Obroną praw kobiet* Mary Wollstonecraft. Postanowił więc udzielić odpowiedzi wymijającej.

- Znajdziemy coś dla pani, proszę się nie obawiać. Co jeszcze?

Przygryzła wargę.

- Zdaje się, że mam być ciotką księcia. Muszę... To znaczy, prawdopodobnie będę musiała dobrze wyglądać. A mam tylko tę suknię, w której jestem, i jeszcze drugą, w której chodzę do kościoła...

Panna MacDougal splonęła rumieńcem, Edward nie bardzo jednak rozumiał, z jakiego powodu. To prawda, że jej suknia była całkiem zwyczajna, ale pasowała znakomicie. Znał kilka innych kobiet, które byłyby zdolne do morderstwa, byle tak wyglądać w niewyszukanej odzieży.

Nie zdradził się jednak z tymi rozważaniami, tylko z powagą skinął głową.

- Dobrze - powiedział. - Nowa garderoba dla pani naturalnie wchodzi do umowy.

Pegeen musiała odczuć ulgę, bo głośno odetchnęła. Jednak coś jeszcze ją niepokoiło.

- Muszę... muszę pożyczyć od pana pewną sumę. -- Spuściła wzrok i Edward stwierdził, że znów się zaczerwieniła. - Na pomoc dla tutejszej rodziny.

No, nie. To się posuwało za daleko.

- Dlaczego im nie pomoże ten pani przeklęty pastor? - spytał ze złością. - To jego sprawa, czyż nie?

- On tego nie zrobi. Panna spojrzała na niego czerwona jak rak, jeszcze bardziej czerwona niż wtedy, gdy ją pocałował. -Pani MacFearley jest miejscową prostytutką, właśnie dziś rano pomagałam jej rodzić szesnaste dziecko...

- Co pani robiłaś? - Nie zdumiałaby go bardziej, gdyby powiedziała, że była przy narodzinach Chrystusa.

Pegeen odkaszlnęła z zakłopotania.

- Proszę zrozumieć, nie było nikogo innego... No, w każdym razie, gdybym dała jej trochę pieniędzy, to mogłaby odpocząć, odzyskać siły, zanim wróci do pracy...

Edward uniósł brew.

- To coś nowego - stwierdził. - Mężczyzna z mojej sfery płaci damie lekkich obyczajów za to, żeby z nikim nie sypiała. - Gdy zauważył, że panny nie rozbawiła ta sarkastyczna uwaga, westchnął i sięgnął do kieszonki w kamizelce.

- Ile?

I znów przygryzła wargę.

- Może... może pięć funtów. Czy to za dużo? Przysięgam, że wszystko panu zwrócę. Mam trzydzieści funtów rocznie...

- Hm... - Sprawdził zawartość sakiewki. - Zróbmy z tego równe dwadzieścia, zgoda? Kto wie, może uda jej się dzięki temu znaleźć męża. Pan Richlands jest wolny, jeśli się nie mylę.

Nie przewidział, jak olbrzymią radość wywoła jego nic nieznaczący gest. Pegeen klasnęła w dłonie i nawet zatańczyła w kuchni. Nagle znikło jej zakłopotanie.

- Dwadzieścia funtów? Naprawdę? Och, dziękuję, milordzie, bardzo dziękuję!

Zanim zorientował się w jej zamiarach, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek równie siarczyście, jak pół godziny wcześniej go uderzyła.

Drgnął poczuwszy, jak przywiera do niego jej miękkie ciało. Odwrócił głowę, więc następny pocałunek Pegeen trafił już nie w policzek, lecz w usta. Edward objął ją i posadził sobie na kolanach.

Zdrętwiała. Ale jej usta smakowały tak słodko, że nie puściłby jej za nic. Już od dłuższego czasu zastanawiał się, czy policzek wymierzyła mu z przekonania, i wreszcie uzyskał odpowiedź. Spoliczkowała go dlatego, bo tak postępuje dobrze wychowana córka pastora, gdy obcy mężczyzna zbyt obcesowo ją zaczepia. Ale w głębi serca była przychylna tym zalotom. Właśnie dlatego teraz oczy miała zamknięte, a on czuł, jak mocno bije jej serce...

Dopiero gdy podniósł dłoń, by objąć jej pierś, odkrytą obcisłym stanikiem sukni, szarpnęła się i zeskoczyła mu z kolan jak spłoszony kot.

- Milordzie! - krzyknęła.

Edward, wciąż oszołomiony jej wdziękami, wyciągnął do niej ramiona. Cofnęła się jednak i prawdopodobnie cofałaby dalej, gdyby nie przeszkodził jej kuchenny zlew, o który oparła się plecami.

- Milordzie! - powtórzyła półprzytomnie. Przecież powie działam, żebyś drugi raz tego nie próbował!

Pomyślał, że już dawno nie spotkał tak fascynującej istoty, a zaraz potem uświadomił sobie, że jeśli nie rozegra właściwie swoich kart, to ją straci. To nie była mężatka, która dobrze zna wszystkie tajemnice sypialni. W każdym razie panna MacDougal wydawała się bardziej wstrząśnięta swoją reakcją na jego zaloty niż samymi zalotami.

- Panno MacDougal... -Tak chropawego głosu jeszcze u siebie nie słyszał. Musiał odchrząknąć i zaczął znowu: - Panno Mac Dougal, nie znajduję słów, by wyrazić, jak bardzo chcę panią przeprosić. Nie wiem, co mnie naszło. - Ale nawet gdy to mówił, wpatrywał się w jej piersi, zachwycony sterczącymi gruzełkami, które rysowały się pod suknią. - Bądź co bądź - dodał z uśmiechem - jest pani moją szwagierką.

Tym razem powinien się spodziewać takiej reakcji, a jednak uderzenie w policzek znów go zaskoczyło. Było jeszcze mocniejsze niż poprzednie. Ależ ona ma prawy sierpowy, pomyślał z uznaniem.

- W Rawlings żadnych takich nie będzie - oświadczyła rozczłona Pegeen. Jej zielone oczy strzelały błyskawicami. - Słyszysz mnie pan? Spróbuj tylko na mnie zerknąć w taki sposób i natychmiast wracam!

- Zgoda - powiedział Edward, rozcierając szczękę. - Ma pani całkowitą rację.

Przybrała wyniosłą pozę i z godnością opuściła kuchnię, nader zachęcająco, choć chyba mimowolnie kołyszając biodrami.

- A w ogóle to było szesnaście funtów i osiem pensów, ty naiwny człowieku - powiedziała przez ramię.

Przypomniawszy sobie pieniądze, które dał Richlandsowi, Edward pokręcił głową i roześmiał się. Pastor naciągnął go na funta.

5

Porywisty północny wiatr szarpał krynoliną Pegeen, wdzierał się pod jej nową pelisę z bobrowego futra i wyciskał łzy z oczu. Pegeen odjęła chustkę od rozcięcia na głowie, tuż nad linią włosów, i czystym rogiem płótna z monogramem otarła oczy. Miała nadzieję, że Jeremy tego nie zauważy. Naturalnie jednak chłopiec przez cały czas z uwagą jej się przyglądał.

- Hej! - Musiał krzyknąć, żeby jego głos był słyszalny mimo silnego wiatru. - Patrzcie, co zrobiliście, dranie! Przez was moja Pegeen płacze!

Trzej mężczyźni w liberach, którzy natężali siły, by wyciągnąć powóz z rowu, na chwilę przerwali pracę i podnieśli głowy. Z ust dobywały im się wielkie kłęby pary. Prawdopodobnie marzli dużo bardziej niż Pegeen, ale od wysiłku pot kropił im się na czołach, a jednemu lokajowi włosy kleiły się do karku.

Peggy żałowała w tej chwili, że opuściła z Jerrym Applesby, a uczucie to nie opuszczało jej od półgodziny, odkąd powóz ześlizgnął się z drogi do Rawlings Manor, jeśli w ogóle można było nazwać drogą to oblodzone, zmrożone błoto pełne kolein. O tej porze w domu oboje siedzieliby przy ogniu, popijając

herbatę, a nie drżeli z zimna na jałowym, targanym wiatrem wrzosowisku, od którego nawet zbójcy trzymali się z daleka.

Sir Arthur Herbert niespokojnie przestąpił z nogi na nogę i nieśmiało dotknął jej ramienia.

- Panno MacDougal, zaiste nie wiem, jak mam przeproszać za ten niefortunny wypadek - powiedział irytująco ugrzecznionym tonem. Przeproszał ją nieustannie, odkąd powóz znalazł się w rowie. Pegeen miała nadzieję, że w końcu odmrozi sobie język. Niestety, głośno wyrażone oburzenie Jerry'ego na nowo obudziło gorliwość zarządcy. - Czy na pewno nie chce pani usiąść? Czy zimno bardzo doskwiera? Może pożyczę pani moją pelerynę?

- Stanowczo nie - odparła Pegeen, choć jej pewność była tylko na pokaz. Nie przyznała się, jak chętnie by usiadła, bo przecież nie było gdzie: powóz stał dwoma kołami w rowie, a w pobliżu nie było widać żadnego budynku. - Wszystko jest w najlepszym porządku, Jeremu tylko się zdawało. Wcale nie płaczę.

Odwróciła głowę, żeby sir Arthur nie widział jej twarzy przyśloniętej szerokim obramowaniem nowego, podbitego futrem czepka. Potem przesłała Jerry'emu spojrzenie pełne dezaprobaty, tak że aż koniuszki brwi zbiegły jej się u nasady nosa. Postanowiła, że gdy tylko dotrą do Rawlings, odbędzie z siostrzeńcem rozmowę w cztery oczy. Odkąd ten się dowiedział się, że jest księciem Rawlings, stał się doprawdy nieznośny.

Nowy książę Rawlings zerknął na nią i krzyknął rozzwierając.

- Krew! Peggy, znowu leci ci krew z głowy

Psiakostka. Pegeen przycisnęła chustkę lorda do miejsca, w którym rozcięła sobie skórę, gdy powóz laptownie się przechylił. Skaleczenie jej nie bolało i nie bardzo mogła pojąć, o co robić tyle hałasu, tym bardziej że w dużej części zasłaniały je włosy. Ale krwawienie istotnie było dość obfite. Gdy wcześniej stanęli na drodze, sir Arthur na ten widok poblądł. A lord Edward uparł się, że osobiście pójdzie piechotą po pomoc

- Tak lepiej - powiedział Jeremu i szelmowsko uśmiechnął się

do Pegeen. Nie widziała go tak rozradowanego od czasu, gdy rozpoczęli podróż na południe. Nawet tygodniowy pobyt w Londynie nie wydał mu się tak ekscytujący, jak wypadek powozu. Malec z błyskiem w oku zaczął po raz nie wiadomo który opowiadać, w jaki sposób lord Edward uratował Pegeen przed zgineciem na śmierć przez brzuszysko sir Arthura.

- A wuj Edward złapał cię, gdy tylko zauważył, że powóz się przechyla - tokował Jeremu, ciągnąc za rękaw ciemnozielonej podróżnej sukni Peggy. - On ci uratował życie, prawda? Gdyby sir Arthur wpadł na ciebie, spłaszczyłby cię na placek.

- Zamknij buzię, Jerry - łagodnie skarciła go Pegeen. Dobrze wiem, że lord Edward uratował mi życie, już mu za to podziękowałam.

Sir Arthur Herbert odchrząknął. Z rosnącym zakłopotaniem słuchał wzmianek młodego księcia na temat swojej wagi i chyba osiągnął granicę wytrzymałości.

- Wasza wysokość, może pobiegiesz na ten pagórek, o tam, i zobaczysz, czy wuj nie nadjeżdża z ludźmi do pomocy.

Jeremu nie potrzebował więcej zachęt, jako że zasoby energii miał wręcz niewyczerpane. Jak kamień wystrzelony z procy puścił się w stronę pokrytego śniegiem garbu. Pegeen wykorzystała tę okazję i znowu otarła oczy. Coraz silniejszy wiatr smagał ją po twarzy śniegiem i kryształkami lodu, dlatego nos i policzki miała zeszywniałe z zimna. Wskutek wypadku część jej długich włosów uwolniła się z przytrzymującej je siatki, ale ponieważ przemarzły jej również palce, nie miała siły zajmować się niesfornymi kosmykami. Nie było to zresztą takie złe, bo przynajmniej osłoniła sobie uszy. Parę razy energicznie tupnęła, powoli jednak traciła czucie w stopach okrytych trzewikami z kozłej skórki. Zaczynała się obawiać, że przeżyli wypadek powozu tylko po to, by zamarnąć na śmierć zaledwie kilka kilometrów od celu podróży.

- Moja droga panno MacDougal - odezwał się sir Arthur. - Jesteś, pani, dosłownie sina z zimna. Proszę pozwolić, że pożyczę jej pelerynę. Mnie wystarczy pled z powozu.

- Nie bądź pan śmieszny - odparła, szcękając zębami. - Naprawdę wszystko jest w porządku. Nie wiem, ile razy będę jeszcze musiała to powtarzać, zanim ktoś mi uwierzy. Pulsujący ból w głowie zadał kłam jej twierdzeniu, ale nie miała zamiaru podsuwać sir Arthurowi nowych powodów do zatroskania. Przygryzła więc wargę i w milczeniu znosiła swoje cierpienie.

- Chyba zaraz pojedziemy, sir! - zawołał jeden ze stangretów i Pegeen z nadzieją podniosła głowę. Lokaj trzymał za uzdy pierwszą parę koni i energicznie pokrzykiwał na pięknie dobraną czwórkę, podczas gdy dwaj stangreci, stojący głęboko w rowie, z całej siły wypychali na drogę czarne, zdobione mosiężnymi okuciami pudło pojazdu. Pegeen pomyślała, że mężczyzna postury sir Arthura mógłby okazać się bardzo pomocny, gdyby połączył z nimi siły, zarządca zdawał się jednak hołdować przekonaniu, że większy jest pożytek z jego prób pocieszenia. Teraz znowu poklepał Pegeen po ramieniu i wymruczał: - Widzisz, pani? Już go prawie mają! To dobrzy chłopcy. Lord Edward najmuje samych najlepszych, zapewniam.

Potrzeba było jednak więcej niż trzech z tych najlepszych, by powóz z powrotem stanął na drodze. Spłoszone konie nie mogły znaleźć pewnego oparcia na oblodzonej ziemi, toteż w chwili, gdy przednie koła powozu wyjechały na drogę, pierwsza para się potknęła i pojazd z wielkim trzaskiem znalazł się z powrotem głęboko w rowie. Przerażona Pegeen krzyknęła ostrzegawczo i stangreci na szczęście zdążyli odskoczyć.

- Och, to straszne! - Pegeen poczuła, że teraz naprawdę chce jej się płakać. - Biedni ludzie! I biedne konie! Sir Arthurze, jak wiele czasu potrzebują lord Edward z lokajem, by dojść do Rawlings Manor? Wiem, że jest dopiero pora podwieczorku, ale powoli zaczyna się ściemniać...

- Nie trać, pani, nadziei. - Arthur wydawał się nie mniej załamany niż ona. Na pewno wolałby w tej chwili siedzieć w salonie przy kominku i popijać herbatę. Nic wolno tracić nadziei. Lord Edward nas nie zawiedzie.

Wiary w lorda Edwarda Pegeen kompletnie brakowało. Wprawdzie przez dwa tygodnie, które minęły od tamtego strasznego dnia w Applesby, nie próbował już niechcianych zalotów, nie miała jednak pewności, czy można mu do końca ufać.

Musiała jednak przyznać, że gdy zatrzymali się w jego pięknym londyńskim domu, zachowywał się jak przykładowy dżentelmen. Dla zadośćuczynienia wymogom etykiety posłał po sir Arthura i jego żonę, aby była w domu przyzwoitka, a choć mężczyzna nieszczęśliwie przypadł Pegeen do gustu, to jego żonę szczerze polubiła. Lady Herbert stanowiła całkowite przeciwieństwo swego męża. Była efektowna, pogodna i rozsądna. Ponieważ sama miała pięć córek, dzielnie znosiła nieustanne wizyty w krawieckich pracowniach, konieczne, bo przecież lord Edward obiecał Pegeen nową garderobę, a po wyjściu od dziesiątej z kolei modystki zachowywała jeszcze znacznie więcej sił i zadowolenia niż sama Pegeen. W przerwach między przymiarkami strojów lady Herbert oprowadzała Pegeen po Londynie. Nie zaprotestowała przeciwko odwiedzinom w Izbie Gmin, chociaż sesja parlamentu jeszcze się nie zaczęła, a do muzeów wchodziła z takim entuzjazmem, jakby nigdy wcześniej w nich nie była.

Lord Edward dopilnował również, by młody książę dobrze się bawił, zapewnił mu więc lekcje jazdy konnej w Parku Regenta, częste wycieczki do ogrodu zoologicznego i wyprawy po zakupy, które bardzo irytowały jego opiekunkę. Pegeen była zdecydowanie przeciwna temu, by chłopiec w wieku Jeremy'ego miał na własność nie tylko huntera, lecz również strzelbę.

Trudno jednak było gniewać się na człowieka, który co wieczór zapraszał ich do drogich restauracji, znanych Pegeen tylko z gazet i książek. Do głowy jej nie przyszło, że kiedyś będzie miała okazję znaleźć się w takim miejscu osobiście. Tymczasem po obfitym posiłku z homarem, szampanem i bezami lord Edward zawsze prowadził wszystkich do opery lub teatru, gdzie miał wykupione miejsca w łoży. I jak tu było żywić do niego urazę? To, że potem

znikał bez śladu, nie było jej sprawą. Lady Herbert, indagowana w tej sprawie, wzruszyła ramionami i powiedziała, że Edward Rawlings jest światowym człowiekiem, więc kogoś takiego jak on na pewno męczy spędzanie wieczorów w towarzystwie pary podstarzałych małżonków. Pegeen wiedziała, że jedynie przez grzeczność lady Herbert nie wspomniała również o pruderyjnej córce pastora.

Pruderyjna czuła się szczególnie rankami, gdy lord Edward zasiadał z nimi do śniadania. Chociaż był jak zawsze elegancko ubrany, to miał ciemne kręgi pod oczami, kika razy zaś Pegeen była niemal pewna, że wyczuła bijącą od niego woń wczorajszej brandy. Krótko mówiąc, przypuszczała, że lord Edward oddaje się przyjemnościom, jakich można by oczekiwać po mężczyźnie w jego wieku, należącym do uprzywilejowanej sfery, toteż często zastanawiała się, ile funtów traci codziennie przy karcianych stolikach i ile ma utrzymanek.

Jednak mimo przeświadczenia, że lord Edward rujnuje sobie życie hedonistycznymi praktykami, Pegeen niezmiennie odnosiła się do niego z wzorową uprzejmością. Nie chciała, żeby Jeremy wyczuł jej niechęć do tego człowieka. Zależało jej na tym, by chłopiec, który nie pamiętał żadnego mężczyzny w swoim życiu z wyjątkiem dziadka, traktował wuja z szacunkiem, a z pewnością nie osiągnęłaby tego celu, gdyby Jeremy odkrył jej prawdziwe uczucia. Pierwszy raz w życiu zachowała swoje poglądy tylko dla siebie. Ilekroć widziała, że lord Edward przysypia nad poranną kawą, gryzła się w język, żeby nie wyrwała jej się jakaś cięta uwaga na temat jego hulanki.

Ale nawet Pegeen musiała przyznać, że odwaga lorda Edwarda w obliczu wypadku zrobiła na niej wielkie wrażenie. Gdy tylko powóz zaczął się przechylać, lord Edward natychmiast przeciagnał ją do siebie, dzięki czemu uniknęła przygniecenia przez bezwładne ciało sir Arthura. Na nieszczęście nie zdołał osłonić jej głowy i skończyło się to dla niej rozcięciem skóry o lampę olejową.

Potem jednak bardzo delikatnie wyniósł ją z powozu i dał jej własną chustkę, żeby mogła przyłożyć ją do rany, której nie widziała w odróżnieniu od innych nie uważała zresztą, by było to coś więcej niż zwykle skaleczenie. Jeszcze później osobiście poszedł piechotą do Rawlings Manor po pomoc. To wszystko znacznie podniosło jego opinię w oczach Pegeen. Tak wzruszył ją swoją troską, że nawet nie narzekala na dotkliwe zimno.

Od jego odejścia minęło jednak sporo czasu, lord Edward nie wracał, Pegeen była zmarznięta na kość, a głowa coraz bardziej ją bolała. Jak daleko jest stąd do Rawlings? I ile czasu potrzeba, by przyjechał po nich inny powóz?

Pegeen pomyślała o dobrodziejnej żonie sir Arthura i jej pięciu córkach. Pamiętała, jak ciepło i przytulnie było w ich zniszczonym, wiejskim domu znajdującym się kilkanaście kilometrów od Rawlings. Szkoda, że nie wiedzieli o nadchodzącej zawierusze, zanim rozpoczęli ostatni etap podróży. Mogli przecież wyjechać nieco wcześniej i ominęłoby ich najgorsze. Gdyby tylko... ech, gdyby tylko nie było jej tak zimno w nogi!

- Halo, tam! - Sir Arthur uniósł ramię i zaczął dawać sygnały komuś, kto najwidoczniej zbliżał się nie od strony, w którą pobiegł Jeremy, lecz od tyłu powozu. - Halo!

Pegeen obróciła głowę, zmrużyła oczy, i wtedy dostrzegła samotnego jeźdźca. W taką pogodę, przy oblodzonej drodze, pośpiech, z jakim się przemieszczał, był stanowczo nierozsądny. Pegeen przelęknęła się, pomyślała bowiem, że tylko człowiek, który przed czymś lub przed kimś ucieka, może tak ryzykować, należało więc liczyć się z tym, że mają przed sobą zbójcę. Ale sir Arthur wymachiwał do przybysza z zapamiętaniem. Pegeen przelknęła ślinę i stanęła z tyłu, za swym brzuchatym rycerzem. Okazało się, że stanowił całkiem dobrą zasłonę przed wiatrem.

- Hej, tam! - wołał sir Arthur. - Czy może nam pan pomóc?

Jeździec wyłonił się spomiędzy wirujących płatków śniegu. Pegeen wytrzeszczyła oczy na widok wielkiego ogiera z prze-

krwionymi oczami, który buchał kłębami pary z czarnych nozdrzy. Jeździec wyglądał nie mniej groźnie. Cały w czerni, muskularny, z niezłomnym spojrzeniem. Nagle jednak uśmiechnął się i Pegeen ze zdumieniem rozpoznała w nim lorda Edwarda. Panował nad swoim wierzchowcem z zadziwiającą łatwością i pogwizdywał przez zęby, a tymczasem zwierzę pokonywało ostatnie metry dzielące je od rozbitków.

- Lord Edward! - wykrzyknął z zachwytem sir Arthur. Ściągnął z głowy kapelusz i chwycił ogiera za uzdę. To był poważny błąd. Rozdrażniony koń potrząsnął łbem. Na pelerynie sir Arthura pojawiły się ślady końskiej śliny.

- Och, przepraszam - powiedział zarządca, zdawało się, że do konia. Pegeen, rozbawiona tą sceną, wtuliła twarz w pelisę, żeby ukryć uśmiech. - Jak to się stało, milordzie, że przyjeżdżasz z tej strony?

- Wiem. - Zaskrzypiała uprzęż i lord Edward, zeskoczywszy z siodła, stanął obok sir Arthura. Zarządca wydawał się Pegeen bardzo postawnym człowiekiem, ale lord Edward gorował nad nim o głowę. Gdy miał na sobie strój do konnej jazdy było widac, że jest szczupły wszędzie tam, gdzie sir Artur ma zapasy tłuszczu, lecz mimo to swą posturą budził niezaprzeczalnie respekt.

- Z wiatrem na wrzosowiskach nie ma żartów sir stwierdził lord Edward. - Pieszko się nie przejdzie. Dlatego przyjechalismy z drogi do Ashbury House. Pożyczyłem konia i przyjechałem najszybciej jak można. Minie jeszcze sporo czasu, nim dotrze tulaj powóz. Drogi są dzisiaj wyjątkowo zdradliwe.

- Co za pech! - wykrzyknął sir Arthur. Panna MacDougal bardzo cierpi, rana wciąż jej krwawi.

- Jeszcze? - zdziwił się Edward. Pegeen chciała zaprzeczyć, ale nie była w stanie przekrzyknąć świstu wiatru. Szare oczy w odcieniu chmur nad ich głowami spojrzwały na nią z wyrzutem. - Proszę odsunąć chustkę - polecił. - Chcę zobaczyć

- To nic takiego - upierała się. - Jeremy narobił hałasu, bo się

o mnie martwi. - Była bardzo zakłopotana, że wszyscy tak się przejmują jej drobnym skaleczeniem.

Jeszcze bardziej zakłopotano ją hipnotyczne spojrzenie lorda Edwarda. Czy zawsze patrzy na nią w taki sposób? Przecież na pewno wie, że ma przed sobą szwagierkę, bardzo pruderyjną szwagierkę, która nigdy nie będzie dla niego nikim więcej... Psiakostka! Ten człowiek stanowi dla niej zagrożenie. Niepokoi ją swym dotykiem, a jego spojrzenie... ech, była zdecydowana wygarnąć mu od serca, jeśli nie przestanie na nią tak patrzeć.

Wiedziała jednak, że nie zagna spokoju, dopóki nie pozwoli mu obejrzeć skaleczenia na czole, więc cofnęła rękę z chustką. Bardzo przy tym uważała, by unikać jego wzroku. Nie zdejmując rękawic, lord Edward ujął ją pod brodę i spojrzął na nią z bliska, marszcząc brwi. Może nawet zniosłaby tę torturę względnie spokojnie, gdyby nie wziął od sir Arthura czystej chustki i nie przesunął nią wzdłuż linii jej włosów.

Mimo woli wydała okrzyk bólu. Przygryzła wargę, lecz z oczu popłynęły jej łzy. Nagle wszystko zasnęła jej mgła, kolana się pod nią ugięły. Lord Edward natychmiast ją objął, chociaż próbowała protestować.

Sir Arthur zaczął jej wymawiać, że nie przyznała się przed nim do swej słabości, ale mogła tylko zamrużyć powiekami na znak przeprosin, bo nie miała siły nic powiedzieć. Bezwładnie oparła się o lorda Edwarda, wdzięczna mu za to, że ją podtrzymuje i że jest taki ciepły, on zaś przycisnął ją do siebie i otulił swą ciężką, czarną peleryną. Po chwili spędzonej w tym schronieniu Pegeen na nowo poczuła, że ma palce i nos, a nie kawałki lodu.

- Musi być bardzo chora - mówił tymczasem sir Arthur -ale biedaczka nie poskarżyła się ani słowem.

- Psiakostka. - Pegeen zdołała jeszcze zrobić gniewną minę, chociaż miała trudności z oddychaniem, a serce biło jej jak szalone. - Nic się nie stało, po prostu nabiłam sobie guza...

- Pegeen! - Krzyk Jeremy'ego mógłby zbudzić umarłego, więc

mimo zamroczenia uniosła głowę. Zobaczyła chłopca pędzącego w dół po stoku zaśnieżonego pagórka. Jego buzia była czerwona od gniewu.

- Co robisz mojej Pegeen?! - spytał z oburzeniem. Natychmiast ją puść! - Jeremy Rawlings długo był utrapieniem całego Aberdeen. Brał udział, przeważnie zwycięski, w tylu bójkach i awanturach, że Pegeen nawet nie umiałaby ich zliczyć. W skrytości ducha miała nadzieję, że powrót do rodowej siedziby pomoże Jeremy'emu trochę się usatkwować.

Wyglądało jednak na to, że wuj Edward jest godnym przeciwnikiem dla chłopca.

- Cicho, szczeniaku! - odparł groźnie. - Bo przełożę cię przez kolano.

- Nie możesz tego zrobić - oświadczył Jermy Bo ja jestem księciem!

- Och, jeny - jęknęła Pegeen. Stanowczo chciała zrezygnować z ciepłego miejsca u boku Edwarda i znów znosić przenikliwego wiatru, ale znajdowali się niestosownie blisko siebie, chociaż wcale nie było to konieczne. Ból już osłabł i znów stał się tępy, pulsujący jak przed chwilą. Pegeen odzyskała też jasność myślenia.

Ale gdy spojrzała na Edwarda i chciała zażądać żeby ją puścił, stwierdziła, że nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Ich bliskość zdawała się nie robić na nim żadnego wrażenia. Z nieprzeniknioną miną wpatrywał się w niebo.

- Pada coraz gęstszy śnieg- stwierdził. Najlepiej będzie chyba, jeśli od razu zabiorę pannę MacDougal do Hawlms. Nie powinna czekać na powóz.

Pegeen zerknęła niepewnie na czarnego ogiera, któremu z nozdrzy nadal buchały kłęby pary.

- Dobrze się czuję, milordzie, naprawdę. Poczekam na powóz. I nie musisz mnie trzymać tak, jakby w każdej chwili mnie zdmuchnął wiatr.

- Nie czujesz się, pani, dobrze i zrobisz tak, jak mówię.

Miała wrażenie, że Edward przeszywa ją wzrokiem na wylot. Odwróciła głowę i znów splonęła się rumieńcem. Jeśli nie liczyć anonimowych przechodniów w Applesby, którzy czasem jej się przypatrywali, nie zdarzyło się jeszcze, by mężczyzna tak bezwstydnie pozerął ją wzrokiem. Ale muszę wyglądać, pomyślała zatroskana.

Jakby wyczuwszy jej zakłopotanie, Edward ją puścił, rozpiął pelerynę i wbrew protestom całym okryciem otulił jej drobne ramiona. Peleryna była tak ciężka i wielka, że dobre ćwierć metra materiału ciągnęło się po ziemi. Straciwszy wsparcie męskiego ramienia, Pegeen zachwiała się od podmuchu wiatru. Zdawało jej się, że wszystkie miejsca na jej ciele, których dotykał Edward, są oznaczone piętmem. Policzki jej płonęły, wzrok miała wbity w ziemię, żeby, nie daj Boże, nie pochwycić niczyjego spojrzenia.

Jeremy jednak znał ją zbyt dobrze, by dać się zwieść.

- Jesteś chora - powiedział, stając przy niej. - Dlaczego wcześniej nam nie powiedziałaś?

- Nic by to nie zmieniło. - Mocniej naciągnęła mu czapkę na uszy. - Pomoc i tak nie nadeszłaby szybciej.

Chłopiec się wzdrygnął.

- Przestań koło mnie skakać. To tobą trzeba się teraz zająć. - Wypiąwszy pierś, zwrócił się do lorda Edwarda. - Lepiej weź ją z sobą, wuju. Ona wcale nie jest taka silna, jak udaje.

Pegeen omal nie wybuchnęła śmiechem, ale zdrętwiała, gdy zobaczyła, jak lord Edward podchodzi do niej z zaciętą miną.

- Jedzie pani ze mną - powiedział beznamiętnie.

Cofnęła się instynktownie i omiotła spojrzeniem ogiera.

- Nie. - Wyciągnęła przed siebie mufkę, jakby trzymała broń. - Zostanę tutaj z sir Arthurem. Proszę wziąć Jeremy'ego. On pewnie byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł pojechać na grzbiecie tego... tego stworzenia.

Jej sprzeciwy trafiły na wyjątkowo mało podatny grunt. Edward

chwycił ją za nadgarstki i nagle znalazła się w jego objęciach. Wrzucił ją na siodło z taką łatwością, jakby ważyła nie więcej niż dziecko. Wielkimi dłońmi w rękawiczkach prawie objął jej stan skrzepowany gorsetem. Pegeen wydała cichy okrzyk, gdy zorientowała się, jak daleko ma do ziemi z grzbietu tego potwora.

- Czy wszystko dobrze? - spytał Edward, bacznie przyglądając się jej twarzy. Przełknęła ślinę i niepewnie skinęła głową, maskując przerażenie pozorami nonszalancji. Dla niepoznaki zaczęła po prawiać spódnicę. W duchu modliła się jednak, żeby nie zrobić z siebie widowiska i nie zemdleć albo, co gorsza, nie spaść na ziemię.

Edward wskoczył na siodło za nią, zdjął z jej ramion ciężką pelerynę i okrył ją i siebie. Znow śmiało objął ją w talii, tym razem jednak Pegeen była mu wdzięczna za to wsparcie. Miała pewność, że nawet jeśli zemdleje, lord Edward przytrzyma ją i uratuje przed spadnięciem z konia na zmrożoną ziemię.

- Herbert - zawołał lord Edward, ujmując cugle. Poczekasz pan tutaj z jego wysokością na powóz. Powinien niedługo dotrzeć.

- Naturalnie, milordzie - odkrzyknął Arthur. Może po drodze do Rawlings Manor uda nam się zatrzymać przy domu doktora i wziąć go z nami, żeby obejrzał ranę panny MacDougal.

Uwięziona między mocnymi udami Edwarda Pegeen siedziała tak spokojnie, jak tylko umiała. Policzki jej płonęły. Mimo krynoliny czuła przez ubranie twardość jego ciała. Już wcześniej sytuacja wydawała jej się niestosownie intymna. To było jednak nic w porównaniu z tym, co nastąpiło teraz. Ich ciała znajdowały się tuż obok siebie. Pegeen usiłowała zapanować nad biciem serca. Dobrze wiedziała, że lord Edward jest doświadczonym mężczyzną, więc dla niego to nie pierwszyzna. Co tam, zwykła przejażdżka po wrzosowisku. Czy może być coś nudniejszego?

- Wobec tego do zobaczenia - zawołał Edward do sir Arthura i Jeremy'ego, ściskając boki parskającego ogiera. Spotkamy się w Rawlings.

I już ich nie było. Pognali tak szybko, że Pegeen znow wydała mimowolny okrzyk. Wysunęła ręce z muffki i zacisnęła dłonie na ramieniu, którym trzymał ją lord Edward, a on zareagował zacieśnieniem uścisku wokół jej talii i szelmowskim chichotem.

- Nie jest pani przyzwyczajona do konnej jazdy, co?

Pegeen chciała ostro się odciąć, ale w porę zrezygnowała. Nie wydawało jej się rozsądne wchodzenie w konflikt z człowiekiem, który chronił ją przed pewną śmiercią pod końskimi kopytami.

Pędzili po nierównym wrzosowisku, śnieg bił ich po twarzach, a zimny wiatr czynił spustoszenie we włosach Pegeen, mimo że jej nowy czepek miał szerokie obramowanie. Łzy z oczu płynęły jej strumieniami, więc prawie nic nie widziała. Oparła głowę na torsie lorda Edwarda i zaczęła się modlić. Pierwsza i najważniejsza była prośba o to, żeby nie spaść z konia. Pragnęła też sprowadzić na lorda Edwarda śmierć w męczarniach, niechętnie przyznała jednak przed sobą, że to musi poczekać, póki nie znajdą się w Rawlings Manor.

Gdy parskający, kary ogier ustalił rytm cwału, Pegeen poczuła, że napór ramienia Edwarda odrobinę zelżał.

- Jak znosisz to, pani? - spytał. - Czy nie za ostro?

- Dziękuję, w porządku - odparła przez zaciśnięte zęby.

- Oj, nie umie pani kłamać, co?

- Jestem córką pastora - stwierdziła kwaśno. - Nie powinnam tego umieć. Za to Jeremy kłamie jak z nut.

- Widocznie odziedziczył tę cechę po ojcu - stwierdził z uśmiechem.

Pegeen pokręciła głową. Szczękała zębami, miała jednak nadzieję, że lord Edward przypisze to zimnu, a nie jej lękowi przed koniem.

- Nie byłabym tego taka pewna. Kathy zawsze miała talent do różnych wymysłów.

- Nie, nie. Jeremy to wykapany tata. Jakbym widział Johna w jego wieku. - Głos lorda Edwarda był przesycony niechęcią. -

Pani ojciec chyba dostał apopleksji, kiedy córka uciekła z moim bratem. Pamiętasz to, pani?

- Naturalnie. - Drgnęła niespokojnie, ale nie z powodu przykrego wspomnienia, tylko szerokiej rozpadliny, która ogier przesadził jednym susem. Gdy odzyskała głos, powiedziała: Byłam wtedy w wieku Jeremy'ego. Dziesięcioletnie dzieci wiele już zapamiętują.

Jeśli nawet Edward zwrócił uwagę na drżenie jej głosu, to nie dał tego po sobie poznać.

- Jaka była pani siostra? Już wiem, że inna niż pani, skoro umiała zręcznie kłamać.

Pegeen poruszyła się na końskim grzbiecie, bardzo zakłopotana. Nadal widziała przed sobą tylko morze bieli i ciemnoszare niebo.

- Inna niż ja? Owszem, zupełnie inna.

- Czy zupełnie? W to akurat trudno mi uwierzyć. Na pewno i ona była piękna.

Gdyby Pegeen mogła, odwróciłaby głowę, by spojrzeć mu w oczy, bo z tonu głosu nie umiała wyczytać, czy lord Edward nie stroi sobie z niej żartów. Ale gdy tylko lekko skrzyła szyję, w twarz uderzyła ją masa śniegu. Znow więc wtuliła głowę w tors Edwarda. Do diabła z nim. Czyżby próbował flirtować z nią teraz, kiedy jest kompletnie bezbronna? Miał na to tydzień czasu w Londynie, ale wówczas prawie ją ignorował. Mężczyźni są doprawdy okropni.

- Katherine była urocza - przyznała Pegeen po chwili milczenia. Prowadzenie rozmowy na końskim grzbiecie w taka pogodę było trudne, przynajmniej jednak odrywało jej uwagę od zimna i strachu przed spadnięciem. - Ale piękna twarz niekoniecznie łączy się z piękną duszą - dodała z wahaniem.

Edward się roześmiał.

- Przemówiła przez panią prawdziwa córka pastora. Nie po dobało się pani zachowanie Katherine, prawda? O ile wiem, nie grzeszyli z Johnem powściągliwością.

- Stanowczo nie. - Pegeen parsknęła. - Ich życie składało się z samych przyjeść. I właśnie ten tryb życia sprowadził w końcu zgubę na nich oboje, a z dziecka uczynił sierotę...

- Wtedy wzięła pani na siebie obowiązek wychowania chłopca. - Edward przyglądał jej się teraz z ironicznym uśmiechem. - Już mnie nie dziwi, że masz, pani, liberalne poglądy. Musiałaś wyrobić sobie bardzo krytyczną opinię o arystokracji, jeśli prowadziłaś obserwację na przykładzie mojego brata. John nie był zbyt odpowiedzialnym człowiekiem ani finansowo, ani pod żadnym innym względem.

- A kto z pańskiej sfery jest? - spytała Pegeen. - Nie przypominam sobie żadnego członka Izby Lordów, który przejmowałby się bardziej dobrem zwykłego człowieka niż zawartością swojej kieszeni.

- Nie lubię rozmawiać o polityce z zielonookimi córkami pastora, gdy dookoła szaleje zawieja - powiedział Edward z rozbawieniem. - Ale dla usprawiedliwienia mojej sfery dodam, że gdyby pani albo jej ojciec spróbowali się z nami skontaktować, to na pewno dopilnowalibyśmy, żeby znalazły się pieniądze na wychowanie Jeremy'ego.

- Co?! - zaperzyła się Pegeen, zupełnie zapominając o swoim lęku przed spadnięciem z konia. - Mieliśmy przyjść na klęczkach z Applesby po ochłapy z pańskiego stołu, chociaż po ślubie Johna z Katherine wszyscy w rodzinie Rawlingsów niedwuznacznie dali nam do zrozumienia, że nie chcą mieć z nami nic wspólnego? Nie wiedzieliście o nas dosłownie nic, a jednak znienawidziliście wszystkich od pierwszej chwili!

- Spokojnie- powiedział Edward takim tonem, jakim mówi się do spłoszonej klaczy, i zachichotał. - Wrzuca pani wszystkich Rawlingsów do jednego garnka, jakbyśmy byli potrawką. Tymczasem ja nie jestem odpowiedzialny za postępowanie mojego ojca, choćbym nawet w swoim czasie mógł mu się sprzeciwić. - Pegeen parsknęła pogardliwie. - Mówię najświętszą prawdę, panno MacDougal. Kiedy John i pani siostra uciekli, byłem w Oksfordzie.

- Czyżby? I brat nic panu nie powiedział o swoich planach?
- Nigdy nie byliśmy z sobą blisko. Dzielily nas pewne różnice...

Urwał zaskoczony, gdy Pegeen wydała bardzo nieeleganckie parsknięcie. Nie umiała się powstrzymać, choć jej ojciec z pewnością byłby zgorszony takim zachowaniem.

- Subtelnie pan to ujął!
- Czy tak bardzo różnię się od Johna? - W jego tonie usłyszała powątpiewanie. Bardzo ja to zaintrygowało. Czy Edward wiedział, że John był swarliwym, ordynarnym pijakiem? Pegeen nigdy nie mogła zrozumieć, co Katherine w nim widzi, rzecz jasna oprócz miłej twarzy i niewyczerpanej sakiewki.

- Sam pan wie - odrzekła, nie zamierzała jednak mu schlebiać. Była pewna, że lord Edward Rawlings ma mnóstwo przyjaciółek, które uprzyjemniają mu życie pochlebstwami i nie tylko. Nie zamierzała ulec jego wdziękom. Zresztą i tak nie powiedziała by nic więcej, bo mimo wirującego wokoło śniegu nagle zauważyła z przodu jakiś kształt. Edward zerknął na nią z zaciekawieniem i podążył za jej wzrokiem.

- Aha - powiedział ze śmiechem, w którym nie było ani krzty ciepła. - Jesteśmy na miejscu. Oto Rawlings Manor.

Wrzosowisko się skończyło i wjechali w aleje obsadzoną bezlistnymi teraz dębami, prowadzącą po stoku na wzgórze. To na jego szczycie Pegeen dostrzegła zabudowania nazwane przez lorda Edwarda Rawlings Manor. Główny budynek był dwupiętrowy, a w pomniejszych dookoła musiały się mieścić stajnie i wozownia, zapewne mieszkali tam również dzierzawcy. Dwór wyglądał na wzgórze jak łabędź na jeziorze. Pegeen była przekonana, że z okien górnego piętra, wychodzących na południe, w pogodne dni ciągnie się malowniczy widok na wieś w dolinie.

- Och, jak pięknie - westchnęła, nie zdając sobie sprawy z tego, że wypowiedziała te słowa na głos. Nigdy nie widziała niczego podobnego. Nawet zaczęła się zastanawiać, czy los Katherine nie

ułożyły się inaczej, gdyby John przywiózł ją do rodowej siedziby Rawlingsów.

- Tak pani uważa? - Chyba go rozbawiła. - Mnie ten dwór zawsze wydawał się dość monstualny. I niezbyt fortunnie położony. Zimą wiatry znad wrzosowisk hulają po całym domu. Mnóstwo czasu traci się na ogrzewanie. Ale mój praprapradziadek Rawlings nie był zbyt praktyczny, za to koniecznie chciał mieć widok na wrzosowiska.

Pegeen prawie go nie słyszała. Pochłonęły ją własne myśli. Wydawało jej się niemożliwe, że zaledwie przed kilkoma tygodniami wykańczali z Jeremym węgiel z szopy i zastanawiali się, skąd wziąć pieniądze na następny. A teraz nagle nie muszą dłużej martwić się ani o opał, ani o pieniądze. Żeby przez dwa tygodnie był człowieka tak całkowicie się zmienił... To było jak rozdział z bajki Jeremy'ego.

Tymczasem Edward puścił konia galopem, spod kopyt zwierzęcia trysnęły bryłki śniegu i żwir. Przemknęli między dębami i dojechali pod szerokie schody prowadzące do ciężkiej, dwuskrzydłowej bramy. Światła bijące z okien dworu malowały na schodach wesołe wzory. Bramę otwarto, zanim jeszcze Edward powściągnął konia. Ukazali się dwaj mężczyźni w pudrowanych perukach i zielono-białych liberiach. Obaj szybko zbiegli po zaśnieżonych schodach.

Tylko dzięki nadzwyczajnym umiejętnościom jeździeckim i pomocy obu lokajów Edward zdołał doprowadzić rozgrzanego ogiera do samych schodów, by mogli z Pegeen zsiąść. Mimo fatalnej pogody zwierzęciu wcale nie spieszyło się do stajni.

- Och, milordzie - zabrzmiał kobiecy głos. Pegeen ujrzała w bramie pulchną postać. - Jak dobrze, że bezpiecznie wróciłeś do domu. Taki straszny wypadek i w dodatku pogoda, że psa strach wygonić na dwór. To doprawdy szczęście, że udało się panu znaleźć konia. Jak się mają młody książę i jego ciotka?

- Proszę sprawdzić osobiście, pani Praehurst powiedział Edward, zdejmując z ramion ciężką pelerynę i otulając nią Pegeen. - Przywiozłem jedną z ofiar straszliwej katastrofy powozu.

Kobieta wydała okrzyk trwogi i wyszła na kamienne schody. Pegeen przekonała się, że pani Praehurst jest kręłą osobą w średnim wieku. Sądząc po kółku z kluczami, które miała na łańcuchu przy pasku, musiała być ochmistrzynią.

Wiatr szarpał jej czepek, przykrywający siwiejące włosy, ale pani Praehurst nie zwracała na to uwagi. Odwróciła się i krzyknęła:

- Panie Evers! Rosie, idź po pana Eversa. Powiedz mu, że wrócił lord Edward i przywiózł... - Urwała i spojrzała na Pegeen przez okulary w złotej oprawce. - Kim jest ta młoda dama, milordzie? To chyba nie Maggie Herbert? W taki dzień?

- Stanowczo nie - potwierdził Edward. Zeskoczył z siodła i wyciągnął ramiona do Pegeen. W oczach migotały mu figlarne ogniki. Pegeen przygryzła wargę i z lękiem spojrzała w dół.

- Proszę na dół - powiedział, próbując rozgiąć jej palce zacisnięte na końskiej grzywie. - Obiecuję, że pani nie upuszczę, jeśli to budzi pani obawy.

Pegeen splonęła rumieńcem. Ostrożnie objęła jednak Edwarda za szyję, mocno zacisnęła powieki i zsunęła się w jego objęcia tak, jakby robiła to codziennie.

Edward nie postawił jej na ziemi, lecz wziął na ręce i wniósł do wnętrza domu z taką łatwością, jakby niósł dziecko.

- Na miłość boską- zaprotestowała Pegeen. Nie jestem kaleką. Mogę iść sama.

- Tu jest ślisko - odparł Edward, chociaż sam zdawał się nie mieć kłopotów ze znalezieniem pewnego oparcia dla stóp. I mokro.

- Jestem przemoczona do suchej nitki. Nie rozumiem, co za różnica...

- Czy ktoś kiedyś pani powiedział, że za dużo mówi? Zanim Pegeen zdążyła się odciąć, Edward już wołał ochmistrzynię.

- Pani Praehurst! Czy mogę przedstawić ciotkę jego wysokości, pannę Pegeen MacDougal?

Pani Praehurst popatrzyła na nią z wyraźnym zdumieniem.

- Ojej - powiedziała i dygnęła. - Ojej, panno MacDougal... Proszę mi wybaczyć. Dopiero przy świetle... pani tak młodo wygląda... Mam nadzieję... - Ochmistrzyni spróbowała zmienić temat. - Czy pani rana nie jest poważna?

- Nie, dobrze się czuję, dziękuję - grzecznie odrzekła Pegeen. Edward stanowczo ruszył naprzód, wciąż trzymając ją na rękach. Doprawdy trudno jej było zachować ton pełen godności, gdy traktowano ją jak worek mąki. - Bardzo mi miło...

- Evers! - Edward zagrzmiął tak, że aż się wzdygnęła. Gdy znowu otworzyła oczy, była w wielkiej sali. Strop znajdował się tak wysoko nad głowami, że jedyną porównywalną budowlą wydał się Pegeen kościół, w którym jej ojciec był proboszczem.

Z krokwi zwisały wielkie żyrandole, dające mnóstwo światła. Tak właśnie Pegeen wyobrażała sobie prawdziwą wielką salę we dworze: olbrzymia przestrzeń niesłużąca żadnemu konkretnemu celowi. Umeblowanie składało się z kilku kompletów tapicerowanych krzeseł, było też kilka znośnych martwych natur na ścianach i staroświeckich dywanów na kamiennej posadzce. Dwukondygnacyjne schody obejmowały pierścieniem przejście do sali jadalnej i prowadziły na krużganek, który obiegał trzy ściany sali na wysokości pierwszego piętra. Ogrzanie tak olbrzymiego pomieszczenia prawdopodobnie kosztowało tyle, że za te same pieniądze można by żywić całą rodzinę z Applesby przez dziesiątki lat.

Pegeen nie zdążyła się jednak wszystkiemu dokładnie przyjrzeć, gdyż przestraszył ją następny tubalny okrzyk lorda Edwarda.

- Evers!

Tym razem wołanie odniosło skutek, bo przez boczne drzwi niespiesznie wszedł do sali spokojny, starszy mężczyzna.

- Słucham, milordzie.

Nie wydawał się ani zaskoczony, ani szczególnie zainteresowany tym, że jego pan ma na rękach młodą kobietę.

- Nareszcie jesteś, Evers - powiedział Edward. Czy Robert...

- Robert doszedł do dworu przed chwilą. Właśnie dostał brandy. To jest, jak wnoszę, ciotka jego wysokości? Nie czekając na odpowiedź, Evers zwrócił się do Pegeen takim tonem, jakby mówił do królowej: - To dla mnie zaszczyt, panno MacDougal.

- Kazałam przygotować dla pani różowy pokój powiedziała pani Praehurst i wyminęła ich, dźwięcznie pobrzękując kluczami. Zamknęła już frontowe drzwi i poleciła służącej osuszyć topniejący śnieg w wianach z zewnątrz. - Już pali się ogień w kominku, zaraz przygotujemy kąpiel. No, i po podróży w taki mróz trzeba się rozgrzać od środka. Rosie, biegnij do kucharki i powiedz, że pan, to znaczy lord Edward, jest w domu i chce coś rozgrzewającego do picia.

- Dla mnie tylko brandy - powiedział Edward. Sprężystym krokiem podszedł do schodów w głębi wielkiej sali. Sir Arthur Herbert przywiezie nam doktora. Gdy doktor się tu stawi, proszę natychmiast przysłać go do pokoju panny MacDougal.

Ktoś powitał ich okrzykiem z krużganka Pegeen podniosła głowę. Elegancko ubrany mężczyzna w wielku zbliżonym do Edwarda, czyli mniej więcej trzydziestu lat, przechylił się przez balustradkę, trzymając w dłoni kieliszek bursztynowego trunku.

- Hej-ho, Edwardzie - zawołał jowialnie. Dokąd nam uciekłeś? Arabella już od tygodnia twierdzi, że lada chwila powinienes wrócić. - Jasnowiąsy dżentelmen upił łyk ze swojego kieliszka i znowu na nich spojrzął. - A kogo my tu mamy? Czyżby Maggie Herbert? Do diabła, jak to dziecko wyrosło!

Edward zmienił pozycję i Pegeen instynktownie objęła go za szyję, żeby jej nie upuścił. Zaraz jednak się zawstydzila, zrozumiała bowiem, że chciał tylko ciasniej otulić ją peleryną, żeby nie nastąpić na rąbek ciągnący się po ziemi. Edward spojrzął na nią, a na zmysłowych wargach zagrał mu uśmiešek. Szybko odwróciła

wzrok. Niestety, w obecnej sytuacji jedyną ucieczką był dla niej upadek na kamienną posadzkę.

- Kim jest ten mężczyzna, który tak krzyczy? - spytała, żeby ukryć zakłopotanie.

- To jest pan Alistair Cartwright, którego poznałem w dzieciństwie, gdy wysłano mnie do szkoły. Nie ma swojego domu, więc gościnnie korzysta z mojego.

- A ta Arabella? - zainteresowała się Pegeen. - To pańska kochanka?

Jego uśmiech zmienił się w grymas dezaprobaty.

- Jak to możliwe, że w takiej miłej buzi kryje się taki niewyparzony język?

- Sprzyjam liberałom - przypomniała mu Pegeen. - Niewyparzony język stanowi moje jedyne narzędzie obrony, nie mam bowiem ani znaczących dochodów, ani majątku.

Edward spojrzął na nią jeszcze surowiej. Pani Praehurst, niezainteresowana ich rozmową, podkasła spódnice i z szelestem zaczęła się oddalać po krętych schodach.

- Pójdę przodem, milordzie, i przygotuję łóżko panny MacDougal.

- Panny MacDougal? - Jasnowiąsy mężczyzna, który według Edwarda nazywał się Alistair Cartwright, omal nie upuścił kieliszka na dół. Na szczęście zdołał złapać go w powietrzu. Zanim Edward wszedł za panią Praehurst na krużganek, jego przyjaciel zdołał się opanować. Trudno mu jednak było ukryć zaciekawienie osobą panny MacDougal.

- Witam, witam - powiedział do niej, ignorując Edwarda. - Proszę pozwolić, że się przedstawię, skoro mój wyjątkowo źle wychowany gospodarz nie chce dokonać tej ceremonii. Jestem Cartwright. Alistair Cartwright.

Edward przyspieszył kroku i dalej szedł za panią Praehurst. Pegeen musiała wyciągnąć szyję, żeby przyjrzeć się Alistairowi nad ramieniem Edwarda.

- Miło mi, panie Cartwright - odpowiedziała uprzednie Jak pan się miewa?

Alistair nie dorównywał wzrostem ani posturą gospodarzowi, ale był przystojny i bardzo modnie ubrany. Pegeen nigdy nie widziała halsztuka z tyłoma falbanami.

- Zanim pani przyjechała, panno MacDougal, miałem się doprawdy nie najlepiej. - Alistair Cartwright podreptał za nimi po miękkim dywanie niczym dobrze ułożony piesek. Strasznie tu było nudno podczas nieobecności Edwarda. Ale muszę powiedzieć, że pani oryginalna uroda rozświetla te stare okropnie.....

- Cartwright- warknął Edward. Pegeen aż poczuła ten wibrujący dźwięk. - Nie radzę.

- Litości, Rawlings. - Alistair raptownie przystanął, gdy pani Praehurst zaczęła manipulować kluczami przed ozdobnymi, rzeźbionymi drzwiami przy końcu słabo oświetlonego korytarza. - Panna MacDougal i ja musimy się poznać.

- Ostrzegłem cię - burknął Edward. Pegeen zerknęła na jego wyrazisty profil i przekonała się, że zaciska usta. Oczywiście mu groźnie. - Zapominasz, jak bardzo nie lubię się powtarzać.

Alistair sprawiał wrażenie całkowicie odpornego na połajanki przyjaciela. Oparł się o bogato rzeźbioną boazerię, i westchnął,

- Chyba tymczasem się pożegnamy, panno MacDougal.

- Zmykaj, Cartwright. - Gdy pani Praehurst przekreciła klucz w zamku, Edward otworzył drzwi energicznym kopnięciem Pegeen zerknęła na ochmistrzynię, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarło na niej to barbarzyńskie zachowanie, ale pani Praehurst tylko spojrzała błagalnie w górę. Pegeen dobrze знаła ten gest, powtarzała go bowiem nieraz, gdy Jeremy zrobił coś wyjątkowo głupiego.

Różowy pokój, do którego wniósł ją Edward, w pełni zasługiwał na swoją nazwę. Miał kosztowne meblowanie, a obicia były utrzymane w różnych odcieniach różu i fioletu. Tapete zdobiły nadrukowane pierwiosniki; w ogóle było to niezwykle kobiece wnętrze. Ale chociaż w kominku rozpalono ogień, a w wazonie

przy łożu z baldachimem ustawiono świeże cięte kwiaty, Pegeen natychmiast zauważyła, że pokoju od pewnego czasu nie używano. Jego ostatnią mieszkanką musiała być księżna Rawlings, czyli matka lorda Edwarda, która zmarła przed prawie dwudziestoma laty.

Pani Praehurst nie dała jej jednak poznać, czy ten domysł jest słuszny, bo wnet odchyliła grubą, puchową kołdrę, i oczom Pegeen ukazała się śnieżnobiała bielizna pościelowa.

- Proszę, panno MacDougal. - Jeszcze potrząsnęła poduszkami, które kilka godzin wcześniej bez wątplenia solidnie wytrzępano. - Mam nadzieję, że ten pokój odpowiada pani upodobaniom.

~ Jest uroczy - całkiem szczerze odrzekła Pegeen. Wzruszyły ją zwłaszcza kwiaty. Nie miała pojęcia, jak można postarać się o róże w listopadzie, widocznie jednak pochodziły one ze szklarni Rawlingsów. W tej sprawie lord Edward zapewne nie kłamał.

Edward nie zatrzymał się na progu, tylko śmiało podszedł do łoża i z niezwykłą delikatnością ułożył Pegeen na pościeli. Normalnie śmiałyby się z tego, że ktoś traktuje ją jak porcelanową filiżankę, ale gdy lord Edward cofnął ręce, zsunął jej się czepek i wtedy odsłoniło się rozcięcie skóry. Pani Praehurst głośno nabrała powietrza.

- Ach, jaka brzydka rana! - zawołała. - Biedactwo. Ojej, zbladła jak te prześcieradła, słowo daję!

- Gdzie jest Evers z brandy?! - Edward okazywał silną irytację. Musiał być niezwykle wymagającym chlebobdawcą. Pegeen zrobiło się trochę żal pani Praehurst. - Cartwright, nie gap się tak. Przynieś coś mocniejszego, człowieku! Nie widzisz, że panna nam mdleje?

Pegeen z wysiłkiem uniosła powieki, które nagle zaczęły jej ciążyć. Nie zemdleje. Jeszcze nigdy w życiu jej się to nie zdarzyło. Krzepkie Szkotki, córki pastorów, nie mdleją. Nie jest przecież byle damą z towarzystwa. Mimo to musiała przyznać, że ogarnia ją senność. Może gdyby zamknęła oczy tylko na minutę, to...

- Jesteśmy, milordzie - rozległ się śpiewny głos kamerdynera. Pegeen usłyszała brzęk kryształowych szklaneczek i odgłos korka wyciąganego z karafki. - Kucharka przysyła też poncz

- Do diabła z ponczem - zaklął Edward. - Nalej brandy Panna straciła przytomność.

Pegeen siłą woli uniosła powieki. Zobaczyła tuż przed sobą zatroskane oczy pani Praehurst. Ochmistrzyni, nachylona nad nią, zdejmowała jej rękawiczki, rozpiniała pelisę i rozwiązywała kokardę czepka.

- Już wszystko dobrze, moja miła - powiedziała ciepło, ostrożnie zsuwając jej czepkę z głowy. Zręcznie odgarnęła z twarzy potargane włosy. - Ojej, ta rana wygląda na głęboką. Mam nadzieję, że...

- Przepraszam, pani Praehurst... - Edward precyzyjnie się za jej obfitą tylną częścią ciała, trzymając w dłoni kieliszek tego samego bursztynowego trunku, którym wcześniej raczył się jego przyjaciel, Pegeen zwróciła uwagę na zafrasowany wyraz twarzy Edwarda, sądziła jednak, że chodzi o opieszałość służby, a nie o nią. Bądź co bądź, znali się dopiero tydzień, a w tak krótkim czasie trudno poczuć do drugiej osoby coś więcej niż zwykłą żądzę, którą w człowieku pokroju lorda Edwarda Rawlingsa niewątpliwie budziła każda przechodząca służąca.

- Wypij to, pani- polecił surowo Edward i podsunął jej kieliszek pod nos. Intensywny bukiet alkoholu przyprawił ją o łzy. W milczeniu pokręciła głową. Nie miała zamiaru wypić ani kropli tej ohydnie pachnącej cieczy.

- Nie macie whisky? - zdołała wyszeptać. Zauważyła wielkie oczy pani Praehurst, ale zupełnie nie rozumiała, co ochmistrzynię tak zdziwiło.

- Wypij to, pani. - Natychmiast przypomniała sobie, jak mówił, że nie lubi się powtarzać. Obrzuciła go spojrzeniem pełnym złości, ale posłusznie wzięła kieliszek, zamknęła oczy i upiła łyk piekącego płynu. Na ciepło, które poczuła w przełyku, zareagowała od-

ruchowo: ujęła kieliszek w obie dłonie, przytknęła do warg i jednym haustem dopiła całą jego zawartość.

Edward wziął od niej pusty kieliszek i przyjrzał się, jak Pegeen drżącą ręką ociera piekące oczy. Nie wiadomo skąd w jego dłoni pojawiła się świeża chustka. Podał ją Pegeen. W szarych oczach nie było już złości.

- Lepiej? - spytał, gdy pociągnęła nosem.

Skinęła głową. Brandy była wyborna, rozgrzała ją od środka, nawet skostniałe palce u nóg. Również ból głowy stępiał i nie wydawał się już taki dokuczliwy. No, no. Brandy była nawet lepsza niż whisky!

- To dobrze. - Edward oddał pusty kieliszek kamerdynerowi, ten zaś podał mu drugi, ze znacznie większą ilością trunku. Edward zajrzał do kieliszka, potem przeniósł spojrzenie na Eversa i po groziwszy mu palcem, wypił wszystko do dna.

Pani Praehurst zerknęła na niego groźnie znad krawędzi okularów, a potem wykorzystując swe prawa, nabyte w ciągu długoletniej służby, gestem nakazała panu się oddalić, sama zaś zaczęła rozpinąć długi rząd guzików z przodu podróżnej sukni Pegeen.

- Mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu - zaczęła ochmistrzyni - ale lady Herbert i ja doszliśmy do wniosku, że przyda się pani osobista służąca, więc sprowadziliśmy Lucy Alcott z seminarium dla panien. Wiem, że ostatnio są w modzie Francuzki, ale było mało czasu, a poza tym pan Evers nie lubi Francuzów. Chyba nie...

Pani Praehurst dalej przemawiała, a Pegeen zainteresowało, na co patrzy Edward. Podążywszy śladem jego wzroku, stwierdziła, że przygląda się jej piersiom, wyraźnie widocznym przez cienki muślin bluzki. Zacerwieniła się po uszy i przesłała mu karcące spojrzenie. Gdy je pochwycił, również spłonął rumieńcem, co bardzo zdziwiło Pegeen. Jeśli był takim doświadczonym mężczyzną jak sądziła, to dlaczego się zawstydzil?

Ponieważ jednak sama też nie czuła się swobodnie, zwróciła się do ochmistrzyni:

- Pani Praehurst, myślę, że pomoc lorda Edwarda nie jest już konieczna.

Pani Praehurst podniosła wzrok znad mankietu, który właśnie rozpiniała, i spojrzała wymownie na mężczyzn stojących na progu.

- Stanowczo nie!

Puściwszy rękę Pegeen, podeszła do swego pana i jego kamerdynera. Nie trzeba im było czynić więcej uwag. Obaj wykonali grzeczne ukłony i wycofali się na korytarz, gdzie Alislan Cariwright powitał ich radosnym okrzykiem.

Pani Praehurst energicznie zamknęła za nimi drzwi i kręcąc głową, wróciła do Pegeen.

- Proszę im wybaczyć, panno MacDougal powiedziała typowo dla siebie ciepłym, lecz bardzo rzeczowym łonem W Rawlings nie mieszka żadna dama od... ho, ho, od śmierci księżnej, czyli od bardzo wielu lat.

Pegeen uznała, że jej domysł był słuszny. Znalazła się rzeczywiście w dawnym pokoju księżnej.

- Naturalnie często odwiedzają nas tutaj przyjaciółki lorda Edwarda z Londynu, ale już długo żadna dama nie mieszka tutaj na stałe.

- Czy lord Edward często wydaje duże przyjęcia zainteresowała się Pegeen.

- Och, nieraz zjeżdża tutaj cały Londyn odrzekła z nieukrywaną dumą pani Praehurst. - Naturalnie Rawlings Manor słynie z dobrej kuchni, poza tym lord Edward lubi polować Jego stajnie należą do najlepszych w Anglii. Nawet księżę Walii...

Rozległo się ciche pukanie, więc pani Praehurst poszła otworzyć drzwi. To była Lucy Alcott. Miła rudowłosa dziewczyna uśmiechnęła się nerwowo do Pegeen i natychmiast została przegoniona przez panią Praehurst do łazienki połączonej z sypialnią, gdzie wkrótce służba miała przynieść gorącą wodę na kąpiel

Nadejście służącej widocznie rozproszyło panią Praehurst, bo zapomniała o księciu Walii i zaczęła mówić z pewnym niepo-

kojem - o znajomych Edwarda, którzy mieli licznie się stawić w następnym tygodniu na bal i polowanie. To przyjęcie planowano już od dawna, więc lord Edward nie widział powodu, by je odwołać z powodu niespodziewanego odnalezienia się dziedzica Rawlings.

- Jeszcze niedawno - ciągnęła ochmistrzyni z zakłopotaniem - mieliśmy podstawy, by sądzić, panno MacDougal, że jest pani znacznie starsza, niż się okazało, i nie będzie pani miała nic przeciwko...

Pegeen nie mogła powstrzymać uśmiechu. Lord Edward zapewne sądził, że zasuszona stara panna będzie skakać do góry z radości, mając okazję zjeść kolację w eleganckim towarzystwie.

- Rozumiem - powiedziała. - A czy to, że... jak taktownie zwrócił mi uwagę lord Edward, dopiero co skończyłam szkołę i nigdy nie byłam w Londynie podczas sezonu, przeszkadza w zamierzonym przyjęciu?

- Nie, skądże - zapewniła ją pani Praehurst, nieco zbyt skwapliwie. - Przyjedzie również kilka dam w pani wieku. Będą na przykład starsze córki sir Arthura. Przypuszczam, że już je pani poznała. - Pegeen skinęła głową, a ochmistrzyni mówiła dalej z oczami lśniącymi od dumy. - To miłe dziewczęta. Lord Edward zaprasza tutaj tylko najlepsze rodziny. Będą: lord Derby z rodziną, markizostwo Lynne z dziećmi, baronet sir Thomas Caine, wdowa lady Seldon i naturalnie wicehrabina Ashbury... - Pani Praehurst urwała i dobrodusznie się rozeźmiała. - Och, zapomniałam się! Przecież żadne z tych nazwisk nic dla ciebie nie znaczy, moja droga. Musisz mi przerywać, jeśli za dużo mówię. Jestem już stara i zanadto lubię plotkować.

Pegeen wątle się uśmiechnęła. Gdyby ochmistrzyni wiedziała, że ta wspaniała lista gości bardziej ją rozdrażni, niż wprawi w zachwyt, to z pewnością w porę zmieniłaby temat. Perspektywa nawiązania znajomości z kilkunastoma utytułowanymi gośćmi i spędzenia z nimi weekendu wydawała się Pegeen bardzo przykra.

O czym, u licha, miałyby rozmawiać z wdową lady Seldon albo na przykład z markizą Lynne? O złych warunkach w londyńskich przytułkach? O potrzebie zreformowania prawa o pracy dzieci? Naturalnie bowiem wiedziała, że będzie musiała wziąć udział we wszystkich punktach programu, od wieczornego wista po polowanie z nagonką. Psiakostka!

Musiała porozmawiać na ten temat z lordem Edwardem. Nie mogła pozwolić, by oczekiwano od niej spędzania dni na jałowych pogawędkach z dostojnymi wdowami i ich nierozgarniętymi córkami. Nie знаła londyńskiego towarzystwa, więc w plotkach nie mogła brać udziału, nawet gdyby to lubiła. Nic miała talentu do ręcznych robótek ani do muzyki, nienawidziła polowań, a hazardem gardziła. Boże, co robić? Może powinna skontaktować się z miejscowym proboszczem i zaproponować mu pomoc w parafii? Stanowczo wolała opiekować się chorymi, niż dygac przed bogaczami.

Służące przyniosły gorącą wodę do kąpieli, więc pani Praehurst skierowała je do łazienki, co dało Pegeen chwilę odpoczynku od gadania ochmistrzyni. Znów zapukano do drzwi i tym razem pani Praehurst wprowadziła krępego, starszego mężczyznę i przedstawiła go jako pana Parksa, miejscowego doktora. Pan Parks przyniósł z sobą czarną torbę. Był w doskonałym nastroju i pachniał brandy, z czego zapewne wynikało, że Evers już zdążył się nim zająć. Pegeen nie była jednak szczególnie zainteresowana tym, co medyk ma do powiedzenia o jej ranie. Bardziej interesował ją Jeremy. Czy już dotarł do Rawlings? Czy nic mu się nie stało? Kiedy będzie mogła go zobaczyć?

Pan Parks odpowiedział twierdząco na dwa pierwsze pytania, a przy trzecim pogroził jej palcem.

- Najpierw muszę się przekonać, co ci dolega, dziewczynko - powiedział, a gdy pani Praehurst znacząco chrząknęła, natychmiast się poprawił: - To znaczy, panno MacDougal.

Z pomocą Lucy pani Praehurst zdołała zaczesać część włosów

Pegeen w taki sposób, żeby doktor mógł obejrzeć rozcięcie skóry. Dopiero jednak zobaczywszy gwałtowną reakcję swojej służącej na skaleczenie, Pegeen zrozumiała, że może ono być głębsze i poważniejsze, niż sądziła. Biedna Lucy wydała cichy okrzyk i zakryła dłonią usta, a drugą ręką wykonała znak krzyża. Natomiast pan Parks nie wykazał szczególnego zdziwienia i ograniczył się do zawodowego zainteresowania raną. Delikatnie obracał jej głowę, naciskał różne punkty czaszki, pytał, czy boli, potem pytał ją jeszcze, czy po wypadku odczuwała mdłości lub była zamroczona. Gdy Pegeen potwierdziła, skinął głową i zaczął oczyszczać ranę.

Potem powiedział pani Praehurst, że jest zaniepokojony skutkami uderzenia, choć naturalnie zamroczenie Pegeen mogło też być spowodowane wstrząsem po wypadku i długim dojazdem do Rawlings Manor. Nie zważając na protesty pacjentki, kazał ją budzić co dwie godziny, a gdyby okazało się wtedy, że Pegeen nie chce się ocknąć albo nie wie, co się dzieje, należało natychmiast po niego posłać. Pozwolił też nazajutrz dać chorej laudanum, w razie gdyby czuła bóle, po czym zaczął wymieniać czynności, których Pegeen miała nie wykonywać przez najbliższy tydzień. Były wśród nich jazda konna i szycie. Tym bardzo ucieszył Pegeen, która zyskała wspaniałą wymówkę od udziału w zabawach gości lorda Edwarda.

Wkrótce pan Parks opuścił Rawlings Manor, wydawszy pani Praehurst bardzo szczegółowe instrukcje co do stosowania laudanum. Zanim jednak ochmistrzyni wyprowadziła doktora z sypialni, drzwi pokoju nagle się otworzyły i wpadł przez nie ciemnowłosy człowieczek, który nie zważając na nic i nikogo, dopadł łoża z baldachimem.

- Pegeen! - zawołał Jeremy, rzucając się na pościel. Zrobił to tak gwałtownie, że krzyknęła z bólu. - Heeej! Czy on puścił ci krew?

Gdy Pegeen doszła do siebie, zmierzyła siostrzeńca krytycznym

okiem. Policzki miał czerwone, oczy lśniące, ale raczej z podniecenia niż z powodu choroby. Odruchowo chciała mu odgarnąć włosy z czoła. Pan Parks zawołał od progu dość rozbawionym tonem:

- Ej, młody człowieku! O czym rozmawialiśmy w powozie?

Jeremy nie zwrócił na niego uwagi.

- Czy puścił ci krew, Pegeen? - dopytywał się.

- Nie - odparła. - Powiedz lepiej, co ty sobie wyobrażasz, że wpadasz tu jak zbój? Nie możesz skakać po wszystkich meblach. Nie jesteśmy u siebie na plebanii...

Pan Parks wyminął zdezorientowaną panią Praehurst i chwycił malca za kołnierz.

- Młody człowieku - powiedział z udaną surowością. Wuj Edward powiedział ci, że ciocia potrzebuje spokoju. Bardzo mocno uderzyła się w głowę i źle się czuje...

- Wiem - odparł Jeremy zduszonym głosem, bo doktor odciągał go od łoża za kołnierz. - Gdyby nie wuj Edward, ciocia już by nie żyła. Sir Arthur zgniółby ją na placek. Pegeen, czy widziałaś tę poręcz na schodach w wielkiej sali? Czy wuj Edward byłby zły, gdybym tylko raz z niej zjechał? - Gdy pan Parks wyprowadzał go z pokoju, chłopiec wyciągnął szyję, by przyjrzeć się doktorowi. - Proszę natychmiast mnie puścić, panie - powiedział. To ja jestem tutaj księciem.

Pan Parks wybuchnął śmiechem, jakby Jeremy opowiedział mu dobry dowcip.

- Powiedz cioci dobranoc, wasza wysokość - odrzekł. Jeremy ostatni raz popatrzył na Pegeen i znalazł się za drzwiami.

- Nie martw się, Pegeen! - zawołał. - Odwiedzę cię po kolacji!

- Po obiedzie! - poprawił go doktor. - Ale nie przyjdiesz, nie wolno!

Lucy szybko zamknęła za nimi drzwi i oparła się o nie plecami. Wydawała się zaskoczona. Również pani Praehurst, stojąca w drugim końcu sypialni, miała bardzo zdziwioną minę.

- Hm, jego wysokość wydaje się bardzo żywym młodym człowiekiem - powiedziała tylko.

Pegeen była zbyt zmęczona, by toczyć z nimi spory. To prawda, że Jeremy jest żywy, pomyślała, ale tacy sami są wszyscy dziesięcioletni chłopcy. Czego innego można by się spodziewać? Miniaturki lorda Edwarda? Ha!

Edward cisnął pelerynę na miękki fotel stojący w bibliotece i spytał sir Arthura:

- Co się stało z Katherine Rawlings?

Sir Arthur zakrztusił się brandy. Edward spojrzął na zarządcę ze współczuciem. Biedak dopiero co przeżył wypadek powozu i spędził dwie godziny na mrozie z nieznośnym młodym człowiekiem. Teraz z pewnością chciał po prostu spokojnie posiedzieć przy ogniu, sącząc brandy, a tymczasem chlebodawca dręczy go pytaniami. Niemniej jednak musiał zadać te pytania.

- Co masz na myśli, Edwardzie? - spytał Alistair, wygodnie siedzący w głębinach fotela, również z kieliszkiem w dłoni. - Zdaje mi się, że ona nie żyje. Zmarła po tym, jak twój brat zginął w pojedynku.

- Tak, ale w jaki sposób? Z jakiego powodu?

- Milordzie - sapnął sir Arthur, który z wolna dochodził do siebie. Jego nalana twarz przybrała odcień czerwonych, aksamitnych zasłon. - Po odejściu twojego brata, lorda Johna, jego nieszczęsna żona wkrótce zmarła w Wenecji z wyczerpania.

- Czy ma pan na to dowód? - Edward usiadł na zgnilozielonej

kanapie, lecz nie przybrał swobodnej pozy, czekał na odpowiedź pochylony do przodu, z łokciami wspartymi na kolanach.

- Świadczenia zgonu nigdy nie widziałem - przyznał sir Arthur.

- Ale panna MacDougal zapewnia mnie, że chłopca zostawiono pod jej opieką jakieś dziewięć i pół roku temu, gdy jej siostra na krótko wróciła do Anglii po śmierci męża.

- Do tego miejsca wszystko wydaje się prawdopodobne - przyznał Edward. - Panna MacDougal ma chyba znacznie bardziej rozwinięty instynkt macierzyński niż jej siostra. Zostawienie u niej syna było zapewne najrozsądniejszym uczynkiem, na jaki zdobyła się żona Johna w swym krótkim życiu.

Alistair przybrał zadumaną minę.

- Chłopiec miał szczęście, nie sądzisz? Sam chciałbym, żeby wychowywała mnie ciotka, która tak wygląda. Co za oczy! A jaki stan!

Edward zmierzył rezydenta Rawlings Manor morderczym spojrzeniem. Sytuacja była gorsza niż w jego najczarniejszych przewidywaniach.

- Zostaw jej stan w spokoju! Ta panna jest tutaj pod moją osobistą opieką. Nie mogę pozwolić na to, żeby wyjechała. Tylko ona może mnie ocalić przed książęcym tytułem. Nie waz się jej obrazić, Cartwright.

- Czy to znaczy, że ona łatwo się obraża? - spytał Alistair z przewrotnym uśmiechem.

Edward potarł szczękę, przypomniawszy sobie siłę jej ciosu.

- Dość łatwo - powiedział. - Zapamiętaj sobie, Alistairze. Panna MacDougal nie jest z naszej sfery. Ona...

Urwał, nie bardzo bowiem wiedział, co dalej. Kłopot polegał na tym, że nie miał zielonego pojęcia, jak należy traktować pannę MacDougal. Miał bogate doświadczenia z kobietami, ale zameźnymi. Nie wiedział, jak zachowywać się w obecności młodych, zasadniczych panien, a chociaż podejrzewał, że panna MacDougal nie mieści się w tej kategorii, to nie umiał wymyślić innej, odpowiedniejszej.

Postanowił więc traktować ją jak córkę pastora, którą przecież była. Alistair musiał się do tego dostosować.

- Jest bardzo młoda - dokończył, choć czuł, że to stwierdzenie do niczego nie prowadzi. - I niedoświadczona. Dlatego trzymaj się od niej z dala.

Alistair zrobił figlarną minę.

- Czy właśnie tym zajmowałeś się w Londynie? Trzymaniem się z dala od niej?

- Starałem się. - Edward zrobił kwaśną minę.

Nie był szczególnie zadowolony z tygodnia spędzonego w stolicy z panną MacDougal i jej siostrzeńcem. Jeszcze nie zaczął się sezon, więc jego znajomi niemal bez wyjątku przebywali w swoich wiejskich rezydencjach. Wszystko, co było do obejrzenia, już widział, a Arabella chyba jeszcze nie przyjechała, dlatego wieczory spędzał w klubie na Pall Mall, grając w karty z nielicznymi współtowarzyszami. Czasem wynajmował powóz i z braku lepszego zajęcia jeździł nim do późna po Vauxhalls.

Czuł, że powinien unikać jak ognia towarzystwa panny MacDougal. Było mu wszystko jedno, gdzie jest i co robi. byle nie znaleźć się blisko niej i jej piekielnych zielonych oczu.

Najpierw próbował zapomnieć o ich pocałunkach, ale im bardziej się starał, tym bardziej dochodził do przekonania, że panna Pegeen MacDougal jest wyjątkowo niebezpieczną młodą kobietą. Nawet nie dlatego, że całowała go tak, jak żadna z jego kochanek tego nie robiła, tak jakby było to całkiem szczerze. Nie. Pegeen MacDougal była niebezpieczna, ponieważ całowała właśnie w ten sposób, a nie była niczyją żoną ani kochanką.

To zaś znaczyło, że panna może się w każdej chwili zakochać. I kogoś może tym uczuciem obdarzyć.

Tymczasem Edward był na takim etapie życia, że nie wyobrażał sobie, jak mógłby się zakochać w zielonookiej córce pastora, która deklaruje sympatię dla liberalów i pomaga przy porodach prostytutki. To było po prostu niemożliwe. Przecież, aby ją mieć,

musiałby się z nią w końcu ożenić, a małżeństwo bardzo komplikuje życie. Czyż Arabella nie była tego żywym świadectwem?

Aby więc uniknąć miłosnych pułapek, Edward spędzał jak najmniej czasu w towarzystwie tej panny. I zdawało mu się, że wybrał słuszną metodę. Nawet gratulował sobie w myślach, że uniknął niebezpieczeństwa.

Tak mu się zdawało.

- Pamiętaj, trzymaj się z dala od niej -jeszcze raz stanowczo pouczył Alistaira. - Wyobraź sobie, że to jest jedna z córek Herberta.

Alistair zerknął na krępego zarządcę.

- Nie mówisz poważnie.

Sir Arthur wydawał się całkowicie zdezorientowany. Wpatrywał się w kieliszek brandy, jakby tam mógł znaleźć odpowiedzi, których szukał.

- Milordzie - odezwał się wreszcie z namaszczeniem. - Oba wiam się, że za wolno myślę, by za tobą nadażyć. Czy coś, co powiedziała panna MacDougal, dało ci powód do przypuszczeń, że lady Katherine wciąż żyje?

Edward się zawahał.

- Nie. Tylko wydaje mi się dziwne, że mówi o siostrze w czasie terazniejszym. Powiedziała, że jej siostra jest uroczą. Nie, że była, tylko jest.

Sir Arthur się obruszył. Wyprostował się na fotelu i odkaszlnął.

- Milordzie, muszę wyrazić oburzenie tymi sugestiami. Do kładnie badałem historię rodziny. Pegeen MacDougal jest młodszą córką Gavina, niedawno zmarłego proboszcza parafii Applesby pod Aberdeen. Starsza siostra zostawiła pod jej i ojca opieką jego wysokość księcia Rawlings, gdy chłopiec był jeszcze niemowlęciem. Było to wkrótce po przedwczesnej śmierci lorda Johna. Potem Katherine wróciła na kontynent i umarła we Włoszech bez pensa przy duszy.

Edward splótł ramiona i rozsiadł się wygodniej na ciemnozielonej kanapie.

- Nie wierzę w to - oznajmił. - John w chwili śmierci musiał mieć około dwudziestu tysięcy funtów. Jak Katherine mogłaby umrzeć bez pensa przy duszy?

- Wybacz mi, milordzie, ale wszystko wskazuje na to, że twój brat poświęcił swoje ostatnie dni pijaństwu i hazardowi Grał na wyścigach, w ogóle nie myślał o rodzinie. Jak pamiętasz, milordzie, został zamordowany i zostawił swoje sprawy w skandalicznym nieporządku. Reszta jego pieniędzy poszła na spłacenie długów, które zaciągnął w licznych klubach, a także rachunków od krawca. Przykro mi, milordzie, jeśli to, co mówię, stanowi dla ciebie wstrząs, ale to prawda. Twój brat nigdy nie dbał o zapewnienie bytu żonie, i przez to biedaczka w końcu zmarła

Edward pokręcił głową. W zasadzie wierzył sir Arthurowi. John zawsze był samolubnym pijakiem szukającym towarzystwa kobiet. Ale nie podejrzewał brata o to, by zostawił rodzinę bez środków do życia. Z drugiej strony ta wiadomość jednak go nie zaskoczyła. Dwadzieścia tysięcy funtów karcianych długów! Nie dziwnego, że w końcu ktoś go zastrzelił.

Mimo woli ujrzał przed oczami Pegeen MacDougal: krucha, delikatna panna spoczywa w wielkim łożu, jej wielkie, szmaragdowe oczy kontrastują z pobladłą twarzą, a dookoła na poduszce leżą rozsypane ciemne, puszyste włosy. Kołnierzyk sukni był rozpięty na tyle, by przez chwilę Edward widział wierzch krągłej piersi, okrytej koronką... - Rozplótł ramiona i pochyliwszy się do przodu, odchrząknął.

- Katherine była bardzo młoda, gdy poślubiła mojego brata, prawda? Miała piętnaście lat, może szesnaście. Czyli obecnie miałyby dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Edward głośno rozmyślał. - Jak wygląda kobieta w tym wieku? Panna MacDougal twierdzi, że ma dwadzieścia lat, ale jej dałbym właśnie piętnaście.

Sir Arthur wybuchnął jowialnym śmiechem i klepnął się w kolano.

- Och, milordzie! Pewnie mógłbyś też odgadnąć wiek mojej najstarszej córki, Annę. Spróbuj. Tańczyła z nią w zeszłym miesiącu w Ashbury House. Jak myślisz, ile ma lat?

Edward starał się ukryć irytację. Nie dość, że nieustannie go wzywano, by umiłał czas zarządcy majątku mianowanemu przez jego ojca, to jeszcze musiał tańczyć z pięcioma jego córkami... Próbował sobie przypomnieć, która z nich ma na imię Annę. Ta z końskimi zębami czy ta piegowata? Wreszcie sobie przypomniał. Ta akurat była całkiem znośna.

- Siedemnaście. - Wzruszył ramionami wiedząc, że strzał będzie daleki od celu.

Miał rację. Sir Arthur znów z zachwytem plasnął się w kolano.

- Dwadzieścia jeden - wykrzyknął. - Dwadzieścia jeden. Od jąłeś jej cztery lata, milordzie. Virginia byłaby wniebowzięta, gdyby to usłyszała.

Edward wbił wzrok w czubki swoich butów, ubłoconych po całodziennym jeździe. Pomyślał o uroczej buzi, która przed chwilą patrzyła na niego z niezwykłą pogardą. Nie był w stanie sobie wyobrazić, że jego brat John ujmuje w dłonie podobną twarz. Edward wiedział przecież, że te dłonie były splamione czynami, których nawet po wielu latach nie mógł wspomnieć bez dreszczu obrzydzenia.

Znów zaczął przechadzać się po pokoju, ale przerwało mu pukanie do drzwi.

- Wejść - burknął. W bibliotece pojawił się jego osobisty służący. Zerknął niespokojnie na ubłocone buty pana.

- Milordzie, Evers powiedział, że wkrótce będzie podany obiad. Pozwoliłem sobie przygotować milordowi kąpiel i wyjąć strój wieczorowy.

- Dobrze, dobrze. - Edward zbył go gestem zniecierpliwienia. - Zaraz przyjdę się przebrać.

Służący nie przejął się tą szorstką odprawą. Skłonił głowę i opuścił pokój. Alistair z przeciągłym, głośnym westchnieniem wstał z fotela i powiedział:

- Jeśli Daniels sprawdza, czy zdążysz się przebrać, to mój Knowlton na pewno odchodzi już od zmysłów. Zobaczmy się, panowie, na obiedzie. - Na progu jeszcze przystaną! i spojrzął na Edwarda. - Czy mam rozumieć, że będziemy dziś pozbawieni towarzystwa uroczej panny MacDougal?

- Najprawdopodobniej tak. - Edward sam był zaskoczony swoim opanowaniem. - Niedługo przekonamy się, co Parks ma do powiedzenia na jej temat. Właśnie ją bada.

- Szkoda- westchnął Alistair. - Może ma liberalne poglądy, ale jest wesoła. - Wyszedł, nie zadając sobie trudu zamknięcia za sobą drzwi.

- Wesoła - powtórzył Edward, jakby nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Podeszedł do barku w kredensie i nalał sobie dużą porcję brandy. Czuł, że przez najbliższe dni trunki będą mu bardzo potrzebne.

7

Następnego ranka Pegeen przekonała się, że pan Parks nie mylił się w przewidywaniach. Boląca głowa, jak również to, że w nocy Lucy co dwie godziny nią potrząsała, sprawiło, że czuła się tak, jakby rzeczywiście spadła z konia lorda Edwarda, a w dodatku bestia ciągnęła ją potem po ziemi.

Doktor nie spodziewał się tylko, że wielogodzinny pobyt na mrozie w połączeniu z potłuczeniami, jakich doznała podczas wypadku, by nie wspominać szalonej jazdy przez wrzosowisko, skończy się dla niej silnym przeziębieniem. Gdy Lucy zbudziła Pegeen rano, by ją wykapać, stwierdziła, że pani nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu ani wstać z łóżka, a gardło boli ją nie mniej niż głowa.

Jedno spojrzenie na rozgorączkowaną twarz Pegeen wystarczyło, by służąca pobiegła co sił w nogach do pani Praehurst. Ochmistrzyni natychmiast zjawiała się w sypialni. Przeraził ją widok Pegeen, która siedziała na łóżku z potarganymi włosami i rozpalonymi oczami, ochrypłym szeptem próbując przekonywać, że jest tylko lekko przeziębiona. Dlaczego wszyscy tak się o nią martwią? Czyżby nigdy nie widzieli nikogo przeziębionego?

Wysiłki Pegeen były jednak próżne; nie udało jej się przekonać

pani Praehurst, że nie jest poważnie chora. Ochmistrzyń przyłożyła dłoń do jej czoła, stwierdziła gorączkę i natychmiast wysłała lokaja po pana Parksa. Pegeen złościła się, że zawraca się głowę doktorowi zwykłym przeziębieniem, ale ponieważ niewiele głosu mogła z siebie wydobyć, nikt nie zwracał uwagi na to, co mówiła. Służba z Rawlings Manor pospieszyła do jej pokoju ze środkami rozgrzewającymi, okładami czosnkowymi i innymi równie wonnymi medykamentami domowej roboty.

Zanim pan Parks dotarł do dworu, Pegeen straciła już wszelką nadzieję na to, że dostanie pozwolenie wstania z łóżka. Doktor był tak samo rzeczowy, jak poprzedniego wieczoru. Najpierw zbadał ranę na głowie, a dopiero potem zajrzał Pegeen do gardła. Diagnozę wydał bardzo szybko: silny stan zapalny gardła, a szczególnie migdałków, spowodowany niewątpliwie kapryсами pogody w Yorkshire.

- Zapalenie gardła - stwierdziła z emfazą pani Praehurst. - Powinam była wiedzieć. - Klasnęła w dłonie i natychmiast wysłała kilka służących do kuchni po gorącą herbatę z miodem.

- Przeżyjesz, panienko - powiedział pan Parks, widząc kwaśną minę Pegeen. - Przez najbliższy tydzień trzeba leżeć w łóżku i pić tyle herbaty, ile tylko się zmieści. Pani Praehurst, proszę pilnować, żeby chorej było ciepło i żeby spała, ile potrzeba. Pomoże w tym laudanum. Za parę dni przyjdę sprawdzić, jak postępuje rekonwalescencja.

Pegeen chciała zapytać doktora, ile czasu minie, nim odzyska głos, ale zdobycie się na tak wielki wysiłek przerastało jej możliwości. Rozdrażniona tym, opadła na puchowe poduchy i spróbowała pomyśleć, ile szczęścia jej się ostatnio przytrafiło, choć w tej chwili zdawało się ono bardzo dalekie. Przez minione lata wstawiała przeważnie o świcie i ciężko pracowała do wieczora, toteż nagły okres bezczynności wcale jej nie cieszył. Wreszcie była wolna od konieczności zajmowania się domem i obowiązków w parafii. Miała czas, żeby pisać listy, czytać i pracować nad poprawą doli biedaków...

Niestety, była tak słaba, że samodzielnie nie mogła nawet przejść przez pokój.

Powiedziała sobie, że przynajmniej Jeremy ma dobrą opiekę. Mimo to nie przestawała się zadrećcać pytaniem, kto się nim zajmie podczas jej choroby. Bała się przy tym nie tyle o samopoczucie chłopca, co o jego opiekunów.

Przez prawie tydzień ból głowy i gardła nie ustępował, a Pegeen większą część dnia przesypiała. To było tak, jakby nagle ktoś zdjął jej z ramion ciężar opieki nad Jeremym, a organizm próbował szybko nadrobić niedostatki snu i odpoczynku, jakie cierpiał latami. Gdy trochę odzyskała siły, rzuciła się na książki, które lord Edward przysłał jej ze swojej biblioteki. Roześmiała się, widząc, co wybrał. Podejrzewała, że chciał ją rozzłościć, bo znalazła same romanse.

Na swoje pielęgniarki nie mogła jednak narzekać. Lucy prawie jej nie odstępowała. Dzień czy noc, zawsze chętnie biegła do kuchni, żeby przynieść swojej pani coś ciepłego, próbowała ją też namawiać na jedzenie wytworów miejscowego cukiernika. No, i opowiadała jej o tym, co słychać w pokojach służby. Również pani Praehurst okazała się zawsze pogodną osobą, skłonną do pogaduszek. Pegeen poznała przy okazji niektóre interesujące fakty dotyczące rodziny Rawlingsów, a właściwie jej niedobitków.

Na przykład lord Edward był podobno jednym z najwyżej cenionych kandydatów na męża w Anglii, który kilka razy ledwie uniknął małżeństwa, w ostatniej chwili salwując się ucieczką na kontynent. Raz nawet ranił w pojedynku brata niedoszłej panny młodej. Miał kochanki w całej Europie i w Anglii, ponadto regularnie widywano go w miejscach, gdzie młodzi utytułowani ludzie powinni byli bywać. Pegeen była niezwykle zadowolona z tego, że trafnie oceniła jego hulaszczcze skłonności, i obiecywała sobie dobrą zabawę, gdy już będzie mogła z niego dworować, odzyskawszy głos.

Kiedy poczuła się na tyle mocna, że mogła usiąść w łóżku, lecz wciąż jeszcze nie pozwalano jej wstać, zażyczyła sobie, by

przyniesiono jej gazety. Miała nadzieję, że w ten sposób pożytecznie spędzi czas, unikając lektury książek, które lord Edward uznał za stosowne dla niej. Pani Praehurst, choć cmoknęła z niezadowolaniem, rzeczywiście przyniosła jej naręczę gazet wyniesionych ukradkiem z biblioteki. Pegeen zaczęła je chciwie czytać, wynotowując sobie różne charytatywne przedsięwzięcia, którym, jej zdaniem, należało się poparcie Jeremy'ego. W trakcie tej pracy zaczęła się zastanawiać, jakim majątkiem dysponuje jej siostrzeniec. Następnym żądaniem, jakie zgłosiła, było więc przyniesienie ksiąg rachunkowych majątku.

Wbrew wyraźnemu niepokojowi pani Praehurst, Pegeen nie przejmowała się tym, co powie lord Edward, gdy odkryje jej nowe zajęcie. W swoim czasie prowadziła księgi rachunkowe w parafii, czuła się więc jak najbardziej kompetentną osobą do zarządzania majątkiem Rawlings Manor. Ale ekstrawagancje, jakie znalazła w księgach, wstrząsnęły nią i wprawiły w popłoch. O ile było zrozumiałe, że do ogrzania budowli wielkości takiego dworu potrzeba zimą tony węgla miesięcznie, to naprawdę nie było powodu, by - wiedząc o tym, że ludzie dookoła chodzą głodni - podejmując obiadem kilku przyjaciół z Londynu, instalować na stole fontannę z szampanem.

Fontanna z szampanem? Koszt zainstalowania czegoś takiego na jeden wieczór był większy niż suma, którą Pegeen miała na cały rok z odsetek od pieniędzy pozostawionych jej przez matkę! Było też odnotowane coś, co nazwano szaradami. Wydatki na kostiumy i rekwizyty były duże, a pani Praehurst, zapytana o to, wyjaśniła, że szarady są zabawą lorda Edwarda i jego przyjaciół. Zabawa, która pochłania więcej pieniędzy niż roczne utrzymanie sierocińca w Applesby? Pegeen nie wierzyła własnym oczom.

Gdy porównała koszty ostatniego przyjęcia lorda Edwarda dla gości z Londynu z kosztem utrzymania seminarium dla panien, którego pensjonariuszką była Lucy, a głównym darczyńcą właściciele Rawlings Manor - przekonała się, że taniej jest prowadzić

szkołę z internatem dla czterdziestu panien, niż zabawiać przez dwa tygodnie grupę modnych arystokratów ze stolicy.

Była tak rozeźlona tym odkryciem, że omal nie złamała pióra.

Co, u licha, wyobraża sobie lord Edward? Czyżby był zwyczajnym dandysem, który nie myśli o niczym innym oprócz własnych przyjemności? Przecież w czasie wypadku powozu zachował się jak bohater, przedarł się przez głęboki śnieg, by zdobyć konia, na którym przewiózł ją potem w bezpieczne miejsce. To naprawdę nie było w stylu dandysa. A mimo to przez rok lord Edward wydał ponad sto funtów na same halsztuki! To był oburzający absurd.

Próbowała jednak uczciwie rozważyć tę kwestię. Lord Edward miał prawo wydawać swój udział w majątku Rawlings w taki sposób, jaki uważał za stosowny. A przyczyną jej oburzenia nie były wielkie wydatki na konie. Nie przeszkadzały jej nawet ekstrawaganckie przyjęcia. Gdy jednak znalazła zapis, według którego na najbliższe przyjęcie zamówiono dwa tuziny kółek do serwetek ze splecionymi literami E i A, omal - mówiąc słowami Jeremy'ego - nie doszło u niej do samoczynnego zapłonu. Koszt tych kółek podstawek dorównywał kosztowi witraży, jakie jej ojciec zamówił do kościoła w Applesby. Tego było naprawdę za wiele. Pomyślała, że woli dać się posiekać, niż pozwolić, by lord Edward podejmował gości, mając na stole podstawki z inicjałami swoimi i kochanki.

Tak oburzył ją ten wydatek, że pani Praehurst zaczęła się poważnie obawiać o jej zdrowie, zauważyła bowiem, że twarz Pegeen nagle pobleadła, a na jej policzkach pojawiły się gorączkowe rumieńce. Pulchna ochmistrzyni wybiegła na korytarz z zamiarem natychmiastowego wysłania lokaja po doktora Parksa, wpadła jednak prosto na jego lordowską mość. Edward niechętnie i dopiero po długich namowach Alistaira Cartwrighta, zaniepokojonego przebiegiem rekonwalescencji urodziwej panny MacDougal, zgodził się złożyć Pegeen wizytę i właśnie do niej szedł.

- Och, milordzie! - krzyknęła stroskana ochmistrzyni, załamu-

jąc ręce. - Obawiam się, że zdrowie panny Pegeen nagle się pogorszyło. Czoło ma rozpalone, a oczy lśnią jej jak szmaragdy! Edward wpadł w panikę.

- Czy posłała pani po doktora Parksa?

- Właśnie miałam to zrobić. Jejku, boję się, że to moja wina.

Ona tak źle wygląda już od rana, odkąd przyniosłam jej księgi rachunkowe...

Edward, który już, już miał pobiec na dół po Hversa, bo tak niezmiennie reagował na kryzysowe sytuacje, zmartwił u szczytu schodów. Zmierzył ochmistrzynię spojrzeniem, które mogłoby zamrozić ogień.

- Księgi rachunkowe? - Zmarszczył czoło. Pani Praehurst cofnęła się o krok i przycisnęła dłoń do piersi. Czy pani przyniosła jej księgi rachunkowe Rawlings Manor?

Pani Praehurst skinęła głową. Okulary drżały jej na czubku nosa.

- Czy źle zrobiłam, milordzie? Ona mnie o to specjalnie poprosiła...

Edward trochę złagodniał, ale wciąż miał kwaśny grymas na twarzy. Doszedł do szczytu schodów i ruszył do różowego pokoju. Pani Praehurst dreptała za nim, przytrzymując rąbek swojej czarnej, wełnianej sukni.

-- Och, milordzie! - zawołała. - Nie możesz tam wejść! Kto to widział?! Ta panna leży w łóżku, milordzie.

Ale Edward już wkroczył do dawnej sypialni swojej matki. Natychmiast z niezadowoleniem odnotował, że ogień na kominku jest zbyt duży, a w pokoju panuje żar i duchota.

Pegeen siedziała pośrodku wielkiego łóżka z baldachimem, rozpuszczone ciemne włosy spadały jej na ramiona. Pochylała się nad niewiele mniejszą od siebie księgą rachunkową. Obok leżały jeszcze imię księgi i kartki, na których ta nieznośna pannica sporządzała notatki. Notatki! Chociaż reszta pokoju wyglądała jak sypialnia chorej - wszędzie były świeże kwiaty w wazonach oraz mnóstwo flakoników, buteleczek i środków opatrunkowych - to

łóżko wyglądało jak biurko bardzo obiecującego młodego przedsiębiorcy.

Wejście lorda Edwarda nie skłoniło Pegeen nawet do podniesienia głowy znad papierów i dopiero chrząknięcie pani Praehurst, która pojawiła się w sypialni za chlebobawcą, zwróciło jej uwagę.

- Panno Pegeen. - Ochmistrzyni jeszcze raz odkaslnęła. - Ma pani gościa.

Pegeen wreszcie spojrzała w stronę drzwi. Nie wykazawszy najmniejszego zdziwienia obecnością Edwarda, powiedziała:

- Milordzie, odwołuję twoje zamówienie na zdobione monogramami kółka do serwetek.

Edward wytrzeszczył oczy.

- Słucham?

- To, co robi pan prywatnie, jest pańską sprawą - ciągnęła. - Ale Jeremy to jeszcze mały chłopiec i patrzy na pana z wielkim podziwem. Nie pozwolę mu dorastać w przeświadczeniu, że mężczyzna ma prawo do romansów z zamężnymi kobietami.

Za plecami Edward usłyszał głośny wdech pani Praehurst. Nie miał zielonego pojęcia, jak zareagować. Panna ubrana w zapiętą pod szyję bawełnianą koszulę nocną z koronkowym wykończeniem wydawała mu się zupełnie nieszkodliwa. Mimo to mówiła do niego tak władczo, jakby była królową Wiktoria.

Nie wiedząc, czy się złościć, czy śmiać, Edward zapytał z ciekawioną:

- Jakie kółka?

Pegeen zmarszczyła czoło. Wyjęła ołówek zza ucha i wskazała pozycję w księdze, którą trzymała na kolanach.

- Tu jest napisane, milordzie, że zamówiłeś dwa tuziny złotych kółek do serwetek ze splecionymi literami EA. Może się mylę, przypuszczam jednak, że A oznacza Arabelle. Chyba że chodzi o Alistaira? - Nie spuszczała z niego wzroku. - Naturalnie słyssałam o takich historiach, ale muszę powiedzieć, że po tobie, milordzie, tego się nie spodziewałam.

Edward spłonął rumieńcem.

- No, chodzi o to...

Pani Praehurst cicho odkaszlnęła. Edward i Pegeen spojrzeli na nią. Ochmistrzyni dygnęła z zakłopotaniem.

- Proszę o wybaczenie, milordzie, i panią również, ale kółka do serwetek zamówiła pani wicehrabina. - Przesłała promienne spojrzenie Pegeen i wyjaśniła: - Inaczej mówiąc, lady Arabella Ashbury. Ona czasem zamawia różne rzeczy dla domu, a milord powiedział mi, że należy kupować wszystko, czego pani wicehrabina sobie zażyczy.

Pegeen znów zerknęła do księgi.

- Czy to możliwe, że wicehrabina zamówiła również kostiumy do szarad i fontannę do szampana?

- O, tak! Nie kto inny jak ona.

Pegeen głośno zatrzęsnęła księgą.

- Milordzie, chciałabym zamienić z tobą parę słów na osobności. Czy może nas pani na chwilę zostawić samych, pani Praehurst?

Pani Praehurst się zawahała.

- Ojej - powiedziała z troską. - To nie wygląda dobrze, milordzie, jeśli składasz panience wizytę sam na sam w wpialni.

- W obecnych okolicznościach - odrzekł Edward z mimowolnym uśmiechem, którego nie potrafił powściągnąć sądząc, że dopuszczalne jest, abyśmy zostali na chwilę sam. Naturalnie proszę uważać, pani Praehurst, żeby nie trwało to zbyt długo. Panna MacDougal wygląda tak, jakby w każdej chwili mogła mnie zdzielić gorącym pogrzebaczem.

- Ojej! - Pani Praehurst opuściła pokój, nerwowo oglądając się za siebie. - Wobec tego będę stała tu koło sypialni.

Zanim jeszcze drzwi za nią się zamknęły, Pegeen powiedziała ochryple:

- Nie chcę cię urazić, milordzie, ale nie mogę pozwolić wicehrabinie, żeby kupowała do domu wszystko, na co jej przyjdzie ochota. Ona ma doprawdy bardzo kosztowne upodobania, a pie-

niądze wydane na takie kaprysy można spożytkować znacznie lepiej, na przykład wyremontować za nie domy dzierżawców albo wymienić dach w budynku seminarium dla panien.

Edward wpatrywał się w jej twarz w kształcie serca i próbował pamiętać, że powinien być zły, a nawet wściekły na to dziecko za taką zuchwałość. Ale nagle przypomniały mu się lata dzieciństwa, kiedy wiele razy wysłuchiwał bury, stojąc na tym samym dywanie co teraz, i zrobiło mu się tak wesoło, że omal nie wybuchnął śmiechem.

- To pani zdanie na ten temat, prawda? - burknął, ukrywając rozbawienie. Gdy skinęła głową, spytał: - Czy mogę wiedzieć, jakie ma pani prawo wertować moje księgi rachunkowe?

- To nie są pana księgi rachunkowe, tylko sir Arthura - odparła wyniośle. - A odkąd zamieszkał we dworze nowy książę, są to księgi Jeremy'ego. Ponieważ zaś jestem prawnym opiekunem Jeremy'ego, wolno mi doglądać tego, co stanowi jego własność. To dotyczy również domowych rachunków. - Kaszlnęła. - Doprawdy, milordzie, zostałam bardzo niemile zaskoczona twoją rozrzutnością. Sto funtów rocznie na halsztuki? Czyżbyś był takim modnisiem, że nie możesz włożyć żadnego drugiego raz?

Edward spłonął rumieńcem. On modnisiem? Może Alistair Cartwright, ale nie on...

- Naturalnie masz prawo wydawać swoją część spadku tak, jak sobie życzysz, milordzie. - Pegeen wzruszyła ramionami i dalej przeglądała księgę. - Ale stwarzanie pozorów, że Claire Lundgren jest kłaczą, wydaje mi się nader niestosowne...

Edward zachłysnął się powietrzem.

- Co takiego?

- Doprawdy, milordzie, czy sądzisz, że nikt nie czytuje gazet? Doskonale wiem, że Claire Lundgren nie jest kłaczą, lecz aktorką, i że stajnia, którą wynająłeś dla niej przy Cardington Crescent, jest w rzeczywistości domem.

- Och... - zachnął się. - To był konieczny wydatek!

- Czyżby? - Kąciki ust Pegeen nagle się uniosły. Ach, już rozumiem. Znużyłaś się nią i musiałaś jej to zrekomensować, prawda? Wstyd mi za ciebie, milordzie. Ona na pewno zgodziłaby się na dom w mniej eleganckim otoczeniu.

Edward był tak zaskoczony zuchwałością tej panny, że mógł się zdobyć tylko na sarkastyczny śmiech.

- No, tak - powiedział w końcu, krzyżując ramiona na piersi. - Dziś jest pani wreszcie Szkotką z krwi i kości. Nie przypominam sobie liczenia każdego pensa, gdy była mowa o pani nowej garderobie.

- Zważywszy na to, że nigdy w życiu nie miałam więcej niż dwóch sukni jednocześnie - zaperzyła się - uważam, że zasługuję na te dwa tuziny, które z wielką hojnością zamówił pan dla mnie w Londynie. Jeśli mnie pamięć nie myli, był to jeden z warunków, pod którymi zgodziłam się przyjechać do Rawlings, czego zresztą zaczynam żałować, bo nie spotyka mnie tutaj nie oprócz złego traktowania...

- Rzeczywiście, jesteś tu, panna, traktowana jak najgorzej. Leżysz w łóżu wśród bukietów róż i przez cały dzień tylko wścibiasz nos w cudze sprawy!

- Co zaś do skąpstwa Szkotów - krzyknęła Pegeen i uklękła na łóżku, jakby dopiero teraz nieprzychylna wzmianka o jej ziomkach dotarła do jej świadomości - to wolę pochodzie z kraju, gdzie ludzie umieją oszczędzać, niż z takiego, gdzie wyrzuca się pieniądze na fontanny do szampana!

Edward podszedł do łóżka i oparłszy pięści na odłożonej księdze rachunkowej, nachylił się nad Pegeen.

- Powinna pani kiedyś spróbować szampana powiedział ze złośliwą miną. - Moim zdaniem, dobrze by to pani zrobiło.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, milordzie? Pegeen wyciągnęła ramię i dźgnęła go palcem wskazującym w tors. Możemy sprawdzić, kto ma mocniejszą głowę. Założę się, że to ty wpadniesz pod stół. No, kiedy się spróbujemy?

Edward zerknął na palec uciskający guzik jego śnieżnobiałej koszuli. Był nieduży i miał krótki, lecz wypielegnowany paznokieć. Edwarda bardziej interesowała jednak dłoń niż sam palec. Był bardzo ciekaw, co zrobiłaby panna MacDougal, gdyby ujął jej rękę i położył tam, gdzie sprawiłaby mu najwięcej przyjemności.

Potrząsnął głową. Co też mu się roi? Nie wolno mu było ulec takiej słabości. Przez cały tydzień unikał wchodzenia do tego pokoju, starał się wyrzucić z pamięci myśl o istnieniu panny MacDougal. Nie ulegało jednak wątpliwości, że odkąd przekroczyła próg Rawlings Manor wraz z tym nieznośnym chłopaczyskiem, całe życie Edwarda nagle stanęło na głowie. Pani Praehurst, która zazwyczaj organizowała jego codzienne sprawy, była zbyt zaabsorbowana opieką nad tą panną by zwracać uwagę na takie drobiazgi jak jadłospis lanczu lub obiadu. Kilka razy musieli z Alistairem zjeść w miejscowym pubie. Natomiast Evers bez przerwy pilnował, by malec nie zjeżdżał po poręczy schodów w wielkiej sali, toteż przestał uzupełniać zawartość barku.

Nawet Daniels, osobisty służący Edwarda, zapomniał odebrać kamizelki pana od wiejskiego krawca, bo musiał iść do apteki po lekarstwo dla Pegeen. A gdy Edward zbeształ go za to, Daniels nawet nie okazał poczucia winy. Spojrzał mu prosto w oczy i powiedział z oburzeniem:

- Panna MacDougal potrzebowała lekarstwa. Chyba nie sądzisz, milordzie, że twoja kamizelka jest ważniejsza niż jej zdrowie.

Szaleństwo ogarnęło również chłopców stajennych. Edward zupełnie nie wiedział, co ma z nimi zrobić. Wszyscy mieli oczy podbite przez nowego księcia i wszyscy za bardzo się go bali, by po prostu mu oddać. Edward nie wyobrażał sobie, co się stanie, jeśli tuż przed rozpoczęciem sezonu myśliwskiego wszyscy stajenni nagle postanowią odejść. Gdzie w ostatniej chwili znajdzie odpowiednio wyćwiczonych zastępców?

Te zmartwienia blakły jednak w porównaniu z największym problemem Edwarda. Co miał zrobić ze swoją pamięcią, z której

za nic nie mógł wymazać obrazu tego irytującego, dziewczęcego pocałunku Pegeen?

- Nie mówiłem o whisky, tylko o szampanie odparł. I wcale nie chciałem sprawdzać, kto ma mocniejszą głowę.

- Czego wobec tego chciałeś, milordzie? - Wysunięty podbródek dowodził, że padło wyzwanie.

- Dobrze, że pytasz, moja panno. - Roześmiał się. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej uroczej, małej istoty. Jeśli nie umiesz sobie wyobrazić, co mężczyzna i kobieta mogą robić przy butelce szampana...

Pegeen spuściła powieki z pięknymi, gęstymi rzęsami i zerknęła na niego bardzo podejrzliwie.

- Czy mi się zdaje, czy sugerujesz, panie, że mogłabym zastąpić Claire Lundgren?

Edward zaśmiał się niegodziwie.

- Sugeruję tylko tyle, że gdybyś mniej myślała, pani, o ratowaniu biedaków, a więcej o swoich przyjemnościach, to pewnie nie byłabyś tutaj, zdana na korzystanie ze spadku siostrzeńca, lecz w swoim własnym domu, z mężem i dziećmi. Wtedy nie miałabyś czasu na to, żeby poświęcać mi uwagę i wtrącać się do moich spraw.

Zielone oczy w jednej chwili otworzyły się na całą szerokość. Edward zrozumiał, że posunął się za daleko. Nic wiedział, czy należy się teraz spodziewać łez, czy kolejnego policzka, więc na wszelki wypadek ujął rękę, którą Pegeen przycisnęła do jego torsu, i pociągnął pannę ku sobie. Objął ją i wycisnął na jej wargach gorący pocałunek.

8

Właśnie tego Pegeen za wszelką cenę chciała uniknąć. Z doświadczenia wiedziała, że wobec pocałunków Edwarda jest bezsilna. Również ten zniweczył wszystkie jej dobre intencje.

Edward z ławością językiem rozchylił jej wargi. Poczula żar dłoni, które przesuwają się po cienkiej bawełnie nocnej koszuli. Jęknęła, wraz z wybuchem gorąca między udami odezwało się w niej bowiem znowu dziwne poczucie niespełnienia, którego doświadczyła nie tak dawno w Applesby. Nie chciała mu się poddać.

Nie mogła jednak zdobyć się też na to, by odepchnąć Edwarda. Przywarła do niego jak bezwstydną ładacznica i żarliwie odwzajemniła pocałunki.

W tej chwili Edward zorientował się, że pod cienką nocną koszulą Pegeen jest całkiem naga. Pocałunek, który miał być kpina, wymknął mu się spod kontroli. Edward zapomniał już, jaka namiętna jest Pegeen i jak mało dba o konwenanse mimo panińskiego wstydu. Zauroczone dotykiem jej jędrnego, młodego ciała, zapomniał o wszystkim innym i objąwszy jej pośladki, przyciągnął ją jeszcze bliżej, by poczuła jego twardość.

Krzyknęła i szarpnęła się do tyłu jak zranione zwierzę. Edward jednak przewidział taką reakcję, więc nie zwolnił uścisku.

- Nie - powiedział schrypniętym głosem. - Tym razem nie. Dokończysz to, co sama zaczęłaś...

- Co zaczęłaś? - oburzyła się Pegeen. - Przecież to pan mnie pocałował!

Zacisnął jej dłonie na ramionach.

- Zachęcałaś mnie. Przyznaj się. Czujesz coś do mnie. Nie zaprzeczaj.

- Ty zarozumiałaś...

- Chcesz mnie, Pegeen, chcesz mnie tak samo jak ja ciebie.

- To niedorzeczność!

- Niedorzeczność? Niedorzeczna jest twoja pruderia! -Edward z niedowierzaniem pokręcił głową. - Jaką ty jesteś kobietą? Twierdzisz, że nie wierzysz w instytucję małżeństwa, ale całujesz z entuzjazmem dziwkę z Covent Garden.

Pegeen zamrugnęła. Poczuli się tak, jakby nagle uderzył ją w twarz.

- Jak pan śmie! Oszalał pan? Zapominasz się, milordzie!

Może zadecydowała jej wstrząśnięta mina, a może szczere oburzenie w tonie głosu. Prawdopodobnie jednak powstrzymało go przypomnienie mu o tytule, który nosił. Uświadomił sobie, że Pegeen naprawdę nie wie, o czym mowa, nie ma pojęcia, jakie wrażenie wywiera na nim jej dotyk. Skąd miałyby wiedzieć? On był synem księcia, rozpieszczanym od najmłodszych lat, bardzo doświadczonym w sztuce miłości. A ona była biedną córką pastora, dziewczicą dziesięć lat od niego młodszą, która mimo swego ciętego języka do niedawna znała w życiu tylko ciężką pracę.

Nagle odzyskał poczucie rzeczywistości. Było przedpołudnie, a pani Praehurst stała tuż za drzwiami. Zaklął pod nosem i puścił Pegeen.

Ukryła się pod kołdrą. Policzki jej płonęły. Spojrzawszy na niego gniewnie, z irytacją zatrzymała wzrok na wybrzuszeniu spodni.

- Co pan wyprawia? - syknęła. - A gdyby weszła ochmistrzyni?

- Zna gorsze widoki - odrzekł łagodnie Edward. Wcale nie był

z siebie niezadowolony. Panieńska wstydlivość panieńską wstydlivością, ale z każdym pocałunkiem Pegeen wydawała się mieć coraz większe trudności z oparciem się pragnieniu. Zdawało mu się nawet, że zdoła w końcu złamać jej opór. Ta myśl była całkiem przyjemna, chociaż w tej chwili nie było mu wygodnie, bo czuł silny ucisk spodni.

- Nie jestem jedną z pańskich kochanek - oświadczyła Pegeen i wydmuchała nos w chusteczkę. Edward z ulgą stwierdził jednak, że panna nie płacze, tylko po prostu ma katar. - W przyszłości bądź pan łaskaw trzymać ręce przy sobie.

- Jak na kobietę, która deklaruje nienawiść do mojej sfery, masz zadziwiająco mało obiekcji wobec pocałunków - zakpił Edward.

- Niech się pan wynosi!

- Powiedz mi coś, Pegeen. Skoro nie wierzysz w instytucję małżeństwa, to dlaczego oburzają cię ludzie, którzy romansują, nie będąc małżonkami? Sądziłbym raczej, że kobieta twoich przekonań jest zwolenniczką...

- Niech się pan wynosi! - krzyknęła z całej siły, choć wciąż nie mogła wydobyć z siebie wiele głosu.

- Nie skończyłaś mnie pouczać. Mówiliśmy o księgach rachunkowych. Pamiętasz?

Pegeen głośno odetchnęła i powiedziała chłodno:

- Zamierzam powiedzieć pani Praehurst, że życzę sobie, aby wszystkie planowane wydatki przedstawiano mi do zatwierdzenia. Jeremy jest księciem Rawlings, więc ponoszę odpowiedzialność za to, by przynajmniej część majątku doczekała dni, gdy księżę osiągnie pełnoletność.

Edward się uśmiechnął.

- Dobrze powiedziane. Wiedz, moja droga, że jeszcze nie znalazłaś sobie męża, a już jesteś przykładną żoną. Moje gratulacje. Niektóre kobiety potrzebują kilku lat, by osiągnąć twój poziom...

- Niech się pan wynosi! - krzyknęła znowu Pegeen i tym razem Edward z chichotem poddał się jej życzeniu.

9

Wkraczając do bladoniebieskiego pokoju dziennego w Ashbury House, Edward plasnął rękawicami o udo. Za nim ciągnęła się długa peleryna. Lady Ashbury siedziała przy śniadaniu, przeglądając kolumnę towarzyską w gazecie i wyglądała jak anioł w zielonej, jedwabnej sukni ozdobionej różowymi różyczkami. Słyszając kroki, podniosła głowę i uśmiechnęła się do Edwarda. Uśmiech wicehrabiny Ashbury zazwyczaj obezwładniał mężczyzn, ale Edward nawet nie usiadł.

- Co tam? - spytał, wprawdzie nie nieuprzejmie, lecz również nie przyjaźnie. - Co się stało? Lepiej, żeby to było naprawdę ważne. Mieliśmy dzisiaj jechać z Alistairem do Knox Ridge sprawdzić na miejscu, jak ostatnia śnieżycy wpłynie na nasze plany sobotniego polowania.

- Skończyłam przygotowywać listę - powiedziała królewskim tonem Arabella, wymachując kartką. Widząc niezrozumienie Edwarda, dodała: - Listę dla pani Praehurst. Przydział pokoi gościnnych. Doprawdy, Edwardzie, co się z tobą dzieje? Nagle zrobiłeś się ociężały umysłowo.

Edward wziął od niej kartkę, bez oglądania złożył ją na pół i wsunął do wewnętrznej kieszeni fraka.

- Mogłaś to przysłać przez umyślnego - powiedział zirytowany. - Po co był ten tajemniczy liścik, że mam jak najszybciej przyjechać? Kiedy dostałem od ciebie wiadomość, pomyślałem... Ech, mniejsza o to, co pomyślałem.

Wicehrabina roześmiała się dźwięcznie. Słyszając te dzwoneczki, Edward przeżywał kiedyś prawdziwą rozkosz. Teraz jednak tylko bardziej go to rozdrażniło.

- Gdybym wysłała tę listę, nie miałabym przyjemności zjedzenia z tobą śniadania dzisiejszego ranka. - Zrobiła nadaną minę, o której ktoś kiedyś zapewne powiedział, że jest czarująca. - Poza tym wiem, o czym sobie pomyślałeś. Niewątpliwie o najgorszym. Powiedz mi tylko, czego się bardziej boisz: tego, że Ashbury się o nas dowie, czy tego, że znajdę sobie kogoś innego.

Edward zmierzył wzrokiem bufet pod ścianą. Była tam szynka, bażant, jajka, bułki oraz kilka miseczek marmolady i powideł. Wziął talerz i nałożył sobie porcję mięsa.

- Trzeba byłoby kogoś bardziej zapalczywego niż twój mąż, Arabello, żebym mógł się przestraszyć. - Zsunął na talerz jajko. - Co zaś do znajdowania sobie innego, to być może moje życie stałoby się wtedy mniej skomplikowane.

Arabella ślicznie wydeła wargi.

- Biedny Edward. - Patrzyła, jak jego rosla postać przesuwając się wzdłuż bufetu. - Nie widziałam cię wieki, kochany. - Starła się zachować żartobliwy ton. - Chyba całe dwa tygodnie. Czyżby nowi krewni odebrali ci chęć do życia towarzyskiego?

- Nowi krewni? - Nie zdejmując peleryny, usiadł przy stole i wziął do ręki widelec. - Ach, masz na myśli chłopca.

- Tak, chłopca. I jego ciotkę, starą pannę.

Edward uśmiechnął się kpiąco i skosztował bażanta. Okazał się nawet smaczny. Arabella miała kucharkę Francuzkę, która zadawała sobie wiele trudu, żeby najprostszy posiłek był wykwinny ponad miarę. Śniadania przyrządzała całkiem dobrze. Bez tajemniczych sosów i majonezów.

~ Zaraz się nad tym zastanowię. - Edward przeżuwał mięso z zadumaną miną. - Dzisiaj jest czwartek, prawda? W ciągu ostatniego tygodnia nowy książę Rawlings zmusił do odejścia trzy piastunki, wziął udział w ponad dziesięciu bójkach na pięści z chłopcami stajennymi, potłukł serwis do herbaty, który moja matka dostała w prezencie od króla Edwarda, wylał atrament na głowę nauczyciela francuskiego i doprowadził Eversa do stanu wrzenia, popisując się przy stole kwiecistymi wiazankami.

Lady Ashbury wybuchnęła śmiechem.

- To rzeczywiście musi być Rawlings. A liberalna stara panna?

- Słucham?

- Jak się miewa liberalna stara panna? Pruderyjna w każdym calu? Powinieneś przedstawić ją proboszczowi. Na pewno znajdą wspólny język.

- Nie sądzę. - Edward się skrzywił. - Ona nie ma szczęścia do proboszczów. Widziałem jednego chwilę po oświadczeniach. Trzymał się za gołęń, w który trafiła czubkiem trzewika.

Wicehrabina Ashbury bardzo się zdziwiła.

- Oświadczył się jej pastor?

Edward wziął na widelec płat szynki z talerza.

- Owszem. - Przeżuwając, zapatrzył się w okno. Okolica Ashbury House była przykryta czyściutkim białym dywanem. - Czy masz kawę?

Lady Ashbury, o dziwo, nie wstała, by mu jej nalać. Wydawała się dziwnie roztargniona. Siedziała nieruchomo, trzymając w dłoni uniesioną srebrną łyżeczkę. Edward spojrzął na nią, wzruszył ramionami i sam nalał sobie kawy ze srebrnego dzbanka na stole.

- Nie rozumiem - odezwała się w końcu lady Ashbury. - Myślałam, że ciotka chłopca jest starą panną.

Edward spróbował kawy, przekonał się, że wciąż jest gorąca, i dodał do niej śmietanki.

- Panną owszem. Ale nie starą. Ma dwadzieścia lat, a moim zdaniem wygląda na piętnaście.

- Dwadzieścia! - Arabella zmarszczyła czoło. - Edwardzie, przecież to jeszcze dziecko!

- Aha - potwierdził Edward z pełnymi ustami.

- Nie możesz pozwolić na to, żeby mieszkała z tobą pod jednym dachem! Młoda, niezamężna kobieta bez przyzwoitki...

- Ma przyzwoitkę. Jest pani Praehurst.

- Pani Praehurst! Och, Edwardzie, a co z naszym przyjęciem? Jak zorganizujemy przyjęcie, skoro w domu jest taka młoda panna?

Edward znowu wzruszył ramionami, trochę zirytowany jej aktorskimi popisami.

- A co mam zrobić, Arabello? Wyrzucić ją na mróz?

- Nie możesz wysłać jej do jakichś krewnych w Londynie?

- Nie, Londyn jest wykluczony. Przede wszystkim, nie miała jeszcze debiutu w towarzystwie, a ja prędeż pękę, niż sfinansuję jej sezon w stolicy, mimo że pobyt w Rawlings rzeczywiście może okazać się kłopotliwy. Czy masz pojęcie, ile teraz kosztuje wydanie panny za mąż? Zresztą nawet gdybym chciał jej opłacić pobyt w Londynie, to ona za nic nie zostawiłaby chłopca. Przecież właśnie dlatego musiałem przywieźć ją do Rawlings. - Z niezadowoleniem pokręcił głową. - Co się z tobą dzieje, Arabello? Mam wrażenie, że przestałaś jasno myśleć, odkąd ostatnio się widzieliśmy.

- Mnie się zdaje, że to ciebie opuścił rozsądek. - Głos lady Ashbury stał się o ton wyższy. - Co ty sobie wyobrażasz, pozwalając takiemu dziewczątku zamieszkać na stałe w Rawlings? Przecież ona wszystko zniszczy!

Przez duże okno w wykuszu Edward dostrzegł stadko saren idące wzdłuż strumienia przez bezlistny las. Przyjrzał się smukłym, brązowym stworzeniom, a wyobraźnia natychmiast podsunęła mu obraz Pegeen MacDougal, która była długonoga jak sarna i tak samo smukła, nawet smuklejsza niż kobiety, które mu się zwykle podobały. Natychmiast zapominało się jednak o tym drobnym niedostatku na widok lśniących, zielonych oczu. A Edward wiedział

lepiej niż ktokolwiek inny, że to smukłe ciało jest również nieprawdopodobnie miękkie...

- Edwardzie, słuchasz mnie? - Lady Ashbury uniosła łyżeczkę, by rozbić nią skorupkę jajka na miękko, ale niebacznie trafiła nią w blat stołu. - Edwardzie!

Oderwał wzrok od saren.

- Bardzo cię przepraszam. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Co mówiłaś, Arabello?

Lady Ashbury zmrużyła oczy.

- Mówiłam, że nie rozumiem, dlaczego jej nie wyrzucisz.

- Mam ją wyrzucić? Nie mogę, Arabello. - Edward zachichotał i jeszcze raz skosztował kawy. Już nie parzyła. - Służba ją uwielbia. Poza tym, gdybym ją wyrzucił, chłopiec by mi tego nie darował. A spokój w domu panuje ostatnio tylko wtedy, kiedy mały jest z nią. - Pokręcił głową, przejęty szczerym podziwem. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Wszyscy lokaje są w niej zakochani, służące prawie otaczają ją czcią, a kucharka oświadczyła mi niedawno, że jeśli życzę sobie zjeść flaki, to muszę chodzić Pod Kozłą i Kowadło, bo panna MacDougal nie lubi flaków, a ona nie będzie przygotowywać niczego, w czym nie gustuje ciotka jego wysokości. Gdybym nie znał życia, powiedziałbym, że to dziewczuszyko rzuciło na nich urok...

- Dziewuszyko? - Lady Ashbury zrobiła bardzo złą minę. Podobnie jak Edward, wbiła wzrok w sarny niszczące jej wierzby. - Wnoszę, że to typowa Szkotka. Pająkowata, z wystającymi zębami. Niezgrabna. Krostowata. Czy tak?

Edward pokręcił głową, nie odrywając wzroku od saren.

- Ani trochę. To urocza istotka. Ale ma charakterek. Co w głowie, to na języku. Tak w każdym razie było, póki nie położyła się z zapaleniem gardła...

- Zapalenie gardła!

- Tak. Parks powiedział, że to przez pogodę w Yorkshire. Był wypadek. Powóz ześlizgnął się do rowu i przez cztery godziny

tkwiliśmy bezradnie na drodze. Czyżby Alistair ci o tym nie powiedział? Pożyczyłem konia z twojej stajni...

Arabella sięgnęła po serwetkę i elegancko otarła sobie usta.

- Edwardzie, czy będziesz tak miły i zapowiesz pani Praehurst, żeby spodziewała się mnie dzisiaj na obiedzie?

Edward oderwał spojrzenie od saren i wlepił wzrok w swoją rozmówczynię.

- Co?

- Nie mów „co?”, Edwardzie, bo to niegrzecznie. Przed przyjazdem gości chcę omówić z panią Praehurst kilka spraw, więc najlepiej będzie, jeśli przyjadę dziś wieczorem i przenocuję w Rawlings Manor. Zapamiętasz, żeby uprzedzić o mojej wizycie, prawda?

Edward nadal wpatrywał się w wicehrabinę.

- Co ty knujesz, Arabello? - spytał.

- Knuję? Nie wiem, o co ci chodzi. - Arabella upiła mały łyk herbaty.

Werdykt pana Parksa, który stwierdził, że po tygodniu leżenia w łóżku panna MacDougal ozdrowiała dostatecznie, by mogła opuścić swój pokój, wywołał uśmiechy na wielu twarzach, nikt jednak nie cieszył się bardziej niż Pegeen, która dosłownie zeskoczyła z łóżka. Przez ostatnie dni czuła się w nim bowiem jak w więzieniu. Rana na głowie już się trochę zabiłiła, gardło też przestało ją boleć, tylko głos miała ciągle ochryply. Mimo to od dawna już tak dobrze się nie czuła, bez wątpienia dlatego, że pobyt w Rawlings uciszył jej wewnętrzne niepokoje. Nie musiała się już martwić o to, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie rachunku za węgiel albo na następną parę butów dla Jeremy'ego.

Doktor jednak opuścił Rawlings Manor dopiero wtedy, gdy uzyskał od niej obietnicę, że jeszcze przez tydzień nie będzie wychodziła na powietrze, a to oznaczało, że jej udział w polowaniu jest niemożliwy. Pegeen była z tego bardzo zadowolona, tym bardziej że przy okazji znalazła pretekst, by nie musieć dosiadać nowej klaczy, którą lord Edward kupił dla niej w przyplwywie źle pojętej hojności.

Mogła za to wziąć na siebie obowiązki pani domu, bardzo się więc ucieszyła, gdy wkrótce po lanczu, który zjadła w towarzystwie

pani Praehurst przy kominku w różowym pokoju, usłyszała od ochmistryni:

- Wiem, panno Pegeen, że jeszcze zapewne czujesz się niezbyt mocna, ale gdybyś miała ochotę, to mogłybyśmy razem obejrzeć dom. Pewnie wiesz, że latem oprowadzamy po Rawlings Manor wszystkich chętnych. Naturalnie pokazujemy tylko wielką salę, szklarnię - księżna była w swoim czasie bardzo dumna z róż, które kwitną tutaj cały rok - jadalnię, no i kilka innych pomieszczeń, jeśli lord Edward jest akurat w Londynie, a zwykle jest. Naturalnie, jeśli wolisz, pani, odpocząć, to proszę tak powiedzieć, ja to rozumiem.

Pegeen ochoczko przyjęła zaproszenie. Ale Lucy, która najwidoczniej postanowiła dowieść, że chociaż nie jest Francuzką, potrafi kapryścić tak samo, jak każda osobista służąca wielkiej damy, uparła się, że nie wypuści swojej pani z różowego pokoju, póki Pegeen nie weźmie gorącej, aromatycznej kąpieli. Potem, znowu na żądanie Lucy, Pegeen musiała poddać się szcztokowaniu włosów, wreszcie ubrano ją w modną suknię z obcisłym stanem, zaprojektowaną dla niej przez Wortha.

Gdy wreszcie Pegeen była odświeżona i pięknie ubrana w jedwabną kreację koloru malinowego, Lucy cofnęła się o krok i popatrzyła na swą panią z rozmarzeniem.

- Och, panienko — westchnęła. - Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak pięknie wyglądał, a to przecież tylko suknia dzienna. - Potem w skupieniu zmarszczyła brwi. - Panience są potrzebne kolczyki.

Pegeen odruchowo przytknęła dłonie do uszu.

- Ojej, nie mam ani jednej pary.

- Nie ma panienka kolczyków? - Lucy była w najwyższym stopniu zdumiona. - Czyżby lord Edward nie kupił panience żadnych w Londynie?

- Nie, skądże. Dlaczego miałby to zrobić?... - Pegeen urwała, przerażona myślą, jaka ją naszła. Naturalnie lord Edward zapłacił

za jej garderobę, ale to była część ich umowy. O kolczykach nie było w niej ani słowa.

Zerknęła na swe odbicie w owalnym lustrze w złotej ramie, które zdobiło jedną ze ścian obitych boazerią, i ledwie się poznała. Kobieta spoglądająca na nią miała talię osy, olbrzymie, szmaragdowe oczy i łabędzią szyję. Wyglądała jak bardzo modna dama, a nie szkocka stara panna bez pensa przy duszy. Efekt był tak zadziwiający, że aż się nerwowo zaśmiała.

- Najlepiej niech panienka porozmawia z jego lordowską mością - powiedziała Lucy konfidencjonalnie. - On ma gdzieś schowaną biżuterię po matce. Szkoda, żeby się marmowała. Brylanty są po to, żeby je nosić, a nie zamykać w sejfie.

Pegeen znów się roześmiała, ale przestała już czuć się nieswojo. Podeszła do okna i powiedziała:

- Nie potrzebuję brylantów. Jestem córką pastora, a nie księżniczką.

Na trawniku leżał nietknięty ludzką stopą śnieżny dywan. Za kępą drzew, w miejscu, gdzie trawnik się kończył, Pegeen dostrzegła strzelistą wieżę kościoła prawie sięgającą nisko płynących, szarych chmur. A więc tam była wieś. Słusznie przewidziała, że z piętra będzie ją widać.

Lękliwe pukanie pani Praehurst przeszkodziło Lucy w dalszym namawianiu panienki do rozmowy z lordem Edwardem o kolczykach. Radość ochmistrzyni z tego, że Pegeen tak pięknie wygląda, była całkiem szczerą. Pani Praehurst przyniosła liczne wiadomości. Jeremy chciał, żeby Pegeen zajrzała do pokoju zabaw najszybciej, jak tylko będzie mogła. Lord Edward zaprosił Pegeen, by tego wieczoru zjadła kolację w jego towarzystwie. Miał być obecny także pan Alistair Cartwright. Z tego zaproszenia Pegeen bardzo się ucieszyła, choć pozornie zachowała dużą powściągliwość. Wreszcie miała jednak okazję pokazać jego lordowskiej mości, że i zabawa nie jest jej obca.

Pierwszy przystanek podczas obchodu domu wypadł naturalnie

w pokoju zabaw. Na widok Pegeen Jeremy wpadł w absolutny zachwyty. Wziął ją za rękę i oprowadził po kolorowym pokoju, tak jakby mieszkał w nim całe życie. Z dumą pokazał jej nowo wybudowany fort i mieszkające w nim cynowe żołnierzyki, przedstawił ją również Ellen, swojej czwartej z rzędu piastunce, pannie niewiele starszej od Lucy, która sprawiała takie wrażenie, jakby pomoc w budowaniu drewnianych fortów stanowiła dla niej zgoła bagatelkę. Opowiedział o koniu, którego lord Edward mu kupił, tak jak obiecał, wypytał dokładnie, czy pan Parks puścił jej krew, a gdy otrzymał przeczącą odpowiedź, filozoficznie wzruszył ramionami.

Pegeen nie chciała psuć jego euforycznego nastroju, mimo to poprosiła panią Praehurst i Ellen, żeby zostawiły ją na kilka minut sam na sam z siostrzeńcem, a gdy tylko spełniły tę prośbę, zaczęła wygłaszać przemowę, którą układała sobie cały tydzień, w czasie gdy chore gardło przeszkadzało jej w mówieniu.

Jeremy zniósł burę mężnie, ze spuszczoną głową, lecz wyprostowanymi plecami. Pegeen jeszcze nie w pełni odzyskała głos, wystarczyło jej jednak siły, by dobitnie wyrazić niezadowolenie z zachowania chłopca w ostatnich dniach. Zapowiedziała, że jeśli usłyszy o następnych wybrykach, to oboje się spakują i wrócą do Applesby.

- Nie zrobiłabyś tego - oświadczył Jeremy, ale bez przekonania.

- Zrobiłabym - odparła stanowczo Pegeen. - Bo jeśli zamierzasz się zachowywać jak ulicznik, to twoje miejsce jest na ulicy. Natomiast tu jest miejsce dla książąt, więc musisz się zachowywać jak na księcia przystało. Pewnie chcesz zatrzymać swojego konia i te piękne stroje... - Jeremy skrzywił się i wymownie skubnął koronkowy kołnierz - ...i nowiutkie zabawki, a skoro tak, to po prostu masz być grzeczny. Czy mnie zrozumiałeś, Jeremy?

Bez słowa skinął głową. Potem spytał bardzo grzecznie, czy podczas jej choroby pan Parks nawet nie rozważał przystawiania pijawek.

Upewniwszy się, że chłopiec jest zdrowy i szczęśliwy, Pegeen zostawiła go pod opieką Ellen, a sama ruszyła dalej za panią Praehurst w obchód domu. Przedtem książe wymusił jeszcze na niej obietnicę, że wieczorem Pegeen przyjdzie poczytać mu do snu. Najwidoczniej dzieci w Rawlings jadały w swoim pokoju. Pegeen postanowiła jak najszybciej zmienić ten zwyczaj. Jak Jeremy może nauczyć się manier dorosłych ludzi, jeśli nie będzie ich obserwował? Zanotowała w pamięci, żeby porozmawiać na ten temat z lordem Edwardem.

Pani Praehurst bez wątpienia bardzo lubiła i swoją pracę, i chlebobdawcę, bo nieustannie opowiadała o Rawlings: o domu, jego utrzymaniu, umeblowaniu i miejscu w historii. Pegeen wolno szła z tyłu, bardzo zainteresowana monologiem pani Praehurst, a zwłaszcza częstymi wzmiankami o lordzie Edwardzie. Z każdym pokojem w domu zdawał się być związany jakiś epizod dotyczący lorda. W każdym razie lord Edward był najspokojniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała pani Praehurst. Zawsze przykładnie grzeczny, dobry dla służby i dla zwierząt. A czy Pegeen słyszała historię o tym, jak lord Edward uratował psa za cenę własnego udziału w polowaniu? Nie? Lord Edward sam zaniósł do domu tego nieszczęsnego czworonoga, który wpadł w sidła, a potem wcale nie narzekał, chociaż lisa dopadł jego starszy brat.

Pegeen słuchała tego z uśmiechem na twarzy. Wyglądało na to, że lord Edward podbija serca wszystkich kobiet, które go znają. W tym prawdopodobnie przypominał swojego ojca. Stary książe miał opinię człowieka umiejącego postępować z damami. Pegeen zrozumiała przyczynę tego, gdy weszły do długiego pomieszczenia, w którym znajdowała się galeria rodowych portretów.

Stojąc przed wizerunkiem starego księcia, Pegeen natychmiast dostrzegła, że syn jest do niego uderzająco podobny. Książe również był śniady, miał szerokie ramiona i przenikliwe spojrzenie. Ale artysta, który uchwycił podobieństwo, nie potrafił zatrzeć śladów rozpustnego życia widocznych na twarzy i ogników sar-

kazmu w zadumanych oczach. Musiało być bardzo trudno przedstawić tak nieprzyjemnego człowieka w sposób, który by go zadowolił! Ojciec Jeremy'ego wyglądał prawie tak samo. Pegeen żałowała, że jego portret nie wisi obok, pani Praehurst wytłumaczyła jej jednak, że John nigdy nie był w stanie usiedzieć w jednym miejscu dłużej niż minutę.

Zerknąwszy na portret swego byłego chlebobdawcy, ochmistrzynie nie powiedziała ani słowa, co bardzo zdziwiło Pegeen. Pierwszy raz kobiecie zabrakło słów. Już to było wymowne. Pegeen odsunęła się nieco w bok, by spojrzeć na wizerunek żony księcia, matki Edwarda. Była doprawdy piękna, miała jasną cerę i jasne włosy, a Jeremy i jego wuj odziedziczyli po niej szaroniebieskie oczy. Ale choć z oczu Edwarda biła przeważnie gryząca ironia, to wydawały się bystrzejsze niż oczy jego matki, no i łagodniejsze.

Pani Praehurst podeszła do następnego portretu i wydała westchnienie zadowolenia.

- To jest mój ulubiony obraz - powiedziała. - Lord Edward w ogóle nie chciał do niego pozować. Książe go zmusił. Pamiętam dzień, gdy odsłaniano ten portret. Lord Edward był głęboko zakłopotany. Spytał mnie: „Pani Praehurst, czy mogłaby pani udać omdlenie albo wymyślić coś takiego, żebyśmy mogli zachowywać się normalnie?” To takie podobne do niego. On nie ma cierpliwości do udawania. O nie.

Pegeen mimowolnie przełknęła ślinę. Wpatrując się w portret wuja Jeremy'ego, odniosła niemal takie wrażenie, jakby miała przed sobą żywego człowieka. Ale w twarz prawdziwego Edwarda nie mogła wpatrywać się tak długo, bo pochwyciłby jej spojrzenie. Teraz nic jej nie groziło. Zmrużyła więc oczy i w skupieniu kontemplowała znajome rysy.

Obraz bardzo się twórce udał. Od razu było wiadomo, kogo przedstawia. Poznawała każdy szczegół. Nieuniknione było jednak porównanie portretów syna i rodziców, i tu wynik okazał się zaskakujący. Chociaż Edward odziedziczył po ojcu posturę, a po

matce oczy, więcej podobieństw nie zauważyła. Twarz Edwarda promieniowała ciepłem, była dobroduszną, a w jego spojrzeniu widziało się zadumę. Malarz uchwycił również kpiący grymas ust, siłę dużych, opalonych rąk i bystrość oczu. Na początku tego spaceru po domu pani Praehurst powiedziała Pegeen, że nie zna się na sztuce, ale wysoką oceną portretu Edwarda dowiodła swej wrażliwości na piękno. Bez wątpienia dostrzegła, że jej pana cechuje nie tylko wyrazisty profil i upodobanie do psów myśliwskich.

Zanim jednak Pegeen zdążyła pochwalić obraz, usłyszała podzwanianie ostróg w korytarzu. Odwróciła się akurat w porę, by zobaczyć lorda Edwarda we własnej osobie, który zbliżał się do nich sprężystym krokiem. Wyglądał tak, jakby właśnie wrócił z konnej przejażdżki: wciąż był w czarnej pelerynie, rękawicach i ze szpicrutą. Twarz miał wysmaganą wiatrem, włosy potargane, kilka czarnych kędziorów opadło mu na wysokie czoło. Pegeen przez chwilę przenosiła wzrok z portretu na modela i z powrotem, aż wreszcie doszła do wniosku, że artysta zawiódł w jednym: w rzeczywistości Edward wydawał się dużo groźniejszy niż na malowidle.

- Pani Praehurst! - zawołał Edward.

Ochmistrzyni się rozpromieniła.

- O, wasza lordowska mość! Właśnie podziwialiśmy twój portret, milordzie.

- Czyżby? - Edward zbliżył się do nich i Pegeen poczuła przyniesione przez niego zza drzwi zapachy rzeźwiącego, chłodnego powietrza i końskiej uprzęży. Na wargach igrał mu ten dziwny, krzywy uśmiech, który wyglądał tak, jakby Edwarda ucieszył jemu tylko znany dowcip.

Pegeen bardzo zawstydziło to, że została przyłapaną na wpatrywaniu się w jego portret. Co gorsza, dobrze pamiętała, że ostatnio, gdy się widzieli, Edward dotykał jej pośladków. Wbiła więc wzrok w czubki pantofli i gorączkowo rozmyślała, co zrobić, żeby pozbyć się tego przekłętego rumieńca z policzków.

- Dzień dobry, panno MacDougal. - Edward jak zwykle z galanterią szurnął butami i lekko się skłonił. Jego uśmiech stał się znacznie szerszy. - Pan Parks powiedział mi, pani, że czujesz się lepiej. Muszę przyznać, że wyglądasz znakomicie. Mam nadzieję, że dni niemocy już są za panią.

Zerknęła na niego, starając się nie okazać, jak żywo reaguje na jego widok.

- Dziękuję, milordzie, rzeczywiście, czuję się całkiem dobrze - odrzekła chłodno. Naturalnie jej głos, wyraźnie niższy niż zazwyczaj, podawał w wątpliwość to twierdzenie, ale przynajmniej zdołała powstrzymać się od kaszlu.

- To wspaniale. A jak z głową? Lepiej?

- Można wytrzymać.

Pani Praehurst widocznie zauważyła brak entuzjazmu Pegeen dla tego przypadkowego spotkania, więc włączyła się do rozmowy.

- Oprowadzałam pannę MacDougal po domu, milordzie.

- Aha. I co panna MacDougal sądzi o Rawlings Manor?

Pegeen nonszalancko skubnęła koronkowy mankiet sukni.

- Dwór wydaje mi się bardzo urokliwy.

Zrobił bardzo zdziwioną minę.

- Słucham?

- To bardzo urokliwy dom - potwierdziła. Niewątpliwie za skoczyła go tą odpowiedzią i nic dziwnego, skoro poprzednio wygłosiła mu wykład na temat rozrzutności. Naturalnie jednak w obecności pani Praehurst nie mogła powiedzieć całej prawdy. W gruncie rzeczy trudno jej było pogodzić się z tym, że istnieją takie rezydencje jak Rawlings Manor, podczas gdy w Londynie całe rodziny głodują.

Przez chwilę dzieliło ich niezręczne milczenie. Pegeen wpatrywała się w jego zabłocone buty, przez cały czas mając niemiłą świadomość, że jest bacznie obserwowana. Wreszcie pani Praehurst spytała uprzejmie:

- Czy milord czegoś sobie życzy?
- Och, tak, naturalnie, pani Praehurst. - Edward oderwał wzrok od Pegeen i powiedział głośno: - Będę wdzięczny, jeśli zapowie pani kucharce, że będzie jedna osoba więcej na obiedzie. Zamierza nas odwiedzić pani wicehrabina.
- Wicehrabina! -powtórzyła zdumiona ochmistrzyni. Zerknęła na Pegeen, ale wnet się opanowała. - Naturalnie, naturalnie, pani wicehrabina - powtórzyła. - Zawiadomię kucharkę. Czy milord... czy należy się spodziewać, że pani hrabina zechce zanoć?
- Tak sądzę.
- Proszę mi wybaczyć, milordzie, ale spodziewałam się pani wicehrabiny dopiero jutro, razem z gośćmi z Londynu...
- Ja też - przyznał Edward, Pegeen nie umiała jednak powiedzieć, czy ta zmiana planów jest mu na rękę i czy przypadkiem sam się do niej nie przyczynił. - Ale wicehrabina wyraziła chęć poznania pani, panno MacDougal. - Edward w skupieniu przyglądał się twarzy Pegeen. - Przekonałem się, że budzi pani wielkie zainteresowanie w sąsiedztwie.
- Nie widzę powodu - odparła spokojnie Pegeen. - Chyba że ktoś jeździ po okolicy i rozpusza o mnie jakieś głupie plotki. - Znacząco spojrziała na jego zabłocone buty.
- Edward podążył za jej spojrzeniem i ku zadowoleniu Pegeen trochę się zmieszał. Bardzo jednak uważał, żeby nie oddać inicjatywy. Uśmiechnął się szeroko.
- Sądzę, że okoliczni właściciele ziemscy mają powód czuć się nieswojo, wiedząc, że pojawiła się wśród nich osoba o liberalnych poglądach. Z pewnością niespokojnie przeglądają teraz swoje księgi rachunkowe i sprawdzają, czy nie ma tam jakichś ekstrawagancji, na przykład fontanny do szampana.
- To chyba dobrze - odparła Pegeen i dumnie uniosła głowę. -Z pewnością jest w tym hrabstwie mnóstwo przedsięwzięć charytatywnych, na które można łożyć, żeby uwolnić się od poczucia winy.

- Masz pani niezwykle zmysł do rachunków - stwierdził Edward. - Ciekaw jestem, czy, pani zdaniem, mój ojciec nie zapłacił zbyt wiele człowiekowi, który to namalował. - Wskazał głową swój portret. - Czy dostrzega pani podobieństwo?
- Popatrzyła na obraz. Wciąż nie czuła się swobodnie. Spojrzenie namalowanej postaci było nie mniej przenikliwe niż żywego człowieka. Poza tym zirytowała ją uwaga o fontannie, więc odpowiedziała dość urażonym tonem:
- Obawiam się, że nie.
- Edward i ochmistrzyni wydawali się zdziwieni.
- Nie dostrzega pani podobieństwa? - Edward przeniósł wzrok na twarz Pegeen. - To ciekawe. Wszyscy mi mówią, że jest wręcz niewiarygodne.
- Pewnie z uprzejmości - zgyźliwie odparła Pegeen. - Moim zdaniem, na tym obrazie jest pan bardziej... - Urwała i zaczęła się zastanawiać, czym go najbardziej rozzłości. Naturalnie widziała u niego wiele wad, ale wszystkie należały do cech sfery. Wszyscy arystokraci byli elegancy, mieli tytuły, a przede wszystkim wielki majątek. - Znacznie bardziej męski niż w rzeczywistości - dokończyła z satysfakcją.
- Znacznie bardziej męski? - Edward cofnął się o krok i wbił wzrok w portret. - Obawiam się, że nie rozumiem...
- Nie? Na co dzień roztaczasz wokół siebie bardzo kobiecą aurę, milordzie. - Pegeen uroczo się doń uśmiechnęła. - Twój brat zawsze mówił, że masz cechy fircyka.
- Fircyka! - Edward osłupiał. - John tak powiedział? Niech go diabli wezmą...
- Muszę przyznać, że teraz tego nie widać. - Pegeen śmiało podeszła do niego i poprawiła mu halsztuk, który musiał się przekrzywić podczas konnej jazdy. Stała tak blisko, że czubkami piersi otarła się o jego tors. - Prawdę mówiąc, w tej chwili wyglądasz dość niechlujnie.
- Byliśmy z Cartwrightem na przejażdżce - bąknął Edward.

Poruszył nosem i Pegeen zorientowała się, że zainteresowało go jej pachnidło. Uśmiechnąwszy się zwycięsko, ostatecznie przygładziła halsztuk.

- No, trochę lepiej - powiedziała, cofnąwszy się na wyciągnięcie ręki. - Z tonu jej głosu wynikało jednak, że poprawa jest znikoma. - Pani Praehurst, musimy ruszać dalej, jeśli chcemy skończyć obchód domu przed obiadem.

- Tak, tak, naturalnie - wydukała oszołomiona ochmistrzyni. - Bardzo przepraszam, milordzie... Zaraz powiem kucharce o lady Ashbury...

Edward opanował się na tyle, że wykonał ukłon, ale ściągnięte brwi dowodziły jego nie najlepszego nastroju. Odszedł energicznie, podzwaniając ostrogami. Pegeen triumfowała. No, tym razem nie zachowała się jak wstydliva dziewczica. Jeśli dobrze pójdzie, Edward będzie dumał nad jej przytykiem aż do kolacji.

Natomiast panią Praehurst trzeba było ugłaskać. Pegeen zwróciła się więc do ochmistrzyni z niewinną miną.

- Ojej, czyżbym powiedziała coś, czego nie powinnam? - spytała. - Kiedy odchodził, wydawał się raczej nadąsany.

Ochmistrzyni pokręciła głową, spoglądając śladem Edwarda.

- Och, panno MacDougal, obawiam się, że go pani uraziła. Lord Edward jest najłagodniejszym człowiekiem na ziemi, ale pod warunkiem, że nikt go nie urazi. Po ojcu odziedziczył porywczosć i to jest jego jedyna wada. Zresztą siostra na pewno pani o tym mówiła. Lord John też to miał.

Pegeen skinęła głową. Doskonale pamiętała napady wściekłości Johna. Jeden z nich skończył się dla niego tragicznie.

- To prawda - westchnęła.

- Kiedy lord Edward klócił się z bratem, było ich słycać na kilometr, słowo pani dają. A klóćili się bez przerwy. Wcale mnie nie dziwi, że lord John nazwał brata fircykiem w pani obecności. - Pani Praehurst zachichotała. - Pewnie wiedział, że to mu dopieczę do żywego. W życiu nie widziałam kogoś, kto mniej zasługiwałby

na miano fircyka. O, on potrafi postępować z kobietami, zresztą lord John nie był w tym od niego gorszy. Pegeen wydeła wargi.

- Dano mi to do zrozumienia. Od jak dawna wicehrabina jest jedną z... przyjaciółek lorda Edwarda?

Pani Praehurst spojrzała na Pegeen z zaskoczeniem. Chciała zbyć to pytanie śmiechem, ale Pegeen dostrzegła jej zmieszanie.

- A to ci dopiero! Nie sądzę... Zdaje mi się, że lady Arabella przyjaźni się z lordem Edwardem, od czasu gdy jej mąż, wicehrabia Ashbury, kupił majątek parę kilometrów stąd.

- Ale wicehrabina przyjedzie tutaj bez męża? - spytała Pegeen.

- No, tak - potwierdziła pani Praehurst. - Nagle ściszyła głos. - Pan wicehrabia jest znacznie starszy od swojej żony. Biedacy nie mogli mieć dzieci. A pani wicehrabina uwielbia towarzystwo, czego nie można powiedzieć o jej mężu.

Ochmistrzyni zawiesiła głos. Nie chciała być nielojalna wobec chlebobdawcy. Pegeen mogła jednak sama zrekonstruować sytuację: piękna, znudzona żona i starszy, mało spostrzegawczy mąż, a do tego na wyciągnięcie ręki taki mężczyzna, jak Edward Rawlings. Wprost nie mogli nie nawiązać romansu! Pegeen poczuła przykre ukłucie, ale łatwo je sobie wytłumaczyła. Ledwie udało jej się trochę zachwiać samozachwytem tego człowieka, a już wicehrabina znowu podbije mu bębenek. Psiakostka!

Zapowiedziana wizyta wicehrabiny nie wyprowadziła jednak pani Praehurst z równowagi na tyle, by miały przerwać obchód domu. Sumiennie i - jak zdawało się Pegeen - nie bez przyjemności, ochmistrzyni dalej oprowadzała ją po pokojach dziennych, gabinetach, jadalniach, salonach i bibliotece. Znow się ożywiła, opowiadając o srebrach i haftowanych parawanach. Wreszcie stanęły w korytarzu prowadzącym do szklarni. Tam pani Praehurst z niezaprzeczną dumą zaczęła opowiadać następną historię o swoim chlebobdawcy.

- Jej książęca wysokość uwielbiała kwiaty - powiedziała, pro-

wadząc Pegeen długim, mrocznym korytarzem. - Uwielbiała je tak bardzo, że popadała w depresję, gdy do Yorkshire nadciągała zima i wrzosowiska traciły kolory. Księżę kazał więc zbudować szklarnię w taki sposób, żeby wpadało do niej jak najwięcej słońca, i sprowadził różne egzotyczne rośliny. Wydawał też mnóstwo pieniędzy na ogrzewanie szklarni od listopada do marca. Ale, co łatwo zrozumieć, po śmierci żony stracił zainteresowanie dla tego miejsca. Zaczęło niszczeć, zamknięte i nieużywane. Wreszcie również księżę odszedł z tego świata. Wtedy lord Edward sprowadził człowieka z Londynu i kazał mu odnowić szklarnię. Znów kupił najdziwniejsze kwiaty i nawet małe drzewa, i fontannę! Sama pani zobaczy. To jest hołd lorda Edwarda dla matki...

Dramatycznym gestem urodzonego aktora pani Praehurst otworzyła ciężkie, podwójne drzwi kończące korytarz. Przechodząc przez nie, Pegeen wydała z siebie głośne „ojej!”. Najpierw uderzyła ją fala wilgotnego, gorącego powietrza, potem poczuła mocny zapach gleby, wreszcie jej oczom ukazała się feeria jaskrawych barw.

Widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Pegeen nigdy czegoś podobnego nie widziała. Zdumiewało ją, że kwiaty mogą kwitnąć jak szalone w środku zimy. Tyle zieleni na tle bieli za oknami. Szklarnia okazała się dużo większa, niż spodziewała się Pegeen. Można w niej było urządzać przyjęcia. Na kamiennej posadzce stały zresztą tu i ówdzie żelazne stoły i ławki. Ławki stały też dookoła fontann tryskających zwykłą wodą, a nie szampanem. Róże, bez, lilie... Tyle kwiatów Pegeen nie miała nawet w swoim ogrodzie, którego zazdrościło jej wielu amatorskich hodowców z Applesby. To było zdumiewające, ile czasu i sumiennej pracy poświęcono na utrzymanie tych roślin przy życiu, gdy na zewnątrz ścisnął mróz. Czasu, sumiennej pracy i... pieniędzy.

Przechadzając się wonnymi ścieżkami wśród kwiatów w skrzynkach, Pegeen musiała jednak wbrew sobie przyznać, że tych pieniędzy nie wyrzucono. To wydawało się bardzo podobne do

Edwarda, że zadał sobie tyle trudu, by naprawić błąd ojca. Czyż nie z tego samego powodu w końcu sprowadził do Rawlings Jeremy'ego? Edward nie zawsze wyrzucał pieniądze na bagatele i tego nie mogła mu odmówić. Niektóre wydatki były całkiem uzasadnione. Na przykład tę inwestycję, choć olbrzymią, w pełni popierała. Natychmiast zapalała uwielbieniem dla szklarni. Pani Praehurst długo musiała ją namawiać, żeby wróciła do sypialni i przebrała się do obiadu.

Gdy pani Praehurst wreszcie oddała Pegeen pod opiekę Lucy, okazało się, że ta przygotowała już wieczorową suknię z jasno-różowego atłasu. Była to jedna z tych, którą lady Herbert wybrała dla Pegeen w Londynie wbrew protestom zainteresowanej, że to dla niej zbyt elegancka kreacja. Głęboki dekollet nadal ją zawstydział, a do tego Lucy uparła się, że wplecie jej we włosy białe róże. Pegeen była przekonana, że sprowokuje tym niektórych uczestników obiadu do oskarżenia jej o wynoszenie się nad innych.

- Panienska nie ma żadnych klejnotów - oświadczyła dość oburzona tym Lucy. - Trzeba czymś ozdobić włosy, no i musi być coś na szyi. Tym ostatnim „czymś” okazała się czarna aksamitka, do której służąca przypięła piękny, na wpół rozwinięty różany pąk. Gdy Pegeen w końcu pozwoliła zapiąć sobie aksamitkę na szyi, kwiat okazał się jeszcze bielszy niż jej mleczna skóra.

Po zakończeniu toalety Pegeen obejrzała się krytycznym okiem w lustrze. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie przysłonić koronkową chustą piersi, których znaczna część była widoczna w śmiałym dekolcie. Pan Worth doskonale wiedział, że jest panną, a Pegeen, mimo rozbawienia lady Herbert, twierdziła zdecydowanie, że ma zamiar nią pozostać. Ale mimo jej protestów wielki

projektant uszył dla niej wszystkie wieczorowe suknie ze skandalicznie głębokimi dekolletami.

- To grzech - oświadczył - ukrywać to, czym dobry Bóg uznał za stosowne obdarzyć człowieka, panno MacDougal.

Pegeen nie była pewna, czy zgadza się z wielkim panem Worthem, sądziła jednak, że skoro Edward ma zajmować się kim innym, to jest stosunkowo bezpieczna. Skropiła szyję i nadgarstki francuskim pachnidłem, którego cena za flakonik wydawała jej się przerażająca, lecz zapach tak boski, że nie była w stanie oprzeć się pokusie kupna. Już miała zejść na dół, ale Lucy jeszcze na chwilę ją zatrzymała i kilka razy przyszczypnęła jej policzki.

- Wspaniale! - wykrzyknęła potem. - Kto powiedział, że muszą być diamenty? Panienska ma coś lepszego... różane policzki!

Pegeen wzięła się uśmiechnęła, nagle bowiem ogarnęła ją dziwny niepokój.

Z obchodu domu w towarzystwie pani Praehurst pamiętała, że goście zawsze zbierają się w złotym salonie. Zeszła po schodach, po drodze uśmiechając się do mijanych służących, którzy radośnie ją pozdrawiali. Przed drzwiami salonu przystanęła. Ze środka usłyszała szmer harmonijnie dobranych głosów, spośród których wybijał się brzęczący jak dzwoneczki kobiecy śmiech.

Skubnęła różę na aksamitce i przełknęła ślinę. Co się z nią dzieje? Dlaczego nagle ją zaniepokoiło, co pomyśli o niej jakaś głupia wicehrabina? I co z tego, że ona nie ma tytułu? Ma za to swoją dumę. Klan MacDougalów był tak samo stary, jak najstarsze księstwo w Anglii, i tysiąc razy szlachetniejszy. Co więcej, Pegeen była pewna, że pani wicehrabina nie dorówna jej w picu whisky.

Dobrze jednak pamiętała, jak traktowały ją inne panny w Applesby. Nie dość tego, że była zdziwaczałą córką pastora, która wolała czytać książki, niż uganiać się za miejscowymi chłopakami, to jeszcze los pokarał ją urodą, więc wszystkie jej tego zazdrościły. Mogła liczyć tylko na to, że wicehrabina po prostu nie zwróci

uwagi na osobę znaczącą tak niewiele i że nie będą musiały długo ze sobą rozmawiać. Nie sądziła, by miała z nią więcej wspólnych tematów niż na przykład z Maureen Clendening, córką karczmarza.

Nie wiadomo skąd pojawił się Evers, skłonił się przed nią i uprzejmie otworzył drzwi, by zaanonsować jej nadejście grupce ludzi obecnych w salonie. Okazało się, że przyszczypywanie policzków było zbędne, spłonęła bowiem całkiem naturalnym rumieńcem, gdy kamerdyner ogłosił:

- Panna Pegeen MacDougal.

Boże, modliła się, proszę, nie pozwól mi zrobić nic głupiego. Natychmiast ogarnęła ją złość, że pozwala sobie na takie niedorzeczne myśli. Dlaczego w ogóle zgodziła się wyjechać z Applesby?

Otworzywszy oczy, uśmiechnęła się z zakłopotaniem do Eversa, który skłonił się przed nią jeszcze raz i sam nieznacznie się zarumienił. Wielkie nieba, pomyślała. Może córki pastorów nie powinny uśmiechać się do kamerdynerów? Ale Evers był taki miły, że uśmiechnęła się do niego całkiem mimo woli. Co tam, uniosła lewą ręką rąbek sukni i minawszy kamerdynera, weszła do środka z nadzieją, że jej królewski nos odwróci uwagę zebranych od pąsowych policzków.

Niestety, srodze się zawiodła. Konwersacja w złotym salonie nagle ucichła i trzy pary oczu skierowały się prosto na nią. Zawstydzona Pegeen spuściła głowę, zarówno bowiem lord Edward, jak pan Cartwright po sekundzie zawahania zerwali się na równe nogi. Nie miała pojęcia, że owo zawahanie spowodowane było wrażeniem, jakie wywarła jej smukła sylwetka, zaróżowione policzki i skromnie spuszczone wzrok.

Odwagi, powiedziała sobie, po czym wyprostowała plecy i wysoko uniosła głowę. Z uśmiechem na twarzy przeszła przez pokój i wyciągnęła rękę do pierwszej osoby z brzegu, którą okazał się Alistair Cartwright.

- Witam, panie Cartwright - powiedziała. - Cieszę się, że znowu pana widzę. Mam wrażenie, że nie widzieliśmy się wieki.

Alistair Cartwright ujął podaną rękę i skłonił się nad nią bez słowa. Zdawało się, że odebrało mu mowę, chociaż Pegeen nie potrafiła zrozumieć, jaki mógłby być tego powód. Oderwawszy zatroskane spojrzenie od rezydenta Rawlings Manor, zwróciła się w stronę lorda Edwarda. Przebrał się i zamiast jeździeckiego stroju miał na sobie ubiór, którego z pewnością nie włożyłby fircyk, składały się nań bowiem nowy, nienagannie zawiązany hałsztuk i dość ponura kamizelka. Chociaż przyglądał jej się bardzo uważnie, to wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Pegeen nie potrafiła powiedzieć, czy spodobało mu się to, co widzi.

- Panno MacDougal - odezwał się z chłodną uprzejmością, jakby zwracał się do przypadkowo poznanej osoby, a nie kogoś, z kim wszedł w nader poufałe związki - czy mogę przedstawić wicehrabinę Ashbury, lady Arabelle?

Pegeen stwierdziła, że podobnie jak w przypadku Edwarda, musi odchylić głowę, by objąć wzrokiem całą postać Arabelli, ta bowiem, mimo iż skłoniła się na powitanie, wciąż pozostawała wyższa. Najgorsze zaś było to, że Arabella była piękna. Pegeen wiedziała, że mimo wszelkich wysiłków swojej pokojówki nigdy nie dorówna wicehrabinie urodą.

Wprawdzie nie spodziewała się, że Arabella jest w takim wieku - choć dobrze zakonserwowana, z pewnością skończyła już bowiem czterdzieści lat - lecz musiała docenić jej niezwykle subtelną, typowo angielską urodę. Wicehrabina wszystko miała blade, jakby była zwiędniętą różą herbacianą. Kręcone włosy, spadające na ramiona, wydawały się prawie białe. Tęczówki jasnoblękitnych oczu zdawały się stapiać w jedno z białkami, przy tym były to jednak oczy niezaprzeczalnie bystre, dostrzegające wszystko. Pegeen ze wstydem stwierdziła, że fakt, iż nie nosi biżuterii, został skrzętnie odnotowany. Bardzo modna suknia wicehrabiny, uszyta z lazurowego jedwabiu, miała tak szeroką spódnicę, że jej właścicielka z trudem mogła przejść przez drzwi,

lecz mimo to Arabella wydawała się krucha jak porcelanowa lalka. Taką urodę opiewali w swych utworach Tennyson i Browning. Kobiety w typie Pegeen nie miały szans w rywalizacji z nimi.

- Jak się pani miewa, lady Ashbury? - spytała nieśmiało Pegeen.

- Dziękuję, dobrze. - Dygnawszy, wicehrabina wyprostowała się i zmierzyła Pegeen tym samym taksującym spojrzeniem, które przedtem zademonstrował Edward. Najwraźniej nie spodobało jej się to, co zobaczyła, bo jej wargi - umalowane na różowo - ułożyły się w tak fałszywy uśmiech, że Pegeen zaczęła się zastanawiać, czy lord Ashbury nie jest ślepy. Ta kobieta zupełnie nie umiała ukrywać swoich uczuć, toteż z pewnością nie powinna była romansować z sąsiadem.

- Panno MacDougal, mam nadzieję, że już odzyskała pani siły po chorobie, a także po niefortunnym wypadku, o którym opowiedział mi Edward.

Pegeen przesłała jej uśmiech.

- Och, czuję się już o wiele lepiej. Ale czy może być inaczej przy tak troskliwym gospodarzu?

Zwróciła rozpromienioną twarz ku Edwardowi, który w odpowiedzi tylko poruszył brwiami. Najwyraźniej nie wiedział, jak potraktować to niespodziewane pochlebstwo ze strony osoby, przez którą niedawno został oskarżony o zniewieścianość.

Natomiast Alistair Cartwright nie potrafił dłużej zachować powściągliwości. Wystąpił naprzód, jeszcze raz uściśnął dłoń Pegeen i patrząc na nią, powiedział:

- Cieszy mnie widok pani w dobrym zdrowiu, panno Mac Dougal. Mam nadzieję, że weźmie pani udział w uciechach, które Edward zaplanował na koniec tego tygodnia...

Pegeen przybrała bardzo zawiedzioną minę.

- Pan Parks surowo mi zabronił konnej jazdy - powiedziała tak, jakby dawno już nie usłyszała gorszej nowiny. W rzeczywistości nie wyobrażała sobie bardziej odrażającej czynności niż galopowanie w zimnie za biednym, głodnym lisem.

- Ale o tańcu doktor nie wspominał, prawda? - dopytywał się Alistair.

Pegeen udała, że nie rozumie.

- Nie, proszę pana, ale...

- Czy wobec tego zarezerwuje pani dla mnie walca?

- Panie Cartwright! - Pegeen roześmiała się. - Czy zawsze jest pan taki śmiały w nawiązywaniu kontaktów z krewnymi swojego przyjaciela?

- Trudno mi powiedzieć. Wcześniej nie poznałem żadnej jego krewnej - odrzekł Alistair. Podał jej ramię i zaprowadził ją do kanapy, na której wcześniej siedział. Pegeen, nieco zdenerwowana, usiadła wśród aksamitnych poduch. Miała niejasne przeczucie, że stała się obiektem zalotów. Jeszcze nigdy nikt się do niej nie zalecał, jeśli nie liczyć pana Richlandsa... no i, naturalnie, lorda Edwarda. Zresztą zachowanie lorda Edwarda w zasadzie nie zasługiwało na miano zalotów. Było wręcz oburzające. Za to Alistair Cartwright był w każdym calu dżentelmenem. Pegeen nie wiedziała, czy ma jego galanterię traktować poważnie, czy po prostu widzieć w niej uprzejmość wobec ubogiej krewnej gospodarza...

- Doszedłem do wniosku, że podczas pierwszego pobytu w Rawlings potrzebujesz pani przewodnika - ciągnął Alistair - i wyznaczyłem siebie do tej roli.

- O ile wiem, panna MacDougal została już oprowadzona po domu - burknął Edward. Ale gdy Pegeen na niego zerknęła, stwierdziła, że gospodarz nawet na nich nie patrzy. Wzrok miał wbity w ogień na kominku, jakby próbował zdecydować, czy nie należy wrzucić popiołu pogrzebaczem. - Pani Praehurst zrobiła to dziś przed południem.

- Aha. - Alistair zerwał się z kanapy, żeby nalać Pegeen kieliszek sherry. - I jak się pani tu podoba, panno MacDougal? Czy widziała pani antyki, o których opowiadał Edward?

- Och, nie tylko - zapewniła go Pegeen ze śmiechem, biorąc

do ręki kieliszek. - Kiedy lord Edward opowiadał mi o Rawlings, w ogóle nie chciałam mu uwierzyć, że tu zimą kwitną róże. Teraz obejrzałam je sama i mogę powiedzieć tylko tyle, że zachwyty lorda Edwarda nawet w połowie nie oddają ich piękna.

W drugim końcu pokoju wicehrabina udawała osobę pochłoniętą śledzeniem własnego odbicia w okiennej szybie, za którą gęstniał mrok. Widocznie zadowolili ją ten widok, bo w końcu wyprostowała się i podeszła do Pegeen. Minę miała kwaśną.

- Dziwię się, panno MacDougal, że siostra nigdy nie wspomniała przy pani o tych różach. Z pewnością musiało zapanować w pani wsi niemałe poruszenie, gdy Kathy MacDougal zdołała usidlić dziedzica Rawlings.

Pegeen uniosła brwi. Nie знаła dobrze tej kobiety, nie miała więc pojęcia, czy wicehrabina celowo nadała swoim słowom obraźliwy ton.

- Nic w tym dziwnego. Może Rawlingsowie nie są jednak aż tak bardzo znani, jak się tutaj sądzi. Ja w każdym razie nigdy o nich nie słyszałam, póki Kathy nie sprowadziła do domu lorda Johna. A on na pewno nie wspomniął ani słowem o szklarni.

- W to łatwo mi uwierzyć. - Alistair się roześmiał. - Który mężczyzna będzie się zachwycał kwiatami ze szklarni, mając pod bokiem prawdziwą dziką różę.

Pegeen uśmiechnęła się do niego, a potem ponownie skupiła uwagę na wicehrabinie, która jeszcze bardziej spochmurniała.

- Zresztą - podjęła Pegeen - mąż mojej siostry interesował się wyłącznie końmi. To był typ prawdziwego mężczyzny, jeśli państwo wiedzą o czym mówię. - Zerknęła figlarnie na Edwarda, który odwzajemnił jej spojrzenie i, jeśli się nie myliła, był w tej chwili bardzo na nią zły. Co za ulga. To było stanowczo lepsze niż znoszenie jego zalotów, których nie potrafiła zdecydowanie odeprzeć.

Ale wicehrabina również nie wydawała się uszczęśliwiona. Przechadzała się małymi kroczkami po pokoju, co zresztą służyło

właściwemu wyeksponowaniu jej sylwetki. Pegeen zwróciła też uwagę na niezwykle głęboki dekolt lady Ashbury.

- Aż trudno mi wyrazić, panno MacDougal - powiedziała wicehrabina z wymuszoną pogodą - jak się cieszę, że w Rawlings znowu zamieszkała kobieta! Obawiam się bowiem, że choć Edward znakomicie zarządza stajniami, to nie ma pojęcia o prowadzeniu domu. W tym jest doprawdy beznadziejny.

- Nie uwierzę - odparła natychmiast Pegeen, zapominając, że spiesząc na odsiecz gospodarzowi, działa na własną niekorzyść, bo przecież miała podsycać jego niechęć do siebie. - Podczas mojej choroby był taki troskliwy, przysyłał mi książki i kwiaty...

Pochwyciwszy bardzo ostre spojrzenie Arabelli, Edward odchrząknął, może trochę za głośno.

- A któż nie chciałby pomóc pannie MacDougal w odzyskiwaniu zdrowia? - stwierdził z galanterią. - Jest prawdziwą ozdobą tych korytarzy, w których gwizdże wiatr.

Pegeen nawet nie zauważyła komplementu. Wciąż była skupiona na osobie wicehrabiny.

- Poza tym jak ktoś, kto nie potrafi prowadzić domu - szczebiotała dalej - mógłby zaplanować przyjęcie połączone z polowaniem?

- Och, to jest pomysł lady Arabelli - włączył się do rozmowy Alistair. - Przyznaj się, Arabello. W Ashbury House nie ma wielkiej sali, więc lubisz korzystać z tej w Rawlings Manor tak, jakby była twoja...

- Niedorzeczność - oświadczyła lodowatym tonem lady Ashbury.

- To prawda - wtrącił Alistair. - Tylko w ostatnim sezonie przynajmniej dwa razy ściągnęła tu wszystkich przyjaciół i znajomych z Londynu.

- Nieznośny smarkacz - burknęła lady Ashbury w jego stronę. - Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego Edward pozwala ci na niekończące się wizyty w Rawlings. Jesteś doprawdy irytujący.

- Cartwright - odezwał się groźnie Edward, stojąc przy kominku. - Bądź grzeczny.

- Wielkie nieba! - Zdziwiona Pegeen zwróciła się do Alistaira.
- Czy oni zawsze tak źle pana traktują? Nie rozumiem, czemu pan tu w ogóle mieszka.

Alistair sprawiał wrażenie zachwyconego.

- Na Boga, ktoś broni mojego honoru! Twój brat, Edwardzie, natknął się w Szkocji na klejnot czystej wody. Czy sądzisz, że są tam również inne podobne skarby? Ja też chciałbym mieć taki dla siebie!

Pegeen nie miała okazji zerknąć na Edwarda, żeby sprawdzić, jak zareagował na słowa Alistaira, nagle bowiem do salonu wszedł Evers i oznajmił, że podano obiad. Ku wielkiemu zdziwieniu Pegeen ofiarowane jej ramię należało nie do Alistaira, lecz do Edwarda. Gospodarz spoglądał na nią spode łba, jakby w ogóle nie miał ochoty jej towarzyszyć, ale gdy się zawahała, położył jej dłoń w okolicy swego łokcia i pomógł jej wstać z kanapy, zresztą niezbyt delikatnie.

- Och, milordzie - powiedziała Pegeen, kątem oka dostrzegając mordercze spojrzenie wicehrabiny, skierowane prosto w plecy Edwarda. - Jak to uprzejmie z twojej strony!

- Nie ma o czym mówić - odparł chłodno Edward. - Przecież jesteś, pani, moją szwagierką. Towarzystwo pani w drodze do jadalni to mój obowiązek.

Pegeen zamrugnęła, urażona chłodnym tonem, i instynktownie spróbowała się odsunąć.

- Przepraszam, milordzie - powiedziała, gdy przytrzymał jej rękę - ale nie potrzebuję twojej litości...

- Dobre sobie - stwierdził Edward. - Spieszę zauważyć, że bez niej nadal mieszkałabyś, pani, w tym nędznym doku w Applesby. - Musiał jednak poczuć, jak kurczowo zacisnęła palce, bo wyraźnie złagodniał i dodał: - Tylko niech pani teraz nie zrobi sceny. Chcę z panią porozmawiać.

Podejrzliwie zmrużyła oczy.

- O czym, jeśli można wiedzieć?

- O tym, co powiedziałaś pani po południu. - Edward miał wzrok wbity w punkt przed sobą, a gdy Pegeen zerknęła na niego kątem oka, zauważyła mięsień drgający mu w policzku. - O tym, że robię na pani wrażenie... - odchrząknął - zniewieściałego.

- Ach, o tym. - Próbowała ukryć uśmiech, ale bez powodzenia.

- Tak. Zastanawiałem się nad tym.

- Wielkie nieba. - Pegeen w ostatniej chwili uryzła się w język, żeby nie wydać jęku zachwyty na widok jadalni. Wprawdzie była już w tym pomieszczeniu z panią Praehurst, ale stół nie był wtedy zastawiony srebrami Rawlingsów, a w kandelabrach nie płonęły świece. Teraz gra świateł na wysokim, sklepionym stropie do prawdy zapierała dech w piersiach. Pegeen omal nie zgubiła wątku rozmowy. - Gdybym wiedziała, jakie wrażenie wywrze na panu moja nieprzemyślana uwaga - powiedziała - to trzymałabym język za zębami.

- Nie - odparł Edward. Zaprowadził ją na miejsce znajdujące się po prawej stronie krzesła pana domu. Zwróciła uwagę również na to, że miała usiąść dość blisko kominka, żeby przypadkiem nie przemarznąć zaraz po chorobie. - Nie, pani, nie trzymałabyś języka za zębami. Przypuszczam, że powiedziałaś to celowo, żeby mnie zirytować. I chyba wiem dlaczego.

Pegeen udąla zdziwienie.

- Naprawdę? - spytała. Podszedł lokaj, który chciał odsunąć krzesło Pegeen od stołu, ale Edward pokazał mu, żeby się oddalił, i zastąpił go w tym obowiązku.

- Tak. - Edward pochylił się i w czasie, gdy wygładzała fałdy atlasowej spódnicy, powiedział jej prosto do ucha: - Ta złośliwość miała zwiększyć dystans między nami.

Pegeen miała ochotę parsknąć pogardliwie, ale w porę się opamiętała.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Niech pani nie udaje niewiniątka. Wie pani, do czego piję. Nasza, hm, wczorajsza rozmowa w pani sypialni...

Pegeen szybko rozejrzała się dookoła, a na policzkach wykwitł jej paś.

- Milordzie!

- Owszem, zgodziłbym się, że to było wstrząsające. - Edward wydawał się irytująco zadowolony z jej reakcji. - Niezamężne damy i kawalerowie, tacy jak na przykład ja, nie powinni oddawać się podobnym czynnościom. Prawdopodobnie bardziej jednak wstrząsnęło panią to, że moje zaloty wydały się pani całkiem przyjemne, a nie to, że...

Pegeen omal nie zaczęła się dławić ze złości.

- Nie bądź pan śmieszny!

- To ty, pani, jesteś śmieszna. - Teraz nie słyszała już w jego głosie zadowolenia z siebie, raczej gniew. - Czy możesz zaprzeczyć temu, że coś między nami jest? No, powiedz, Pegeen, możesz?

- Stanowczo tak - skłamała bez chwili wahania. - Niech pan usiądzie. Zaraz wejdą do jadalni inni...

- Ja nie mogę - powiedział chłodno. Pegeen zdrętwiała, poczuwszy jego chłodne palce na karku. Zdaje się, że igrał kosmykami, które uciekły z fryzury pracownicy upiętej przez Lucy. Te i następne słowa Edwarda przyprawiły Pegeen o gęsią skórę. - Pragnę cię, Pegeen. A ty zdajesz się zapominać, że mam zwyczaj stawiać na swoim.

- Obawiam się, że tym razem przeżyje pan rozczarowanie - powiedziała. Tak bardzo zaschło jej w ustach, że ledwie wydobywała głos.

Edward skupił wzrok na jej smukłej, alabastrowej szyi.

- Nie wiem, jak to sobie wyobrażasz.

- Bo widzi pan, również ja mam zwyczaj stawiać na swoim. - Pegeen zauważyła kierunek jego spojrzenia i mimo woli zerknęła w to samo miejsce na przodzie swej sukni. Poniewczasie zorientowała się, że choć pan Worth z pewnością nie zrobił tego celowo,

jednak ktoś stojący dokładnie nad nią mógł zajrzeć w głąb stanika sukni i zobaczyć niczym nie osłonięte piersi z jędrnymi, sterczącymi sutkami. Na szczęście jej wdzięki były okryte jeszcze koronkowymi miseczkami gorsetu.

Przełknęła ślinę, a potem potrząsnęła głową, żeby oderwać uwagę Edwarda od swoich piersi i znów zainteresować go rozmową.

- Skoro zaś oboje lubimy stawiać na swoim - podsumowała - to jedno z nas niewątpliwie w końcu przeżyje rozczarowanie.

- Mam nadzieję, że to nie będę ja - powiedział cicho Edward, wciąż przemawiając jej prosto do ucha. Nagle poczuła uścisk jego mocnych palców na obnażonych ramionach. - Zawsze istnieje jednak możliwość, że zawrzemy umowę, która będzie korzystna dla obu stron.

Pegeen obróciła się na krześle i podejrzliwie zmierzyła go wzrokiem.

- Czyżbyś mnie uwodził, milordzie?

Uśmiech, jakim ją obdarzył, był wyjątkowo diaboliczny.

- A jeśli tak, to co?

- To muszę ci przypomnieć, że jestem tutaj pod twoją opieką i gdybyś próbował mnie uwieść, byłoby to doprawdy skandaliczne.

Sięgnęła po serwetkę i energicznie ją rozłożyła, zamierzając dać w ten sposób sygnał do zakończenia rozmowy, ale Edward nadal się na nią gapił. Podobny wyraz twarzy miał Jeremy, gdy za karę nie dostał deseru. Edward w ogóle nie mógł zrozumieć, o co właściwie chodzi tej pannie. Czyżby chciała doprowadzić go do szału? Bo jeśli tak, to udawało jej się wręcz doskonale. Nigdy w życiu nie spotkał tak irytującej kobiety. Widział, że jego pocałunki sprawiają jej przyjemność, a jednak nie chciała się do tego przyznać. Prawdę mówiąc, zasługiwał na takie traktowanie, skoro pozwolił się zauroczyć niedoświadczonej panience. Przecież właśnie takiego zachowania należałoby się spodziewać po dziewczycy.

Alistair Cartwright, który tymczasem wszedł do jadalni w to-

warzystwie wicehrabiny, dostrzegł Edwarda poufale nachylającego się nad Pegeen i zawołał:

- Hejże! O czym tam między sobą szepczecie? Wiecie, co mówiła na ten temat moja piastunka? „Kto szepcze przy stole, tego miejsce w oborze, przy wole”.

Edward przeniósł wzrok na swego bezceremonialnego gościa. Widząc morderczy błysk w jego oczach, Alistair zaśmiał się nerwowo.

- Ho, ho, Edwardzie! Po co od razu rzucać tak potępiające spojrzenie? Czyżbym znowu pobrudził sobie twarz tabaką?

- Porozmawiamy o tym po obiedzie - odparł Edward i zajął swoje miejsce.

Wicehrabina i Alistair również usiedli przy stole. Edward bez słowa zajął się jedzeniem zupy. Alistair, któremu jasne włosy szelmowsko spadały na jedno oko, mruknął dostatecznie głośno, by wszyscy go usłyszeli:

- Moja piastunka mówiła też: „Tchórzliwym sercem nigdy nie zdobędziesz godnej damy”.

Spojrzenie Edwarda zamknęło mu usta, na wszelki wypadek zaczął więc sączyć wino.

Tymczasem Edward w milczeniu pałaszował rozmaite mięsiwa, kunsztownie przyrządzone warzywa, trufle, ryby, wreszcie bezy. Wicehrabina, wyczuwając zły nastrój gospodarza, postanowiła podsunąć obecnym temat do wspólnej rozmowy.

- Panno MacDougal - zaczęła, odcinając małe kęsy baraniny, leżącej na jej talerzu. - Bardzo mnie interesuje, jak odczuwa pani zmianę w swoim życiu. Rawlings Manor musi być czymś zgoła innym niż klasztor.

- Miała pani na myśli plebanię? No, owszem. To rzeczywiście co innego. Mieszkając na plebanii, nigdy nie miałam dla siebie ani minuty. Zawsze gonity mnie obowiązki. Jeśli nie piekłam chleba ani nie reperowałam ubrań naszych najbiedniejszych parafian, to zajmowałam się chorymi albo pomagałam pisać plan lekcji dla szkółki niedzielnej.

Pegeen nie chciała pozować na dewotkę. Po prostu przytoczyła fakty. Zorientowała się jednak, że na zebranych musiało to wywrzeć duże wrażenie, Alistair powiedział bowiem:

- Wielki Boże! Pani musiała to wszystko robić? Jak to możliwe, że taka delikatna istota nie padła z wyczerpania?

To z pewnością kwestia oddania Bogu - stwierdziła lady Ashbury, na wszelki wypadek wpatrując się w swój talerz.

Pegeen zaśmiała się cicho, żeby pokazać, że nie wzięła sobie do serca tego sarkazmu, chociaż w rzeczywistości poczuła się nieco upokorzona.

- Lubię pomagać tym, którym w życiu mniej się poszczęściło niż mnie, ale nie wiem, czy robię to akurat z oddania Bogu. Jestem przekonana, że ci z nas, którzy mają dużo, powinni się dzielić z tymi, którzy mają mało, bo to wydaje się sprawiedliwe. Nikt nie może być pewien, czy któregoś dnia nagle nie straci wszystkiego i nie znajdzie się w sytuacji tych, którym przedtem współczuł...

- Całkiem słusznie - przyznał Alistair z ustami pełnymi gęśiej wątróbki. - Całkiem słusznie. Bóg dał, Bóg wziął i tak dalej.

- Allie, czy tego też nauczyła cię twoja ukochana piastunka? - spytała kpiąco lady Ashbury. - Co za niedorzeczność.

- Bardzo panią przepraszam, ale to nie jest niedorzeczność. - Pegeen odłożyła widelec, nie dbając już o to, czy nie wyda się purytanką. - Po śmierci mojego ojca Jeremy i ja zostaliśmy praktycznie bez środków do życia. Żyliśmy z tego, co dawał nam kościół. Byliśmy na łasce tych samych ludzi, którym kiedyś ja przychodziłam z pomocą...

- To skandaliczne - powiedział Alistair, kręcąc głową. Zauważywszy, że wicehrabina przesłała mu groźne spojrzenie, dodał: - Tak jest, Arabello. To doprawdy skandaliczne, żeby Rawlings musiał żyć z łaski kościoła.

Uświadomiwszy sobie, co w rzeczywistości powiedziała, Pegeen raptownie się zachnęła:

- Och, nie! Nie zamierzałam oskarżać...

Edward przerwał jej. Jego głos brzmiał surowo.

- Wina leży po mojej stronie. Powinienem był lepiej śledzić losy rodziny brata.

Ku zaskoczeniu Edwarda, Pegeen wystąpiła w jego obronie.

- Skąd miał pan wiedzieć? - Z poczuciem winy przesunęła wzrokiem po twarzach pozostałych obecnych. - Nie chciałam stworzyć wrażenia, że, moim zdaniem, rodzina Rawlingsów dopuściła się jakichkolwiek zaniedbań...

- Ale to prawda. - Edward popatrzył na nią w zadumie. Nie miał pojęcia, czy się cieszyć z nieoczekiwanych przejawów lojalności Pegeen, czy wręcz przeciwnie. Zdawało mu się, że zaledwie kilka dni minęło od rozmowy, w której Pegeen tak bezlitośnie zmieszała z błotem wszystkich Rawlingsów. Z drugiej strony, wyglądało jednak na to, że prawienie złośliwości Edwardowi Rawlingsowi było jej prywatną zabawą, której w obecności osób trzecich nie chciała kontynuować.

- Nie możesz się obwiniać, Edwardzie - powiedziała Arabella. - Wydaje się prawie niewiarygodne, że John mógł zostawić żonę i dziecko bez pensa przy duszy. Skąd miałeś się o tym dowiedzieć?

- Powinienem był. - Edward nie miał pojęcia, skąd miał to wiedzieć, lecz mimo to w oczach rozbłysły mu groźne ogniki. - Akurat mnie mogło to przyjść do głowy. Wiedziałem, jaki naprawdę jest John.

- Tak czy owak, wszystko skończyło się jak najlepiej - stwierdziła Pegeen, chcąc zakończyć śliski temat. - Ta cielęcina jest wręcz przepyszna. Gdzie...

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego wcześniej nie zwróciła się pani do Edwarda, panno MacDougal - przerwała jej pozornie beznamiętnym tonem lady Ashbury. - Wydaje mi się dziwne, że godziła się pani być na łasce obcych, a nie szukała kontaktu z rodziną szwagra.

- Myślę... - zaczęła niepewnie Pegeen.

- Po tym, jak mój ojciec się zachował, gdy jej siostra wzięła

ślub z Johnem - odezwał się Edward, stając z kolei w obronie Pegeen - nie ma powodu się dziwić, że MacDougalowie wzdrali się przed poproszeniem nas o cokolwiek. Jeśli nie robi ci to różnicy, Arabello, to porozmawiajmy teraz o czym innym.

Lady Ashbury wydała się całkowicie zaskoczona. Zamrugła i wlepiała wzrok w Edwarda tak, jakby był jej ulubionym pieskiem, który znieścaka ją ugryzł. Pegeen nawet trochę jej współczuła. W każdym razie postanowiła zmienić temat, więc spytała Arabellę o przygotowania do przyjęcia dla myśliwych.

Wicehrabina natychmiast odzyskała wigor i zaczęła rozprawiać o ludziach, którzy mają przyjechać: gdzie kto z nich będzie spał, jak długo zostanie, co lubi jeść i w co najchętniej grywa w karty. Pegeen słuchała tego jednym uchem i wypuszczała wszystko drugim. Jej uwagę pochłaniał całkowicie posepny sąsiad przy stole.

Edward jadł dużo, lecz w milczeniu, a Pegeen zwróciła też uwagę, że sam wypił butelkę wina. Ilekroć zbierała się na odwagę, ukradkiem zerkała na jego twarz, niezmiennie jednak przekonywała się, że patrzy prosto na nią. Zanim jednak ich spojrzenia mogły się spotkać, odwracał głowę, jakby tylko przypadkiem skierował wzrok w jej stronę. Ogarniało ją coraz większe zakłopotanie. Chyba nie mógł mówić poważnie tego wszystkiego, co usłyszała od niego przed obiadem. Pewnie tylko z nią flirtował. Tak robią wszyscy w towarzystwie: bezwstydnie flirtują każdy z każdym. Te słowa nie miały żadnego znaczenia.

A może jednak miały?

- A dzisiaj wieczorem... - Ku swemu zaskoczeniu Pegeen stwierdziła, że lady Ashbury wciąż omawia plan weekendu, choć wyglądało na to, że nikt jej nie słucha - po obiedzie urządzimy sobie szarady. Mam dla ciebie wspaniałą scenkę, Edwardzie. Musisz przebrać się za arabskiego szejka. Czy nie sądzisz, Allie, że Edward byłby wspaniałym arabskim szejkiem? Ma kruczoczarne włosy. Oczami wyobraźni widzę go w zalanej księżycowym światłem oazie...

Alistair skinął dłonią, w której trzymał kieliszek madery.

- Rozumiem, że w tej oazie jest z tobą, Arabello.

Wicehrabina zatrzepotała rzesami.

- Naturalnie.

- Będziesz w jego seraju?

- No, wiesz! - Lady Ashbury udała obrażoną, ale nawet Pegeen, która nie bywała w towarzystwie, nie dała się nabrać. - Ty łajdaku!

Alistair uniósł wysoko kieliszek madery i zaczął badać jego głębiny, ustawivszy go na tle kandelabru.

- Założę się, że twój mąż, Arabello, zapłaciłby niemało, by móc obejrzeć cię w roli odaliski.

Wicehrabina wydała piskliwy okrzyk, zachwycona jego zuchwałością, natomiast Pegeen była coraz bardziej zirytowana zachowaniem lady Ashbury, święcie przekonanej o swoich prawach do Rawlings Manor i przynajmniej jednego mieszkańca dworu. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, z trzaskiem odłożyła widelec i wlepiła wzrok w piękną wicehrabinę. Niewiele brakowało, by otworzyła usta ze zdumienia.

- Pani ma męża? - wydusiła z siebie.

Wicehrabina odwzajemniła jej spojrzenie.

- Naturalnie - odparła sarkastycznie. - Wicehrabiego Ashbury.

- Sądziłam... - Pegeen przeniosła wzrok z Edwarda na wicehrabinę i z powrotem. - Pani stara się prowadzić dom lorda Edwarda, więc sądziłam...

Nie musiała kończyć. Zawieszenie głosu było równie wymowne.

Alistair dusił w sobie śmiech, trzęsące się ramiona zdradzały jednak, że sytuacja wydaje mu się komiczna. Natomiast zarówno Edward, jak wicehrabina wpatrywali się w Pegeen, on całkiem beznamiętnie, ona z nienawiścią.

- Tak - powiedziała lady Ashbury po dłuższym wahaniu. - Od czasu do czasu zajmuję się gospodarstwem Ed... lorda Edwarda, bo w Rawlings Manor brakuje pani domu. Ale...

- Ale ten kłopot już mamy za sobą, prawda? - radośnie wpadła

jej w słowo Pegeen. - Sądzę, że będę mogła zdjąć ten ciężar z pani ramion, lady Ashbury. Może dzięki temu będzie pani miała więcej czasu dla swojego męża. On na pewno za panią tęskni, skoro tak często pani wyjeżdża.

Alistair nie potrafił dłużej powstrzymać śmiechu. Zaczął się dosłownie dławić, aż Pegeen niespokojnie drgnęła. Ale sąsiadka Alistaira przy stole wcale nie wydawała się taka rozbawiona. Patrzyła na Pegeen spod przymrużonych powiek oczami, które zdawały się mieć odcień lodu.

- Dziękuję pani za troskę - syknęła. - Ale może pozostawimy Edwardowi decyzję, kto będzie zajmował się jego domem.

- Wydaje mi się, że to nie zależy od lorda Edwarda - sprzeciwiła się Pegeen, zanim zainteresowany zdążył powiedzieć choć słowo. - Ten dom należy do księcia Rawlings. - Nienawiść malująca się na twarzy Arabelli była dla Pegeen jednoznaczną odpowiedzią. - Sądzę, że Jeremy zgodziłby się ze mną, że nadużywalibyśmy pani uprzejmości, prosząc o poświęcanie tak wielu godzin sprawom Rawlings Manor, lady Ashbury. Gdybym to ja była mężatką, chciałabym cały mój wolny czas spędzać z mężem, a nie trwonić go na prowadzenie cudzego domu.

Wicehrabina wstała. Jej wdzięki falowały w rytm przyspieszonego oddechu. Cisnęła na stół serwetkę niczym rękawicę. Edward, który rozsiadł się wygodnie na krześle i splótł ramiona na piersiach, oderwał swoje nieprzeniknione spojrzenie od Pegeen i z irytacją popatrzył na wicehrabinę.

- Siadaj, Arabello.

Nie powiedział tego głośno, lecz niezwykle stanowczo. Może był z natury łagodnym człowiekiem, lecz to polecenie zabrzmiało bardzo groźnie.

Wicehrabina usiadła, patrząc na niego z nieukrywaną urazą. Edward rozplótł ramiona i sięgnął po swój kieliszek madery. Szybko wypił jego zawartość i odstawił go na stół.

- Panna MacDougal ma rację - powiedział władcym tonem.

Następne jego słowa były przeznaczone dla Pegeen. - Nie ma potrzeby, żebyś oprócz swojego domu prowadziła jeszcze mój, Arabello. To jest za dużo jak na siły jednej kobiety, nawet tak zdolnej jak ty.

Arabella nie wierzyła własnym uszom.

- Ależ Edwardzie - zaczęła. - Nie mam nic przeciwko...

- Porozmawiamy o tym później, Arabello - przerwał jej. - Czy ktoś jeszcze chce madery?

Pegeen, która obserwowała rozwój tego małego dramatu z dużym zdziwieniem, poczuła nagle, że nie może powstrzymać uśmiechu. Przesłała go szwagrowi. To był ten sam Edward, którego poznała w Applesby, ten sam, który obiecał jej róże zimą i bohaterstwo przedzierał się przez zawieję, żeby sprowadzić dla niej pomoc. Wyglądało na to, że mimo skłonności do rozwiązłego życia, potrafi myśleć nie tylko o sobie, lecz również o innych, nawet za cenę narażenia się kochance. Zadowolona Pegeen uniosła kieliszek, by dolano jej wina, a potem skrzyżowała spojrzenie z Edwardem. Nadal się uśmiechała.

Gdy ich oczy się spotkały, niespodziewanie zaczerwienił się Edward...

12

To było niedorzeczne! Pegeen szybko odwróciła wzrok, bardzo zawstydzona. Najwidoczniej świece dały jakiś dziwny odblask, a może Edward po prostu wypił za dużo wina do obiadu. Niezaprzeczalnie jednak na policzkach Edwarda pojawiły się rumieńce. Nie tylko Pegeen to zauważyła. Alistair wreszcie przestał się śmiać i spoglądał na gospodarza z bardzo zdziwioną miną.

- Skoro już to ustaliliśmy - powiedział Edward, odwracając się od Pegeen - to proponuję, Alistairze, żebyśmy poszli napić się portu w sali bilardowej. Szanowne panie, kawa zostanie podana w złotym salonie.

Pegeen chciała jak najszybciej uciec od stołu. Nigdy w życiu nie jadła posiłku w tak krępującej atmosferze. Edward, który już odzyskał normalny wygląd, beznamiętnie odsunął jej krzesło od stołu i wpatrywał się w nią tak, jakby była obłąkaną kobietą, która wydostała się na wolność z zamkniętego zakładu. Pegeen prawie wybiegła z jadalni.

W złotym salonie odetchnęła trochę swobodniej, zaraz jednak dołączyła do niej wicehrabina. A żeby ją pokręciło! Pegeen chciała zostać sama. Czy wypadało udać zmęczenie i poszukać azyłu

w sypialni na resztę wieczoru? Jakże irytujące może być życie towarzyskie! Pegeen stanowczo wolałaby spędzić ten czas z Myrą MacFearley i jej dziećmi w Applesby niż z taką wyrachowaną kreaturą jak wicehrabina.

Długo trwało milczenie przerywane tylko cichymi brzęknięciami, Pegeen bowiem nerwowo bawiła się filiżanką kawy, której wcale nie piła. Wreszcie odezwała się wicehrabina:

- A więc, panno MacDougal... - Sprawiała takie wrażenie, jakby ciągnęła rozpoczętą rozmowę. - Proszę mi wybaczyć, jeśli zabrzmiało to zbyt śmiało, ale wydajesz mi się, pani, nadzwyczaj, hm, elokwentna, jak na córkę pastora. Zwłaszcza że jesteś, pani, taka młoda.

Pegeen przygryzła wargę, nie bardzo bowiem wiedziała, jak zareagować.

- Dziękuję, lady Ashbury.

Wicehrabina zamrugała. Wcale nie zamierzała obdarzyć rozmówczyńi komplementem.

- No, tak - podjęła. - Edward wspomniał mi, że nowy książę jest bardzo... narowistym młodzieńcem. Już rozumiem, po kim odziedziczył tę cechę.

Pegeen uśmiechnęła się uprzejmie.

- Czyżby? A po kim?

- No, musisz przyznać, panno MacDougal... - powiedziała wicehrabina z fałszywą słodyczą- że jesteś, pani, dość, hm... samowolną osobą.

Tą uwagą bardzo ubodła Pegeen.

- Tak samo jak wuj Jeremy'ego!

Lady Ashbury wybuchnęła śmiechem. Wydał się on Pegeen wyjątkowo nieprzyjemny w brzmieniu.

- Proszę nie żartować, panno MacDougal. Lord Edward jest władczy, jak przystoi człowiekowi zajmującemu jego pozycję.

- Skąd to się bierze - Pegeen skierowała to pytanie bardziej do siebie niż do swojej rozmówczyńi - że kiedy mężczyzna chce

postawić na swoim, jest władczy, ale gdy robi to kobieta, sprawia wrażenie samowolnej?

Lady Ashbury spojrzała na nią z dużym zaciekawieniem.

- Dziwna z pani osoba, panno MacDougal - stwierdziła, jakby właśnie odkryła nowy gatunek w przyrodzie. - Ale, ale. Czy mogłaby mi pani łaskawie przypomnieć, w jaki sposób zmarł pani szwagier? Obawiam się, że wyleciało mi to z pamięci.

Pegeen z zaskoczenia na chwilę straciła mowę.

- Słucham? - wybąkała w końcu.

- Pytam o brata lorda Edwarda, Johna. Czy wie pani, w jaki sposób zmarł?

- Nie... Nie wiem.

Wicehrabina uniosła brwi i zajęła się kawą. Pegeen uznała temat za zakończony, wstała więc i podeszła do kominka. Powoli nabierała przekonania, że wprawdzie wieczorowa suknia służy figurze, ale późną porą w listopadzie bywa w niej dość zimno.

- Przykro mi, jeśli panią uraziłam, panno MacDougal odezwała się wicehrabina po krótkim milczeniu. - Mówię o tym, bo po prostu Edward nigdy nie wspomina o bracie. Odnoszę wrażenie, że nie rozumieli się zbyt dobrze. Edward nigdy mi też nie powiedział, w jaki sposób zmarł jego brat, chociaż słyszałam pogłoski...

Pegeen nagle poczuła straszliwe znużenie. Zamknęła oczy i oparła czoło o zielony marmur gzymsu kominka. Ciepło bijące od ognia nie pomogło jednak na chłód, który ścisnął jej wnętrze.

- ...że John zginął w pojedynku.

Pegeen przelknęła ślinę. Czowała, że zbliża się nieunikniona chwila, więc nawet nie była tym szczególnie zdziwiona.

- Skoro pani wie, to po co mnie pytać?

- Och, nie byłam pewna... - Wicehrabina miała dość przyzwyczajenia, by udąć zakłopotanie. Przecież tylko powtarzam pogłoskę.

Pegeen otworzyła oczy i odpowiedziała bardzo cicho:

- Mój szwagier rzeczywiście zginął w pojedynku. Dostał kulę w serce i zostawił siostrę z synkiem. Mam nadzieję, że to zaspokaja pani ciekawość.

Usłyszała szelest jedwabiu i poczuła dłoń lady Ashbury na swoim nagim ramieniu.

- Panno MacDougal - powiedziała cicho wicehrabina. - Aż trudno mi wyrazić, jak mi przykro. Nie chciałam pani wprawić w zakłopotanie. Nie może pani winić siostry za śmierć lorda Johna.

Pegeen odwróciła się od ognia i wytrzeszczyła oczy na lady Ashbury.

- Dlaczego, u licha, miałabym winić siostrę za śmierć jej męża? Uśmiech lady Ashbury nie był bynajmniej życzliwy.

- O ile wiem, według pogłoski, która kiedyś krążyła, lord John stoczył ten tragiczny dla siebie pojedynek w obronie honoru pani siostry.

Pegeen spochmurniała.

- Co właściwie pani sugeruje?

- No, cóż... - Arabella roześmiała się beztrudno. - Pani siostra była młoda i piękna. Wszyscy mówią, że w Wenecji miała romans z innym mężczyzną, aż któregoś wieczoru John Rawlings zastał ich razem i wyzwał rywala na pojedynek.

Pegeen bez słowa wpatrywała się w rozmówczynię. Ogarnęła ją trwoga.

- Tak więc John został zamordowany, a pani siostra uciekła z tamtym człowiekiem, zostawiając bez opieki małego synka. - Lady Ashbury przesłała Pegeen promienny uśmiech. - Mówi się też, że potem pani siostra wcale nie umarła, lecz...

Pegeen nagle odzyskała głos.

- To kłamstwo! - krzyknęła, całkiem zapominając, gdzie się znajduje. - To jest ohydne kłamstwo!

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i do salonu wkroczyli mężczyźni. Pegeen obróciła się raptownie, omiotła wzrokiem ich

zaskoczone twarze i uświadomiwszy sobie, co przed chwilą zrobiła, z jękiem opadła na kanapę, kryjąc twarz w dłoniach.

- Ojej! - zawołał dość spłoszony Alistair. - Czy to z powodu ryby?

- Nie bądź osłem - skarcił go Edward, wyminął lady Ashbury i przyklął obok Pegeen. - Panno MacDougal, czy wszystko w porządku?

- Nie wiem, co jej się stało - powiedziała wicehrabina i wydała z siebie nerwowy śmiech. - Rozmawialiśmy o jej siostrze i ni stąd, ni zowąd, jakby ją coś ugryzło...

- Panno MacDougal? - Edward położył dłoń na jej nagim ramieniu i nawet się nie zdziwił, gdy stwierdził, że drży. - Czy mogę pani w czymś pomóc? Może... może podać szklaneczkę whisky?

- Powiedziałam ci, Edwardzie - syknęła Arabella tak, żeby Pegeen na pewno usłyszała - to jest skutek utrzymywania podejrzanych znajomości. Powinieneś być zostawić w spokoju...

- Dość tego, Arabello - burknął Edward. Brwi mu się zbiegły, wyglądał w tej chwili naprawdę groźnie. - Alistair, zamiast sterczeć tu jak kółek, zadzwoń po Eversa, niech pošle kogoś po laudanum panny MacDougal...

- Nie - zachnęła się Pegeen. Z wysiłkiem uniosła głowę. Na szczęście panowała nad łzami cisnącymi jej się do oczu. Gdyby jeszcze była w stanie odzyskać choć część utraconej godności. - Już wszystko dobrze. Bardzo przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. Chyba jeszcze nie jestem w pełni sił...

- Arabello, wstyd mi za ciebie - oświadczył Alistair, z oburzeniem zwróciwszy się do wicehrabiny. - Czy nie możesz dobierać sobie bardziej odpowiednich przeciwniczek? To bardzo nieelegancko z twojej strony, że rzucasz się na taką biedaczkę, która dopiero wstała po chorobie...

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Arabella pociągnęła nosem. - Panna MacDougal i ja tylko...

- Powiedziałem, dość tego! - przerwał jej Edward. - Alistair, zadzwoń na służbę, niech ktoś przyśle tutaj jej osobistą służącą.

- Nie potrzebuję ani laudanum, ani służącej - upierała się Pegeen, choć mogła mówić tylko do lorda Edwarda, bo głos ją zawodził. Była przerażona swym nagłym wybuchem wywołanym tak niewielką prowokacją. Wyciągnęła rękę i ujęła nią wielką, chłodną dłoń opartą na wałku kanapy. Edward zerknął na jej drobne palce, potem spojrzął jej w oczy. Nie mogła zapanować nad rumieńcem. Szepnęła więc najpewniej, jak umiała: - Naprawdę dobrze się czuję.

- Już odzyskuje kolory - stwierdziła wicehrabina.

Pegeen mimo woli się roześmiała. To, że lady Ashbury, najbledsza kobieta w całym Yorkshire, zwraca uwagę na czyjeś kolory, zakrawało na ironię losu.

- Skoro się śmieje, to musi czuć się lepiej - przyznał Alistair. Pociągnął za taśmę dzwonka i podszedł do kanapy, zgrabnie parodiując pana Parksa. - Hm - powiedział, przybierając pozę, w jakiej doktor bada pacjentkę. - Będzie pani żyła.

Pegeen znów się roześmiała. Edward popatrzył na Alistaira i skrzywił się ironicznie.

- Jeśli wypełniłeś swoje obowiązki...

Alistair skłonił głowę.

- Ustępuję miejsca lordowi Edwardowi Rawlingsowi.

- Dziękuję. Edward przez chwilę błędził wzrokiem między Pegeen i lady Ashbury, jakby chciał coś powiedzieć, ale najwidoczniej się rozmyślił. Po bratersku ucisnął dłoń Pegeen, potem puścił ją i wstał.

- Myślę, że panna MacDougai miała dość emocji jak na jeden wieczór - oznajmił zebranym. - Dopiero co odzyskała głos, więc nie możemy pozwolić, by znów go straciła.

Znowu zwrócił się do Pegeen. Jeszcze nie widziała u niego takiego grymasu i nagle zorientowała się, że jest to po prostu szczery uśmiech, bez najmniejszej domieszki cynizmu.

- Gdyby Parks był tutaj, prawdopodobnie zaleciłby pani herbatę

z miodem i wysłał panią prosto do łóżka. Osobiście znam jednak pani upodobanie do mocniejszych napojów. Czy mogę poczęstować panią whisky, panno MacDougai? Wprawdzie ta, którą mamy w Rawlings, nie zwała z nóg, lecz mimo to nie jest najgorsza...

Pegeen szeroko się do niego uśmiechnęła i przez chwilę widziała coś zupełnie nowego w tych srebrzystoszarych oczach, które najpierw wydawały jej się zimne, a potem jedynie nieufne. To był Edward Rawlings bez maski. Nie beztronski hulaka, nie wystudiowany donżuan, tylko Edward Rawlings, o jakim opowiadała pani Praehurst, ten, który przywiózł z polowania do domu rannego psa i który tak życzliwie traktował domową służbę. Ten Edward Rawlings, który obiecał Jeremy'emu konia i dotrzymał słowa.

Ciekawe, jakie dzieciństwo miał Edward? Musiał dorastać w cieniu swego okrutnego starszego brata. Matka umarła przecież, gdy miał dziesięć lat, natomiast apodyktyczny ojciec interesował się tylko swoimi sprawami i na młodszego syna w ogóle nie zwracał uwagi. Nic dziwnego, że Edward objawiał porywczosć, a czasem zachowywał się wręcz po grubiańsku. Ważne jednak, że nie upodobił się do Johna, a bardziej samolubnego i złośliwego człowieka niż John trudno byłoby wskazać.

Minęła jednak ulotna chwila i więź pękła. Edward pierwszy odwrócił wzrok i podszedł do kredensu, by nalać whisky. A Pegeen, którą spojrzenie Edwarda poruszyło do głębi, siedziała nieruchomo i dalej przeżywała ten moment. Czyżby traciła rozum? Czy to możliwe, żeby ten człowiek jednym spojrzeniem kruszył wszystkie jej mury obronne i wbrew temu, co postanowiła, rozniecał w niej miłość? Nie. To było po prostu niemożliwe. Widać wyobraźnia płatała jej bolesne figle.

Edward Rawlings był przystojny i miał w sobie trudny do wytłumaczenia, magnetyczny urok, ale nie był w stanie rozkochiwać w sobie kobiet wbrew ich woli. A na pewno nie mógł tego zrobić z Pegeen.

13

Powtarzała to sobie do znudzenia, gdy szła po schodach na piętro rozgrzana whisky i uśmiechem Edwarda tak, jak nie rozgrzałyby się przy żadnym ogniu. Ponieważ miała już serdecznie dość towarzystwa lady Ashbury i nie chciała spędzać z nią więcej czasu, niż to było absolutnie konieczne, skwapliwie skorzystała z propozycji Edwarda i wycofała się na spoczynek, by pielęgnować gardło. Nawet pozwoliła Edwardowi pocałować się na dobranoc, w czym zresztą nie miała wielkiego wyboru. Gdy Edward bardzo oficjalnie pochylił się nad jej dłonią, Alistair Cartwright zawołał, że szwagierkę całuje się w policzek, a nie w rękę. Śledzony gniewnym wzrokiem lady Ashbury, Edward zastosował się więc do wskazówki przyjaciela i musnął wargami zaróżowiony policzek Pegeen. Teraz Pegeen tłumaczyła sobie, że to wcale nie ten pocałunek tak ją poruszył, tylko whisky. To dlatego czuła takie miłe ciepło w środku...

Naturalnie jeszcze nie mogła się położyć. Obiecała poczytać Jeremy'emu przed snem i musiała dotrzymać słowa. Lady Ashbury nie miała tu nic do rzeczy. Gdy Pegeen weszła do dziecięcego pokoju, chłopiec był jeszcze bardzo rozbawiony, a piastunka przyjęła jej nadejście z wyraźną ulgą i natychmiast znikła z pokoju.

Pegeen opowiedziała siostrzeńcowi historyjkę na dobranoc, kolejny odcinek niekończącej się sagi o piracie Jeremiaszu i jego papudze zwanej Marynatą. Minęła jednak prawie godzina, zanim chłopiec wreszcie usnął. Również Pegeen czuła się już bardzo senna, więc położyła go do łóżeczka w kształcie czółna, dała mu łasiczkę, również Marynatę, pogłaskała go po głowie i wyszła na korytarz.

Omam nie wpadła na lorda Edwarda i wicehrabinę.

Lord Edward szedł, oświetlając drogę świecą w lichtarzu, bo kandelabry w wielkiej sali były już pogaszone. Pegeen w ostatniej chwili przywarła do ściany, żeby znaleźć się poza kręgiem światła. Bardzo nie chciała zostać zauważona.

- Och, Edwardzie - mówiła wicehrabina schrypniętym głosem, brzęącym zupełnie inaczej niż podczas kolacji. - Czemu nie? Chyba nie przejmujesz się tym, co sądzi Praehurst. Powinna już wiedzieć, że...

- Uważam, Arabello, że dziś wieczorem nie wypada. - Pegeen zdawało się, że Edward mówi przez zaciśnięte zęby. - Rano przyjadą goście i...

- Och, nie żartuj, Edwardzie. Przecież wszyscy wiedzą. Co cię ugryzło? Obecność dziecka w domu powinna odmienić cię na lepsze...

- Panno MacDougal! - Edward przystanął w pół kroku i zerknął w mrok. - Czy to pani?

Psiakostka! Pegeen sięgnęła za plecami do klamki pokoju dziecięcego, jakby dopiero w tej chwili z niego wyszła.

- O, dobry wieczór. - Chciała, żeby zabrzmiało to nonszalancko, ale jej chropawy głos zniweczył efekt.

Edward ściągnął brwi.

- Zdaje się, że godzinę temu wysłałem panią na spoczynek... - zaczął ją strofować jak dziecko.

Zirytowana tym tonem Pegeen wskazała drzwi, które właśnie zamknęła.

- Jeremy - powiedziała.

Edward spojrzął śladem jej smukłego palca i powiedział:
 - Jeremy ma piastunkę, panno MacDougal. To ona powinna położyć go do łóżka.

Pegeen bezradnie wzruszyła ramionami. W rzeczywistości najbardziej na świecie chciała szybko uciec do swojej sypialni.

- Piastunka nie zna jego opowieści na dobranoc. Ciągniemy ją już ponad rok.

Wicehrabina zerknęła na nią kątem oka i stwierdziła wielce znużonym tonem:

- Jakie to wzruszające. Wspaniale mieć taką bujną wyobraźnię, prawda, Edwardzie? Bardzo pani zazdrościsz, panno MacDougal.

Lady Ashbury zdołała wypowiedzieć ten komplement takim tonem, że zabrzmiał jak obelga. Nie miało to już zresztą większego znaczenia. Pegeen i tak była upokorzona tym nieoczekiwanym spotkaniem. Ci dwoje szli dokądś razem, prawdopodobnie do łóżka. Zła na siebie, że jej to przeszkadza, Pegeen wybąkała dobranoc i obróciła się, by odejść korytarzem, choć wcale nie była pewna, czy wybrała właściwy kierunek. Zdażyła jednak przejść trzy kroki, gdy mocne palce zacisnęły się na jej obnażonym ramieniu. Zatrzymały ją i obróciły w miejscu. Znalazła się twarzą w twarz z koso patrzącym lordem Edwardem.

Z ulgą stwierdziła jednak, że tym razem lord Edward nie jest zły na nią. Gniewnym spojrzeniem mierzył Arabellę, której wcisnął w dłoń lichtarz.

- O ile pamiętam, Arabello, pani Praehurst przydzieliła ci biały pokój - powiedział bardzo chłodno. - Znasz drogę. Ja muszę dopilnować, żeby panna MacDougal trafiła do swojego pokoju.

Dobranoc.

Lichtarz w dłoni Arabelli niebezpiecznie się zakołysał. Wicehrabina wlepiła w nich wzrok; usta miała lekko rozchylone. Pegeen widziała, jak gorączkowo lady Ashbury szuka ciętej riposty. Edward jednakże nie zamierzał czekać, aż wicehrabina znajdzie odpowiednie słowa.

Mocniej zacisnął palce na ramieniu Pegeen

i pociągnął ją w głąb mrocznego korytarza. Dudniącemu odgłosowi jego kroków towarzyszył znacznie cichszy stukot pantofli Pegeen. Skręcili na krążganek, skąd dwa niezależne biegi schodów prowadziły na dół. Pegeen poczuła, że ma dość. Szarpnęła ramieniem, na którym Edward zacisnął dłoń, i powiedziała ze złością:

- Niech mnie pan puści. To boli.

Edward natychmiast zastosował się do jej życzenia. Pegeen zerknęła na swoje ramię i stwierdziła, że na alabastrowej skórze zostały wyraźne ślady palców. Edward zauważył to spojrzenie i powiedział dzwięcznie:

- Bardzo przepraszam. Nie chciałem pani skrzywdzić. - Miał bardzo skruszoną minę.

- Dziękuję za odprowadzenie, sama znajdę już drogę do swojego pokoju - powiedziała stanowczo. Nie była jednak pewna, czy tę stanowczość było słyhać, bo głos miała wyjątkowo chropawy. - Nie potrzebuję towarzystwa.

- Odprowadzę panią do końca krążganku - powiedział oschle Edward. - Jest późno. O tej porze młode damy nie powinny same wędrować korytarzami.

Przeszła go wzrokiem.

- Tak? A co mi grozi w Rawlings Manor? Przeciagi? Czyhający za rogiem lokaje? O ile wiem, jedyny człowiek, którego powinnam się tu obawiać, właśnie mi towarzyszy.

Edward uśmiechnął się, ale był to uśmiech dość wymuszony.

- Prawdopodobnie zasłużyłem sobie na tak złą opinię po tym, co spotkało panią dziś wieczorem. Mimo to nalegam, by pozwoliła pani bezpiecznie się odprowadzić do swojego pokoju.

- Bezpieczeństwem pani wicehrabiny zdaje się pan zupełnie nie przejmować - wytknęła mu natychmiast.

Edward uśmiechnął się ciepło.

- Panno MacDougal, czyżby przemawiała przez panią zazdrość?

Pegeen odrzuciła głowę do tyłu. Jedna z podwiędłych już róż wplecionych w jej włosy zgubiła płatek. Biała drobinka zawirowała

w powietrzu i minawszy obnażone ramię Pegeen, spłynęła do wielkiej sali. Pegeen śledziła ją wzrokiem aż do chwili, gdy znikła w mroku.

- Miałabym być zazdrosna? - Znowu skupiła uwagę na Edwardzie. - O wicehrabinę? Co to, to nie! Niech sobie będzie żoną jednego z najbogatszych ludzi w Anglii i kochanką drugiego, ale co robi ze swoim bogactwem? Czy próbuje pomóc kobietom, które miały mniej szczęścia niż ona? Nie. Spędza dni na plotkach, a wieczory na zabawie w szarady. Nie jestem zazdrosna o wicehrabinę, milordzie. Raczej jej współczuję. I tobie również, że pozwoliłeś się tak omotać.

Miała nadzieję, że nie zauważył drżenia jej głosu. Odwróciła się i ruszyła dalej krążankiem, trzymając dłoń na poręczu. Edward szedł za nią, a gdy zerknęła kątem oka za siebie, nawet w półmroku widziała niebezpieczny błysk w jego oczach.

- Proszę mi wybaczyć, panno MacDougal - zawołał za nią -ale wydaje mi się, że jak na kogoś, kto gardzi plotkami, bardzo ostro reagujesz pani na słowa lady Ashbury!

Pegeen przystanęła i oparła się plecami o poręcz. Szeroko rozłożyła ramiona, żeby pokazać Edwardowi, jak bardzo nie podoba jej się ta rozmowa.

- Dlaczego nie miałabym ostro reagować? Bądź co bądź, chodzi o moją siostrę. I o pańskiego brata. Nie wiem, milordzie, jak jest z tobą i twoim bratem, ale ja nie lubię słuchać oszczerstw pod adresem swojej siostry, mimo że oboje nie byli święci...

Edward podszedł do niej dwoma krokami. Na ustach wciąż igrał mu uśmiešek. Pegeen zobaczyła, że jego spojrzenie zatrzymuje się na lekko zsuniętym staniku jej sukni.

- Mogę chyba bez ryzyka dodać, panno MacDougal, że ani pani, ani mnie miano świętych również się nie należy.

Był tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. Mimo to nie odeszła. Nadal stała oparta tyłem o poręcz i wpatrywała się w szczerze, roześmiane oczy lorda Edwarda.

- Bardzo przepraszam, milordzie - powiedziała - ale mów za siebie. Ja może nie jestem święta, ale przynajmniej nie jestem rozrzućną rozpustnicą.

- A ja hipokrytą liczącym każdego pensa. - Edward nagle rozplótł ramiona i oparł ręce na poręczu tak, że zamknął Pegeen w potrzasku.

- Co pan sobie wyobraża? - Pegeen dumnie wyprostowała głowę. Próbowała nie zwracać uwagi na to, że ich twarze są oddalone zaledwie o centymetry i że jedno z jego kolan, nie zważając na krynolinę, wsuwa się coraz głębiej między jej uda.

- Doskonale wiesz, co sobie wyobrażam. - Edward znów uśmiechnął się diabolicznie. - Mimo swojego panieńskiego wstydu, pragniesz mnie, Pegeen, tak samo jak ja ciebie.

Pegeen głośno nabrała powietrza i już miała wygarnąć mu od serca, ale nagłe poruszenie jej piersi zwróciło uwagę Edwarda, który z wielkim uznaniem zatrzymał wzrok na ich alabastrowych zboczach. Pegeen spłoniła się. Czuła, że jeśli pozwoli, by Edward jej dotknął, nie będzie miała siły mu się oprzeć, więc zamachnęła się na niego...

Ale Edward nie był aż tak bardzo obezwładniony widokiem jej dekoltu, jak sądziła. Dostrzegł szybki ruch i chwycił ją za nadgarstek osłonięty rękawiczką. Dłoń zatrzymała się o milimetry od jego policzka. Zanim Pegeen zdążyła cokolwiek zrobić, Edward wykręcił jej ramię i pochylił się, przyciskając ją do poręczu.

I nagle zmysły zaczęły dostarczać Pegeen mnóstwa wrażeń. Czuła zapach brandy i tytoniu, dotyk wykrochmalonej koszuli poniżej piersi oraz długiego, twardego uda, które wsunęło jej się między nogi, czuła też stalowy uścisk dłoni, z których jedna trzymała ją za nadgarstek, a druga obejmowała talie. Nie zdążyła nawet krzyknąć, tak bardzo Edward ją zaskoczył. A gdy otrząsnęła się z pierwszego oszołomienia, jej protest zgłuszyły usta, które wycisnęły na jej wargach pocałunek płoszący wszystkie myśli.

Edward nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Puścił jej

nadgarstek i przesunął dłoń po nagim ramieniu, powiódł palcami po obojczyku i zaczął głaskać dekolt, a tymczasem drugim ramieniem mocniej przyciągnął Pegeen do siebie. Znalazła się tak blisko niego, że uciskały ją guziki jego koszuli.

Gdy wargi Edwarda zaczęły przesuwac się po jej szyi, tu i ówdzie delikatnie przyszczypując skórę, Pegeen zrozumiała, że jest zgubiona. Nic przypuszczała, że czyjeś usta mogą być tak gorące. Jeszcze przez chwilę w obronnym geście opierała dłonie na jego torsie, jakby chciała go odepchnąć, nagle jednak objęła go za szyję, aby znaleźć się jak najbliżej. A gdy wargi Edwarda zawędrowały aż na zbocze piersi, wstrząsnęła się i odchyliła do tyłu, jeszcze mocniej wciskając się w poręcz.

Gdyby było to możliwe, oskarżyłaby pana Wortha o zaprojektowanie sukni specjalnie dla wygody lorda Edwarda, jego zręczne palce bez trudu poradziły sobie bowiem z jej stanikiem. Uwolnione sutki Edward powitał pieszczotą języka i warg. Pegeen z jękiem odchyliła głowę i zamknęła oczy. Pożądanie ogarnęło ją z nieodpartą siłą. Palcami zaczęła przeczesać gęste włosy mężczyzny. Napór jego uda był coraz silniejszy i w dole brzucha poczuła pulsowanie, z każdą chwilą mocniejsze.

Edward cofnął usta i zaczął całować jej piersi, by zaraz znów złączyć się z nią w pocałunku. Spleciona z nim w uścisku, zorientowała się nagle, że jej ręka, jakby z własnej woli, śmiało poznaje jego ciało. Dotknęła twardych mięśni torsu, przewędrowała po płaskim, jędrnym brzuchu i dotarła jeszcze niżej, do wyraźnego wybrzuszenia spodni.

Edward syknął i poderwał głowę. - Pegeen - rozległ się jego schrypnięty szept. Objęła dłonią jego nabrzmiałą męskość i poczuła, jak bardzo Edward jej pożąda. Popatrzyła na niego spragniona i nagle jego dłoń rozgarnęła warstwy jedwabiu, odsunęła szkielet krynoliny, który ich nadal dzielił, i znalazła się u spojenia ud, okrytego bawełnianymi majtkami.

Pegeen zdawało się, że za chwilę cała wybuchnie. Drżąc z emocji, której nie była w stanie pojąć, przywarła z całej siły do Edwarda, wydając nieartykułowany okrzyk.

- Do diabła - szepnął przy jej szyi. - Nie możemy tego zrobić w zimnym korytarzu. Chodź, do mojego pokoju jest tylko parę kroków.

Ale te słowa rozwiały czar. Pegeen nagle uświadomiła sobie, że stoi półnaga na krużganku obiegającym wielką salę w Rawlings Manor.

Co ona wyrabia? Czyżby całkiem straciła rozum? Odwróciła głowę, by uniknąć następnego pocałunku, i z całej siły odepchnęła Edwarda. Wyprostowała się, trzymając za poręcz, i spróbowała złapać oddech. Gdy uniosła powieki, kątem oka zobaczyła fragment wielkiej sali, a w jednym z jej zakamarków błysk świecy. Ktoś wyszedł z sali bocznymi drzwiami. Psiakostka! Nie dość, że szwagier ją obmacuje, to jeszcze ktoś się temu ukradkiem przygląda! Rano w całym domu będzie szumiało, że lord Edward i panna MacDougal...

- Chodź - powiedział Edward, delikatnie kładąc jej rękę na ramieniu. - To naprawdę niedaleko.

Ale Pegeen odsunęła się od niego i pokręciła głową tak energicznie, że w powietrzu zawirowały następne płatki róży.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie możemy.

- Pegeen. - Głos Edwarda brzmiał wręcz kojąco, nie wyobrażała sobie, że może być aż tak łagodny. Jego palce przesunęły się po jej ramionach, objęły kark i wsunęły się we włosy. Pod wpływem tego dotyku cała okryła się gęsią skórą. - Pegeen, posłuchaj mnie...

Była zanadto wzburzona, by słuchać. Zachowała się jak ładacznica, bezwstydną ładacznica i teraz lord Edward mógł już całkiem zasadnie nazwać ją hipokrytką. Och, jak bardzo go pragnęła!

- Pegeen, posłuchaj mnie. Przysięgam ci, że nikt się o tym nie dowie, jeśli to cię martwi. Moi przyjaciele są bardzo dyskretni...

Obróciła się do niego. Tym razem zamach okazał się skuteczny.

A ponieważ nie brakowało jej siły, plaśnięcie rozeszło się echem po całej wielkiej sali. Zabrzmiało to tak, jakby zabląkana pomywaczka upuściła stertę talerzy. Lewy policzek Edwarda pałał. Pegeen zastanawiała się, czy nie poprawić uderzenia, ale ponieważ szare oczy Edwarda spoglądały na nią z wyraźną złością postanowiła, póki czas, poszukać schronienia.

Podciągnęła spódnice i pognęła do swojej sypialni, nie zważając na tyleż groźne, co rozpaczliwe okrzyki Edwarda. Nie bardzo wiedziała, jak w tym stanie udało jej się trafić do siebie. Wpadła do pokoju i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, zaciągnęła zasuwę. Była wdzięczna zmarłej księżnej, że w swoim czasie pomyślała o takim zabezpieczeniu. Ciekawe, czy nigdy nie musiała zamykać się przed ojcem Edwarda. Pegeen uważała, że to całkiem możliwe. Bądź co bądź, księżę był Rawlingsem.

- Panienko?

Pegeen obróciła się i widząc Lucy, która sennie uniosła się z kanapy w rogu, z ulgą przycisnęła dłoń do piersi.

- Przepraszam, że panienkę przestraszyłam. Czekałam, żeby pomóc panience przy rozbieraniu.

Pegeen przeszła przez pokój i rzuciła się na łóżko. Nie zważała na zwiędnięte kwiaty we włosach ani na to, że gniecie suknię.

- Och, Lucy - westchnęła.

- Panienko! Głos! Niech panienka natychmiast się kładzie, a ja przygotuję coś gorącego do picia. Znowu panienka straciła głos!

Pegeen roześmiała się załośnie.

- Och, Lucy - powtórzyła. - Mam nadzieję, że straciłam tylko głos.

Obawiała się jednak bardzo poważnie, że przede wszystkim straciła swoją niezależność. Lord Edward skradł jej serce.

Następnego ranka Pegeen zbudziła seria głośnych łoskotów. Początkowo zdawało jej się, że słyszy walenie pięścią w drzwi, ale gdy usiadła na łóżku, zorientowała się, że hałas dochodzi od południowych okien jej pokoju, w które ktoś czymś rzuca. Przetarłszy zaspane oczy, odchyliła ciężkie kołdry i na bosaka podeszła do ławy pod oknem. Zadrzała, bo ogień na kominku dogasał i w komnacie panował chłód.

Spojrzała na szare, zimowe niebo i zorientowała się, że godzina jest już późna. Dlaczego Lucy pozwoliła jej tak długo spać? Biedaczka pewnie pomyślała, że panience należy się odpoczynek, nie miała bowiem pojęcia, że teraz cierpi nie ciało, lecz dusza jej pani.

Gdy uklękła na poduchach ławy, duży, biały pocisk uderzył w szybę. Zorientowała się, że jest ostrzeliwana śnieżnymi kulami. Jeremy, pomyślała, i nie zważając na cienkość swojej nocnej koszuli, otworzyła okno, by wyrzec na zewnątrz. W tej samej chwili następną kulą uderzyła w mur tuż obok niej.

Na dole, częściowo ukryty za jakimś wiecznie zielonym krzewem na wielkim, karym koniu siedział Jeremy i machał do niej ręką.

- Dzień dobry, Pegeen!

- Dzień dobry, Jeremy! - odrzyknęła, próbując ocalić przed zaśnieżeniem swoje rozpuszczone włosy. - Rozumiem, że to twój nowy koń.

- Tak. - Jeremy czule klepnął zwierzę po szyi. Koń w od powiedzi zarżał. - Nazywa się Król.

- Król? - Pegeen skrzyżowała ramiona, bo przez okno wpadał do pokoju zimny powiew. - To dziwne imię. Dlaczego Król?

- Bo ja jestem księciem. A wuj Edward powiedział, że kupi mi konia, który będzie godzien króla. Więc nazwałem go Królem.

Pegeen skinęła głową, jakby to wyjaśnienie było dla niej całkiem zrozumiałe, choć wcale nie było.

- A dokąd jedziecie z Królem?

- Trochę rozejrzeć się po okolicy i sprawdzić, jak tu jest - odpowiedział wolno Jeremy.

- Mam nadzieję, że nie jedziesz sam.

- O, nie. Jedzie z nami wuj Edward. - Jeremy obrócił się i zapytał kogoś skrytego za krzakami. - Prawda, wuju Edwardzie?

Ku swej irytacji Pegeen zobaczyła również drugą postać dosiadającą konia. Tym razem był to Edward na swym karym ogierze. A ona wychylała się przez okno potargana jak nieboskie stworzenie, ubrana jedynie w prawie przezroczystą koszulę nocną.

- Dzień dobry, panno MacDougal - zawołał radośnie Edward, zachowując się tak, jakby to, co zaszło między nimi poprzedniego wieczoru, było tylko wytworem jej wyobraźni. - Przykro mi, że panią zbudziłem, ale jego wysokość koniecznie chciał się pochwalić swoi nowym wierzchowcem.

- Aha. - Pegeen starała się odpowiedzieć tym samym lekkim tonem. - Król rzeczywiście jest bardzo piękny. Jeremy, czy podziękowałeś wujowi Edwardowi?

Jeremy po aktorsku przewrócił oczami.

- No wiesz, Pegeen - odparł z oburzeniem. - Naturalnie, że mu podziękowałem.

- Wobec tego... - zaczęła Pegeen. Edward nie reagował, tylko

przyglądał jej się z wysokości końskiego grzbietu, więc dokończyła: - Wobec tego życzę wam, panowie, milej przejażdżki. - I chciała zamknąć okno.

- Chwileczkę! - zawołał Edward, który nagle się ożywił.

Pegeen zerknęła na niego kątem oka.

- Co znowu? Jest mi zimno.

- Pewnie zainteresuje panią wiadomość, że już przyjechali niektórzy goście na jutrzejsze polowanie. Damy zbiorą się na lancz w salonie mniej więcej za godzinę.

Pegeen popatrzyła na niego w taki sposób, jakby postradała zmysły, czego zresztą nie należało wykluczyć.

- Obawiam się, że nie będę miała okazji spotkać się z nimi. Zamierzałam poznać dzisiaj przełożoną seminarium dla panien. Może później...

- Damy bardzo chcą panią poznać! - krzyknął Edward.

Pegeen jeszcze raz wyjrzała na dwór.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby nikogo nie rozczarować - oznajmiła kwaśno i głośno zatrzaskała okno.

Gdy Lucy przysłała pomoc panience wykapać się i ubrać, Pegeen nadal była w fatalnym nastroju. Wprawdzie udało jej się przetrwać spotkanie z Edwardem i nie zacerwieniła się ani razu, nie wybuchnęła płaczem, a nawet nie wymierzyć mu policzka, co ostatnio stało się normą, lecz czy to mógł być dowód na to, że jednak się w nim nie zakochała? Myśl o tym niepokoiła ją dobrą godzinę przed zaśnięciem. Zważywszy na reputację Edwarda Rawlingsa, ewentualne zakochanie się w nim stanowiłoby dla Pegeen bardzo niepożądaną okoliczność.

Pegeen była przekonana, że gdy w końcu się zakocha, jej wybrańcem będzie miły, poważny mężczyzna zainteresowany nauką albo literaturą, ktoś w rodzaju pana Parksa. Tak, doktor byłby znakomitym kandydatem na męża. Nikogo nie zastraszał swoją posturą. Nie był zabójczo przystojny. Z nikogo się nie naigrawał i nikogo nie irytował. Właśnie takiego męża potrzebo-

wał. Przeciętnie wyglądającego, cichego człowieka, dającego poczucie bezpieczeństwa. Natomiast Edward Rawlings nie stanowił materiału na dobrego męża. Był zanadto nieopanowany, zmienny, porywczy. Zbyt przystojny. Zbyt bogaty. I o wiele za śmiały.

Skończywszy odziewać Pegeen w ciemnogrnatową aksamitną suknię, Lucy cicho zachichotała i podbiegła do toaletki księżnej.

- Och, panienko - zawołała, przekopując zawartość szufladki. - Czy panienka włoży dzisiaj swoje rubiny, czy raczej brylanty?

Pegeen przyglądała się swemu odbiciu w lustrze o złożonych ramach, rozmyślając, jak ułożyć włosy.

- O czym ty mówisz, Lucy? - spytała niezbyt przytomnie.

- Czy życzy sobie panienka rubinowe, czy brylantowe kolczyki? - Lucy wyciągnęła przed siebie ręce, nie mogąc powstrzymać radosnego śmiechu. Trzymała w nich dużą, skórzaną szkatułkę pełną klejnotów. Barwne refleksy światła padały na roześmianą, piegowaną twarz służącej. - I co teraz panienka sądzi o jego lordowskiej mości?

Pegeen wyciągnęła rękę i ujęła w dłoń długi sznur pereł.

- Gdzie...? - zapytała. - Och, Lucy! Gdzie to znalazłaś?

- To nie ja. - Służąca zachichotała. - Ja tylko wczoraj wspomniałam Sukie, pomocnicy kucharki, że panienka nie ma kolczyków. Sukie powtórzyła to kucharce, kucharka pani Praehurst, pani Praehurst panu Ewersowi, a pan Evers pokojowcowi lorda Edwarda, który widocznie powtórzył to samemu panu, bo dziś z rana, kiedy spotkałam lorda Edwarda na krużganku, dostałam od niego paczuszkę.

- Tę szkatułkę? - Pegeen spojrzała zmieszana na Lucy. - Po prostu ci to dał?

- Niezupełnie. Powiedział przy tym: „Masz, Lucy. Dopilnuj, żeby tę szkatułkę dostała panna MacDougal. To są klejnoty mojej matki”. Potem roześmiał się i dodał jeszcze: „Powtórz jej, że gdyby chciała podarować je miejscowej ochronce, to nie mam nic przeciwko temu”. - Lucy podrapała się w nos. - W każdym razie wydaje mi się, że właśnie tak powiedział.

Pegeen wzięła od niej ciężką szkatułkę i usiadła z nią przy

toaletce. Nie posiadała się ze zdziwienia. Lord Edward Rawlings stanowił dla niej zagadkę nie do rozszyfrowania.

Lucy upięła jej włosy, a kilku poskręcanym kosmykom pozwoliła swobodnie opaść na kark. Smukłą szyję pozostawiła odsłoniętą, by tym efektywniej wyglądały szafirowe kolczyki. Pegeen, zadowolona z tego, że przynajmniej nie wygląda zbyt cnotliwie, wzięła karteczkę i szybko napisała liścik do przełożonej seminarium dla panien z pytaniem, czy mogą przełożyć spotkanie. Dziś, niestety, wypadły jej ważne sprawy...

Edward podśpiewywał pod nosem i zupełnie nie mógł przestać. Ponieważ jednak nie miał do tego talentu, a w dodatku akurat szedł w tyralierze przez las, wypatrując zwierzyny, nie było to szczególnie stosowne zachowanie. Najbardziej irytowało ono Alistaira Cartwrighta, czym zresztą Edward się nie przejmował, bo przecież właśnie Alistair potrafił być czasami najbardziej irytującą osobą na świecie.

- Do pioruna - zaklął Cartwright, gdy znowu spudłował. Huk wystrzału spłoszył stadko bażantów, a prawie jednocześnie wystrzały w kilku innych miejscach dookoła wskazywały, że również inni goście lorda Edwarda zaatakowali ten cel bez powodzenia. Cartwright gniewnie zerknął na gospodarza. - Na pewno bym trafił, gdyby nie to twoje przekłete mruczenie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Edward nadal podśpiewywał, a strzelby nie zdjął z ramienia ani razu przez całe popołudnie. Jakoś nie miał ochoty strzelać.

- Doskonale wiesz, ty niepoprawny ośle. O twoje mruczenie.

- To? - Edward zanucił następny kawałek. - To cię tak irytuje?

- A cóż by innego? - Alistair odgarnął jasne włosy z czoła i spiorunował wzrokiem przyjaciela, który nie dość, że był od

niego wyższy, to jeszcze lepiej strzelał. - Powiem ci coś, Rawlings. Wiele razem przeszliśmy....

Edward zaczął przedzierać się przez śnieg w stronę niewielkiego parowu, który wydawał się obiecujący. Cartwright ruszył za nim, nie przerywając swego wywodu.

- Przeżyliśmy ten straszny internat, musieliśmy ścierpieć tych samych nauczycieli, chodziliśmy na te same wykłady w Oksfordzie, nawet zdarzało się, że sypialiśmy z tymi samymi kobietami. Widziałem cię bez humoru, widziałem cię pijanego, widziałem cię zielonego ze złości. Ale takiego jeszcze cię nie widziałem.

Edward nadal podśpiewywał. Zimy w Yorkshire dla niektórych mogły być zbyt ostre, ale nie dla niego. On miał swój gruby kaftan, ciężki płaszcz, solidne buty i świetnego psa, a w dodatku flaszkę brandy w kieszeni kamizelki. Było mu ciepło i miło jak niemowlęciu. Nic, co mógłby powiedzieć Cartwright, nie zepsułoby mu nastroju. Był szczęśliwy.

- I wiesz, postawiłem sobie pytanie, dlaczego tak dziwnie się zachowujesz. - Cartwright podązał za przyjacielem, sapiąc. - Jaka to zmiana w życiu obudziła w tobie nagle tyle zadowolenia z siebie? I znalazłem odpowiedź. To ta panna, prawda?

- Panna? - Edward uśmiechnął się pod nosem, pokonując strome, oblodzone zbocze. - Jaka panna?

- Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. Wiem tylko o jednej pannie w okolicy. Mówię ci, Rawlings, lepiej trzymaj się od niej z dala.

- Tak? A dlaczego?

- Przede wszystkim szkoda twojego czasu. Albo będziesz musiał się z nią ożenić, albo zapomnij o niej od razu, bo na pewno nie pójdzie z tobą do łóżka jak portowa dziwka.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Jest córką pastora. Poza tym wczoraj wieczorem sam widziałem, jak stawiała czoło Arabelli. - Edward ze zdziwieniem odkrył, że przyjaciel wyraża swój szczery podziw. - Do tego trzeba mieć charakter, Edwardzie. Wiem, co czujesz do Arabelli, ale przecież

nie ja pierwszy ci powiem, że ta kobieta potrafi być straszną jędzą. Ach, jak ona pięknie patrzyła Arabelli w oczy, kiedy mówiła, że pani hrabina nie musi już zajmować się twoim domem... - Alistair gwizdnął z uznaniem. Boże, to było doskonałe. Żałuję, że nie mogę obejrzeć tego jeszcze raz.

Edward nadal przedzierał się przez parów. Wydawał się rozbawiony.

- I o to ci chodzi, Alistairze?

- Nie tylko. Człowieku, popatrz na nią. Wiem, że robiłeś to wczoraj wieczorem, ale popatrz lepiej. Panna jest piękna, ma rozum... do diabła, nawet umie mnie rozbawić, a bardzo rzadko mi się zdarza, żebym śmiał się dzięki kobiecie, a nie z kobiety. To jest rzadki okaz, Eddie. Jeśli jej siostra była choć trochę do niej podobna, to twój brat wiedział, co robi.

Edward, który stanął już na dnie parowu, odwrócił głowę. Jego towarzysz był dopiero w dwóch trzecich stoku i już się nie uśmiechał.

- Gdybym cię nie znał, Cartwright, pomyślałbym, że gadasz jak zakochany.

Alistair przytrzymał się bezlistnego krzaka i znalazł się wreszcie obok Edwarda. Otrzeptał się ze śniegu. Z ust dobywały mu się kłęby pary.

- Rawlings, ty ślepcze - sapnął. - Mówimy o tobie, a nie o mnie. Dziś o świcie dopadła mnie Arabella i opowiedziała mi, jak wykreśliła się od wizyty o północy, którą zwykle jej składałaś. Nawet wycisnęła z oczu kilka łez. Próbowała mnie przekonać, że łączą cię z tą panną, powiedzmy, bliższe stosunki, niż to przystoi szwagrostwu.

- Do stu piorunów! - Edward ze złością ominął skalny grzyb, z którego zwieszały się sople, i spojrzał z morderczą miną w stronę domu. - Od początku wiedziałem, że nie powinienem zadawać się z Arabella.

Alistair oparł się plecami o głąz i zerknął na Edwarda ze zbolalym wyrazem twarzy.

- Słusznie. Podobno widziała was w środku nocy na kruzganku. Namiętnie się całowaliście...

- Niech to diabli! - Edward miał wrażenie, że jeszcze chwila i furia go rozerwie. - Ta jadowita...

- Naturalnie wcale jej nie uwierzyłem. - Alistair odłożył strzelbę i splótł ramiona na piersi. - To znaczy, nie wierzyłem jej do teraz. - Mimo woli podniósł głos. - Doprawdy, Rawlings, jak możesz?! Dziewczyna jest u ciebie w domu niecałe dwa tygodnie, a ty już chcesz ją skompromitować? Czy ty nie masz ani krzty przyzwoitości? Na litość boską, ona jest twoją szwagierką!

- To było silniejsze ode mnie - burknął Edward, wpatrując się w skuty lodem strumyczek, który wiosną miał się zamienić w melodyjnie szemrzący strumień. - Nie wiesz, jak to jest. Ona ciągle mnie prowokuje...

- Powiedz to jeszcze raz! Mam ci uwierzyć, że wielki Edward Rawlings znalazł godnego siebie przeciwnika w tej rumianej pensjonarce? Przecież ona dopiero co skończyła dwadzieścia lat i jest cnotliwa jak nauczycielka w szkółce dla panienek.

Edward parsknął bardzo nieelegancko. Alistair uniósł brwi.

- Chcesz powiedzieć, że wcale taka nie jest?

Edward zaczął się przechadzać tam i z powrotem, wreszcie obrócił się do swego towarzysza i powiedział ze złością:

- Niestety, jest jeszcze bardziej cnotliwa niż nauczycielka. To prawdziwa mniszka. W każdym razie stara się taka być. Mówię ci jednak, Alistairze, że za tą cnotliwą fasadą... - Edward zacisnął usta. Co on wyrabia? O tym naprawdę nie musiał opowiadać Alistairowi Cartwrightowi.

Ale ciekawość Alistaira już została pobudzona.

- Skąd to wiesz? - spytał z wystudiowaną nonszalancją.

Edward jęknął. Nigdy nie umiał utrzymać niczego w tajemnicy.

- Bo Arabella, niech ją piekło pochłonie, mówiła prawdę. Rzeczywiście widziała wczoraj wieczorem, jak całuję tę pannę na kruzganku!

Alistair pokręcił głową.

- Łajdak.

- Arabella nie widziała jednak i dlatego nie mogła ci o tym donieść, że chwilę później panna przyłożyła mi w szczękę takim prawym hakiem, że dziś rano ledwie mogłem się ogolić.

Alistair wybuchnął tak serdecznym śmiechem, że aż zgiął się wpół i złapał za kolana.

- Och, nie opowiadaj! Edward Rawlings dostaje kosza! No, nie. Nigdy nie myślałem, że tego dożyję.

- Czy teraz już rozumiesz, o co mi chodzi, gdy mówię, że ona mnie prowokuje? Przysięgam ci, że tak jest. W jednej chwili ta panna stroi do mnie słodkie minki, a zaraz potem wymierza mi policzek. Albo jeszcze gorzej: mówi mi, że jestem fircykiem! Pytam cię, Cartwright, czy widzisz we mnie cokolwiek fircykowatego? No?

Alistair zaśmiewał się tak, że nie był w stanie odpowiedzieć.

- Nie mam pojęcia, co jej się tu nie podoba. - Edward nadal chodził tam i z powrotem. - Otoczyłem ją wszelkimi możliwymi względami, posyłałem jej kwiaty i książki. Nawet kupiłem temu jej przekłętemu siostrzeńcowi bardzo drogiego ogiera, żeby tylko sprawić jej przyjemność. I co mnie spotkało za te wszystkie wysiłki? Policzek!

- A czego się spodziewałeś, Edwardzie? - Alistair otarł z oczu łzy. - Mamy do czynienia z panną niezwyklej urody i wielkiego temperamentu, Szkotką, a do tego córką pastora. Ona nie pójdzie z tobą do łóżka, przyjacielu, póki nie włożysz jej obrączki na palec.

- Mylisz się - parsknął Edward. - Ona twierdzi, że nie wierzy w instytucję małżeństwa, bo małżeństwo od wieków niewoli kobiety...

- No nie! - Alistair znowu ryknął śmiechem. - Żartujesz.

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie.

- No, to jednak masz rację. - Alistair pokręcił głową. - Rzuciła ci rękawicę. Chociaż szczerze mówiąc, nie sądzę, żebyś mógł sprostać wyzwaniu.

- Za to ty mógłbyś, co? - Edward spojrzał na niego bardzo wojowniczo.

- Moim zdaniem, jestem w stanie pocałować kobietę, nie narażając się na to, że wymierzy mi policzek.

Jednym susem Edward podskoczył do roześmianego przyjaciela. Ręka, którą położył mu na ramieniu, była ciężka.

- Będziesz trzymał się od niej z daleka, Cartwright - wycodził. - Jeśli zauważę, że próbujesz jakichś sztuczek, to spotka cię przykry, lecz nieunikniony wypadek na polowaniu, który przykuje cię do łóża bóleści na cały sezon. Rozumiesz mnie, ty stary draniu?

Alistair już się nie śmiał. Ale również Edward już nie podśpiewywał.

- Rozumiem - odrzekł ponuro. - Nie musisz mnie tak wdep tywać w ziemię. Już wiem, co trzeba.

Edward go puścił. Obrócił się na pięcie i ruszył na oślep ku odległemu wylotowi parowu. Nie pojmował, co się z nim dzieje. Alistair był jego najlepszym przyjacielem, jednym z niewielu ludzi, których towarzystwo tolerował dłużej niż przez godzinę. A mimo to przed chwilą zwyczajnie mu groził...

- Na wszelki wypadek powiem jednak, że ja się temu wszystkim sprzeciwiam, Rawlings. - Alistair odepchnął się od głazu i poprawił sobie na ramionach ciężką pelerynę. - Nie chcę, żeby tej pannie stała się krzywda.

Zaskoczony Edward zerknął przez ramię na przyjaciela.

- Dlaczego zakładasz, że zamierzam ją skrzywdzić?

- Na miły Bóg, Rawlings. Nie bez powodu nazywają cię złodziejem niewieścich serc.

Edward uśmiechnął się nie bez zadowolenia.

- Tak mnie nazywają?

- Właśnie tak - przyznał Alistair i dodał jadownicę: - Wtedy, gdy nie nazywają cię znacznie gorzej.

Edward uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To dobrze - stwierdził.

Pole, na którym Pegeen bardzo obawiała się niepowodzenia, okazało się źródłem jej wielkiego towarzyskiego sukcesu. Natychmiast podbiła serca prawie wszystkich dam, które przyjechały w gošcinę do lorda Edwarda. To naprawdę było łatwe. Niektóre damy Pegeen poznała już wcześniej. Na przykład lady Herbert, żonę sir Arthura, i jej pięć córek pamiętała z tamtego wieczoru, gdy wraz z Jeremym nocowała w ich majątku w drodze do Rawlings. Wszystkie panny Herbert, poczynając od pięcioletniej Maggie, a skończywszy na dwudziestojednoletniej Annę, bardzo się ucieszyły z ponownego spotkania.

Ciepłe przyjęcie Pegeen ze strony rodziny Herbertów wzbudziło powątpiewanie niektórych matron. Pegeen podsłuchiwała, jak żona lorda Derby szepcze do markizy Lynne:

- Jeśli Wirginia Herbert ją lubi, to ona musi być strasznie świętoszkowata.

Dla Pegeen, której doświadczenia w podejmowaniu gości ograniczały się do herbatek na plebanii i okazjonalnych dobroczynnych kwest w kościele, perspektywa odgrywania roli pani domu wobec kilkunastu dam z towarzystwa i ich dzieci była dość przerażająca. Z pewnością nie mogła się zwrócić o pomoc do wicehrabiny

Ashbury. Wszak nierozważnie wyrażonym życzeniem, by wicehrabina nie kłopotowała się więcej gospodarstwem domowym w Rawlings, nastawiła ją do siebie jednoznacznie wrogo.

Odkryła jednak, że gdy zachowuje się naturalnie, tak samo jak zachowywałaby się wobec parafian ojca, to jest w stanie zjednać sobie nawet najsroższą matronę. Jej towarzyska natura i uroda pomagały w niemal każdej sytuacji, a młodzieńczy entuzjazm był zaraźliwy. Pod koniec dnia okazało się, że chyba nie ma już gošcia, który nie śmiałyby się z jej opowiadań o Applesby, poza tym udało jej się zorganizować grę w karty, no i przekonać niemal wszystkie obecne damy, że seminarium dla panien w Rawlings pilnie potrzebuje datków. Damy postanowiły nawet złożyć wizytę w szkole nazajutrz z rana.

Nie wszystkich jednak było łatwo oczarować. Wprawdzie Pegeen bardzo się starała udobruchać wicehrabinę i raz po raz włączała ją do rozmowy, zasięgając jej opinii w najbanalniejszych sprawach, lecz Arabella bynajmniej nie ukrywała swojej pogardy dla Pegeen. Ze zniecierpliwieniem przewracała oczami, gdy Pegeen opowiadała dykteryjki, albo udawała, że jej w ogóle nie zauważa.

Jeszcze nigdy nikt się tak wobec Pegeen nie zachowywał, więc chociaż na obecnych damach niechęć lady Ashbury do ciotki nowego księcia zdawała się nie robić większego wrażenia, to sama Pegeen bardzo z tego powodu cierpiała.

Gdy panowie wreszcie wrócili z polowania, damy rozeszły się do pokojów, by wziąć kąpiel i przebrać się do obiadu. Pegeen miała trochę czasu i mogła zajrzeć na chwilę do dziecięcego pokoju. Tam bez szczególnego zdziwienia dowiedziała się, że Jeremy znalazł godną przeciwniczkę w Maggie Herbert. Pięcioletnia sekutnica przekształciła fort Jeremy'ego w zamek i z królewską wyniosłością sprawowała w nim niepodzielną władzę nad ósmiorciem dzieci. Jeremy'emu wyznaczono kłopotliwą rolę króla, chłopiec nieustannie narzekał więc na dotkliwy brak piratów w tej historii. Przekonawszy się, że przynajmniej raz Jeremy nie sprawia

kłopotów, Pegeen poszła do różowego pokoju, gdzie Lucy czekała już na nią z kąpielą.

Obiad był bardzo elegancki. Dziesięć dań, które miano podać osiemnastorgu dorosłych gości, stanowiło jedynie część programu. Pegeen była w połowie ubierania się do posiłku, gdy do jej pokoju wpadła pani Praehurst, zaniepokojona rozdziałem miejsc przy stole.

- Przed chwilą spotkała mnie na kruzganku lady Seldon i po wiedziała, że pod żadnym pozorem nie chce mieć za partnera sir Thomasa Paytona, który ostatnio wstąpił do towarzystwa propagującego lecznicze właściwości opium. Lady Seldon naturalnie nie cierpi palaczy opium... - Ochmistrzyni poprawiła okulary i widać było, że jest bliska hysterii. - Nie chciałam przeszkadzać w toalecie, panno MacDougal, ale już mi się kołuje w głowie. Partnerem lady Seldon nie może być również żaden syn lorda Derby, bo ci mają fatalny zwyczaj wrzucania damom w dekolt kawałków owoców...

Pegeen uśmiechnęła się promiennie do ochmistrzyni.

- To przecież proste. Partnerem lady Seldon będzie pan Cartwright, a jego partnerkę należy przydzielić sir Thomasowi.

Pani Praehurst wypuściła powietrze ustami tak głośno, że jej pomarszczone policzki nadeły się jak miechy.

- Pan Cartwright nie ma tytułu, a lady Seldon jest na to bardzo czuła...

- Czy wobec tego nie można posadzić lady Seldon obok syna markiza Lynne?

Pani Praehurst westchnęła.

- Pewnie będziemy musiały tak zrobić. Ale on jest taki młody... Nie mam pojęcia, co mogliby mieć sobie do powiedzenia.

Pegeen wzruszyła ramionami.

- Niech pani dopilnuje, żeby na stole między nimi stała patera. Wtedy lady Seldon nie będzie musiała z nim rozmawiać.

- Doskonały pomysł! Dziękuję, panno MacDougal.

Pegeen, wciąż uśmiechnięta, zwróciła się ku toalecie i przejrzała

w lustrze. Lucy pieczołowicie układała jej włosy w wysoką fryzurę. Pegeen bardzo sceptycznie zerknęła na wymykające się z niej kosmyki.

- Lucy, czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

- Tak, panienko. Bardzo długo ćwiczyłyśmy tę fryzurę w seminarium. Nazywa się korona.

Widząc, że pani Praehurst zawahała się na progu, Pegeen spróbowała trochę odwrócić głowę. Nie było to łatwe, bo Lucy trzymała ją za włosy.

- Czy to już wszystko, pani Praehurst? - spytała.

- Prawdę mówiąc, jest jeszcze jedna sprawa, proszę pani.

Pegeen uśmiechnęła się.

- Jaka? Ma pani taką minę, jakby doszło do poważnej katastrofy.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to niegrzecznie, panno MacDougal, ale... pani wicehrabina zawsze siedziała po prawej stronie lorda Edwarda...

Pegeen uniosła brwi.

- Tak?

- Jak powiedziałam, nie chcę być niegrzeczna, ale pani wicehrabina zatrzymała mnie w korytarzu i spytała o miejsca przy stole. Kazała mi upewnić się, czy wciąż jest dla niej miejsce po prawej stronie jego lordowskiej mości...

Pegeen dokończyła za ochmistrzynią:

- Bo pani nie uważa, żeby było to stosowne, tak?

Tama pękła. Z ust pani Praehurst zaczęły się wylewać zale związane z osobą wicehrabiny.

- Moim zdaniem, panno MacDougal, to jest wyjątkowo nie stosowne. Wicehrabina ma męża. Należy jej się miejsce u jego boku, a nie przy lordzie Edwardzie. Ponieważ jej mąż tu nie przyjechał, a pani jest ciotką księcia, więc miejsce po prawej stronie jego lordowskiej mości należy do pani, dopóki jego lordowska mość się nie ożeni albo jego wysokość nie zasiądzie u szczytu stołu osobiście.

Pani Praehurst wydawała się nieco wstrząśnięta tym, że powiedziała tyle naraz, w dodatku z taką pasją, ale nie przeprosiła za ten wybuch, tylko bezradnie rozłożyła ręce.

- Prawdę mówiąc, panno MacDougal, kołuje mi się w głowie.
- Mam pomysł. - Pegeen zrobiła minę do swojego odbicia w lustrze. - Mówi pani, że sir Thomas Payton jest palaczem opium?

- Tak, ale...
- Niech wicehrabina usiądzie przy sir Thomasie, a ja zajmę miejsce po prawej stronie jego lordowskiej mości. - Nie zdołała ukryć błysku w oczach, a ochmistrzyni odpowiedziała jej uśmiechem.

- Bardzo słusznie, panno MacDougal - powiedziała i odeszła znacznie bardziej sprężystym krokiem, niż przyszła.

Lucy, która miała w ustach mnóstwo szpilek, powiedziała:

- O ile wiem, wicehrabina przygotowała sobie na dzisiejszy wieczór czarną atlasową suknię.

- Bardzo dobrze, Lucy. A co ja włożę?

- Białe jedwab i brylanty księżnej.

Pegeen znów się roześmiała. Godzinę później, gdy znalazła się u szczytu dwubiegowych schodów prowadzących do wielkiej sali, wciąż była w znakomitym humorze. Na dole był tylko Evers i kilku krzątających się lokajów, ale gdy postawiła na pierwszym stopniu nogę obutą w aksamitny pantofelek, wszyscy zamilkli i spojrzeli na nią z najwyższym zdumieniem.

Jej bielutka suknia bez ramion miała bardzo śmiały dekolt. Z brylantową broszką pośrodku stanika i kolczykami od kompletu Pegeen wcale nie wyglądała jak pospolita córka pastora. Lokaje z wrażenia zapomnieli o swoim obowiązku towarzyszenia damom do salonu, w którym gromadzili się goście oczekujący na obiad, i stali osłupiali. Pegeen uśmiechnęła się do nich - tymczasem zdążyła już się nauczyć prawie wszystkich imion służby - i zaczęła schodzić do sali. Przystanąła dopiero wtedy, gdy usłyszała skrzyknięcie otwieranych drzwi. Wyszedł z nich lord Edward w nie-

skazitelnym wieczorowym stroju, by skarcić Eversa za brak sherry w karafce. Na widok Pegeen stanął jednak jak wryty.

Przestało jej być do śmiechu. Pierwszy raz zobaczyła Edwarda Rawlingsa z tak bliska od czasu ich wieczornego nieporozumienia. Nie miała pojęcia, jak ją powita: sarkastycznie, uprzejmie czy może w ogóle zignoruje jej obecność. Wprawdzie przysłał jej klejnoty, ale należało to potraktować jako przejaw instynktu samozachowawczego. Nie mógł przecież pozwolić, by służba rozpowiadała, że biedna panna MacDougal nie ma nawet kolczyków, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że biżuteria znajdująca się w tym w domu jest warta majątek. Podbicie serc matron wydało się nagle Pegeen bardzo nikłym osiągnięciem. Chociaż nie chciała się do tego przyznać, w rzeczywistości zależało jej tylko na podbiciu serca pewnego książęcego syna.

Z dumnie uniesioną głową zeszała na dół po schodach bardzo zadowolona, że nie zmyliła kroku ani nie potknęła się o rąbek obszernej spódnicy. Z wdziękiem podeszła do Edwarda, prawie niezauważalnie dygnęła i zwróciła się do Eversa:

- Czy jest kłopot z sherry?

Evers, o dziwo, stracił kontenans.

- W samej rzeczy, proszę pani - wybąkał. - Obawiam się, że naprawdę trzeba dolać wina do karafki. Zaraz się tym zajmę. - Oddalił się zaskakująco szybko jak na swój wiek, a za nim podążył lokaj.

Tychczas Edward wbił wzrok w Pegeen. Zerknęła na niego przez ramię i spytała dziarsko:

- Czyżbym miała krosty na twarzy, milordzie, że tak się na mnie gapisz?

- Bardzo przepraszam. - Uśmiech Edwarda był czarujący, choć trudno powiedzieć czy dżentelmeński. Wydawał się raczej lubieżny. - Po prostu podziwiam najpiękniejszą pannę, jaka kiedykolwiek postawiła nogę w tej wiekowej sali.

Pegeen skromnie spuściła wzrok.

- Na pewno mówisz to wszystkim swoim szwagierkom. - Zerknąwszy spod spuszczonej powiek stwierdziła, że roześmiała się z jej żartu.

Widzę, że popołudnie spędzone w towarzystwie dostojnych dam nie stępiło ci, pani, języka.

- Jeśli uważasz, milordzie, że jestem taką sekutnicą, to czemu posyłasz mi klejnoty?

- Żeby zadowolić służbę. Im się wydaje, że pani urodzie potrzebne są takie dodatki, chociaż ja osobiście jestem innego zdania.

- Rozpieszcza pan służbę tak samo jak swojego bratanka. - Pegeen pokręciła głową, zakołysały jej się wisioriki przy brylantowych kolczykach, ale głos nie zabrzmiał karcąco. - Do prawdy, milordzie, dajesz stanowczo zbyt ekstrawaganckie prezenty. Chłopiec zadowoliliby się kucem, a ty kupiłeś mu konia pełnej krwi. Po co?

- Bo kiedy byłem w jego wieku, najbardziej na świecie chciałem mieć własnego huntera. Edward bardzo przekonująco udął człowieka wspominającego dzieciństwo, Pegeen nie dała się jednak nabrać. Wiedziała, że usiłuje ją udobruchać, i bardzo ją bawiło, że posługuje się w tym celu Jeremym. - Ale nigdy nie miałem. Cieszy mnie, że mogę dać chłopcu trochę radości...

Ostentacyjnie przewróciła oczami.

- Już rozumiem, milordzie, dlaczego lady Ashbury uważa cię za pożądanego uczestnika szarad. Masz niezaprzeczalny talent sceniczny.

- Uważasz, pani, że kłamię? - Wykonał zamaszysty gest. - Proszę spytać kogo bądź... na przykład Eversa... wszyscy powiedzą, że przez całe dzieciństwo marzyłem o takim koniu jak Król.

Pegeen skinęła głową.

- To ćwiczenie woli w dzieciństwie było bardzo pożyteczne. Teraz, milordzie, spokojnie znosisz tęsknoty, których nigdy nie zdołaś zaspokoić.

- Pani, odbierasz mi męskość - oświadczył kpiąco.

- Nie bardzo rozumiem, jak to możliwe, skoro od dawna jesteś pan zniewieściałą.

Edward błyskawicznym ruchem objął Pegeen w tali i przyciągnął do siebie z taką śmiałością, jakby był pasterzem, a ona przechodzącą dójką.

- Wczoraj wieczorem dałem pani dowód czegoś wręcz przeciwnego - przypomniał prowokacyjnie.

Pegeen szamotała się w jego uścisku i próbowała odwrócić głowę, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Edwardzie! - syknęła i zaciśniętą pięścią uderzyła go w tors. - Prześtań pan! To nie jest śmieszne! Ktoś może nas zobaczyć!

- A niech widzi - odparł beztrosko. - Jakie to ma znaczenie? Każdy mężczyzna, który by nas zobaczył, doskonale by rozumiał, co i dlaczego to robię. Pegeen, masz talię, która aż się prosi o to, by objęły ją sękaty dłonie, i wargi, które wręcz błagają, by je całować gorąco i często...

Pegeen zazgrzytała zębami ze złości. Czyżby naprawdę mu się zdawało, że ma do czynienia ze zwykłą służącą, którą może obejmować i całować, kiedy go najdzie ochota? Czyżby naprawdę sądził, że komplementy robią na niej większe wrażenie niż jego reputacja? Doskonale wiedziała, że lord Edward jest zwykłym donżuanem, dla którego liczy się tylko sam podbój. Stanowczo nie zamierzała paść ofiarą żadnego mężczyzny...

- Puść mnie, ty głupcze - syknęła. Niestety, gwałtowne zachowanie Edwarda niekorzystnie wpłynęło na stanik jej sukni. Teraz dekolt miała już stanowczo za głęboki. - Co innego napadać na mnie w ustronnym miejscu, a co innego kompromitować przed wszystkimi swoimi przyjaciółmi.

- Och, naturalnie. - Edward puścił ją tak nagle, że zatoczyła się do tyłu. - Musimy pamiętać o pozorach. Pani zawsze dba o pozory...

Zawiesił głos, gdy bowiem się odwrócił, bardzo zainteresowały

go kłopoty Pegeen. Podczas gdy znajdowała się w jego uścisku, jedna z jej pełnych, jędrnych piersi wysunęła się nie tylko z koronkowej miseczki gorsetu, lecz w ogóle ze stanika sukni. Spłoszona tym i czerwona jak rak Pegeen gorączkowo próbowała poprawić stanik, dla dodania sobie animuszu przygryzając dolną wargę.

- Panno MacDougal! - Edward nie był w stanie udać, że nie zauważa tej sytuacji. - Czy potrzebujesz, pani, mojej pomocy?

- Nie! - Pegeen zaczerwieniła się jeszcze bardziej i pokazała mu nie mniej atrakcyjne plecy. - Już dość pan zrobiłeś, serdecznie dziękuję. Proszę się do mnie nie zbliżać.

- Proponuję pomoc jak dżentelmen...

- Ha! - Pegeen wreszcie opanowała sytuację. Upewniła się jeszcze, że stanik sukni powtórnie jej nie opadnie, a potem ze wściekłą miną odwróciła się do Edwarda. - Pan dżentelmem? Świnie miewają lepsze maniery! - Gdy rozłożył ramiona i postąpił krok w jej stronę, ostrzegawczo uniosła palec. - Ani kroku dalej. Trzymaj się pan z dala ode mnie. Jeszcze jeden krok i narobię takiego krzyku, że usłyszą mnie w Londynie.

Edward skrzyżował ramiona.

- Hm, to z pewnością skomplikowałoby sytuację. Bądź co bądź, mam być dzisiaj pani partnerem podczas obiadu.

- Możesz pan być partnerem na odległość. Jeśli spróbujesz zanadto się zbliżyć... - palcem narysowała w powietrzu linię, odległą jakiś metr od siebie - to przysięgam, że tego pożałujesz.

Edward zerknął we wskazane miejsce.

- To dość arbitralnie wybrana odległość. Gdybym się bardzo postarał, to nawet stamtąd chyba mógłbym pani dotknąć...

Pegeen tupnęła nogą. Co ten człowiek wyprawia? Czyżby chciał uspić jej czujność? Ciekawe, czy próbuje ją zwabić do swojego łóżka, czy wysłać do zakładu dla obłąkanych. Bez namysłu wyrąbała:

- Jeśli właśnie tak traktowałeś pan swoje poprzednie damy serca, to nic dziwnego, że skończyłeś z taką zimną rybą jak wicehrabina.

Słyszając to, zrobił taką samą minę jak poprzedniego wieczoru, gdy został spoliczkowany, Pegeen rozpoczęła więc szybki odwrót w stronę salonu. Najchętniej cofnęłaby te nieprzemyślane słowa, ale zawsze szybciej mówiła, niż myślała, toteż była przyzwyczajona do kłopotów wywołanych swoimi niefrasobliwymi uwagami. Dotąd najgorszą karą, jaka ją spotkała, było płukanie ust mydlinami. Z miny Edwarda wносиła jednak, że tym razem będzie miała prawdziwe szczęście, jeśli wybryk ujdzie jej na sucho.

Mimo wszystko nie zamierzała go przeprosić. Nadal się cofała, a Edward postępował naprzód, nie spuszczać z niej wzroku...

Nagle drzwi salonu się otworzyły i sir Arthur Herbert zawołał:

- Och, moja droga panna MacDougal! Nareszcie! Wszyscy czekamy na panią!

Pegeen uniosła ciężką spódnicę i prawie podbiegła do korpulentnego zarządcy.

- O, sir Arthur! - zawołała. - Jak pan się miewa? Przepraszam za spóźnienie. Evers zaraz przyniesie sherry. To miło znowu pana widzieć. Czy już całkiem doszedł pan do siebie po tym strasznym wypadku?

Sir Arthur miał na twarzy szeroki uśmiech i rumieńce od wina.

- Tak, tak. Mam się dobrze, całkiem dobrze. Słyszałem o pani strasznej chorobie. Mam nadzieję... O, jest lord Edward. - Sir Arthur przesłał szeroki uśmiech naburmuszonemu synowi byłego księcia. - Jak się pan miewa, sir? Widzę, że wiatr pana dzisiaj nie oszczędzał. Policzki ma pan prawie tak samo czerwone jak ja, ha!

Uśmiechając się do swojego wybawcy, Pegeen wyminęła go i znalazła azyl w złotym salonie, do którego zeszli się mężczyźni w wieczorowych strojach i kobiety w jaskrawych spódnicach rozpostartych na niewiarygodnie wielkich krynolinach. Gdy stanęła na intensywnie czerwonym, orientalnym dywanie, przez salon przetoczył się szmer. Pegeen nie umiała jednak powiedzieć, czy był to skutek uznania dla jej wyglądu, czy po prostu zaskoczenia nagłym nadejściem. W każdym razie rozległy się powitalne okrzyki:

- Och, panno MacDougal, proszę usiąść przy mnie!
- Panno MacDougal, tutaj, proszę.

Nie mogła długo stać w drzwiach, bo lord Edward deptał jej po piętach, ona zaś musiała dopilnować, by dzieliła ich przyzwoita odległość.

Okazało się to jednak niemożliwe. Gdy Evers oznajmił, że podano obiad, Edward pojawił przy niej, jakby było to jego stałe miejsce. Podał jej ramię i pomógł wstać. Pegeen zdołała zachować uśmiech na twarzy, choć kłębiły się w niej najrozmaitsze uczucia, nie mające nic wspólnego z chłodną uprzejmością. Gdy szli przez wielką salę do jadalni, Edward powiedział:

- Głowa do góry, Pegeen. Za parę minut będzie po wszystkim.

Niech pan przestanie tak się do mnie zwracać. - Co za impertynent!

- Dlaczego? Przecież właśnie tak ma pani na imię, prawda? - Edward szedł wyprostowany, ale widziała, że kącik ust ma uniesiony. - Podoba mi się imię Pegeen. Nie mogę wciąż mówić: panno MacDougal. To takie pospolite nazwisko. Brakuje mu charakteru. Natomiast pani...

- Czy pan... - Pegeen na chwilę zamknęła oczy. Pomyśl, zanim cokolwiek powiesz, nakazała sobie w duchu. Uniosła powieki i stwierdziła, że Edward przygląda się jej z zaciekawieniem. Do diabła z ostrożnością. Czy mógłby pan zostawić mnie w spokoju?

- Domagasz się, pani, niemożliwego. - Teraz uśmiechał się już bardzo wyraźnie. - Na pewno pamiętasz, że skosztowałem smaku twoich ust. Chyba nie sądzisz, że zadowolę się zwykłym cmoknięciem, takim jak wczoraj wieczorem...

- Ładne mi cmoknięcia! - obruszyła się Pegeen. - Od tego cmoknięcia omal nie posiniały mi wargi.

- Szkoda, że nie widziałaś, pani, mojego policzka po tym, jak mnie uderzyłaś.

- Ha! Panu się zdaje, że to bolało? Jeśli dalej będzie mnie pan oblał tak jak przed chwilą w wielkiej sali, to dopiero pan zobaczy!

Edward uniósł brwi.

- Wielkie groźby słabej kobiety.

- Może jestem niewielka wzrostem, ale umiem walczyć. Jak pan wie, przez cztery lata musieliśmy z Jeremym dawać sobie radę sami.

- Owszem, słyszałem o tym. - W szarych oczach Edwarda zabłyśły wesołe ogniki. - Zazwyczaj mi sceniczny talent, ale odnoszę wrażenie, że i tobie na nim nie zbywa, Pegeen.

- Proszę przestać nazywać mnie...

- Wiem, wiem. Chcesz też, żebym przestał cię oblać, jak to ujęłaś, ale ja nie dam się zwieść, Pegeen. Wczoraj wieczorem była chwila, a może nawet dwie, kiedy odczuwałaś nieklamana przyjemność...

- Nigdy...

- Odłóż na bok ten dziewiczy wstyd. Chyba nie powiesz mi, że niczego nie czułaś, gdy się całowaliśmy? Zapominasz, że ja też tam byłem. Słyszałem i czułem, jak ci bije serce...

- Jest pan...

- I czułem żar twoich ust, Pegeen. Możesz pozować na panienkę, proszę bardzo. - Zaprowadził ją do pierwszego krzesła po prawej stronie od szczytu długiego stołu. - Oboje wiemy jednak, że niewątpliwie płonie w nas ogień nie do ugaszenia.

Siadając, Pegeen sięgnęła po serwetkę, którą następnie ze złością rozłożyła. Nie zważała na ludzi dookoła, którzy beztrudno gawędzili i od czasu do czasu spoglądali z zainteresowaniem na kłócącą się parę u szczytu stołu.

- Powiem panu, co jest niewątpliwie - syknęła, pochylając się ku niemu. Przy okazji zafalowały jej piersi, którym zresztą Edward miał już okazję przyjrzeć się dokładnie.

- Doprawdy? - Również on usiadł i oparł łokieć na stole, żeby lepiej słyszeć słowa wypowiedane półgłosem. - A co takiego?

- Pańskie samolubne, zarozumiałe, zimne i egoistyczne ja. - Pegeen zamrugnęła. - Ot, co. - Potem zwróciła się do mężczyzny

siedzącego po jej prawej ręce, którym był lord Derby, i przesłała mu piękny uśmiech. - Nic pan nie je! To niedopuszczalne, milordzie, żeby z mojego powodu komukolwiek stygła zupa. Proszę się nie krępować.

Wieczór mijał, a Pegeen, która zawsze uważała się za osobę o otwartym umyśle, zaczęła dostrzegać różne dziwne cechy towarzystwa zgromadzonego przy stole. Spędziwszy dzień w towarzystwie wszystkich obecnych kobiet, była skłonna uważać je za prawdziwe damy. Czy jednak eleganckie damy flirtują tak otwarcie z mężczyznami, którzy nie są ich małżonkami? Czy noszą tak wiele błyskotek i używają tyle różu? Czy rozmawiają o tym, ile kosztuje podawany właśnie szampan i jaką ekstrawagancją są niewyobrażalne ilości gęsich wątróbek? Czy wreszcie przerywają sobie wzajemnie tylko po to, by zabawić dżentelmena jakimś spostrzeżeniem?

Pegeen stwierdziła, że wszystkie kobiety przy stole są tak samo zaborcze jak wicehrabina. Owszem, lady Herbert i jej córki były uprzejmymi osobami robiącymi jak najlepsze wrażenie. Ale na przykład lady Seldon ze swoimi niedwuznacznymi aluzjami! I żona lorda Derby, która pod samym nosem męża podsuwała swój biust markizowi Lynne! Wicehrabina też od nich nie odstawała. Wprawdzie swoje nowe miejsce przy stole przyjęła z godnością, ale teraz głośno się śmiała z jakiegoś żartu sir Thomasa Paytona i opowiadała, ile Edward wydał na wino.

Braki w wychowaniu objawiały zresztą nie tylko kobiety. Lord Derby, zajmujący miejsce po prawej ręce Pegeen, zaczął wieczór od zaglądania jej w dekolt i napomykania Edwardowi, jakim jest szczęśliwcem, mając taką zajmującą szwagierkę. Potem zaś dał popis deklamowania wybitnie niegustownych limeryków, od których Pegeen czerwieńla się po uszy. Co gorsza, naprzeciwko miała syna markiza Lynne, który jadł groszek, posługując się nożem. Towarzysząca mu Annę Herbert nie wiedziała, co ze sobą zrobić, taką zgrozą przejął ją ten widok. W pewnej chwili Pegeen

skrzyżowała z nią spojrzenia i obie wymieniły grymasy współczucia.

Pegeen miała nadzieję, że po obiedzie sytuacja się poprawi, była jednak w błędzie. Gdy mężczyźni przeszli do sali bilardowej, wicehrabina klasnęła w dłonie i poleciła lokajom, by przygotowali scenę w wielkiej sali do szarad. Kilka dam radośnie zapiszczało, natomiast lady Herbert natychmiast wymówiła się bolącą głową, i zabrawszy ze sobą dwie córki, które zdążyły już zadebiutować w towarzystwie, udała się na spoczynek. Pegeen zrozumiała później, że przedwczesne odejście lady Herbert powinna była potraktować jako sygnał ostrzegawczy. Ponieważ jednak sama nigdy przedtem nie brała udziału w szaradach, chciała zobaczyć, cóż to takiego.

Powrót dżentelmenów stanowił sygnał do rozpoczęcia zabawy. Uczestnicy rozsiedli się na krzesłach przyniesionych przez lokajów. Zaimprovizowaną scenę stanowiła przestrzeń między schodami. Pierwszą szaradę mieli odegrać wicehrabina i wątle protestujący Edward. Pegeen już wiedziała, że będzie to miało coś wspólnego z serajem, więc nawet nią nie wstrząsnęło, gdy Edward pojawił się na scenie z obnażonym torsem i jataganem u boku. Ale gdy wicehrabina wychyłała z jadalni w przezroczystej sukni i zaczęła wykonywać dziwaczny taniec przywodzący na myśl Salome, Pegeen poczuła, że ma dość.

Ponieważ zawczasu poprosiła, żeby dano jej miejsce z tyłu, bez trudu opuściła towarzystwo. Wprawdzie nie mogła teraz wejść na schody, ale wiedziała już, jak dostać się przez kuchnię do schodów dla służby. Jej nagłe pojawienie się w kuchni wywołało małą sensację: Evers, kucharka i pani Praehurst jedli akurat kolację, obsługiwani przez mniej ważnych służących. Na widok pani wszyscy zerwali się na równe nogi. Pegeen poprosiła ich, żeby usiedli i nie przejmowali się jej obecnością, a dla uspokojenia wytłumaczyła, że po prostu chce wejść na górę i zajrzeć do Jeremy'ego, a nie może skorzystać z głównych schodów.

Pani Praehurst przyjrzała jej się dość natrętnie, jakby wiedziała, że to kłamstwo, ale Pegeen nie zamierzała z nią o tym rozmawiać, tylko szybko poszła swoją drogą. Naprawdę chciała przed udaniem się na spoczynek odwiedzić Jeremy'ego. Gdy jednak weszła do jego pokoju, stwierdziła, że chłopiec już śpi, zmęczony całym dniem zabawy. Nazajutrz czekały go jeszcze większe trudy: pierwsze w życiu polowanie na lisy. Pegeen nie była zwolenniczką zabierania małych chłopców na polowanie, ale podczas jej choroby Edward uroczyście mu to obiecał, więc nie mogła domagać się, by złamał dane słowo. Bardzo się jednak martwiła, jak zareaguje Jeremy, gdy psy dopadną lisa. Bądź co bądź, nie zdarzało się, by zagonione zwierzę uszło z życiem.

Lucy czekała na nią w różowym pokoju. Bardzo się zdziwiła, że panienka wraca tak wcześnie, nie powiedziała jednak na ten temat ani słowa, tylko spytała, jak podobał jej się obiad. Pegeen skłamała, że bardzo. Lucy pomogła jej przebrać się w nocną koszulę i wyszczotkować włosy, po czym odeszła, a Pegeen zapatrzyła się w ogień i zaczęła jeszcze raz przeżywać ten niezbyt udany dzień.

Zezłościło ją i oburzyło, że Edward znowu zobaczył jej obnażone piersi. Takiego dyshonoru nie życzyłyby najgorszemu wrogowi. Natomiast podczas szarad miała okazję obejrzeć jego tors, płaski, szeroki i muskularny, pokryty gęstymi, czarnymi włosami. Na takim torsie kobieta może położyć głowę. Taki tors grzeje w zimną listopadową noc. Taki tors...

Wstrząśnięta swoimi emocjami przewróciła się na drugi bok i postanowiła nie myśleć dłużej o Edwardzie. Zaczęła więc dumać o tym, jak bardzo by chciała, żeby jego dziwaczeni przyjaciele już wyjechali. Wyobraziła sobie, że stoi przy masywnych podwójnych drzwiach dworu, królewskim gestem wskazuje zaśnieszony dziedziniec i daje lordowi Derby porządnego kopa na rozpęd.

W icedhrabina gardłowo się roześmiała i zdjęła kolczyki, by schować je do wyłożonego jedwabiem puzderka na toaletce.

- Ciekawe, Edwardzie, dokąd, twoim zdaniem, uciekła ta miłosierna istota - odezwała się, podziwiając własne odbicie w lustrze. - Chyba nie wytrzymała nawet tak długo, żeby dobrze przyjrzeć się twoim męskim wdziękom.

Edward stał skwaszony przed kominkiem w białym pokoju i milczał. Znow miał na sobie wieczorowy strój i trzymał w dłoni kieliszek brandy. Zabawa dobiegła końca, goście rozeszli się do pokoi, a jego wciąż coś gryzło. Może to była wina dużej ilości alkoholu, którą wypił tego wieczoru? A może, co nawet bardziej prawdopodobne, perspektywa wstawania o świcie na polowanie?

Arabella zdjęła rękawiczki i przyjrzała się swym wypielegnowanym paznokciom.

- Wiesz, Edwardzie, zdaje mi się, że dziś wieczorem to małeństwo przeżyło przez nas poważny wstrząs.

Edward oderwał wzrok od ognia.

- Co?

- Już cię prosiłam, Edwardzie, żebyś nie mówił co. To jest wulgarnie. - Arabella zaczęła wyciągać szpilki przytrzymujące jej

kunштowne nakrycie głowy. - Przez nas twoja biedna córka pastora przeżyła poważny wstrząs. Pewnie teraz nie wie, co o nas myśleć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Edward nagle skupił uwagę na rozmowie.

- Od razu widać, że ona nie umie się znaleźć w eleganckim towarzystwie. Nigdy przedtem nie widziała szarad. Po południu urządziła grę w loo. Od wieków nie grałam w takie głupoty, mój drogi. Na sam pomysł lady Seldon omal nie umarła ze śmiechu. Ale w końcu usiadłyśmy do gry. Nie mogę się doczekać, żeby sprawdzić, jakie pasjonujące rozrywki przygotowała dla nas ta panna na jutro. Naturalnie żonie Herberta to się podoba. Nie pojmuję, dlaczego zawsze zapraszasz na swoje przyjęcia sir Arthura z żoną. Oni są tacy drętwi, a jego żona ponadto świętoszkowata.

Edward wypił do dna zawartość kieliszka i rozejrzał się dookoła. Biały pokój zawdzięczał swoją nazwę barwie meblowania, utrzymanego w odcieniu kości słoniowej, podobnie jak dywany i tapety. Miejsce to znakomicie nadawało się dla Arabelli, tu bowiem jej twarz wydawała się mieć jakikolwiek kolor.

Niestety, w białym pokoju brakowało barku. Wprawdzie do biblioteki droga była długa, ale Edward uznał, że nie ma innego wyjścia, jak się tam pofatygować. Pilnie potrzebował następnego drinka.

Arabella szcزتkowała swoje długie, jasne włosy. Były cienkie i jedwabiście gładkie. Edward przypomniał sobie czasy, gdy ten widok budził w nim zachwyt, a rozpuszczone włosy Arabelli głąskaty go po torsie. Zastanowiło go nawet, czy Arabella nie rozpuściła ich celowo, by go skusić. Dobrze ją znał, więc taka możliwość wydawała mu się bardzo prawdopodobna.

- A jej mina, mój drogi! Czy widziałeś, jaką robiła minę, ilekroć odzywał się do niej Derby? Mało nie pękłam ze śmiechu. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ta gołąbeczka miała dziś niespodziewaną wizytę o północy.

- Zamknie drzwi - odparł Edward, wzruszając ramionami, gdy

jednak Arabella podniosła głowę, odrywając wzrok od zdejmowanej pończochy, uświadomił sobie, że powiedział nie to, co należało.

- Skąd wiesz, że ona zamyka drzwi na noc? - Uśmiech wicehrabiny był szeroki, lecz jej oczy przybrały całkiem inny wyraz. - Próbowałeś otworzyć?

Edward odwrócił się do niej tyłem, wciąż trzymając w dłoni pusty kieliszek. Do diabła, dlaczego Evers nie wstawił karafek z brandy do wszystkich gościnnych pokoi? Postanowił upomnieć kamerdynera.

- Skądże, nie bądź śmieszna. Ale czego innego można się spodziewać po takiej paninie? Ona nie jest głupia.

- Nie - wycedziła wicehrabina. - Nie jest głupia. Za to jest podniecająco niewinna, prawda Edwardzie?

Edward zerknął na nią przez ramię. Arabella miała na sobie tylko przezroczystry, jasnoniebieski peniuar, a z rozpuszczonymi włosami wyglądała dużo młodziej niż na swoje czterdzieści lat. Od Edwarda była starsza zaledwie o dekadę, lecz znacznie więcej od panny, której dotyczyła wymiana zdań.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odrzekł w końcu.

Arabella dźwięcznie się roześmiała.

- Och, nie okłamuj mnie, Edwardzie. Dobrze wiesz, że nigdy nie byłeś w tym dobry. Widziałam cię wczoraj wieczorem z tą panną. Nie mogę zresztą mieć do ciebie pretensji. Na pewno jest coś pociągającego w deprawowaniu dziewicy. Powiedz mi, czy już kiedyś miałaś dziewicę, czy ta będzie dla ciebie pierwsza?

Zanim Edward zastanowił się nad tym, co robi, cisnął pustym kieliszkiem o ścianę. Setki odłamków szkła posypały się z brzękiem na podłogę. Zaskoczona Arabella otworzyła oczy tak szeroko, że dookoła tęczówek było widać białka.

- Edwardzie drogi - powiedziała cicho. - Czyżbym trafiła cię w czuły punkt? - Było widać, mimo obficie nałożonego różu, że pobladły jej wargi.

Edward bez słowa wyszedł z pokoju, głośno trzaskając drzwiami.

Pegeen zbudziła się z uczuciem ulgi, choć początkowo nie wiedziała, jaki jest tego powód. Potem przypomniała sobie, że nastął dzień polowania, więc Edward i jego przyjaciele, w tym wicehrabina, na cały dzień znikną z domu. Dla niej oznaczało to dużo czasu do dyspozycji i towarzystwo lady Herbert oraz jej córek, które zdecydowanie nie lubiły polowań. Wyjątek stanowiła najmłodsza z nich, pięcioletnia Maggie, jej jednak jeszcze nie brano pod uwagę. Wkrótce Pegeen odszukała lady Herbert i razem ustaliły bogaty plan dnia obejmujący wyprawę do wsi po zakupy, odwiedzin w seminarium dla panien, a potem lancz.

Po lanczu można było iść na spacer po ogrodzie, choć naturalnie wciąż leżał tam śnieg, na grządkach nie było ani jednego kwiatka, a drzewa nie miały liści. Mimo to młodsze panny Herbert w ciepłych czapkach i rękawiczkach z zadowoleniem biegały po labiryncie stworzonym przez żywopłot, aż w końcu miały tak samo czerwone policzki jak ich ojciec poprzedniego wieczoru. Lady Herbert i jej starsze córki zachowywały się bardziej dostojnie. Idąc zwawym krokiem ścieżką poleconą im przez ogrodnika z uwagi na piękne sople, Annę Herbert spytała Pegeen, jak jej się podoba w nowym domu.

- Podobałoby mi się tu znacznie bardziej, gdybym nie musiała mieszkać pod jednym dachem z Edwardem Rawlingsem - odrzekła całkiem szczerze.

Słyszac tak bezpośrednią odpowiedź, lady Herbert wybuchnęła śmiechem.

- Jak to, panno MacDougal? Mnie lord Edward zawsze wydawał się uroczy...

- Och, bo jest uroczy - przyznała Pegeen, kopiąc kawałek lodu, zwisającego z rynny. - Uroczy jak wąż.

- Czyżby się do pani zalecał? - spytała podekscytowana Anna.

- Annę! - Jej matka była wstrząśnięta, lecz mimo to oczekiwała odpowiedzi z nie mniejszą uwagą niż córka.

- Hm. - Pegeen nie zaryzykowała wysunięcia rąk z futrzanej muffki. - Powiedzmy, że ma po prostu dość dziwny stosunek do kobiet.

- Nie do wszystkich kobiet, panno MacDougal - odparła lady Herbert. - Tylko do ładnych, takich jak pani.

- To prawda - zgodziła się z matką Anna. - Do mnie odnosił się zawsze jak należy.

Do rozmowy włączyła się jej siostra, Elizabeth.

- Co ty mówisz, Annę. Przecież wcale nie jesteś brzydka.

- Jestem, jestem. Jak inaczej wytłumaczyć to, że lord Edward się do mnie nie zalecał? O ile wiem, próbował szczęścia ze wszystkimi urodziwymi kobietami w okolicy.

- Dziewczęta - powiedziała surowo lady Herbert. - Przestańcie plotkować. Przez was panna MacDougal nabierze złego mniemania o swoim szwagrze. - Przeniosła wzrok na Pegeen i powiedziała łagodnie: - Słyszałam, że lord Edward czasem lubi się pobawić. Ale trudno go o to winić. Jest przystojny i bogaty, a poza tym ma wiele uroku. Ale osobiście nie posuwałabym się do twierdzenia, że zaleca się do wszystkich urodziwych kobiet w okolicy, panno MacDougal. Powiem inaczej: on od dawna budzi żywe zainteresowanie wielu panien, a choć mamy z sir Arthurem nadzieję, że

wreszcie się ustatkuje, to jakoś nie chce żadnej kobiety potraktować poważnie.

- Wicehrabinę traktuje poważnie - wtrąciła najstarsza córka.

- Annę!

- Och, mamó, panna MacDougal ma oczy. Sama widzi.

Pegeen uśmiechnęła się smutno.

- Owszem, widzę.

- Ale muszę powiedzieć - ciągnęła Annę - że widziałam, jak on patrzy na panią, panno MacDougal. Wczoraj nic innego nie robił przez cały obiad...

- Annę!

- Och, mamó, daj spokój. Jesteśmy dorosłe. Dlaczego nie możemy o tym porozmawiać? Sama się zastanawiałam, co to może znaczyć. Gdybym miała zgadywać...

- Annę, daj spokój - powiedziała dużo surowiej lady Herbert.

-- ...powiedziałabym, że się w pani zakochał, panno MacDougal.

Pegeen pokręciła głową.

- Nie, panno Herbert. Jeśli lord Edward jest mną zainteresowany, to tylko dlatego, że w odróżnieniu od kobiet wspomnianych przez lady Herbert, nie chce mu ulec. Nie sądzę, żeby wiele razy dostał kosza.

Lady Herbert skinęła głową.

- Rzeczywiście, to byłaby nowość dla lorda Edwarda. Bardzo bystre spostrzeżenie. Wielu kobietom jego zaloty tak pochlebiają, że... - Urwała, poczuwszy na sobie bardzo zaciekawione spojrzenie siedemnastoletniej Elizabeth. - Chcę powiedzieć, ech, mniejsza...

- Nie przerywaj! - zaprotestowała Elizabeth. - Och, dokończ, mamó. Jestem dostatecznie dorosła...

- Nie jesteś - zawyrokowała Annę i rozsądnie zmieniła temat. - Ilu gości należy się spodziewać na dzisiejszym balu, panno MacDougal?

- Na balu? - Pegeen prawie o nim zapomniała. - Nie wiem. Pani Praehurst wspominała, zdaje się, o pięćdziesięciu osobach.

- Pięćdziesięciu! - Niebieskie oczy Elizabeth zapłonęły pod nieceniem. - To cudownie!

Pegeen uśmiechnęła się, widząc ten entuzjizm. Doprawdy, mogłaby zamienić się na miejsca z Elizabeth Herbert. Chciałaby mieć taką życzliwą, wrażliwą matkę i tyle szczęśliwych, dobrych sióstr. Naturalnie coś za coś - wtedy jej ojcem byłby sir Arthur Herbert, ale harmonia panująca w ich domu udzielała się nawet jemu. Pegeen dałaby wiele za trochę zwykłego rodzinnego ciepła i stabilizacji. Nigdy w życiu nie miała okazji tego doświadczyć, bo jej matka zmarła przy porodzie. Ojciec szukał zapomnienia w pracy, więc córkom poświęcał niewiele czasu.

- Powinniśmy wracać - powiedziała lady Herbert, spoglądając w zachmurzone niebo. - Niedługo będą się przebierać.

Pegeen nie musiała pytać, o kogo chodzi. Niechętnie zawróciła do domu. Lady Herbert i jej córki poszły przygotować się do balu, a Pegeen zdążyła pozbyć się prawie wszystkich kłopotów, z których natychmiast zwierzyła jej się ochmistrzyni, gdy Evers zaanonsował z wyraźnym oburzeniem:

- Jego wysokość, książę Rawlings.

Jeremy z twarzą i ubraniem umazanymi błotem i krwią wpadł do wielkiej sali, głośno wzywając ciocię.

- Wielki Boże - przestraszyła się Pegeen, gdy chłopiec objął ją za nogi i szlochając, opadł na kolana. - Jeremy, co ci się stało?

Podniosła chłopca i mocno przytuliła, usiadłszy na pierwszym stopniu schodów prowadzących na piętro. Zupełnie nie zwracała uwagi na to, że krew i błoto plamią jej suknię.

- Jerry, co ci się stało? Czy jesteś ranny? - Bez powodzenia próbowała spojrzeć mu w twarz. Jeremy przywarł do niej jeszcze mocniej, a całym jego ciałem wstrząsał szloch.

Trzymała go w objęciach i łagodnie kołysała, szepcząc słowa pocieszenia w jego mokre, brudne włosy. Jeszcze nigdy nie widziała go w takiej rozpacz, dlatego przeraziła się nie na żarty.

Słyszając znajomy odgłos kroków Edwarda na kamiennej posadzce, podniosła głowę. Miała jak najgorsze przeczucia.

W wielkiej sali pojawił się nie tylko Edward, lecz również reszta uczestników polowania. Wszyscy byli ubłoceni, ale nikt nie wydawał się szczególnie poruszony. Większość towarzystwa, nie wyłączając wicehrabiny, śmiała się i bez wątpienia wypła wcześniej sporo alkoholu. Pegeen głaaskała Jeremy'ego po głowie i czuła, jak wzbiera w niej gniew. Gdy Edward podszedł do niej z twarzą, na której niezaprzeczalnie malował się wstyd, Pegeen popatrzyła nań i spytała cicho, lecz bardzo groźnie:

- Co się stało Jerry'emu?

Edward skupił wzrok na czarnowłosej głowie wtulonej w ramię Pegeen. Pierwszy raz zdarzyło się, że zabrakło mu słów. Alistair Cartwright wysunął się zza pleców przyjaciela, lecz wydawał się nie mniej zakłopotany.

Pegeen spiorunowała ich wzrokiem.

- Niech jeden z was zaraz mi powie, co się stało Jerry'emu. Czemu stoicie jak dwa wielkie osły, którymi zresztą jesteście?

Alistair odezwał się pierwszy.

- Lord Edward, panno MacDougal, chyba nie był świadom tego, że jego wysokość nigdy przedtem nie brał udziału w polowaniu na lisa...

Pegeen spojrzała surowo na Edwarda.

- Czyżby? A kiedy, pana zdaniem, mógł być ten pierwszy raz? W dniu, gdy koronowano go na króla Syjamu? Na miłość boską, to jest dziesięcioletni chłopiec, który dorastał na plebanii! Jak mógł być na polowaniu?

- Nie wiedziałem - burknął Edward. Już nie wydawał się zawstydzony, tylko przyparty do muru. - Przysięgam, myślałem, że on wie...

- Co wie? - przerwała mu stanowczo Pegeen. Gdy żaden z mężczyzn jej nie odpowiedział, spytała jeszcze bardziej gniew-

nie: - Czy ktoś mógłby mi wreszcie wytłumaczyć, co się stało Jeremy'emu?

Alistair otworzył usta, ale Edward nie dopuścił go do głosu.

- Nie - powiedział do przyjaciela. - To moja wina. Przyjmuję pełną odpowiedzialność. - Zwrócił się ponownie do Pegeen. - Jeremy najwidoczniej nie wiedział, że gdy psy dopadają lisa, to go... no, zjadają.

Pegeen wpatrywała się w niego, przygryzając wargę, bo wzbierał w niej nieopanowany chichot. Sytuacja wcale nie była śmieszna, ale Jerry naprawdę okazał wyjątkową naiwność sądząc, że podczas polowania zdobycz puszcza się wolno. Chłopiec uwielbiał zwierzęta i prawdopodobnie przeżył straszne chwile, widząc, jak psy rozszarpują lisa. Pegeen jeszcze mocniej go przytuliła, ogarnęła ją bowiem poczucie winy. Zastanawiała się przecież, czy Jerry o tym wie, lecz w końcu założyła, że tak, i nie powiedziała mu ani słowa. A skąd miał wiedzieć? Przecież w Applesby tylko bił się z rówieśnikami z sąsiedztwa albo bawił z nią w piratów. Już nie chciało jej się śmiać. Spuściła głowę i przytuliła policzek do włosów malca.

- Och, Jerry - westchnęła. - Tak mi przykro.

Jeremy nadal szlochał, zdołał jednak wreszcie wykrztusić z siebie kilka słów:

- Zabiły go... Psy zabiły lisa, a wuj... wuj Edward się temu przyglądał i pozwolił im na to!

Pegeen nadal tuliła chłopca. Szepnęła do niego:

- Psy tak robią, kochanie. Teraz wiesz.

- Ale wuj... wuj Edward im pozwolił! A to był taki śliczny lisek z łaciatym ogonem. Wyglądał jak Marynata!

Kątem oka Pegeen zauważyła, że Edward usiadł na stopniu obok nich. Był teraz tak blisko, że czuła ciepło jego biodra. Dolatywał ją też zapach wilgotnej wełny, konia, a także whisky.

- Jerry, przyjacielu - zaczął. - Przykro mi z powodu tego zamieszania. Nie wiedziałem, że tak lubisz lisy...

Jeremy uniósł głowę i zmierzył wuja złym wzrokiem. Pegeen jeszcze go takiego nie widziała.

- Posmarowaliście mnie jego krwią - poskarżył się piskliwym głosem. - Powiedziałem, że nie chcę, a wy i tak to zrobiliście! - Znow wybuchnął szlochem i wtulił się w Pegeen.

Tym razem Pegeen podniosła głowę i zmierzyła Edwarda takim spojrzeniem, że z wrażenia otworzył usta.

- Wysmarowaliście go krwią? - spytała niedowierzająco.

- To było jego pierwsze polowanie - odparł Edward. - Taki myśliwski chrzest przechodzi każdy chłopak, który pierwszy raz poluje.

- Przepraszam, milordzie, ale przed chwilą podobno nie wiedziałeś, że to było jego pierwsze polowanie.

Na to nie było rozsądnej odpowiedzi, toteż Edward po prostu spuścił głowę i spojrzał na rozpaczającego chłopca. Natomiast Pegeen aż zatykała ze złości, ale miała pretensje przede wszystkim do siebie, nie do Edwarda. Gdyby tak jak należy zajęła się chłopcem, zamiast ciągle myśleć o jego wuju, to nic złego by się nie stało. Zirytowana Edwardem, jego gośćmi, a przede wszystkim sobą, przyzywała najbliższego lokaja.

- Czy możesz mi pomóc? - spytała, wskazując ruchem głowy Jeremy'ego. - Muszę położyć go do łóżka, ale nie mam siły go unieść.

Edward natychmiast zareagował i chciał wziąć chłopca na ręce, ale Pegeen przesłała mu miazdzące spojrzenie i powiedziała królewskim tonem:

- O nie, milordzie. Ty już swoje zrobiłeś.

- Jestem jego wujem - sprzeciwił się Edward nie mniej władczym tonem.

- Tak? Szkoda, że nie pomyślałeś o tym wcześniej. - Jeremy nagle przestał jej ciążyć na kolanach. Podniosła głowę i uśmiechnęła się życzliwie do lokaja, który zręcznie przerzucił sobie płaczącego malca przez ramię.

Potem wstała, ignorując rękę, którą podał jej Edward, i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu ochmistrzyni - stała niedaleko nerwowo wyłamując sobie palce.

- Pani Praehurst, czy mogłaby pani zatroszczyć się o podanie do dziecięcego pokoju gorącej wody i czegoś do jedzenia"

- Naturalnie, proszę pani - odrzekła ochmistrzyni i dygnęła. - Bardzo mi przykro z powodu panicza.

- Mnie też. - Pegeen zaczęła wchodzić na schody, nie spojrzawszy już na nikogo z wyjątkiem lokaja, który natychmiast ruszył za nią.

Dwie godziny później Jeremy zasnął, wykąpany, nakarmiony i zmęczony płaczem. Pegeen odeszła od jego łóżka dopiero nabrawszy pewności, że już się nie zbudzi do rana. Wróciła do swojego pokoju ledwie żywa ze zmęczenia, chociaż była dopiero siódma wieczorem. Chciała tylko wziąć kąpiel, zjeść kolację i położyć się spać.

Okazało się jednak, że Lucy właśnie rozkłada na łóżku jej białą balową suknię. Słyszając kroki, służąca podniosła głowę, a na jej twarzy odmalował się wyraz ulgi.

- Och, już myślałam, że panienka nigdy nie wróci! Słyszałam, co się stało jego wysokości. Żal mi go.

- Mnie też - przyznała Pegeen. Lucy zachnęła się, zauważyła bowiem krew i błoto na jej sukni. Natychmiast przebrała ją w zabawny szlafroczek wykończonym ptasimi piórami i posadziła w różowym fotelu przed kominkiem. Pegeen bezmyślnie wlepiła wzrok w ogień, a służąca tymczasem rozpuściła i wyszczotkowała jej włosy.

- Dwa razy był tu lord Edward, panienko - poinformowała ją z przerażającą bez troską. - Chce z panienką porozmawiać. Mam przekazać wiadomość jego służącemu natychmiast, gdy tylko

panienka wróci. Czy iść i powiedzieć, że panienka już jest i przyjmie milorda?

- Nie - odparła Pegeen.

- Panienka musi być zła na jego lordowską mość i nie ma co się dziwić. - Lucy zaczęła pracować nad włosami Pegeen z niezwykłą dla siebie gwałtownością. — Wygląda na to, że zawsze, kiedy przyjeżdża tu towarzystwo z Londynu, zaczynają się kłopoty. Wczoraj w nocy prawie nie zmrużyłam oka przez to trzaskanie drzwiami i hałas.

Pegeen wyciągnęła szyję, chcąc odwrócić głowę.

- Jakie trzaskanie drzwiami, Lucy?

- Och, panienka wie. - Lucy uroczo się zaczerwieniła. - Zdaje się, że prawie nikt nie spędził nocy tam, gdzie powinien. Jak tylko pogasiliśmy świece na korytarzu, wszyscy zaczęli się cichaczem przenosić do innych pokoi. Pani Praehurst bardzo się to nie podoba, ale naturalnie nie do niej należy mówienie jego lordowskiej mości, jak się powinni zachowywać jego goście. Sukie pracowała tutaj jeszcze za życia starego księcia i wtedy podobno było znacznie gorzej. Kobiety i mężczyźni biegali po korytarzu w samej bieliźnie o Bóg wie której godzinie, zupełnie jakby służba była ślepa...

Pegeen pokręciła głową. Nigdy nie uważała się za osobę pruderyjną, ale informacja o takim bezwstydzie wstrząsnęła nią do głębi. Dotąd nie miała pojęcia, że coś takiego w ogóle może się dziać gdziekolwiek z wyjątkiem tanich powieści, które czasem czytywała, jej ojciec akurat nie kontrolował jej lektury. Nie chciała osądzać przyjaciół lorda Edwarda - Bóg wiedział, że nie jej rzucać kamieniem - ale od samej myśli o lady Seldon w łóżku z, dajmy na to, lordem Derby, zbierało jej się na wymioty.

- Bardzo panienkę przepraszam - przerwała jej rozmyślenia Lucy - ale już nie zostało dużo czasu na siedzenie i plotkowanie. O ósmej goście zjedzą na dół. Musi panienka bardzo szybko się wykapać... - Lucy spojrzała z zainteresowaniem na Pegeen. - Panienka chce się wykapać, prawda?

- Tak, ale nie zejść dzisiaj na dół. - Pegeen oparła stopy na miękkim podnóżku przed fotelem. - Chciałabym zjeść w pokoju, a potem położyć się do łóżka.

- Och, panienko! Musi panienka dzisiaj zejść... Na balu będzie ponad pięćdziesiąt osób!

- Nic na to nie poradzę, Lucy - odparła obojętnie Pegeen. - Nie ja ich zaprosiłam. To nie są moi goście.

- Ależ panienko... - Lucy przekrzywiła głowę, by spojrzeć na kreację rozłożoną na łóżku. - Przygotowałam najpiękniejszą suknię panienki, z brylancikami na spódnicy. Szkoda byłoby, gdyby panienka jej nie włożyła. Naszykowałam też panience brylantowy diadem...

Pegeen roześmiała się, widząc, jak strapiona jest jej młoda służąca.

- Lucy, przepraszam cię, ale nigdzie nie idę. Na pewno jeszcze będzie okazja do włożenia diadem. Teraz proszę cię, przynieś mi coś do jedzenia. Trochę zupy z chlebem i może odrobinę sera. Nie sądzę, żebym miała teraz ochotę na cokolwiek w galarecie...

Przerwało jej łomotanie do drzwi. Zerknęła bardzo podejrzliwie w stronę, z której dochodził hałas. Lucy odłożyła szczotkę i podeszła do drzwi. Otworzyła je na tyle, by móc wyjrzeć na zewnątrz, lecz uniemożliwić przybyszowi zajrzenie do środka.

- Słucham? - spytała. Pegeen zauważyła, jak dziewczyna z szacunkiem się prostuje, widząc, do kogo mówi. - Słucham, milordzie.

- Czy mogę porozmawiać z twoją panią? - Głos Edwarda brzmiał bardzo przekonująco. - Wiem, że jest w pokoju...

Lucy zaczęła przecząco kręcić głową, zanim jeszcze odpowiedziała:

- Nie, sir. Panna Pegeen jest niedysponowana.
- Wobec tego poczekam tutaj, póki nie zgodzi się mnie przyjąć.
- Bardzo proszę, milordzie. Panna Pegeen nie czuje się dobrze...
- Tak przypuszczam, ale mimo to chcę z nią porozmawiać...

Pegeen z westchnieniem uniosła się z fotela, owinęła się szlafroczkiem i dobrze zawiązała jedwabny pasek na kokardę. Jeszcze odgarnęła na plecy długie, rozpuszczone włosy, po czym otworzyła drzwi na oścież. Stojąc przy nieco wyższej Lucy, popatrzyła na Edwarda, który przebrał się już w wieczorowy strój, wydawał się jednak nie mniej poruszony niż niedawno w wielkiej sali.

- Pegeen - powiedział szybko - chcę z panią zamienić kilka słów.

Służąca nabrała tchu i już chciała powtórzyć, że panienka jest niedysponowana, ale Pegeen położyła jej rękę na ramieniu i powiedziała:

- Lucy, może zejdziesz na dół i postarasz się o obiad,

Lucy wyraźnie nie miała ochoty zostawić panienki sam na sam ze wzburzonym lordem Edwardem, ale przynaglona wymownym spojrzeniem Pegeen, posłusznie się oddaliła.

- Niech pan wejdzie i powie, co ma do powiedzenia - zgodziła się Pegeen.

Edward skwapliwie skorzystał z pozwolenia, a Pegeen zamknęła za nim drzwi i wróciła na swój wygodny fotel przed kominkiem. Pierwszy raz w obecności lorda Edwarda czuła dziwny spokój. Zastanawiała się nawet, co to znaczy. Czyżby nie przywiązywała do tej znajomości takiej wagi, jak wcześniej sądziła? Miała nadzieję, że tak właśnie jest. Nie mogłaby popełnić gorszej omyłki, niż zakochać się w Edwardzie Rawlingsie.

Naprzeciwko wybranego przez nią fotela stał drugi, bliźniaczy, i Pegeen wskazała go Edwardowi, on jednak pokręcił głową. Potargane smoliste kędziory na chwilę zasłoniły mu oko. Odgarnął je niecierpliwym gestem i długimi krokami zaczął przechadzać się między drzwiami a oknem, tam i z powrotem.

- Nie chcę zabierać pani dużo czasu, Pegeen - zaczął, przez cały czas wpatrując się w dywan.

- Panno MacDougal, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - poprawiła go Pegeen.

Niedbale machnął ręką. Przy oknach przystanął, uniósł fioletowo-różową zasłonę i zapatrzył się w zimową noc.

- Chcę przeprosić za to, co stało się dzisiaj z Jeremym - powiedział, patrząc w okno. - Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za ten incydent.

- To nie pana wina. - Pegeen nie była w stanie ukryć znużenia. - Powinnam była poświęcać mu więcej uwagi.

Edward znowu niedbale machnął ręką.

- Niedorzeczność. Wina leży wyłącznie po mojej stronie. Nie miałem pojęcia, że on jest taki wrażliwy. Niewiele wiem o dziecięcych chłopcach...

- I w ogóle o ludziach - mruknęła gniewnie Pegeen.

- Słucham? - Wreszcie na nią spojrzął. Oczy zabłyśły mu w blasku ognia. - Co takiego?

Pegeen zaczęła grzać ręce przy ogniu i śmiało odwzajemniła spojrzenie Edwarda.

- Powiedziałam, że niewiele pan wie o ludziach.

- To znaczy?

- To znaczy - Pegeen dumnie potrząsnęła głową - że, moim zdaniem, jest pan słabym sędzią charakterów.

- Naprawdę tak pani uważa? - Edward wydawał się bardziej rozbawiony niż zirytowany. - Czy to jest kolejna aluzja do wicehrabiny?

- Nie tylko. - Pegeen uniosła się z fotela i stanęła przed nim dumnie wyprostowana. - Czy ma pan pojęcie, jak pozbawieni skrupułów są pańscy tak zwani przyjaciele? Jeszcze nie miałam okazji spotkać tak źle wychowanych ludzi. Jestem wstrząśnięta, absolutnie wstrząśnięta tym, co dzieje się teraz w Rawlings, a nie uważam się za osobę, którą łatwo wstrząsnąć.

- Naprawdę? - Edward uśmiechnął się sarkastycznie. - Zwracam uwagę, że odkąd się znamy, nader często bywasz, pani, w stanie silnego wzburzenia...

- Po prostu nie spodziewałam się, że po przyjeździe do Rawlings

będę obślapiana jak służąca! - Ze złości podniosła głos. I nagle całkiem straciła panowanie nad sobą. Wykrzyczała jeszcze głośniej: - Od mojego przyjazdu tutaj jedynymi ludźmi, którzy traktują mnie względnie uprzejmie, są służący! Pan natomiast zdajesz się widzieć we mnie zabawkę, która służy wyłącznie rozrywce i zaspokojeniu pańskich cielesnych potrzeb.

Edward zamrugał i aż przestał chodzić po pokoju. Minę miał cokolwiek osłupiałą. Pegeen głośno mówiła dalej:

- Dla pańskiej informacji, Edwardzie Rawlings, powiem, że to mi się bardzo nie podoba. Zapominasz pan, że wychowałam się na plebanii i cudzołóstwa nie traktuję lekko. Nie mogę uwierzyć, że pan godzisz się z takim postępowaniem pod swoim dachem, zwłaszcza teraz, gdy zamieszkało tutaj wrażliwe dziecko, które do dzisiaj podziwiałoby pana jak boga.

Zaczerpnęła tchu i zanim zdążył jej przerwać, podjęła swój wykład:

- Przed przyjazdem do Rawlings na pewno nie spodziewałam się spotkać tu ludzi, którzy ze złości udają, że kogoś nie znają, wrzucają damom kawałki owoców w dekolty albo opowiadają pieprzne historyjki w obecności panien...

Edward uniósł rękę.

- Dość tego - powiedział cicho. -Już pani wyłuszczyła, w czym rzecz.

Ale Pegeen nie zamierzała tak łatwo go ułaskawić.

- Zdaje się pan nie rozumieć, że zachowanie gości w Rawlings wpływa także na obraz pańskiej osoby, zresztą mało korzystnie. Powiem panu jeszcze, że Lucy, moja Lucy, nie mogła w nocy spać z powodu trzaskania drzwiami, bo goście biegali pod pańskim nosem od sypialni do sypialni...

- Pegeen.

- Czy nie widzi pan tego, że wszyscy ci ludzie z wyjątkiem Herbertów po prostu pana wykorzystują? Rozmawiają o tym, ile kosztuje każda podawana na stół potrawa, o jakości porcelanowej

zastawy w Rawlings, o pościeli w Rawlings i o koniach w Rawlings. Podoba im się, że mogą bezkarnie nadużywać pańskiej gościnności. Pani Praehurst powiedziała mi nawet, że poprzedniego wieczoru ktoś włamał się do składziku i ukraść trzy butelki szampana, a jednego z synów lorda Derby przydybano na próbie uwiedzenia praczki...

- Dość tego! - Edward musiał krzyknąć, bo inaczej nie prze-rwałby tej tyrady. Pegeen natychmiast zamilkła i ciężko dysząc, stanęła w sztywnej pozie, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Przesłała mu wyzywające spojrzenie.

- I co? - spytała zapalczywie, gdy nie doczekała się ani jednego słowa więcej. Edward po prostu wpatrywał się w nią z dziwną miną. - Nie ma pan nic do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Sądziła, że Edward również podniesie głos, on jednak dalej przyglądał jej się z wyrazem twarzy, który można byłoby nazwać tylko rozmarzonym. Takiej reakcji Pegeen zupełnie się nie spodziewała. Bosą stopą nerwowo potarła drugą nogę. Wołałaby, żeby Edward wpadł we wściekłość, a nie zachowywał się tak niezrozumiale.

- Czy wie pani, że nikt mnie tak strasznie nie zrugał od dwudziestu lat? - spytał cicho. - A ostatnio zdarzyło się to właśnie w tym pokoju. Muszę jednak powiedzieć - dodał - że moja matka nigdy nie nosiła tak uroczonego szlafrocza.

Pegeen zerknęła w dół. Wielki Boże! Całkiem zapomniała, że ma na sobie jedynie fikuśny peniuar z pierzastym wykończeniem, który wybrała dla niej Lucy! Jak można podejmować dżentelmena w swoim buduarze, mając na sobie jedynie nocny strój? Gdyby pani Praehurst się o tym dowiedziała, byłaby wstrząśnięta!

- Bardzo przepraszam za wszelkie przejawy złego traktowania, których mogłaś, pani, doznać tutaj, w Rawlings. - Edward przerwał jej samokrytyczne rozmyślania. Chociaż z jego oczu ukrytych

w cieniu niczego nie można było wyczytać, z brzmienia głosu wywnioskowała, że przeprosiny są szczerze. - Wiem, że zostałaś, pani, obrażona i przeze mnie, i przynajmniej przez niektórych moich gości, ale postaram się, żeby więcej do tego nie doszło.

Pegeen przybrała powątpiewającą minę, ale nie skomentowała tej obietnicy. Nagła kapitulacja Edwarda wydawała jej się szalenie podejrzana. Nie odparł żadnego z jej zarzutów, nawet nie próbował zaprzeczyć temu, że widzi w niej jedynie zabawkę urozmaicającą czas. Czyżby naprawdę tak o niej myślał?

- I co? - Gdy Edward wyszedł z cienia, stanowił uosobienie skruchy. - Czy doczekam się przebaczenia? - Tak bardzo przypominał jej Jeremy'ego przepraszanego za występki, że nie mogła się nie roześmiać.

- Ech, wy mężczyźni z Rawlings - powiedziała, kręcąc głową. - Doprawdy nie wiem, co mam z wami robić.

- Czy to znaczy, że zejdzie pani na dół i będzie mi towarzyszyć dziś wieczorem? - Edward zbliżył się do niej o krok. Nie bił od niego entuzjazm, ale w jego twarzy niewątpliwie zaszła jakaś zmiana. Mogło to jednak znaczyć po prostu tyle, że znużył się oczekiwaniem na obiad...

Pegeen niechętnie zgodziła się wziąć udział w obiedzie i balu.

- Ale - zastrzegła, grożąc mu palcem - niech pańscy przyjaciele trzymają się z dala ode mnie.

Edward położył dłoń na sercu i powiedział z udanym przejęciem:

- Przysięgam, że dziś wieczorem nikomu nie pozwolę obrazić twego honoru, pani.

- Nikomu, z panem włącznie - uściśliła, odprowadzając go do drzwi.

- Naturalnie. - Edward przystanął na progu, ujął jej dłoń i serdecznie ucałował, a potem spojrzał na Pegeen i z nieprzeniknioną miną powiedział: - Dziękuję.

Pogłaskał ją po ramieniu i Pegeen poczuła niezwykle ciepło. Nie mogła wytrzymać intensywności wzroku Edwarda, musiała spuścić powieki. Nagle uświadomiła sobie, że straciła panowanie nad sytuacją. Bąknęła coś bez sensu, nawet sama nie wiedziała co, gdy nagle Edward ją puścił i już go nie było.

20

Co pani zrobiła Edwardowi? - spytał Alistair Cartwright, gdy wreszcie mógł poprosić Pegeen do obiecanego mu walca.

Uśmiechnąwszy się do dość bezceremonialnego partnera, Pegeen wzruszyła ramionami.

- Nic - odparła. - A dlaczego pan pyta? Czyżbyś uważał, że lord Edward dziwnie się zachowuje?

- Na Boga, tak. - Alistair zrecznie prowadził Pegeen po lśnią-cym parkiecie, na którym kilkanaście par wirowało przy muzyce walca granego przez oktet w kącie wielkiej sali. - Wszyscy mnie pytają, co go ugryzło. Odesłał sir Thomasa Payne do Londynu za to, że odważył się zażywać opium w sali bilardowej, a ostatnio słyszałem, że odbył poważną rozmowę z lordem Derby i zapowiedział mu, żeby nie ważył się tknąć żadnej służącej, bo przestaną go wpuszczać do Claridges.

Pegeen zmarszczyła czoło, wbrew sobie bardzo tym poruszona.

- Czy naprawdę jest w stanie spełnić taką groźbę?

- Przypuszczam, że tak. Ma wspaniałe huntery, a księżę Walii szaleje na punkcie koni. Cholera, Edward może robić prawie wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota... - Alistair zerknął na nią z poczuciem winy. - Bardzo przepraszam, nie chciałem zakłąć.

Pegeen roześmiała się. Było jej lekko na duszy, do czego niewątpliwie przyczynił się szampan wypity podczas kolacji i rozgrzanie tańcem.

- Niech pan sobie klnie, mnie to nie przeszkadza.

- Tak? - Alistair wydawał się zachwycony. - Na Boga, pani naprawdę lubi się bawić. Ale teraz poważnie: proszę mi powiedzieć, co pani zrobiła Edwardowi?

- Nic a nic - obstawała przy swoim Pegeen. - Daję słowo, że nie wiem, o czym pan mówi.

- Kłamczucha - stwierdził Alistair. - Po kimś, komu tak błyszczą oczy jak pani, nie należy się spodziewać niczego dobrego. To wie nawet taki głupiec jak ja.

Pegeen pokręciła głową i zachichotała. Wiedziała, że oczy lśnią jej tak samo jak brylanty w diademie, który wieńczy jej wyrafinowaną fryzurę, ale nie miała na to wpływu. Dzięki panu Worthowi w białej balowej sukni mieniącej się brylancikami wyglądała jak księżniczka z baśni Jeremy'ego. Zauważyła dziwne miny wicehrabiny i jej przyjaciółek, gdy zaanonsowana przez Eversa schodziła z królewskim dostojem do wielkiej sali.

Jeśli jednak ktokolwiek oczekiwał od niej również zachowania godnego królowej, to był w błędzie. Za wszystkie obrazy Pegeen postanowiła bowiem odplacić wicehrabinie i jej przyjaciółkom życzliwością i uprzejmością. Gdy więc Edward z niekłamany podziwem podał jej ramię u podnóża schodów, uśmiechnęła się serdecznie do wszystkich jego gości, pochwaliła kreację lady Arabelli i nawet spytała ją ciepło, gdzie kupiła wachlarz. Wicehrabina odpowiadała monosylabami, zielona ze złości, a Edward przyglądał się temu bardzo rozbawiony. Nikt nie mógłby zarzucić Pegeen, że jako pani domu zachowuje się nieuprzejmie.

Edward był najstarszym rangą mężczyzną na sali, do jego obowiązków należało więc poproszenie pani domu do pierwszego tańca. Wcześniej Pegeen nieraz wypominała mu, że goście są jego, a nie jej, dlatego nie czuła się w pełni panią domu i sądziła, że

lord Edward zatańczy kadryla z wicehrabiną. Gdy do niej podszedł, miała akurat usta zapchane bezą. Omal się nie udławiła z wrazenia, widząc, że kłania się przed nią i pyta, czy z nim zatańczy.

Wkrótce się przekonała, że nie ją jedną zaskoczył taki rozwój wydarzeń, choć z wyjątkiem Herbertów i może Alistaira Cartwrighta tylko dla niej zaskoczenie było przyjemne. Wicehrabina chodziła między grupkami gości i jadowicie coś szeptała, kryjąc usta za wachlarzem, od czasu do czasu obrzucając Pegeen morderczym spojrzeniem. Ta jednak nic sobie z tego nie robiła. Miała zbyt dobrą zabawę, żeby Arabella Ashbury mogła jej zepsuć wieczór.

Znów skupiła uwagę na rozmowie z panem Cartwrightem, który akurat wrócił do swego przypuszczenia, że „coś zrobiła” jego przyjacielowi.

- Bardzo pana przepraszam - odparła - ale nie wiem, w czym rzecz. Trudno byłoby nawet nazwać lorda Edwarda i mnie przyjaciółmi. Częściej się kłócimy, niż jesteśmy w zgodzie. Może lord Edward wciąż dąsa się z powodu jakiejś uwagi, którą niebacznie go uraziłam.

- Tak pani myśli? To dlaczego w jednej chwili podśpiewuje, a zaraz potem szaleje ze złości? - Alistair przyjrzał się Pegeen i spoważniał. - Pani naprawdę nie ma pojęcia, co go ugryzło, prawda?

Pegeen nie wierzyła, by nagła przemiana Edwarda mogła być skutkiem czegoś, co powiedziała, zaprzeczyła więc ruchem głowy. Lord Edward po prostu starał się dotrzymać warunków ich ostatniej umowy. To zresztą całkowicie ją zadowalało. Pierwszy raz od przyjazdu do Rawlings poczuła się szczęśliwa.

Wirując po parkiecie, minęli Annę Herbert, która uśmiechnęła się do Pegeen, nim znikła w tłoku. W głowie Pegeen zrodziła się szlachetna intryga.

- Powinien pan zaprosić Annę Herbert do następnego tańca - powiedziała.

Alistair się zmieszał.

- Kogo?
- Annę Herbert. Najstarszą córkę sir Arthura. To urocza panna. Alistair zerknął we wskazanym kierunku.
- Ta? Taka pospolita?
- Ona wcale nie jest pospolita - obruszyła się Pegeen. - Po prostu trudno zauważyć czyjaś urodę, jeśli obrzuca się go tylko powierzchownym spojrzeniem. Powinien ją pan zaprosić do tańca.
- Alistair natychmiast się nastroszył, jako typowy mężczyzna nie znosił bowiem, gdy dyktowano mu, co ma robić.
- Właściwie dlaczego?
- Bo wcześniej słyszałam od niej, że jest pan bardzo przystojnym mężczyzną - zełgała bez mrugnienia okiem. - I do tego zabawnym.
- Alistair omal nie pękł z dumy.
- Czyżby? Powiadasz, pani, przystojnym?
- Och, bardzo.

Gdy walc dobiegł końca, Alistair skłonił się przed Pegeen i szybko odnalazł Annę Herbert, która wydała się w najwyższym stopniu zaskoczona, że tak dystyngowany mężczyzna prosi ją do tańca. Nigdy by się tego nie spodziewała.

Pozostawszy bez partnera pierwszy raz tego wieczoru, Pegeen rozejrzała się po parkiecie, chcąc wyłowić wzrokiem spomiędzy wielu czarnych fraków jeden, który szczególnie ją interesował. Dostrzegła Edwarda prawie natychmiast. Tańczył z nieznaną Pegeen otulą kobietą i wydawał się dość nieszczęśliwy z tego powodu. Pegeen stłumiła chichot. Wiedziała, że ten bal to ekstrawagancja i wyrzucanie pieniędzy, ale... Och, jak wspaniale się bawiła!

Zaczął obsuwać jej się diadem, po cichu opuściła więc salę i poszła na górę, żeby Lucy usunęła zniszczenia powstałe po walcu. Odświeżywszy się i zamieniwszy ze służącą kilka słów, ruszyła w drogę powrotną. Na korytarzu jej uwagę zwróciły jednak nieznanne głosy. Tego wieczoru jeden z pokojów znajdujący

się w pobliżu sypialni Pegeen zamieniono na damską garderobę. Akurat wyszło stamtąd kilka dam pochłoniętych cichą rozmową. W nagłym przyplywie nieśmiałości Pegeen ukryła się we wnęce przy drzwiach, nie czuła się bowiem na siłach prowadzić konwersacji z wielkimi damami po wypiciu paru kieliszków szampana.

- To niemożliwe - powiedziała jedna z dam. - W to nie uwierzę.
- Arabella twierdzi, że to prawda - oświadczyła druga.
- Ale gdzie mogła coś takiego usłyszeć?
- Twierdzi, że Ashbury był w Wenecji, kiedy to się stało.
- Ale jeśli to prawda, to dlaczego Edward o tym nie wie?
- Może wie.
- To dlaczego pozwolił siostrze ładacznicy zamieszkać w tym domu?

Pegeen poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Te damy rozmawiały o niej!

- A co ma zrobić? Nawet jeśli to prawda, chłopiec i tak jest nowym księciem Rawlings. A on podobno nie chciał przyjechać bez ciotki.

- Sama wiesz, że Edward niczego bardziej się nie boi, niż obowiązków związanych z tytułem...

- Ale żeby lorda Johna zamordował kochanek jego żony... To po prostu nie mieści się w głowie! Jak w powieści.

- Po co Ashbury miałby wymyślać coś takiego?

Kobieta parsknęła.

- Arabella jest zazdrosna. Nawet głupiec zauważy, że ta siostra wpadła w oko jego lordowskiej mości.

- To nie wymysł - zawyrokowała starsza z dam. - Przypominam sobie, że słyszałam coś podobnego wkrótce po śmierci lorda Johna...

- Wielkie nieba! Czy masz pojęcie, co to znaczy? Ten chłopiec może wcale nie być Rawlingsem!

Głosy ucichły, bo kobiety znalazły się za daleko od wnęki, w której schroniła się Pegeen.

To nie mogła być prawda. Po prostu nie mogła! Jak wicehrabina mogłaby okazać się taka okrutna? Żeby powiedzieć wszystkim... wszystkim! Ktoś na pewno powtórzy to Edwardowi i co się wtedy stanie? O, Boże!

Pegeen minęła schody do wielkiej sali i skierowała się w stronę schodów dla służby. Chciała trochę побыć w samotności gdzieś, gdzie nie groziłoby jej podsłuchiwanie plotek ani ściąganie na siebie ciekawskich spojrzeń. Prowadzona instynktem, przeszła przez kuchnię, gdzie wszyscy byli zbyt zajęci, by zwrócić na nią uwagę, i okrężną drogą dotarła do szklarni.

W mrocznym, przeszklonym pomieszczeniu zalanym księżycową poświatą Pegeen poczuła się nieco lepiej. Spacerowała między rabatami, wdychała zapach róż i torfu. Wydawało jej się niezwykle, że ma wokół siebie tyle pięknych kwiatów, chociaż na dworze zalega śnieg. Z wielkiej sali dopływała do szklarni muzyka oktetu. Czasem rozlegał się brzęk kieliszka albo wybuch śmiechu w pobliskim korytarzu.

Jak daleko, jak bardzo daleko odeszła od cichego życia w Applesby! Zamiast dwóch sukien miała teraz ponad dwadzieścia, przestała się martwić, że zabraknie jedzenia, a wręcz przeciwnie, obawiała się, że je za dużo. Teraz pierwszy raz poszła na bal, pierwszy raz pokazała się w eleganckim towarzystwie. I co? Zamiast tańczyć, chowa się wśród lilii i paproci! Ale nie może wrócić na salę, skoro wicehrabina rozsiewa takie plotki. A jeśli ktoś powtórzy je lordowi Edwardowi? Co wtedy powiedzieć? I co robić?

Hałas w pobliżu sprawił, że Pegeen przerwała wędrowkę i podniosła głowę. Za rododendronami majaczyła ciemna sylwetka. Dobiegło ją głośne dyszenie. Wielki Boże, pomyślała. Jeśli to olbrzym z baśni Jeremy'ego... Cała okryła się gęsią skórką.

- Panno MacDougal! - Ten szczególny olbrzym niewątpliwie znał jej imię, ale jego głosu Pegeen nie poznała. - Jak się cieszę, że wśród tylu egzotycznych roślin trafiłem akurat na panią.

Pegeen zmrużyła oczy i próbowała przeniknąć wzrokiem ciemności. W pierwszym odruchu chciała uciec, opanowała się jednak, by nie wyjść na tchórza.

- Kto tam? - spytała zdecydowanie. - Proszę się pokazać.

Olbrzym posłusznie stanął w plamie światła. Pegeen z niejakim zdziwieniem przekonała się, że ma przed sobą lorda Derby.

- Ach, to pan - powiedziała.

Lord podszedł jeszcze o krok i odrzekł:

- Ja. Bardzo przepraszam, że pani przeszkadzam. Czy czekała pani na kogo innego?

Pegeen zamruwała.

- Nie.

- Pytam tylko dlatego, że nie spodziewałbym się zastać pani tutaj, podczas gdy tańce odbywają się gdzie indziej. - Coś w zachowaniu earla wydało jej się dziwne, ale nijak nie umiała tego nazwać. - Czy na pewno nie jesteś tu, pani, umówiona? Może z kochankiem?

Policzki spłonęły jej rumieńcem.

- Nie! -- krzyknęła.

- Wobec tego to wielkie szczęście, że się spotkaliśmy - oświadczył lord.

Mogła mu się uważniej przyjrzeć. Był postawny, jeszcze nie osiągnął średniego wieku, ale hulaszczy tryb życia niewątpliwie odcisnął piętno na jego nalanej twarzy. Kiedyś lord był dobrze zbudowany, z czasem jednak mięśnie obrosły tłuszczem, teraz więc miał byczy kark i nieco wystający brzuch. Pegeen przypomniał się jego starszy syn, dwudziestoletni szubrawiec, który zdążył już obrazić prawie całą damską część służby w Rawlings Manor. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała i na wszelki wypadek trochę się cofnęła.

- Jesteś cichą, spokojną panną, prawda? - Lord Derby po stepował naprzód. - To mi się podoba. Nie lubię piskliwych i chichoczących kobiet.

- Lordzie Derby - odrzekła Pegeen, wciąż się cofając. Była bardzo wystraszona, chociaż nie potrafiłaby wytłumaczyć dlaczego. - Właśnie zamierzałam wrócić na salę. Może zechce mnie pan odprowadzić.

- Po co ten pośpiech? Mnie się tutaj podoba. Jest cicho i spokojnie. - Mówił niewyraźnie, słowa się zlewały i trudno je było zrozumieć. Musiał wypić już dużo alkoholu, skoro oddalił się tak bardzo od bufetu.

- Jeśli chce pan tutaj zostać, przyniosę coś do picia - zaproponowała. - Co pan na to?

Lord Derby pogroził jej grubym paluchem.

- Nie wrócisz mi tutaj. Znam takie kobiety. Tylko się droczą! Wy wszystkie tylko się droczycie!

- Wróć, wróć - gładko skłamała Pegeen. - Mnie też się podoba takie ustronne miejsce. Szampana czy wina, lordzie Derby?

- Ja bym tylko chciał, moja miła, żebyś przez chwilę spokojnie postąla. - Earl przetaił ręką oczy. - Kołuje mi się w głowie od twojego wiercenia...

Pegeen spróbowała go wyminąć. Sądziła, że skoro jest pijany, to ma zwolnione ruchy, więc jej nie zatrzyma. Popelniła omyłkę. Z kocią zręcznością lord Derby chwycił ją w tali i objął. Okazał się zaskakująco silny, przyciągnął ją bowiem do siebie bez najmniejszego trudu.

- Lordzie Derby! - zaprotestowała Pegeen, bardziej zaskoczona niż rozzłoszczona tym atakiem. - Co...

- Od dłuższego czasu mam na ciebie oko, moja miła - oznajmił głośno lord. - Przypominasz mi kogoś, kogo spotkałem rok temu w Londynie. Jesteś ładniejsza, ale masz te same różowe policzki...

- Lordzie Derby! - Policzki Pegeen płonęły nie z oburzenia, lecz ze wstydu. Rzeczywiście, mógł spotkać w Londynie kogoś, kogo mu przypominała. Kogoś, wobec kogo bez wątpienia można było się zachować tak, jak teraz lord Derby. Gdyby nagle skojarzył...

Zabębniła pięścią po jego torsie.

- Jak pan śmie! Proszę mnie natychmiast puścić albo powiem o wszystkim lordowi Edwardowi!

Lord Derby wybuchnął śmiechem.

- Myślisz, że poczciwy Edward miałby do mnie pretensje? Niech mnie diabli, jeśli nie myśli o tym samym co ja!

W mroku rozległ się lodowaty głos.

- Wystarczy, Derby. Puść tę pannę.

Lord Derby zwolnił chwyt tak szybko, że Pegeen zatoczyła się do tyłu i niechybnie by upadła, gdyby nie znalazła się z kolei w objęciach lorda Edwarda. Spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Uśmiechał się, ale bardzo kwaśno. Palce, które przesuwały się po jej nagim ramieniu, były zimne jak lód.

- Zdaje się, przyjacielu, że zapomniałeś, co ci zapowiadałem, jeśli ważysz się tknąć pannę MacDougal - powiedział beznamiętnie do lorda Derby.

- Nic się nie stało - skwapliwie zapewniła go Pegeen. Stanowczo nie chciała pogłębiać nieporozumień między lordem Edwardem a jego przyjaciółmi. - Nie próbował niczego niestosownego.

- Nie?

Pegeen szybko pokręciła głową. Jeszcze u nikogo nie widziała takiej miny, jak teraz u Edwarda. Poczula nieklamany lęk.

- No, to mu się udało - powiedział Edward, nie odrywając wzroku od chwiejnej postaci lorda Derby. - Bo gdyby było inaczej, nie miałbym innego wyjścia, jak wyzwać go na pojedynek. Prawda, przyjacielu?

- Na to wygląda. - Lord czknął, niezbyt tym przejęty. - W każdym razie wierzę ci, Rawlings, skoro tak mówisz.

Przesławszy ostatnie ostrzeżenie pod adresem Derby'ego, Edward otoczył Pegeen ramieniem i popchnął ją do wyjścia ze szklarni. Wkrótce znaleźli się w korytarzu prowadzącym do wielkiej sali.

- Co pani robiła tam całkiem sama? - spytał prawie natychmiast. - Czy naprawdę Bóg nie dał pani rozumu? Dlaczego nie powiedziała mi pani, dokąd idzie? Szukałem pani wszędzie.

Cały lęk Pegeen w jednej chwili przekształcił się w złość.

- Nie wiedziałam, że muszę prosić pana o pozwolenie, żeby wyjść z sali.
- Nie musisz mnie, pani, prosić o pozwolenie - odparł Edward. - Ale mogłaś mi dać znać, że wychodzisz z balu. Pegeen, naprawdę nie jesteśmy na dożynkach w Applesby. Ci mężczyźni są... przyzwyczajeni do robienia po swojemu. Młoda kobieta nie postępuje rozsądnie, jeśli spaceruje samotnie w odosobnionym miejscu, gdy tacy dżentelmeni sobie wypili.
- Pegeen zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.
- Dżentelmeni! To bardzo dziwne użycie tego wyrazu! - Wi dząc, że z każdą chwilą zbliżają się do wielkiej sali, nagle znieruchomiała. - Och, nie!
- Edward spojrzał na nią zdziwiony.
- Jak to? Czy jeszcze nie jest pani gotowa do powrotu?
- Ja... - Pegeen była zdesperowana. Dotyk ramienia Edwarda wokół talii wydawał jej się bardzo przyjemny. Obawiała się nawet, że trochę za bardzo. Nie powinna przyzwyczajać się do jego zalotów. Przecież gdy tylko do Edwarda dotrą plotki, wszystko się skończy raz na zawsze. Co gorsza, lordowi Derby kogoś przypominała. A jeśli po wytrzeźwieniu Derby skojarzy sobie, o kogo chodzi? Pegeen nerwowo drgnęła i Edward raptownie ją puścił, jakby była rozgrzanym ponad miarę pogrzebaczem.
- Nie powinnam wracać na salę - bąknęła. - Chyba się położę.
- Aha, wypilo się trochę za dużo szampana - powiedział ze zrozumieniem Edward.
- Tak - szepnęła. - To prawda. Jeśli pan mi wybaczy...
- Nie. - Edward ujął ją za łokieć. - Odprowadzę panią do pokoju. - Gdy zaczęła protestować, uniósł dłoń. - Cicho, cicho. Proszę pamiętać o lordzie Derby. Przecież nie chcę, żeby natknęła się pani w korytarzu na innego z moich pijanych przyjaciół. Nalegam na odprowadzenie pani.
- Pegeen nie miała wyboru, musiała mu na to pozwolić. Poszli

kuchennymi schodami i nie spotkali nikogo. Dopiero gdy znaleźli się przed drzwiami różowego pokoju, Edward spytał:

- Czy mogę się dowiedzieć, co skłoniło panią do wizyty w szklarni?
- Spojrzała na niego. W mdłym świetle widziała tylko profil, który wyglądał dość groźnie. Westchnęła, a do oczu nieoczekiwanie napłynęły jej łzy.
- Spokojnie - powiedział Edward. Ujął ją pod brodę i odchylił jej głowę. - Czyżby pani płakała?
- Pegeen zamrugła, zawstydzona własną słabością.
- Nie. Wpadło mi coś do oka - odpowiedziała przez łzy.
- Nie wierzę. - Edward wyjął z kieszeni kamizelki białą, płócienną chustkę i rożkiem osuszył kąciki jej oczu. - Pegeen, co się stało? Czy nie możesz mi powiedzieć?
- Poruszona ciepłym brzmieniem jego głosu, Pegeen wbiła wzrok w ziemię.
- Nie śmiem - odszepnęła.
- Proszę mi powiedzieć. Przegoniłem tego okropnego pastora i odrażającego lorda Derby. Może kłopot też mogę przegonić.
- Nie może pan. - Nagle po policzkach łzy potoczyły jej się strumieniem.
- Zaskoczyło to Edwarda tak, jakby w domu zaczął padać deszcz. Cicho zaklął, potem rozejrzał się po korytarzu i sięgnął do klamki.
- Wejźmy do środka - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Musimy to sobie wyjaśnić. Pani i ja. Natychmiast.
- Pegeen była za bardzo wytrącona z równowagi, by zdobyć się na sprzeciw. Zupełnie nie mogła przestać płakać. Odruchowo skierowała się prosto do łóżka, rzuciła się na nie i zaczęła lkać w poduszki, nie zwracając uwagi na Edwarda. Lucy najwidoczniej poszła na dół na kolację, bo w pokoju było prawie ciemno, tylko w kominku dogasał żar. Pegeen usłyszała trzask klucza przekręcane go w zamku. To Edward postarał się, żeby im nie przeszkadzano.

Gdy wreszcie odzyskała panowanie nad sobą i podniosła głowę znad zmoczonej poduszki, stwierdziła, że Edward stoi mniej więcej pół metra od łóżka, ramiona ma skrzyżowane na piersi i wpatruje się w nią z nieprzeniknioną miną.

- No, dobrze - odezwał się. - Czy teraz powie mi pani, w czym rzecz?

Pegeen przełknęła ślinę. Nie było sensu dłużej unikać tego tematu. Prędzej czy później ktoś i tak wspomniałby o tym Edwardowi. Zaczepnęła tchu i powiedziała:

- Podслуchałam... podsłuchałam plotkujące damy.

- Tak? - Edward nie wydał się tym szczególnie zainteresowany. - Damy mają skłonności do plotek. Co, konkretnie, mówiły?

Pozwoliła sobie na ostatnie chlipnięcie.

- Ze... że pański brat John zginął w pojedynku z powodu mojej siostry Katherine.

Zerknęła nań kątem oka, żeby przekonać się, jak zniósł tę nowinę. Odniosła wrażenie, że nieco ochłódł.

- Rozumiem - wycedził. - Ciekaw jestem, skąd rzeczono damy wzięły tę historię.

- Nnnie wiem - skłamała. Nie odważyła się powiedzieć mu, że to wicehrabina rozpowszechnia plotki. Znowu zarzuciłby jej, że jest zazdrosna...

Rozplótł ramiona i podszedł do niej bliżej. Pegeen poczuła niemylą dreszcz, trudno bowiem było jej znieść jego skupione spojrzenie, postanowiła jednak, że nie da się zastraszyć, więc je odwzajemniła, dumnie uniósłszy głowę. Bez wątpienia jednak Edward miał nad nią przewagę, ponieważ stał, a ona leżała na plecach, wśród swoich spódnic.

- Czy to prawda? -- spytał.

Na chwilę spuściła wzrok, ale zebrała się na odwagę i znów spojrziała mu w oczy.

- Tak.

Widziała, jak toczy walkę z sobą, wreszcie jednak opanował się i spytał zdecydowanym tonem:

- Skąd pani wie?

- Sama mi to powiedziała.

- Ale pani siostra zmarła wkrótce po Johnie, we Włoszech... - Widząc, że Pegeen kręci głowę, Edward zawiesił głos. - Czy to znaczy, że pani siostra wcale nie zmarła?

- Owszem - wyznała Pegeen, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

- Więc po co to udawanie?

- Tak jest lepiej. - Pegeen usiadła i rozłożyła ręce w geście absolutnej bezradności. - Lepiej, żeby ludzie tak myśleli. Niech mi pan wierzy.

- Dlaczego? - Edward nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Mocno chwycił ją za obnażone ramiona. - Dlaczego miałaby pani udawać, że siostra nie żyje, skoro to nieprawda?

- Bo ona nie żyje - powiedziała Pegeen. - Katherine Mac-Dougal nie żyje, pan tego nie rozumie?

Edward trochę rozluźnił uścisk i pochylił się nad nią tak, że ich twarze znalazły się o centymetry od siebie.

- Gdzie ona jest? - Każdą sylabę akcentował potrząśnięciem jej za ramiona. - Gdzie jest Katherine Rawlings?

Pegeen pokręciła głowę tak gwałtownie, że diadem zsunął jej się na jedno oko.

- Nie mogę panu powiedzieć. Proszę mnie do tego nie zmuszać. Tak jest lepiej. Edwardzie, bardzo proszę, niech pan mnie nie zmusza, żeby to powiedziała.

Widząc łzy w oczach Pegeen i drżące wargi, Edward raptownie ją puścił. Z westchnieniem odszedł pod przeciwległą ścianę i stanął, przyciskając pięść do czoła.

Pegeen, całkiem zagubiona, przetoczyła się na brzuch i ukryła twarz w dłoniach. Dlaczego, och, dlaczego mu to powiedziała? Przecież chciała zachować tajemnicę, to był najstraszniejszy,

najbardziej mroczny sekret, jaki kiedykolwiek miała. A on jednym pytaniem zdołał wyciągnąć z niej więcej, niż chciała wyjawić.

Pocieszała się tylko tym, że wciąż nie wiedział najgorszego i z Bożą pomocą nigdy nie miał się dowiedzieć.

Tylko co dalej? Była bardzo naiwna, sądząc, że może przyjechać do Rawlings i spokojnie żyć pod jednym dachem z tym człowiekiem. Wszak od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, wiedziała, że zaczną się kłopoty. Nie tylko dla niej, również dla świata, który pieczołowicie budowała z wszelkich możliwych kłamstw.

Podniósłszy głowę, przekonała się, że Edward stoi nieruchomo, sztywno, z twarzą zwróconą do ściany. Niepewnie zerknęła na zamknięte drzwi. Na dole muzycy zaczęli grać kolejnego walca. W wielkiej sali i przed salą był zupełnie inny świat, zamieszkały przez dobrze urodzonych, lecz pozbawionych skrupułów ludzi, świat, do którego Pegeen nie należała. Nigdy nie chciała do niego należeć i to się nie zmieniło.

Doprawdy była naiwna, sądząc, że ta szarada może się udać. Może należało póki czas przyznać się do porażki i wrócić do znanego sobie świata, gdzie trzeba składać pensa do pensa na węgiel i przygotowywać koszyki z żywnością dla ludzi, którzy wcale nie są ubożsi od niej samej...

Usiadła skulona. Postanowiła poprosić lorda Edwarda o opuszczenie pokoju, a potem zadzwonić na Lucy, żeby pomogła jej w pakowaniu kufra. Mogła zamówić powóz na wczesny ranek, kiedy wszyscy jeszcze śpią, i cichaczem wymknąć się z domu. Najgorsze, że nie mogła pożegnać się z Jeremym. Tego by nie zniosła. Lepiej zostawić mu liścik. Tak, liścik jest dobrym pomysłem. Nie będzie o nic winić Edwarda. To wcale nie jego wina. Napisze po prostu, że zatęskniła za Applesby i musiała wrócić. Tak. Jeremy się zmartwi, ale potem zapomni. Teraz ma na świecie również wuja Edwarda.

I nawet gdyby ktoś próbował ją znaleźć, to mu się nie uda. Postanowiła bowiem, że nie wróci do Applesby. Pojedzie do

Londynu i znajdzie pracę jako pielęgniarka, guwernantka albo nawet akuszerka. Zadanie było trudne, ale już nieraz w życiu radziła sobie z trudnościami. Tym razem na pewno też tak będzie.

- Dokąd pani idzie? - padły z mroku groźnie brzmiące słowa Edwarda. Znieruchomiła, choć ledwie zdążyła wstać z łóżka.

- Zadzwonić na Lucy - odpowiedziała, wpatrując się w swoje pantofelki.

- Po co?

- Wyjeżdżam.

- Co?

Pegeen odwróciła się. W półmroku nie widziała go zbyt wyraźnie, ale serce waliło jej tak, jakby lord Edward stał tuż przy niej.

- Po prostu wyjeżdżam. - Mimo drżenia głosu udało jej się powiedzieć to iście królewskim tonem. - Rano już mnie tu nie będzie. Musi pan pożyczyć mi powóz na jeden dzień.

Edward wyskoczył z cienia.

- Co pani mówi?!

- Wyjeżdżam. Zanim sam pan mnie wyrzuci. To był głupi plan udawać przed panem, że Katherine nie żyje. Zwykła dziecinada. Nie miałam szans tego ukryć. Przed Jeremym - owszem, ale nie przed panem. Przepraszam. - Teraz spoglądała na czubki jego butów, choć przez łyzy niewiele widziała. - Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć... Do widzenia.

Podniosła wzrok, przymuszona do tego magnetyczną siłą jego spojrzenia. Edward marszczył czoło jeszcze bardziej niż przed chwilą, a po obu stronach jego szerokich, zmysłowych ust pojawiły się głębokie bruzdy.

- Ach, więc to jest pożegnanie. A dokąd pojedzie pani moim powozem, jeśli wolno spytać? - Kpiący ton jego głosu sprawił, że Pegeen przybrała wyzywającą pozę.

- Wracam do Szkocji.

- Po moim trupie!!!

Zaskoczyła ją gwałtowność tego sprzeciwu. Edward znów chwycił ją za ramiona.

- Jutro rano nigdzie pani nie pojedzie moim powozem! Rozumie pani? A gdyby jednak pani spróbowała, znajdę panią i osobiście sprowadzę tutaj znowu, nawet gdybym musiał przerzucić sobie panią przez ramię i nieść do Rawlings na piechotę. Czy mówię jasno, Pegeen?

Spłoszona Pegeen w milczeniu skinęła głową, ale Edward jeszcze nie skończył. Kurczowo zaciskając palce na jej ramionach, krzyknął:

- Jak śmiesz? Jak śmiesz grozić mi wyjazdem, ty bezduszna smarkulo?! Czy naprawdę myślisz, że obchodzi mnie, co twoja siostra zrobiła mojemu bratu albo odwrotnie? Już od dawna ciągle myślę tylko o tobie. Pragnę cię od chwili, gdy zobaczyłem cię przed domem w Applesby. I niech mnie diabli, jeśli pozwolę ci jeszcze kiedykolwiek mnie zwodzić...

Pochylił głowę i w namiętym pocałunku przyciągnął Pegeen do siebie. Gdy wysunęła ręce, by osłabić siłę ataku, jej dłonie oparły się na wykrochmalonej koszuli oblekającej umięśnione ciało. Edward objął Pegeen w talii i całym swoim ciężarem pchnął na poduszki, ani na chwilę nie przestał jednak jej całować. Czują gorąco przygniatających ją nóg i drażniący dotyk świeżego zarostu. W głowie kołatały jej ostatnie słowa Edwarda. Chce, żebyśmy została, myślała zamroczona szczęściem. Pragnie mnie!

A potem ręce Edwarda rozpoczęły wędrówkę po jej ciele. zręcznie pokonały zapięcia balowej sukni i tasiemki krynoliny. Gdy walczył ze sznurówką gorsetu, palcami trącał grudki jej sutek. A z każdego miejsca, którego dotykał, rozlewało się po ciele Pegeen gorąco. Wiedziała, że to, co robią, jest haniebne i że potem będzie tego żałować, ale nie była w stanie powiedzieć nic, czym mogłaby go powstrzymać. Rozchyliła wargi i poddała się badawczej pasji jego języka. Edward tymczasem ściągnął z niej muślinową

koszulkę, jakby nawet ta delikatna przegroda między ich ciałami była zbyt gruba.

Odgłos darcia omal nie wyrwał Pegeen z transu. Uświadomiła sobie, że Edward zamienia w strzępy jej bieliznę. Wargami wytyczył teraz szlak po szyi, obojczyku, wzgórzu piersi, aż po jego stwardniały szczyt. Pegeen westchnęła, gdy język Edwarda okrążył różową grudkę, i wsunęła mu ręce we włosy. Nie była w stanie ani myśleć, ani oddychać, mogła tylko doznawać rozkoszy. Gdy poczuła, jak dłoń Edwarda przesuwa się po jej brzuchu, by odnaleźć wilgotne miejsce między udami, wypchnęła biodra do góry. Nigdy w życiu nie doznała niczego, co wydawałoby jej się bardziej naturalne.

Edward objął jej obnażone pośladki i pomógł jej uklęknąć. Przez cały czas był tak blisko, że sprężyste włosy okrywające mu tors drażniły jej sutki. Również on ukląkł i zaczął zdejmować koszulę, starając się ani na moment nie odrywać dłoni od jej ciała. Przez cały czas szeptał jej imię:

- Pegeen, Pegeen, Pegeen...

Czuła ruch jego warg, dotykających szyi, gorący oddech, od którego przebiegały dreszcze. Oparła dłonie na torsie Edwarda i upajała się jego zapachem. W blasku ognia śniada skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza. Pirat.

- Pegeen... - powtórzył nie wiadomo który raz i położył jej rękę na guziku swoich spodni.

Pegeen okazała nieskromność, której nie powstydzilaby się Myra MacFearley. Rozpięła wszystkie guziki, a gdy uwolniła wreszcie stwardniałą męskość i zaczęła badać jej kształty, Edward jęknął. Pegeen zastanawiała się właśnie nad wielkością jego organu, gdy poczuła, jak dłoń Edwarda znów wsuwa się między jej uda. Tym razem po chwili zatrzymała się, a potem jeden palec, a za nim drugi, znalazł się w jej wnętrzu. Westchnęła, ogarnięta nieznaną dotąd przyjemnością.

Dłużej Edward nie mógł czekać. Pchnął ją na materac i przykrył

swym ciężarem. Gdy Pegeen poczuła napór męskiego organu, przywarła mocniej do Edwarda i instynktownie otworzyła mu drogę.

Znalazłszy się w jej wnętrzu, pomyślał, że nigdy dotąd kobieta nie wydawała mu się tak ciasna. Machinalnie pokonał przeszkodę, która stała na drodze do spełnienia. Bolesny krzyk Pegeen uświadomił mu, co zrobił, a nawet go zawstydził, więc ujął w dłoń jej twarz i zaczął szeptać niewiele znaczące słowa pocieszenia.

Ból jednak szybko ustąpił, a na jego miejsce pojawiło się uczucie nienasycenia, toteż Pegeen mocniej wtuliła się w ciało Edwarda. Ten zorientowawszy się, że pierwszy wstrząs minął, chciał się wycofać, ale Pegeen z całej siły chwyciła go za ramiona.

- Nie wychodź - szepnęła błagalnie.

Edward uśmiechnął się. Nigdy w życiu nie miał bardziej uroczej partnerki.

- Nigdzie nie idę, kochanie - powiedział, a gdy pierwszy raz zagłębił się w nią na całą długość, Pegeen instynktownie zrozumiła, o co chodzi, i otworzyła się najszerszej, jak umiała.

Edward już nad sobą nie panował. Ramiona drżały mu z wysiłku, gdy starał się zwolnić gorączkowy rytm, lecz mimo to wnikał głębiej i głębiej w jej żar, wciskając ciało w materac. Pegeen zaciskała dłonie na jego mocnych ramionach. Jej długie, czarne włosy rozsypały się na poduszkach. Nagle potężna siła spełnienia przeszła całe jej ciało. Edward poszedł jej śladem chwilę później, wdarłszy się w nią tak głęboko, że Pegeen nie była pewna, czy nie zostanie przepołowiona. Zaraz jednak ciało kochanka opadło na nią i potem oboje leżeli w półmroku ciężko dysząc, wilgotni od potu.

Minęło pewnie kilka minut, ale im wydawało się, że upłynęły godziny, nim rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Panno Pegeen! - wołała Lucy. - Panno Pegeen? Czy pani jest w pokoju? Dlaczego drzwi są zamknięte?

Nie uwierzę. - Wicehrabina Ashbury z trzaskiem odstawiła filiżankę herbaty na talerzyk. Tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu nie oblała przy okazji swojej lawendowej sukni dziennej. - Nigdy nie spędzałeś świąt w Londynie. Zostało jeszcze przynajmniej sześć tygodni myśliwskiego sezonu!

Edward wzruszył ramionami. On nie miał kłopotów z utrzymaniem filiżanki w dłoni.

- Człowiek czasem zmienia przyzwyczajenia, Arabello - powiedział spokojnie, choć był świadom tego, że jego słowa wywołały poruszenie przy stole.

- Co mówisz, przyjacielu? - Lord Derby wyglądał bardzo nie tego po wieczornych łowach w szklarni. Miał podkrążone oczy, mimo że spał do południa. - Czy twoja nagła decyzja ma coś wspólnego z naszą wczorajszą, hm, rozmową?

Edward zamrugał, udając małe zainteresowanie tematem. W rzeczywistości najchętniej zdzieliłby lorda Derby ciężkim świecznikiem po głowie.

- W zasadzie nie, Derby. Powiedziałbym raczej, że w tym roku szybko straciłem zapał do polowania. Wyjeżdżam dziś wieczorem do Londynu i jeśli ktoś z was chce mi towarzyszyć, to zapraszam.

Inni niech lepiej szybko się stąd zbierają, bo ostrzegam, że grożą im nudy na pudy.

Wicehrabina parsknęła lekceważąco.

- Jeszcze nie słyszałam czegoś równie zabawnego - mruknęła. - Nikt nie jeździ do Londynu tak wcześnie. Sezon zaczyna się dopiero w lutym.

- Nie wiem, nie wiem, Arabello - wtrącił Alistair Cartwright, przybierając niedbałą pozę. - Tylko pomyśl: stolica bez tłumów. Mielibyśmy teatry i restauracje dla siebie. Mnie się ten pomysł całkiem podoba.

Arabella spiorunowała go wzrokiem. Z jej spojrzenia jednoznacznie wynikało, że posiadanie teatrów i restauracji tylko dla siebie jest niedorzeczne. Po co to wszystko, jeśli nie ma kto podziwiać jej nowych sukni, nowych fryzur i nowych kochanków...?

Natomiast Edward przesłał przyjacielowi spojrzenie pełne wdzięczności. Długo nie mógł wymyślić pretekstu do pozbycia się niechcianych gości, a pomysł wyjazdu do Londynu przyszedł mu do głowy tuż przed świtem, po drugich bezsennych godzinach spędzonych na czynieniu sobie wyrzutów z powodu nowej słabości. Obiecał pannie MacDougal, że nie dopuści do tego, by jego przyjaciele dalej ją obrażali, a ponieważ przyjaciele byli, jacy byli, musieli po prostu opuścić Rawlings Manor. Do tego jednak potrzebowali bardzo silnej zachęty, nie mniejszej niż pożar w majątku. Edward nie potrafił wymyślić nic innego, tylko samemu zdecydować się na wyjazd.

Nie tylko wicehrabina bardzo podejrzliwie zareagowała na jego nagłe obwieszczenie. Wprawdzie Alistair pozornie poparł plan przyjaciela, dobrze jednak wiedział, że coś się święci. Po lanczu, gdy wszyscy udali się na górę, by wydać służbowe polecenie spakowania, dogonił Edwarda, który właśnie szedł ogłosić swoją decyzję pani Praehurst.

- To do ciebie zupełnie niepodobne, staruszkule! - zawołał. - Doskonale wiem, że nienawidzisz Londynu o tej porze roku.

Zawsze zdawało mi się zresztą, że nienawidzisz Londynu o każdej porze roku.

Edward na wszelki wypadek dalej patrzył przed siebie, obawiał się bowiem, że gdyby odważył się skrzyżować spojrzenie z przyjacielem, zdradziłby się z czymś, co chciał zachować wyłącznie dla siebie.

- Nie wiem, czemu mnie męczysz, Cartwright. Jestem niezależnym człowiekiem i stać mnie na to, żeby jechać do Londynu wtedy, kiedy mam ochotę...

- Nikt nie kwestionuje twojego prawa, człowieku. Ludzie chcieliby tylko znać powód...

- Dlaczego mam się tłumaczyć z tego, co robię? - Pokonali już schody dla służby i teraz zbliżali się do prywatnych apartamentów Edwarda, który wbrew swej gwałtownej pierwszej reakcji zdecydował się ujawnić jeden powód. - Chcę się pozbyć tych zrzędliwych pasożytów z domu, a to jest jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy. Zadowolony?

- Pozbyć tych zrzędliwych...? - Alistair wszedł za Edwardem do jego prywatnego gabinetu i usiadł na obitej skórą sofie. - Czy to ma coś wspólnego z chłopcem i tym, co się stało wczoraj wieczorem?

- Chłopcem? Jakim chłopcem?

- Twoim bratankiem.

Przez zamknięte drzwi sypialni Edward kazał osobistemu służącemu przystąpić do pakowania. Potem stanął przy kominku, wziął cygaro i zapalił.

- To nie ma nic wspólnego z chłopcem - burknął, ściskając cygaro zębami.

Alistair, który znał Edwarda dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że pali cygara tylko w trudnych chwilach, splótł dłonie na karku i rozparł się na sofie.

- Czyli chodzi o pannę.

Edward kaszlnął, wyjął cygaro z ust i powiedział:

- Nie bądź osłem.
- Alistair szeroko się uśmiechnął, patrząc w sufit.
- Wiedziałem. Zakochałeś się.
- Idź do diabła. - Rozległo się pukanie do drzwi od strony sypialni. Edward otworzył je na oścież i spojrzął z wściekłością na swojego służącego.
- Co jest?
- Proszę wybaczyć, sir. - Daniels wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na zły humor pana. - Ale czy mam rozumieć, że pan kazał mi pakować rzeczy na wyjazd do Londynu?
- Tak powiedziałem, prawda? - Edward znowu wcisnął sobie cygaro do ust i zaczął wielkimi krokami przemierzać pokój. - Czego nie rozumiesz?
- Daniels zamrugnął.
- Proszę pana... Londyn w listopadzie? Dopiero zaczął się sezon polowań...
- Nie zaczynaj i ty, Daniels - zagrział Edward. Odwrócił się tyłem do służącego i wbił wzrok w sufit. - Mój Boże, czy naprawdę człowiek nie może jechać do Londynu wtedy, kiedy ma ochotę?
- Naturalnie może, proszę pana - odpowiedział spokojnie Daniels. - Czy wolno mi spytać, jak długo tam zabawimy?
- Nie wiem. - Edward gniewnie spojrzął w ogień. - Lepiej przygotuj zmianę koszul na miesiąc albo i dłużej.
- Dobrze, proszę pana.
- Daniels wyszedł z pokoju bardzo niezadowolony. Edward to zauważył i zaklął.
- Czy człowiek nie może wydać prostego polecenia, nie narażając się na grymasy służby? - spytał ze złością, a chociaż nie oczekiwał odpowiedzi, otrzymał ją od Alistaira.
- Naturalnie może. Pod warunkiem, że jest zdrow na umyśle. A ty, Rawlings, sprawiasz takie wrażenie, jakby przez noc opętał cię diabeł. Czy możemy wrócić do domniemanych źródeł twojej

- gorączki? Ciekaw jestem, czy w końcu przyznasz się przed sobą do tego, że zakochałeś się w tej pannie?
- Edward ponownie zaklął, tym razem jeszcze szpetniej niż poprzednio, i cisnął cygaro do kominka.
- Czy mógłbyś zostawić tę pannę w spokoju, Cartwright? To nie ma z nią nic wspólnego.
- Nie? - Niewzruszony nagłym atakiem złości przyjaciela, Alistair wstał i podszedł do barku nalać sobie kropelkę whisky. - Słyszałeś, naturalnie, o czym wszyscy wczoraj szeptali. Że John zginął za jej siostrę i tak dalej.
- Słyszałem. - Edward usiadł w skórzanym fotelu i oparł stopy o obmurowanie kominka. - I ona też.
- Aha. - Alistair podał szklaneczkę Edwardowi, który wypił jej zawartość i zwrócił ją przyjacielowi. Ten napełnił szklaneczkę ponownie i podał Edwardowi, a potem przygotował drinka również dla siebie i wrócił na sofę. - Czy właśnie w tym należy szukać wytłumaczenia twojej nagłej podróży do Londynu?
- Edward gniewnie spojrzął w ogień.
- Nie - odparł.
- Alistair pokręcił głową.
- Ona całkiem mi się podoba, Edwardzie. Chyba jej nie odeślesz, przyjacielu?
- Nie bądź osłem.
- Co wobec tego zamierzasz z nią zrobić?
- Jak to co? - Edward wstał. Dwoma długimi krokami podszedł do okna i rozsunął zasłony, by spojrzeć na dziedziniec. - Nic.
- Na pewno nie po lekcji, którą mu dała, gdy ostygli po chwilach miłostnego uniesienia. Trochę odzyskawszy zdolność myślenia, Edward uniósł głowę spomiędzy jej piersi i wystąpił z sugestią - tak jest, właśnie z sugestią - że skoro nie potrafią oprzeć się magii pieszczot, to może byłoby rozsądnie, gdyby się pobrali.
- Właściwie wcale nie chciał mieć żony, ale skoro Pegeen już

suszyła mu głowę jak żona, skoro klócili się jak starzy małżonkowie, to w zasadzie nie widział różnicy.

Zapomniał jednak o postanowieniu Pegeen, by nigdy nie wyjść za mąż. Nie szkodzi. Przypomniała mu o tym bardzo dosadnie.

- Stanowczo mnie przeceniasz. - Edward kwaśno uśmiechnął się do Alistaira. - To nie ma nic wspólnego z Pegeen. Londyn o tej porze roku rzeczywiście jest straszny, ale nie widzę innego sposobu pozbycia się tych żalonych pijawek...

Alistair wybuchnął śmiechem.

- Boże, Edwardzie! A ja zawsze sądziłem, że szczerze ich lubisz!

- Sam wiesz, że to są przyjaciele Arabelli. Ja mam ich już dość. Kręcą się wszędzie, węszą, plotkują... - Edward wrócił do okna i znowu wyjrzał na dziedziniec. - O, dobrze - ucieszył się. - Podjechał powóz markiza. Powinienem zejść na dół i powiedzieć markizowi, jaką przyjemność sprawia mi tym, że się wynosi.

- Zanim zejdziesz, Eddie... - Widząc grymas na twarzy przyjaciela, który tymczasem odwrócił się plecami do okna, Alistair uniósł szklaneczkę i powiedział: - Przepraszam, chciałem powiedzieć: Edwardzie. Posłuchaj, jeśli chodzi o Pegeen, jak ją nazywasz... - Wbił wzrok w dno pustej już szklaneczki. Edward ze zdziwieniem stwierdził, że jego wygadnemu przyjacielowi nagle zabrakło słów. - Jeśli chodzi o Pegeen... Chyba nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym, hm, w Londynie czasem przyszedł do niej z wizytą, prawda?

- Co? - wyrwało się Edwardowi, zanim zdążył ugryźć się w język. Jeszcze bardziej upokorzyło go nagłe załamanie głosu, jakiego nie pamiętał u siebie od czasu dojrzwania. - Czy mówisz poważnie?

Zakłopotanie Alistaira w jednej chwili przeistoczyło się w złość.

- Sądzisz, że ona mnie nie zechce?

- Ona pomyśli... - Edward nie wierzył własnym uszom. Czyżby nagle cały świat oszalał? Co ten Cartwright sobie wyobraża? Chyba postradał zmysły.

- Wiem, wiem - powiedział Alistair, odstawiając pustą szklaneczkę, by wyciągnąć przed siebie ręce w obronnym geście, mimo że Edward nie miał najmniejszego zamiaru go uderzyć. - Jestem dla niej za stary. Ale co to znaczy dziesięć lat?

- Powiedzmy: piętnaście - burknął Edward.

- No, może piętnaście. Ale naprawdę wydaje mi się, że ona mnie lubi, Rawlings. Potrafię ją rozbawić. Gdybyś więc nie miał zastrzeżeń...

- Mam bardzo poważne - przerwał mu Edward. - Potrafisz ją rozbawić - powtórzył kpiąco. - Cóż to jest za podstawa do poważnej znajomości?

Alistair wydał się zaskoczony.

- Moim zdaniem, bardzo dobra. Pamiętaj, że mnie jeszcze nie spoliczkowała.

- Serdeczne dzięki, panie Cartwright. To ja zapraszam pana do swojego domu, częstuję najlepszymi alkoholami, daję do dyspozycji najlepsze konie, a pan pytasz, czy możesz się zalecać do mojej...

- No, właśnie, kim ona jest dla ciebie? - Alistair uśmiechnął się szeroko.

- Jest moją szwagierką - odrzekł Edward, który zdawał sobie sprawę z tego, że tonie i nic mu już nie pomoże. - Dopóki mieszka pod moim dachem, jest pod moją opieką, a ja nie pozwolę, żeby zalecał się do niej taki ladaco jak ty, Cartwright.

Alistair, zwykle bardzo ugodowy, tym razem wyraźnie się rozczłócił.

- Na miłość boską, Rawlings, spytałem cię tylko z grzeczności. Nie możesz przeszkodzić mi w widywaniu się z tą panną, jeśli ona będzie tego chciała. Co się z tobą dzieje?

- To ja pytam, co się dzieje z tobą - odpalił Edward. - Możesz sobie do woli wybierać kobiety w Londynie, dlaczego musisz się zalecać akurat do mojej szwagierki?

- Bo mi się podoba. Wiesz o tym. Od początku mówiłem ci...

- Przelotny kaprys, taki sam jak inne. - Edward machnął ręką. - Minie ci to, gdy tylko znajdziesz się w Londynie. Dość już tych głupstw, Cartwright. Muszę pożegnać moich gości.

Zazwyczaj Edward umiał wpłynąć na nastrój przyjaciela, tym razem jednak okazał się bezradny. Gdy chciał wyjść z pokoju, Alistair zagroził mu drogę muskularnym ramieniem. Edward spojrział na niego zdumiony i jednocześnie zirytowany.

- Co ty, Cartwright, życie ci niemiłe? Złamię ci rękę, jeśli nie usuniesz jej z mojej drogi.

- Chcesz ją mieć dla siebie, prawda? - Alistair przyjrzał mu się podejrzliwie. - O to chodzi, prawda? Chcesz ją i próbujesz się mnie pozbyć za pomocą wyjazdu do Londynu!

Edward westchnął. Zapowiadał się długi dzień.

- Masz rację, Cartwright, chcę jej. Zamierzam ją tu trzymać jako konkubinę, przykutą łańcuchem do nogi łóżka. - Widząc, że przyjaciel nie dostrzega w tym nic śmiesznego, westchnął. - W porządku, Alistairze. Skoro żywisz do niej tak silne uczucie, to masz moje pozwolenie na zaloty. Jeśli cię zechce, twój zysk, ale jestem dziwnie spokojny, że nie masz szans. Ta panna wbiła sobie do głowy dość idiotyczne przekonanie, że małżeństwo jest instytucją odpowiedzialną od niepamiętnych czasów za wyzyskiwanie kobiet. Może więc lepiej weźmiesz się do pakowania. Chcę wyjechać przed zmrokiem.

Alistair, który nagle odzyskał humor, cofnął ramię.

- Dziękuję, Edwardzie - powiedział z uśmiechem. - Zachowaj się doprawdy wielkodusznie.

W odpowiedzi Edward burknął coś niezrozumiałego. Opuścił pokój i zszedł na dół sprawdzić, czy goście bez protestów się wynieśli. Właśnie całował obleczoną w rękawiczkę dłoń markizy Lynne, gdy Alistair przypomniał mu, że powinien powiadomić Pegeen o zamiarze wyjazdu. Dopiero wtedy Edward uprzytomnił sobie, że muszą jeszcze raz się zobaczyć. Nie byłoby dobrze, gdyby Pegeen dowiedziała się o jego wyjeździe od pani Praehurst.

W tej chwili Pegeen była ostatnią osobą, którą chciał zobaczyć. Nie mógł jednak powiedzieć „nie”, bo Alistair stał obok niego i wyczekująco mu się przyglądał. Szybko skłonił się więc przed lady Seldon, mamrocząc coś o niecierpiącej zwłoki sprawie do załatwienia, i wrócił na górę.

Zgodnie ze wskazówką udzieloną mu przez Lucy, znalazł Pegeen z Jeremym w pokoju dziecięcym. Gdy nikt nie odpowiedział na jego pukanie, otworzył drzwi i zobaczył oboje na ławie pod oknem. Bacznie przyglądali się zamieszaniu na dziedzińcu. Jeremy powiedział zdecydowanie:

- Ta kariolka, którą powozi syn lorda Derby, zupełnie nie nadaje się do jazdy po drogach Yorkshire.

Rozbawiona Pegeen spytała:

- Skąd to wiesz?

- Od Batesa, stangreta. On woli czteroosobowy powozik. Jest bardziej staromodny, ale dużo bardziej przydatny do jazdy w tej części kraju.

Pegeen roześmiała się z afektowanego tonu chłopca. Uwagę Edwarda zwróciła serdeczność tego gardłowego śmiechu. Był zupełnie inny niż wysoki, perlisty śmiech Arabelli. Chrząknął.

I ciotka, i siostrzeniec jednocześnie się odwrócili. Jeremy najwyraźniej zapomniał już o tragedii na polowaniu, bo wydał okrzyk zachwyty, zeskoczył z ławy i podbiegł do niego bardzo podniecony. Pegeen podeszła za chłopcem bardziej statecznym krokiem.

- Wuju Edwardzie! - krzyknął Jeremy i zderzywszy się z jego nogą, zawisł na polach fraka. - Wuju Edwardzie, czy pojedziemy dzisiaj na konną przejażdżkę? Król musi poćwiczyć, bo całą noc stał w boksie.

- Myślę, że nie tylko Król potrzebuje ruchu, młody człowieku. - Edward zmierzwił malcowi włosy, a ten gwałtownie cofnął głowę zirytowany traktowaniem „dobrym dla niemowląt”. - Może zbiegniesz do kuchni. Słyszałem, że kucharka właśnie wyciągnęła

z pieca tuzin swoich sławnych korzennych ciastek. Jeśli ją ładnie poprosisz, może ci jedno da.

Jeremy zmrużył oczy i zmarszczył nos.

- Jeżeli chcesz porozmawiać z Pegeen, wuju, to wystarczy, że poprosisz. Nie musisz być taki protekcyjny.

- Jeremy!

Pegeen się spłoniła. Edward przyglądał się temu zafascynowany odcieniem, jaki przybrała jej alabastrowa skóra. Jak zwykle ostatnimi czasy Pegeen była w modnej sukni idealnie dopasowanej do figury. Długie włosy miała starannie ufryzowane, oczy jej lśniły. Nic nie wskazywało na to, że większą część poprzedniego wieczoru spędziła, szukając rozkoszy w jego objęciach.

Położyła rękę na ramieniu Jeremy'ego i wyprowadziła go z pokoju.

- Nie wracaj, dopóki nie nauczysz się przyzwoicie zachowywać - poleciła surowo.

Oburzony Jeremy trzasnął za sobą drzwiami. Pegeen zwróciła się do Edwarda, który przeżył duży zawód, widząc, że uroczy rumieniec już znikł jej z policzków. Patrzyła na niego oczami, które były bardzo zielone i chłodne jak dwa bliźniacze jeziora w głębi lasu.

- Słucham, milordzie - powiedziała cichym, nieco schrypniętym głosem.

Edwarda zakłopotła świadomość, że zostali sami. Wbił wzrok w czubki butów. Co się z nim dzieje? Nigdy dotąd nie czuł skrepowania w obecności kobiety, którą zdobył. Czy to możliwe, żeby Alistair miał rację? Czyżby zakochał się w tej aroganckiej pannicy? Niemożliwe. To przecież jeszcze prawie dziecko, poza tym nie w jego typie. On lubi chłodne blondynki, a nie brunetki z temperamentem. Zresztą ona nawet nie ma tytułu.

- Milordzie. - Zielone oczy przyglądały mu się teraz z zaciekawieniem. - Czy coś się stało?

Edward otrząsnął się z zamyślenia.

- Nie, skądże. Dlaczego miałoby coś się stać?

- Nie wiem. Ale wygląda pan tak, jakby coś pana trapiło.

- Nic mnie nie trapi. - Odpowiedź padła zbyt szybko. Nie-dobrze, pomyślał. Muszę opanować sytuację. Tymczasem to ona prowadzi rozmowę. Uświadomił sobie, że z całej siły zaciska dłoń. Co się z nim dzieje? Ale może taki niepokój po odebraniu dziewictwa szwagierce jest normalny? - Jeśli trapię się - powiedział już bardziej opanowanym tonem - to dlatego, że mam mnóstwo do zrobienia. Dziś po południu wyjeżdżam.

Przyglądał się Pegeen ze znacznie większą uwagą, niż powinien, lecz i tak nie dostrzegł żadnej zmiany w wyrazie jej twarzy.

- Wyjeżdża pan w podróż? - spytała uprzejmie.

- Tak. Do Londynu. Obawiam się, że dość długo mnie nie będzie.

- Przykro mi to słyszeć. - Ton jej głosu bynajmniej na to nie wskazywał. - Mam nadzieję, że sprawa, którą ma pan tam załatwić, nie jest uciążliwa.

Co ją ugryzło? Edward nie umiał tego odgadnąć. Miał za sobą jeden z najbardziej niezwykłych wieczorów w życiu. Ta panna musiała żywić podobne przekonanie. Pochlebiał sobie, że zřęczności kochanka nie musi się wstydzic. Ale gdy wspomniał o małżeństwie, Pegeen wydała mu się po prostu przerażona. Co za ironia losu. Jeden, jedyny raz się oświadczył i dostał kosza. Postanowił, że nie powtórzy tego samego błędu. Wyjeżdżał, aby odeprzeć pokusę wciągnięcia Pegeen do łóżka po raz drugi.

Rolę beztróskiego kochanka mógł odgrywać nie gorzej niż ona.

- Och, nie jadę do Londynu w interesach - powiedział. Starał się podchwycić ton jej głosu. - Z pewnością doskonale znasz, pani, przyczynę mojego wyjazdu. Skoro nie chcesz posłuchać rozumu i zgodzić się na małżeństwo, wolę oddalić się z Rawlings, żeby nie powtórzył się ostatni wieczór.

Doznał przynajmniej tej satysfakcji, że Pegeen otworzyła usta

ze zdziwienia. Zaraz jednak je zamknęła, a potem powiedziała bardzo zjadliwie:

- Chyba dostatecznie wyjaśniłam milordowi, że nie wierzę w instytucję małżeństwa, a gdybym nawet wierzyła, to z pewnością nie poślubiłabym człowieka, który dąży do ślubu z poczuciem obowiązku...

- Obowiązku? - powtórzył Edward.

- Tak, obowiązku. Jestem pewna, że tak właśnie pan to nazywa. Poprosił mnie pan o rękę, ponieważ czuje się odpowiedzialny za splamienie mojego honoru. Zapewniam jednak, że nie podzielam tego poglądu. Wczoraj wieczorem było mi bardzo przyjemnie i przypuszczam, że panu również. Nie rozumiem, dlaczego miałyby się to skończyć małżeństwem lub pańskim wyjazdem z Rawlings.

- Nie rozumie pani... - Edward odrzucił głowę do tyłu i posępnie się zaśmiał. - Jak to? Czy sądzisz, że mogę zostać po tym, co między nami zaszło?

- Czemu nie? - Pegeen wruszyła ramionami. - Wicehrabina od lat jest pańską kochanką i wcale nie czuje się pan w obowiązku jej poślubić ani uciekać do Londynu po spędzeniu z nią miłosnej nocy.

Edward w jednej chwili przestał się śmiać. Podszedł do niej i chwycił ją za ramię.

- Ty ciemna dziewczyno - powiedział, mierząc ją gniewnym spojrzeniem. - Staram się zachować honorowo. Dlaczego nie chcesz posłuchać głosu rozsądku? Przecież możesz być przy nadziei.

Pegeen wruszyła ramionami.

- Nie będę twierdzić, że dziecko jest pańskie, jeśli tego pan się obawiasz.

- Chryste! - Edward ją puścił i odsunął się od niej. Ta panna jest pozbawiona wszelkich zasad moralnych! Powinna szaleć ze szczęścia, dokonawszy takiego podboju, ona tymczasem zachowuje stoicki spokój i zdejmuje z niego wszelką odpowiedzialność.

Gdyby chodziło o inną kobietę, nie posiadałby się ze szczęścia. Panna właściwie dała mu prawo kochania się z nią do woli, bez zobowiązań i bez żadnych kosztów. Ale on wcale tego nie chciał. Czyżby go nie rozumiała?

- Faktem jest, że ogarnął cię strach, milordzie - stwierdziła.

Edward podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Słucham?

- Ogarnął cię strach, milordzie, i dlatego uciekasz.

- Pani ma rację, rzeczywiście ogarnął mnie strach - przyznał. - W życiu nie spotkałem podobnej kobiety. Nigdy nie wiem, czego się po pani spodziewać.

- Nie mnie się boisz, milordzie, tylko siebie samego.

- Ach, rozumiem. - Edward kpiąco skinął głową. - Uciekam przed sobą.

- Tak. Boisz się tego, że obdarzysz mnie szczerym uczuciem, a dla takiego donżuana to jest poważny ciężar do udźwignięcia.

- I dlatego poprosiłem panią o rękę? - Edward był bliski furii. - Bo boję się szczerzego uczucia?

- Nie. Poprosiłeś mnie o rękę, bo uważałeś, że musisz. Natomiast uciekasz, bo boisz się szczerzego uczucia.

Pegeen dumnie uniosła głowę, obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, ale Edward był szybszy. Złapał ją za ramię i obrócił ku sobie. Nie mógł pojąć, skąd w takim wątłym ciele tyle charakteru.

Pegeen spiorunowała go wzrokiem i chciała wygłosić następną miazdzącą uwagę, ale położył jej palec na wargach i powiedział:

- Jeszcze tutaj wróć, a jeśli wtedy się przekonam, że jesteś przy nadziei, to ożenię się z tobą i nie ma takiej siły, która by mnie powstrzymała.

- Jest, jest - odparła Pegeen, nie zważając na dotyk jego palca. - Mogę powiedzieć „nie” przed pastorem.

- Nie żartuję, Pegeen. - Widział, że wciąż jeszcze jest bardzo zła.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego pan musi wyjechać.

- Powiem ci dlaczego. Jesteś niezamężną młodą kobietą, która należy do mojej rodziny jedynie przez małżeństwo siostry. Ja jestem wolnym mężczyzną i nie mam krewnych mogących odgrywać rolę przyzwoitki. To jest niestosowne w najwyższym stopniu, żebyśmy pozostawali pod jednym dachem, zwłaszcza po tym, co stało się ubiegłego wieczoru.

- Ale... - Pegeen z zadziwiającą siłą odepchnęła jego rękę od swych ust. - Nikt nie wie o ostatnim wieczorze, tylko pan i ja. Nikt nie może nic złego o tym pomyśleć!

- Ja wiem - odparł stanowczo Edward. - Poza tym zawsze istnieje możliwość, że ktoś się dowie. Twoja służąca omal nas nie zobaczyła. Mojej reputacji niewiele już może zaszkodzić, ale twoja jest dotychczas nieposzlakowana...

- Nie dbam o swoją reputację - odparła Pegeen.

- A powinnaś. Wiem, że ostatnio myślisz tylko o dobru Jeremy'ego, ale w końcu będziesz musiała pomyśleć również o sobie. Może któregoś dnia jednak zapragniesz kogoś poślubić, Pegeen..

Parsknęła.

- Wbrew swoim niedorzecznym przekonaniom w tej kwestii ciągnął -jesteś młoda i atrakcyjna i nie ma powodu, dla którego..

- Wyjawię panu powód - przerwała mu zapalczywie. - Wi działam na własne oczy, co małżeństwo uczyniło z mojej siostry. Zmieniło ją. Wróciła z kontynentu zimna, bezwzględna i dysząca żądzą zemsty...

- Nie przez małżeństwo, tylko przez mojego brata - stwierdził znużonym tonem Edward.

Pegeen potrząsnęła głową.

- Ona wpadła w ten sam potrzask co miliony innych kobiet zniewolonych w małżeństwach bez miłości. Nie mogą od nich uciec, bo kobieta nie ma pełnych praw obywatelskich i nie może się rozwieść, nawet jeśli mężczyzna ją źle traktuje albo opuści...

- Tylko nie to. - Edward przewrócił oczami. - Pegeen, przyrzekam ci, że między nami tak nie będzie...

- Jak może być inaczej? Zaproponował mi pan małżeństwo wyłącznie z poczucia winy. Cóż to za podstawa dla trwałego związku?

- Nie tylko z poczucia winy - powiedział Edward z wahaniem. - Pociągasz mnie.

- Pociągam pana? - Tym razem to Pegeen przewróciła oczami. - Myśli pan, że skoro jestem młodą urodziwą kobietą to nie mam ani krzty rozumu? A ja wiem, co mówię. - Zielone oczy zapalały oburzeniem. - Gdybym miała wyjść za męża, a to jest bardzo mało prawdopodobne, powód mógłby być tylko jeden: miłość. I nie zgodzę się na żadne ustępstwo.

W jej oczach malowała się taka złość, że Edward nie umiał sobie wyobrazić, jak Pegeen mogłaby darzyć go miłością.

- Skoro tak, to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia - powiedział sztywno.

Co pan zamierza? - spytała Pegeen. - Mieszkać w Londynie do końca mojego życia?

- Nie - odparł. Uznał, że lepiej skończyć tę kłótnię, zanim padną jeszcze bardziej przykre słowa, więc skierował się do drzwi. - Tylko do czasu, gdy pani znajdzie sobie męża.

Pegeen tupnęła nogą.

A kogo niby mam wziąć za męża? No, kogo? Właśnie, kogo? - pomyślał Edward, ale nie odpowiedział na to pytanie.

- Do widzenia, Pegeen. - Nie odwrócił się już, nie był bowiem pewien, czy wtedy zdobędzie się na to, żeby wyjechać zgodnie ze swym postanowieniem.

22

O godzinie piątej wieczorem żaden z pokoi gościnnych w Rawlings Manor nie był już zajęty. Wicehrabina i jej przyjaciele wyjechali wkrótce po lanczu, choć nie obyło się bez rzucania podejrzliwych spojrzeń na Pegeen i mrużenia pod nosem i złorzeczeń pod jej adresem. Pegeen w ogóle się tym nie przejmowała, taka była zadowolona, że nie będzie musiała dłużej znosić uciążliwego towarzystwa.

Ale chociaż podczas rozmowy z lordem Edwardem próbowała ze względu na niego udawać, że nic się nie stało, w rzeczywistości była załamana. Rozumiała powody jego wyjazdu i potrafiła się wczuć w jego sytuację, lecz nie chroniło jej to przed rozpaczą. Nigdy, przenigdy nie zamierzała wpuścić go do łóżka i wciąż nic mogła zrozumieć, jak do tego doszło.

Zawsze chlubiła się tym, że słucha głosu rozsądku, a nie serca, tymczasem ostatniego wieczoru wszystko potoczyło się tak, jakby nie serce i nie rozsądek decydowały, lecz jej ciało. Nie powiedziała by, że żałuje tego, co zaszło między nią i lordem Edwardem, bo czegoś tak wspaniałego jeszcze nie przeżyła. Żałowała jednak nieuchronnych skutków swojego wyboru. Naturalnie bowiem Edward poczuł się w obowiązku wystąpić z oświadczeniami.

A ona ich nie przyjęła.

Wiedziała, że w ten sposób prawdopodobnie zasłużyła na miano najgłupszej panny w Anglii. Wszystkie matrony w Londynie oddałyby swoje diamentowe brosze, żeby tylko lord Edward oświadczył się ich córkom. Tymczasem ona odrzuciła propozycję tak łatwo, jakby chodziło o zaproszenie na herbatkę.

Jak jednak mogła poślubić człowieka, który oświadczył się jej wyłącznie z poczucia obowiązku? Cóż by to było za małżeństwo? Nawet bez przekonania małżonków, że podwalinę ich związku stanowi chwila zapomnienia, jest to przecież okropna instytucja. Nie, Pegeen wolałaby umrzeć, niż przyjąć takie oświadczenia. Nie oznaczało to jednak, że teraz nie umierała. Była po uszy zakochana. Pokochała tego człowieka w chwili, gdy wpadła na niego w Applesby. To, do czego w końcu doszło, wydarzyło się w momencie nieopanowanej żądy właśnie dlatego, że oszałamiające pocałunki Edwarda odebrały jej moc logicznego rozumowania.

Doskonale wiedziała jednak, że Edward jej nie kocha. Ani razu nie wspomniał o miłości, gdy po chwilach miłosnego uniesienia powoli budziła się w nich straszliwa świadomość tego, co zrobili. Owszem, powiedział niejedno gorzkie słowo o sobie i parę razy zaklął, ale ani razu nie spojrzał na nią tak, jakby chciał wyznać jej miłość.

Właśnie dlatego nie mogła go poślubić. Gdyby miała inną naturę, może zgodziłaby się na to małżeństwo i żyła nadzieją, że z upływem lat mąż choć trochę ją pokocha, ale duma jej na to nie pozwalała. Jeśli jej nie kocha, to drugi raz nie będzie jej miał, choćby umierała z tęsknoty. Pozostało jej tylko wspominać ten piękny wspólny wieczór. Z takim wspomnieniem mogła żyć dalej, a w każdym razie tak jej się zdawało.

Pływały tygodnie, grudniowe wiatry smagały kamienne ściany domu, lecz Pegeen nie zwracała uwagi na otaczające zimno. Chociaż serce jej krwawiło, była zdecydowana ukryć to przed

wszystkimi. Postanowiła cierpieć samotnie, w milczeniu i z nikim nie dzielić się swoją tajemnicą, a już na pewno nie z samym zainteresowanym. Doskonale wiedziała, że nie jest pierwszą panną, która zakochała się w tym donżuanie, i z pewnością nie ostatnią.

Jeszcze nigdy nie była zakochana. Twarz Edwarda wryła jej się w pamięć i teraz widywała ją oczami wyobraźni w najdziwniejszych chwilach. Zdarzało się, że składała wizytę dzierżawcom i nagle przypominała sobie, jak czuła się w ramionach Edwarda, gdy wymieniali pocałunki. Ale choć odzywała się w niej nieodparta tęsknota, szybko doszła do wniosku, że Edward słusznie postąpił, wyjeżdżając. Taki wieczór już się nie mógł powtórzyć. Przecież moment zapomnienia mógł ją kosztować lata żalu, zwłaszcza że nie miała żadnych podstaw, by domniemywać, że Edward darzy ją uczuciem. Owszem, podziwiał jej urodę, ale to samo mogła powiedzieć o niemal wszystkich znanych sobie mężczyznach.

Nie podzieliła się jednak tymi refleksjami ani z lady Herbert i jej córkami, które w grudniu często przyjeżdżały w gościnę do Rąwlings Manor, ani z panią Praehurst, w której znalazła życzliwą, choć dość nużącą współtowarzyszkę, z pewnością również nie z Lucy ani nie z Jeremym. O swojej tajemnicy rozmyślała tylko wtedy, gdy była sama i siedziała w ciszy przy kominku lub gdy już leżała w łóżku. Wtedy przypominała sobie szare oczy Edwarda i jego kpiący uśmiech i zdarzało się, że sen ją wtedy całkiem odstępował.

Była zdania, że ukrywa swój sekret całkiem zręcznie. W odróżnieniu od bohaterki powieści nie traciła na wadze i nie była chorobliwie błada. Przeciwnie, trzymała się całkiem krzepko, toteż lady Herbert za każdym razem witała ją okrzykiem, że wygląda jeszcze piękniej niż ostatnio. I Pegeen wiedziała, że żona sir Arthura nie prawi jej komplementów wyłącznie przez grzeczność. Była bardzo zadowolona ze swojego trybu życia w Rąwlings Manor. Podobało jej się, że może spędzić cały dzień na zabawianiu

sierot z ochronki lub na pisaniu listów do członków Izby Gmin, zamiast stać nad kuchnią albo łątać dziurawe spodnie. Gdyby nie sekretna namiętność do gospodarza tego dworu, Pegeen uważałaby pobyt w Rąwlings Manor za najpiękniejszy okres swego życia. A tak musiała sobie wmawiać, że działalność charytatywna i piecza nad właściwym wychowaniem Jeremiego wystarczają jej do zadowolenia.

Przyszło i minęło Boże Narodzenie, a pan domu nie wracał. Zresztą, prawdę mówiąc, Edward nie był już panem Rąwlings Manor.

Gdy w Wigilię przywieziono podarki od Edwarda, Jeremiy nawet się z nich nie ucieszył. Głośno skarżył się, że chce wuja, a nie następny batalion ołowianych żołnierzyków. Również Pegeen nie uradowała się bynajmniej, widząc broszkę w kształcie róży zdobioną szaragdami, brylantami i rubinami. Obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem, po czym zamknęła w szufladzie i starała się nie wracać do niej myślami.

I właśnie wtedy, gdy zaczynała dochodzić do wniosku, że może całkiem dobrze żyć bez Edwarda, bo skoro się zakochała, to może również się odkochać, jej wybranek niespodziewanie wrócił. Sam, bez słowa wyjaśnienia. Po prostu któregoś wieczoru pojawił się w jadalni przy stole, jakby nigdy nie wyjeżdżał.

Tymczasem na życzenie Pegeen w gospodarstwie domowym zaszły poważne zmiany. Jeremiy nie jadał już posiłków samotnie w dziecięcym pokoju. Siadywał przy stole jak normalna ludzka istota. Pani Praehurst mimo początkowych sprzeciwów, również bywała częstym gościem w jadalni i Pegeen nieraz udawało się skłonić ją do podzielenia się najświeższymi plotkami nad talerzem zupy żółtowej. Ku zadowoleniu Pegeen często przyjeżdżały do dworu panny Herbert, a Annę stała się jej nieodłączną towarzyszką. Dlatego obecność Edwarda w jadalni nawet nie zaskoczyła Pegeen tak bardzo, jak Edwarda zaskoczyła obecność przy stole kilkunastu dość nędznie wyglądających sierot, które wpatrywały

się w niego okrągłymi oczami. Co więcej, jego miejsce zostało zajęte przez Jeremy'ego. Wstrząs byłby jeszcze większy, gdyby Pegeen w porę nie ostrzegła pani Praehurst i sióstr Herbert. Edwarda powitała chłodno, a potem powiedziała sierotom, żeby nie zwracały uwagi na tego gderliwego pana i spokojnie kończyły zupę. Edward opadł na krzesło po lewej ręce Jeremy'ego i naturalnie wyciągnął własne wnioski z braku entuzjazmu dla jego przyjazdu.

Pegeen wreszcie wdała się z nim w rozmowę, ale bardzo szorstkim tonem; na uprzejme pytania o zdrowie dawała odpowiedzi brzmiące niemal arogancko. Bardzo pilnowała, żeby nie wdychać i nie jąkać się w obliczu ukochanego, skoro ten nie odwzajemnia jej miłości. Cierpiała więc katusze, byleby tylko nie zdradzić się z uczuciami, i stąd wziął się jej wyjątkowo szorstki ton.

Edward przyjechał krótko po Nowym Roku, święcie, które Pegeen i Jeremy obchodzili razem z rodziną Herbertów. Edwarda zatrzymała w Londynie „niesprzyjająca pogoda, która całkowicie uniemożliwiła podróż do Yorkshire”. Rankiem następnego dnia po jego przyjeździe Pegeen zajmowała się w wielkiej sieni kwiatami wyhodowanymi w szklarni i nagle zobaczyła Edwarda z Jeremym na głównych schodach.

Jeremy, który dostosował się do życia w Rawlings Manor tak szybko, że nawet Pegeen trochę się temu dziwiła, miał o wiele więcej do powiedzenia niż ona na temat długiej nieobecności wuja. Jego lamentsy słyszano w całym domu, toteż Pegeen nieraz proponowała mu, żeby dla zaspokojenia swojej ciekawości wysłał list i spytał wuja o przyczynę jego przedłużającego się pobytu w Londynie. Tłumaczenia Edwarda, który pisywał do chłopca regularnie, były wyraźnie niezadowolające, bo Jeremy ciągle wracał do tego tematu.

Pragnienia chłopca zostały wreszcie zaspokojone. Wuj Edward zgodził się spędzić kilka swych cennych godzin w towarzystwie uwielbiającego go bratanka. Obaj byli ubrani w stroje do konnej jazdy, co należało uznać za przejaw odwagi, jako że na dworze gwizdał wiatr, a silne podmuchy raz po raz uderzały w masywne

drzwi domu. Wprawdzie minęła już godzina dziesiąta, ale słońca wciąż nie było widać zza grubej powłoki chmur. Panowie minęli Pegeen, nawet nie skinąwszy jej na powitanie. Pegeen poczuła przypływ irytacji.

- Może powiecie mi, panowie, dokąd się wybieracie - odezwała się ugrzecznionym tonem, widać było jednak, że oczy lśnią jej bardzo groźnie.

Jeremy obrócił się zaskoczony. Na jego piegawatej twarzy pojawił się dumny, szeroki uśmiech.

- O, dzień dobry, Pegeen - powiedział wesoło. - Wuj Edward i ja jedziemy obejrzeć część mojej posiadłości. Zaczynam się uczyć księżęcych obowiązków.

Pegeen wstawiła do wazonu kolczastą herbacianą różę, chyba trochę zbyt energicznie.

- Rozumiem - powiedziała, przesyłając Edwardowi gniewne spojrzenie. - To dobrze. A co z twoją lekcją niemieckiego?

Jeremy przybrał stosownie oburzoną minę.

- Niemiecki może poczekać - oświadczył. - Na lekcje mam cały dzień.

Edward, który dotąd stał w milczeniu z kapeluszem w dłoni obok bratanka, zrobił krok naprzód, jakby chciał go wesprzeć.

- To potrwa tylko godzinę, najwyżej dwie, panno MacDougal - powiedział uprzejmie. - Chcę przedstawić nowego księcia pewnemu dzierżawcy, który ma syna w wieku Jeremy'ego...

Pegeen uniosła brwi.

- Milordzie, od kiedy interesujesz się sprawami dzierżawców Rawlings? - spytała chłodno. - Zaprzecz, jeśli jestem w błędzie, ale zdawało mi się, że poświęciłeś mnóstwo czasu poszukiwaniom Jeremy'ego właśnie po to, by uniknąć wypełniania takich obowiązków.

Edward beznamiętnie pochwylił jej spojrzenie.

- Doszedłem do wniosku, że może jednak powinienem tego spróbować.

- Boże wielki! - westchnęła Peggen. - W Londynie naprawdę musiało być śmiertelnie nudno, skoro pan obudził w sobie gorące pragnienie poznania dzierżawców. - Powinna była w porę ugryźć się w język, lecz niestety, nie mogła już cofnąć tych słów. Zabrzmiały jak połajanka obrażonej żony. Zrobiło jej się wstyd.

- Przepraszam, jeśli sprawy majątku - Edward z gryzącą ironią położył akcent na dwóch ostatnich słowach - zatrzymały mnie w Londynie dłużej, niż odpowiadało to pani życzeniom, panno MacDougal. Jednakże nie było na to rady.

- Nic mnie nie obchodzi, milordzie, twoje przyjazdy i wyjazdy. - Pegeen miała nadzieję, że udało jej się nasycić odpowiedź stosowną dozą pogardy. - Chyba że ma to związek z Jeremym. Ufam, że nie zapomniałeś waszej ostatniej wspólnej przejażdżki.

Teraz z kolei Edward popadł w zakłopotanie. Pegeen bardzo się zdziwiła, widząc, jak jego twarz oblewa się rumieńcem na wspomnienie niefortunnego polowania.

- Nie zapomniałem - odparł dość obrażonym tonem. - Ale grzecznościowa wizyta u dzierżawcy to nie polowanie na lisa, panno MacDougal. Nikomu nie stanie się krzywda.

Niech pan to powie synowi tego rolnika - odparła uszczypliwie. Książę Rawlings, mimo swego tytułu, miał zwyczaj nacierać śniegiem twarze wszystkich nowo poznanych chłopców, jego ciotka nie była pewna, czy Edward zdaje sobie z tego sprawę.

- Moim zdaniem, jestem władny powstrzymać jego wysokość przed nierozważnymi czynami, w razie gdyby zaszła taka potrzeba - stwierdził Edward.

Pegeen w to nie wątpiła, ale w odróżnieniu od Edwarda wiedziała również o skłonności Jeremiego do gryzienia.

- Jeśli musicie jechać westchnęła - to lepiej będzie, jeśli dotrzymam wam towarzystwa.

- Jak pani sobie życzy.

Zadecydował nie tyle zrezygnowany ton Edwarda, co jego spuszczonego wzroku. Pegeen dumnie uniosła głowę w geście, z któ-

rego za czasów jej dzieciństwa żartowała sobie cała wieś, i przeszła go spojrzeniem.

- Owszem, życzę sobie. - Niezwłocznie wysłała służącą po pelerynę i czepek, choć mocno biło jej serce. Wielkie nieba! Od razu zaszumiało jej w głowie, choć przecież tylko jechali w odwiedzinę do dzierżawcy, mieszkającego w sąsiedztwie! Weź się w garść, Pegeen, pomyślała.

Ale gdy służąca wróciła z jej rzeczami, Pegeen ledwie zawiązała tasiemkę czepka, tak drżały jej ręce. Na szczęście miała mufkę, więc łatwo mogła ukryć ich drżenie. Prężnym krokiem dogoniła panów i korzystając z pomocy Edwarda, z udaną nonszalancją wsiadła do powozu. Na wszelki wypadek unikała jednak jego wzroku. Wkrótce poczuła, jak sprężyny siedzenia się uginają i Edward zajął miejsce obok niej. Jeremey chciał siedzieć jak zwykle na koźle, przy stangrecie, więc gdy powóz ruszył po zaśnięzonym podjeździe, Pegeen pierwszy raz od ponad miesiąca znalazła się sam na sam z Edwardem.

W takiej chwili wiele można by powiedzieć. Pegeen jednak uporczywie wpatrywała się w szybę, przysłaniając twarz szerokim, wykończonym futrem rondkiem czepka. Przysięgła sobie, że nie odezwie się ani słowem, chyba że Edward zrobi to pierwszy. Czują ciepło promieniujące od jego uda, a gdy powóz podskakiwał na wybojach, ocierali się o siebie ramionami. Po dobrej minucie niezręcznego milczenia Edward odkaszlnął i spróbował nawiązać rozmowę.

- Wygląda na to, że podczas mojej nieobecności Jeremey bardzo przyzwyczał się do Rawlings.

- To prawda - przyznała Pegeen, nie odwracając twarzy od szyby.

Wkrótce stało się jasne, że nie zamierza podjąć tematu. Edward chrząknął.

- Bardzo przepraszam, czyżbym panią w jakiś sposób obraził? Tym natychmiast przyciągnął jej uwagę. Obróciła głowę i spoj-

rzała w jego posępne szare oczy. Wydawał się naprawdę zdezorientowany jej oficjalnym zachowaniem. To dobrze.

- Obraził? - Udała zdziwienie. - Nie wiem, co pan ma na myśli.
 - Nie było mnie dłużej, niż chciałem...
 - Co tam - odparła z fałszywą beztróską. Znow zapatrzyła się w krajobraz za szybą. - W Londynie na pewno miał pan wiele rozrywek, o wiele więcej niż tu, na pustkowiach Yorkshire. - Zerknęła nań kątem oka, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły te słowa.

Edward wydawał się w dalszym ciągu zakłopotany. Jedną rękę trzymał między nimi na siedzeniu, drugą opierał na kolanie. Obie dłonie były zaciśnięte. Pegeen odnotowała to z zadowoleniem.

- Dużą część pobytu w Londynie poświęciłem na załatwianie różnych spraw - powiedział.

- Tak, tak, wspominał pan. To musiało być duże rozczarowanie dla lady Ashbury. - Pegeen przesłała mu uroczy uśmiech, ale i tym razem bacznie obserwowała jego reakcję.

Edwardowi drgnął mięsień w policzku, ten sam, który zawsze zdradzał jego zdenerwowanie. Pegeen uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało tego znajomego odruchu. Nadal wpatrywała się w jego twarz.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, bo nie widywałem jej często odrzekł, i tym razem to on odwrócił wzrok.

- Nie widywał pan wicehrabiny? - Ogarnęła ją niewytłumaczalna radość. Chcąc ukryć swoje uczucia, zabębniła w dach powozu i krzyknęła: - Jeremy, czy nie jest ci tam zimno?

Dobiegł ich bardzo zirytowany głos chłopca:

- Nie!

- Gdybyś zmarł, powiedz Batesowi, żeby zatrzymał powóz i przesadził cię do środka.

Jeremy nie odpowiedział. Nie znosił, kiedy ciotka traktowała go jak malucha. Tymczasem Pegeen z powrotem usiadła, ręce

ukryła w mufce. Policzki i nos miała zaróżowione, serce radośnie jej biło.

- Hm, Pegeen... - bąknął Edward. Gdy na niego spojrzała, przekonała się, że ma wzrok wlepiony w szybę po swojej stronie powozu.

W takiej chwili można by powiedzieć wszystko. Pegeen była coraz bardziej poruszona. Czyżby stał się cud? Czyżby Edward zerwał z wicehrabiną, bo uświadomił sobie, że kocha kogo innego? Czyżby zrozumiał, że choć zna wiele wyrafinowanych, efektywnych kobiet, to najbliższa jego sercu jest ta, która również najbliżej mieszka? Że mimo różnicy wieku i doświadczenia oboje są sobie przeznaczeni?

Edward znowu kaszlnął.

- Chciałem spytać panią, czy... a właściwie, czy już pani wie... czy...

Przyglądając się jego zmieszaniu, Pegeen ze zgrozą uświadomiła sobie, że Edwardowi chodzi o to, czy nie jest przy nadziei.

- Czy nie sądzisz, milordzie, że powiedziałabym ci wprost, gdyby tak było?

Edwardowi ulżyło, ale wcale nie tak bardzo.

- No, nie byłem pewien. Okazywała pani takie zdecydowanie... we wszystkim.

Policzki zaczęły ją palić, więc uchyliła szybę po swojej stronie powozu. Od podmuchu wiatru zapiekły ją oczy, ale przynajmniej trochę ochłodziła twarz.

- Moja propozycja z tamtego wieczoru wciąż jest aktualna - powiedział Edward. - Chcę, żeby pani to wiedziała.

Pegeen zamknęła oczy, w czoło kłuły ją igielki lodu. Bardzo żałowała, że uparła się towarzyszyć Edwardowi w tej jeździe. Mogło się to skończyć dla niej tylko jeszcze większym żalem.

- Moja odpowiedź pozostaje bez zmian - odparła stanowczo. - Chcę, żeby pan to wiedział.

Przez następne minuty Edward milczał. We wnętrzu powozu

było słycać jedynie skrzywienie skórzanych siedzeń, pobrzękiwanie dzwoneczków przy uprząży i chrzączenie śniegu poci kołami. Pegeen modliła się, żeby jej towarzysz nie powiedział już nic więcej. Bardzo obawiała się, że wbrew swojemu postanowieniu mogłaby zmienić zdanie i przyjąć jego oświadczenia bez względu na konsekwencje. I co z tego, że Edward jej nie kocha? Ona kocha go za dwoje.

Nagle Edward powiedział:

- Pewnie pani będzie się śmiała, usłyszawszy to, co chcę powiedzieć, ale Alistair... pamięta pani Alistaira Cartwrighta. prawda? - Skinęła głową, a on szybko podjął wątek: - To bardzo kłopotliwe, ale on od dłuższego czasu nie daje mi spokoju Wróciłem do domu między innymi dlatego, że nie mogłem znieść jego ciągłych jęków. Bo widzi pani, Alistair wbił sobie do głowy, że panią kocha i nie zazna szczęścia, póki nie dostanie pozwolenia żeby móc się do pani zalecać.

Gdyby Pegeen nie zyskała już wprawy w ukrywaniu swoich uczuć, z pewnością zareagowałaby na tę nowinę bardzo spontanicznie. Teraz jednak tylko się uśmiechnęła i gładko odpowiedziała.

- Alistair Cartwright? Czyżby? To zabawne.

- Zabawne? - Edward się odprężył. Oparł się swobodniej na skórzanym wałku i uśmiechnął. - Nie wiem, czy Alistairowi pochlebiłaby pani reakcja.

Pegeen znów uśmiechnęła się machinalnie. Dopiero po chwili przywykła do myśli, że Alistair Cartwright jej pragnie. Alistair był przystojnym, życzliwie usposobionym i dość zabawnym mężem czyżną. Wcale nie wydawał jej się złym kandydatem na męża Naturalnie pod warunkiem, że chciałaby wyjść za męża, tymczasem zaś wcale nie miała takiego zamiaru.

Ale dlaczego Alistair pytał o to Edwarda? Pewnie dlatego, że szwagier był obowiązany sprawować nad nią opiekę. Ale Edward był dla niej kimś więcej niż tylko szwagrem. Czy Alistair o tym wiedział? Spłoszona Pegeen spojrzała na swego towarzysza.

-- Czy on... - Tym razem nie była w stanie ukryć niepokoju. -Czy on wie o nas? Edward drgnął.

- Nie, na miłość boską! Za kogo mnie bierzesz, Pegeen? Mogę być głupcem, ale nie draniem.

Pegeen poczuła ulgę.

- No, i co mu pan powiedział?

- Co powiedziałem komu?

- Panu Cartwrightowi - wycodziła. Czasem Edward bardzo ją irytował swym powolnym kojarzeniem.

- Alistairowi? Naturalnie zabroniłem mu zalotów. Ale on jest trudny. Nie chciał mi dać spokoju...

Zabronił mu pan? Edward nie zwrócił uwagi na złość Pegeen.

- Naturalnie. Przecież to niedorzeczność. On jest prawie dwa razy starszy od pani...

- Czy nie sądzi pan, że i ja powinnam mieć coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Pani? - Edward odwrócił głowę i spojrzał na nią dość niedowierzająco. Zauważywszy jej marsową minę, pokręcił głową. - Jestem zaskoczony, Pegeen. Słuchając pani, mam wrażenie, że chciałaby mu pani pozwolić na...

A dlaczego nie? - Dopóki na niego nie patrzyła, lekki ton przychodził jej z łatwością. - Sam powiedział pan przed swoim wyjazdem, że powinnam w końcu kogoś poślubić.

- A pani twierdziła, że nie dopuszcza do siebie myśli o małżeństwie...

- Z kimś, kogo nie kocham - skwapliwie poprawiła go Pegeen. - Albo z kimś, kto nie kocha mnie. - Edward nagle omiotł ją wzrokiem, ale zanim zdążył się odezwać, dodała: - Poza tym po pańskim wyjeździe miałam dużo czasu na myślenie i uznałam, że małżeństwo mogłoby stanowić dla mnie wcale nie najgorsze rozwiązanie. Sam powiedział pan wcześniej, że tak byłoby najlepiej

dla wszystkich. Ucichłyby plotki, a z pana ramion spadłby ciężar utrzymywania mnie.

- Trudno nazwać to ciężarem!

- To jest niedorzeczne, żeby musiał pan dalej łożyć na utrzymywanie kobiety, która nawet nie jest z panem spokrewniona. Ponadto, gdybym poślubiła pana Cartwrighta, rozwiązałyby to problem naszego zamieszkiwania pod jednym dachem bez przyzwyczajenia, o czym również w swoim czasie pan wspominał...

- Miałyby go pani poślubić!? - Edward niespokojnie poruszył się na siedzeniu. - Powiedziałem pani o jego zamiarach tylko dlatego, że na to należał... - Edwardowi zabrakło słów. Najwidoczniej pojął, że wpadł we własne sidła. - Nigdy nie sądziłem, że pani może potraktować jego propozycję poważnie!

- Czemu nie? - Pegeen opanowała się na tyle, by wyzywająco spojrzeć na Edwarda. - Czy to, że jakiś mężczyzna mógłby się do mnie zalecać, wydaje się panu niedorzeczne? Czyżbym była czarownicą, w której nikt nie może się zakochać?

- Skądże. Pani jest... hm, bardzo pociągająca. Ale o wiele za młoda, żeby myśleć o małżeństwie.

Pegeen rozzłościła się nie na żarty. - Za młoda?! Mam dwadzieścia lat!

- Dwadzieścia - powtórzył Edward i przewrócił oczami. - Pani jest jeszcze dzieckiem. Co pani wie o małżeństwie?

- A co pan wie? - odparła. - Tylko tyle, jak zniszczyć cudze.

Znowu za późno ugryzła się w język. Edward spojrzał na nią i nagle ścisnął ją za nadgarstek.

- Co pani powiedziała?

- Nic takiego - odparła mimo nagłej suchości w ustach.

Wicehrabi na jest mężatką, a pan...

- Dość tego - burknął. Pegeen była tak zaskoczona jego ostrym tonem, że wcisnęła się w kąt powozu. Gdyby Edward jej nie trzymał, wyskoczyłaby w biegu na drogę z lęku o swoje życie. Pani nic nie wie o mnie i lady Ashbury. Zresztą, dzięki Bogu.

Uważam za wysoce niestosowne, by panna w takim wieku wspominała o... Pegeen nagle niebezpiecznie się uśmiechnęła.

- W wieczór balu zdawał się pan nie przejmować moim wiekiem.

Edward zareagował tak, jakby wymierzyła mu policzek. Otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Pegeen roześmiała się złośliwie.

- Wytlumacz mi, milordzie, dlaczego jestem za młoda dla pana Cartwrighta, ale dla ciebie nie.

- Chyba jasno już wyraziłem swój żal z powodu tego, co między nami zaszło - odparł, choć szybko tracił cierpliwość. - Próbowałem zachować się honorowo i poprosiłem panią o rękę, ale pani niedwuznacznie dała mi do zrozumienia, że pogardza myślą o takim związku. Wobec tego opuściłem własny dom, by zapobiec powtórzeniu się takiego niefortunnego incydentu. A teraz pani mówi, że chętnie poślubiłaby mojego najlepszego przyjaciela!

Pegeen podskoczyła, bo Edward z pasją kopnął w siedzenie naprzeciwko. W rezulacie stangret zatrzymał powóz i z niepokojem zawołał:

Milordzie, czy wszystko w porządku? Tak, Bates - syknął Edward. Chwycił się za nogę w wysokim bucie i zaklął pod nosem. - Jedź dalej!

- Jak milord każe. - Powóz szarpnął i znów potoczył się drogą.

Pegeen, która skuliła się w kącie, bez słowa przyglądała się Edwardowi. Nie mogła pojąć, dlaczego rozmowa o jej ewentualnym małżeństwie z Alistairem Cartwrightem tak go wyprowadziła z równowagi. Przecież powiedział wyraźnie, że jej nie kocha, cóż więc go obchodzi uczucia przyjaciela? Chyba że wrócił do Rawlings z nadzieją, że ich romans będzie trwał... ale to było niemożliwe. Pegeen nie mogła sobie pozwolić na to, by jeszcze raz stracić głowę...

- Nie chcę więcej słyszeć o tym, że ktoś mógłby się do pani zalecać - stwierdził w końcu Edward, puściwszy obolałą nogę. Zamierzam wyprosić Alistaira Cartwrighta z...

Pegeen wydała okrzyk oburzenia.

- Nie wolno panu tego zrobić.

- Przykro mi Pegeen, ale wolno. - Twarz miał w tej chwili jak wykutą z granitu. - Dopóki mieszkasz pod moim dachem, jesteś pod moją opieką, a ja nie pozwolę, żebyś była narażona na niepożądane względy...

Zdawało mi się, że chodzi o pańskiego przyjaciela!

- Owszem. - Edward uświadomił sobie, że nachyla się nad nią jak jastrząb nad zdobyczą. Z powrotem usiadł, ale wciąż przeszywał ją wzrokiem. - Alistair jest moim najlepszym przyjacielem. Znam go jak nikogo innego. I właśnie dlatego nie zgadzam się na jego zaloty. Zapomnij, pani, o tej rozmowie.

Pegeenomal nie zwróciła mu uwagi, że przy tak poważnych obiekcjach w ogóle nie powinien był poruszać tego drażliwego tematu. Po co to zrobił?

Zastanawiała się nad tym przez resztę dnia. Wizyta u dzierżawcy przebiegła pomyślnie, jeśli nie liczyć drobnego epizodu, skutkiem którego dwunastoletni syn gospodarzaomal nie złamał Jeremy'emu nosa, co scementowało ich przyjaźń. Jeremy umiał się zaprzyjaźnić jedynie z kimś, kto był od niego silniejszy fizycznie. Rozmowy o Alistairze Cartwrightcie siłą rzeczy się skończyły, Jeremy bowiem wracał do domu we wnętrzu powozu, przyciskając do rozbitego nosa chustkę Pegeen.

Zapewne nie było więc nic dziwnego w tym, że gdy Evers wprowadził ich do wielkiej sali, wiadomość, którą przekazał panu, odbierając od niego nakrycie głowy, nie została powitana entuzjastycznie.

- Milordzie, niedawno przyjechał pan Cartwright - powiedział kamerdyner. - Pani Praehurst dała mu niebieski pokój. Teraz, jak sądzę, pan Cartwright gra w bilard.

Edward zaklął. Pegeen spojrziała na niego karcąco, ale przyjął to obojętnie. Wyszedł z wielkiej sali, głośno tupiąc butami o kamienną posadzkę. Nawet Jeremy zauważył u niego przyływ złego humoru.

Co się stało wujowi Edwardowi? - spytał zza chustki.

Nie mam pojęcia - odparła Pegeen. - Jeśli się dowiesz, to nie zapomnij mi powiedzieć.

23

Arabella Ashbury nigdy nie zachowałyby się tak nierozważnie, by głośno przyznać, że Londyn bez Edwarda Rawlingsa wydaje jej się najnudniejszym miejscem na świecie, ale dotkliwie odczuwała brak jego towarzystwa i była z tego powodu coraz bardziej poirytowana. Zauważyli to jej znajomi i zaczęli się zastanawiać nad przyczyną tego złego nastroju. Natomiast Edward przez cały czas twierdził, że jest zbyt zajęty „sprawami swojej posiadłości”, i nigdy nie miał czasu zjeść z nią kolacji. W końcu po prostu opuścił stolicę i od tej pory Arabella nie mogła liczyć nawet na przypadkowe spotkanie w teatrze.

Zresztą u zarania sezonu w teatrach właściwie jeszcze nie było czego oglądać. Co gorsza, Arabella i jej przyjaciele, zjechawszy przedwcześnie do Londynu na zaproszenie Edwarda, zostali przez niego pozostawieni na łasce losu. „Sprawy posiadłości” były ważniejsze. Jeszcze nigdy nikt Arabelli tak ciężko nie obraził, a już na pewno nie publicznie.

Naturalnie powrót Edwarda do Rawlings rzucił światło na powstałą sytuację. Arabella przekonała się, że Edward wcale nie miał żadnych ważnych spraw w Londynie, tylko chciał pozbyć się z domu gości: jej, lorda Derby, Alistaira i całej reszty.

Powodem była naturalnie ta pannica. W myślach Arabella zawsze nazywała Pegeen MacDougal „tą pannicą”.

Ta przeklęta pannica miała przeklęte zielone oczy, alabastrową cerę, lśniące czarne włosy i osiłą talię. Czy znalazłby się mężczyzna, który nie chciałby mieć takiej panny wyłącznie dla siebie? Dlaczego jednak wobec tego Edward spędził tyle czasu w Londynie? Dlaczego nie wrócił do Rawlings niezwłocznie po pozbyciu się gości? Arabella nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania, choć wiedziała, że Edward jest bardzo skomplikowanym człowiekiem. Nigdy nie umiała dokładnie odgadnąć, o czym on myśli.

Była pewna, że odpowiedź na nurtujące ją pytania jest coraz bliżej. Skoro Edward wrócił do Rawlings, to znaczy, że uważał swój związek z wicehrabiną Ashbury za zerwany. Nawet nie przesłał jej pożegnalnego liściku. Najgorsze wydry dostawały od niego przynajmniej bransoletkę, gdy się nimi znużył, tym razem nie starczyło mu przyzwoitości, by jej powiedzieć, że zrywa znajomość. Arabella przypominała sobie scenę w białym pokoju w Rawlings. Już wtedy powinna była wyczuć, że między nimi źle się dzieje. Nadal jednak nie mogła pojąć, co się właściwie stało. Edward, z natury arogancki i niefrasobliwy, nigdy nie zachowywał się w ten sposób.

Rozmowa z Alistairem niewiele jej pomogła. Arabella nie lubiła Alistaira Cartwrighta. Zawsze, gdy z nią rozmawiał, miał na twarzy uśmiezek, lecz nie uwodzicielski, co Arabella łatwo mogłaby zrozumieć, tylko pogardliwy, jakby uważał, że jest głupia. Gdy tamtego wieczoru zapytała go w St. James Pałace, co ostatnio naszło Edwarda, zaprezentował jeszcze ohydniejszy uśmiezek niż zwykle i odparł, że nie wie. Kłamał, a ona nie mogła tego znieść i popełniła fatalny błąd. Chwyliła go za rękaw i spytała:

- Chodzi o tę pannicę, prawda? Zakochał się w niej.

Alistair zamrugnął i odparł z miną niewiniątka:

- Och, Arabello, nie rozumiem, do czego pijesz.
 - Doskonale rozumiesz. On przecież nie może się z nią ożenić.
 Czy wiesz, co ludzie mówią o jej siostrze?

Grymas ust Alistaira był wręcz szyderczy.

- Nie, Arabello. Ale zdradź mi z łaski swojej. Co ludzie mówią o jej siostrze?

Nie spodobał jej się nacisk położony na słowie „ludzie”, ciągnęła jednak tę rozmowę z nadzieją, że Alistair nie wie, ile plotek na ten temat miało swój początek w jej salonie.

- Mówią, że to ona jest winna śmierci Johna Rawlingsa, bo było prawie tak, jakby sama pociągnęła za spust. Rawlings walczył w obronie jej honoru i zginął z ręki jej kochanka. A ona spędziła z tym kochankiem ostatnie dziesięć lat we Włoszech...

- Ludzie mówią o wielu sprawach, o których nie mają zielonego pojęcia, czyż nie, Arabello?

Uśmiezek Alistaira doprowadzał ją do szału, ale właśnie w tej chwili zorientowała się, że i Cartwright uległ czarowi tej pannicy. Wydawało jej się niemożliwe, żeby taka prowincjonalna piękność podbiła serca dwóch najbardziej pożądanym kawalerów w Europie. Z drugiej strony jej siostra dokonała czegoś podobnego. Jak się nazywał ten kochanek Katherine Rawlings? Gdyby tylko można było się tego dowiedzieć...

Nie tylko Arabella zastanawiała się nad dziwnym zachowaniem Edwarda Rawlingsa. Lord Derby opłakiwał stratę kompana do polowań i ku irytacji swej żony podczas posiłków, zamiast jeść, wdychał z tego powodu nad kieliszkiem wina. Z epizodu w szklarni zapamiętał bardzo niewiele, ale strzępki wspomnień nie dawały mu spokoju. Córka pastora wydawała mu się znajoma. Musiał sobie przypomnieć dlaczego. Był pewien, że ta informacja mogłaby pocieszyć nieszczęsną Arabellę.

I wreszcie któregoś wieczoru sobie przypomniał.

Mimo dość chutliwej natury lord Derby nie lubił celowo krzywdzić ludzi. Nigdy nie przyszedłby mu do głowy pomysł podzielenia

się z kimkolwiek swą wiedzą, gdyby tego wieczoru nie był podпиты i gdyby niefortunnym zbiegiem okoliczności nie wpadł w ręce osoby znacznie bystrzejszej od niego i lubiącej intrygi.

Arabella Ashbury nie przepadała za lordem Derby i jego małżonką. Gdyby nie to, że ich londyńskie kamienice stały obok siebie, a w swoim czasie, zanim jeszcze lord Derby przestał być atrakcyjnym mężczyzną, Arabella z lordem znajdowali w sobie pewne upodobanie, ignorowałyby sąsiadów całkowicie. To prawda, że posiadali niemałe włości, ale jacy byli nudni... W dodatku mieli dzieci. Kto to widział mieć tyle dzieci? Gdy jednak któregoś wieczoru wkrótce po Nowym Roku lord Derby bezsilnie usiadł na progu domu Arabelli, był stanowczo za bardzo pijany, by zawrócić do siebie. Arabella zaprosiła go więc do środka i spytała, gdzie był.

- W domu Kathy - wybełkotał, opierając nogę o marmurowy kominek Arabelli.

Arabella przewróciła oczami. Kathy Porter była właścicielką cieszącego się złą sławą londyńskiego domu publicznego. Jeśli lordowi Derby zdawało się, że ją, Arabellę, mogą interesować szczegóły wizyty w takim miejscu, to był w grubym błędzie.

- Mniejsza o to - powiedziała szorstko. W gruncie rzeczy również ona miała w tej chwili na górze przyjaciela, nad którym roztoczyła opiekę, by zrekompensował jej stratę niewiernego Edwarda Rawlingsa, szkoda jej więc było czasu na rozmowy z pijanym sąsiadem. - Możesz zostać u mnie na noc, jeśli chcesz. Poślę do ciebie lokaja, żeby przyniósł wszystko, czego ci potrzeba. Mercie powiemy, że zostałeś w klubie.

- Jesteś bardzo miła - powiedział Derby, a Arabella ze złością zobaczyła łzy spływające mu po workach pod oczami. - Jesteś urocza, Arabello. Prawie tak urocza, jak ta córka pastora.

Arabella słuchała go jednym uchem. Przyglądała się swemu odbiciu w lustrze nad kominkiem i poprawiała naszyjnik z szafirów.

- Jaka córka pastora? - spytała nieprzytomnie.
- Ta w Rawlings. Ta, która jest podobna do Kathy.

Arabella przesłała mu takie spojrzenie, że gdyby lord je pochwycił, umarłby ze strachu. W trzech susach dopadła do jego krzesła i pochyliła się nad lordem. Ich twarze znalazły się o centymetry od siebie.

- Kogo masz na myśli? Czy chcesz powiedzieć, że Pegeen MacDougal jest podobna do Kathy Porter?

Z kącika oka lorda Derby pociekła następna łza. Smutno skinął głową.

- Są jak dwie krople wody, tylko jedna jest drobniejsza, jeśli wiesz, co mam na myśli. Poza tym Kathy jest starsza o dobre dziesięć lat i sporo cięższa, ale inaczej można by je wziąć za siostry bliźniaczki. - Lord Derby westchnął. - Od dawna już mnie to męczy. Wiedziałem, że ta panna kogoś mi przypomina, ale nie mogłem sobie przypomnieć kogo. Teraz już wiem.

Arabella mocniej zacisnęła dłoń na brokatowych poręczach fotela. Jej oczy zalśniły niebezpiecznym blaskiem.

- Katherine Rawlings to Kathy Porter. To wspaniałe.

Lord Derby nagle wytrzeźwiał. Czasem mu się to zdarzało, a Arabella nigdy nie przestała się dziwić, jak szybko odzyskuje jasność umysłu, gdy tylko tego chce.

- Arabello - powiedział, wyciągając rękę, która mimo że otłuszczona, mogła ścisnąć jak imadło. - Co ci się roi? Powiedziałem tylko, że one są podobne jak siostry, a nie że są siostrami.

- Zamknij się, Freddy - odburknęła i głęboko się zadumała. Lord Derby wprawdzie trochę wytrzeźwiał, ale nie na tyle, by zdać sobie sprawę z wagi swojego odkrycia. Bardzo się odprężył słysząc, że Arabella straciła zainteresowanie osobą Kathy Porter, i z zadowoleniem odnotował, że jest dla niego dużo łaskawsza niż zwykle.

Edward Rawlings znał Alistaira Cartwrighta od dawien dawna, lecz mimo to zdarzyło im się w tym czasie nie więcej niż kilka kłótni. Raz doszło do poważnej różnicy zdań na punkcie pewnej młodej damy, ta jednak ośmieliła się wstąpić do klasztoru, a wybrawszy Boga, zamiast któregoś z zalotników, skutecznie zakończyła spór.

Zdaniem Edwarda, do największych zalet Alistaira należała jego podatność na wpływy. Łatwo było go namówić do zmiany stanowiska i właśnie brak kręgosłupa czynił z niego nieocenionego towarzysza dla kogoś, kto w każdej sytuacji musiał mieć decydujący głos.

Edward przeżył więc duże zaskoczenie i wybuchnął szczerym oburzeniem, gdy Alistair stanowczo postanowił zalecać się do Pegeen. Dlaczego akurat w tej sprawie przyjaciel wykazał niezwykłą stanowczość, Edward nie umiał powiedzieć. To było zupełnie do niego niepodobne, żeby niezłomnie trwać przy swoim. Edward powziął więc przypuszczenie, że jego nad wyraz zrównoważony przyjaciel naprawdę zakochał się w tej pannie. A skoro tak, to mogło okazać się konieczne wymówienie Alistairowi gościny w Rawlings raz na zawsze.

Edward gryzł się, że musi rozważyć taką możliwość. Bardzo sobie cenił przyjaźń Alistaira. Był to jeden z niewielu ludzi, których towarzystwo Edward wytrzymywał bezboleśnie dłużej niż przez pięć minut. Mimo to nie mógł pozwolić Alistairowi na zalecanie się do Pegeen. Na samą myśl o tym żołądek podchodził mu do gardła. Nawet teraz, przyglądając się, jak ci dwoje toczą sprzeczkę o jakąś książkę, miał wrażenie, że zaraz zwróci kolację pośrodku złotego pokoju.

Wyglądało na to, że jego dni w roli pana Rawlings Manor są policzone. Pegeen z uroczym uśmiechem na twarzy odmówiła mu prawa do zakazywania Alistairowi zalotów i stwierdziła, że ponieważ ona nie jest im przeciwna, pozostaje mu pilnować własnego nosa. Edward w duchu przyznał jej rację i chciał zastosować się do jej życzenia. Naprawdę chciał. Ale widok tych dwóch głów obok siebie, jasnej i ciemnowłosej, nachylonych nad jakimś głupim poetyckim tomikiem, irytował go w sposób trudny do wytłumaczenia.

Pomyślał, że dotąd zachowuje się całkiem przyzwoicie. Choć spędzili we troje prawie tydzień, w domu panowała względna harmonia. Pegeen powstrzymywała się od zjadliwych uwag, które wciąż cisnęły jej się na usta, gdy zostawali sami, natomiast Alistair udawał, że nie zauważa jego wrogich spojrzeń. Pogoda nie sprzyjała, więc nie próbowali wychodzić z domu, choć gdyby było parę stopni więcej, Edward z pewnością wyciągnąłby Alistaira na polowanie, był bowiem gotów na wszystko, byle tylko odciągnąć przyjaciela od Pegeen.

Najbardziej irytowało go chyba to, że nie potrafił określić dokładnej przyczyny swojego rozdrażnienia. Bez wątpienia jednak żywił przekonanie, że Alistair jest dla Pegeen stanowczo za stary. Poza tym znał szczegóły różnych jego miłosnych podbojów i dlatego obawiał się o Pegeen, która ze swą namiętną naturą łatwo mogła ulec fizycznemu pociągowi do Alistaira.

Myśl o Pegeen w łóżu z Alistairem doprowadzała go do białej gorączki, zwłaszcza że sam był pod wrażeniem jej zmysłowości. Nigdy nie miał czulszej partnerki. Ta dwudziestoletnia córka pastora mogłaby dawać lekcje sztuki kochania najwytrawniejszym londyńskim kurtyzanom.

Ale czy był gotów tolerować na co dzień niewyparzony język tej piękności w zamian za przywilej trzymania jej w objęciach każdego wieczoru? Nie.

Dlaczego więc nie chciał oddać jej Cartwrightowi? Przecież wiedział, że i tak w końcu znajdzie swoją wymarzoną pannę. Cichą, spokojną dziewczynę, która będzie siedziała przy kominku, robiąc mu skarpety na drutach, i nigdy nie wypomni mu kosztownych halszteków, picia brandy ani utrzymywania kontaktów z zamężnymi kobietami. Z pewnością była gdzieś w pobliżu właśnie taka panna. A na razie mógłby zaspokoić największe pragnienie Cartwrighta. Dlaczego przynajmniej jeden z nich nie miałby być szczęśliwy?

Ale Pegeen, choć dla niego się nie nadawała, była również nieodpowiednią kobietą dla Alistaira. Edward nie sądził, by przyjaciel, zauroczony wdziękami tej czarnowłosej pieszczoszki, miał szansę to zauważyć. Jednakże Pegeen powinna wiedzieć, że ten związek nie ma przyszłości. Czy mogłaby znaleźć szczęście z takim leniwym hulaką? Nie dość, że Cartwright całkowicie poddał się jej władzy, to jeszcze nie potrafił jej niczego odmówić. Wystarczyło, żeby zatrzepotała tymi czarnymi jak smoła rzęsami, i Alistair od razu miękł. Śmieszna sprawa. Ten związek nie miał perspektyw. Nie minąłby nawet rok i oboje pożałowaliby swojego wyboru. Edward wiedział, że musi ich powstrzymać.

Przemawianie Alistairowi do rozsądku miało się z celem. Edward już tego próbował. Nie, jeśli miał cokolwiek osiągnąć, musiał porozmawiać z Pegeen, która mimo skłonności do uporu była przynajmniej dostatecznie bystra, by przyjąć logiczną ar-

gumentację. Naturalnie należało przeprowadzić tę rozmowę w cztery oczy, co nie było łatwe, ponieważ ostatnio Cartwright wszędzie włączył się za Pegeen.

Wreszcie postanowił, że poczeka, aż Pegeen uda się na spoczynek i pójdzie do jej pokoju, gdy Alistair będzie już w u siebie. Wiedział, że Pegeen wpadnie w złość, przecież widział, że na każde ich sam na sam reaguje równie nerwowo jak on, ale na to nie miał rady. Chcąc powstrzymać ją przed popełnieniem największej omyłki w życiu, musiał pozwolić sobie na złamanie zasad.

Pegeen udała się na spoczynek dopiero po północy. Pozbycie się Alistaira nie stanowiło dla Edwarda problemu. Zostawił go w bibliotece, leżącego na kanapie z karafką brandy w objęciach i głupekowatym uśmiechem szczęścia na twarzy. Było mu nawet przykro, że raz na zawsze odzwyczaił przyjaciela od tego uśmiechu, uważał jednak, że nie ma innego wyjścia. Inaczej wkrótce Alistair sam przestałby się uśmiechać i już do końca życia nie pozbyłby się ponurego grymasu twarzy.

Gdy znalazł się przed drzwiami różowego pokoju, uświadomił sobie, że daleko mu do spokoju ducha. Dziesiątki razy stał tutaj w dzieciństwie i wtedy też miał powody do niepokoju, tyle że całkiem innego. Matka była dobra, ale utrzymywała surową dyscyplinę, a jej kary, choć nie tak bolesne fizycznie jak ojca, zapadły Edwardowi w pamięć dużo głębiej. Szybko zapukał do drzwi, żeby się nie rozmyślić.

Pegeen otworzyła mu osobiście. Wydawała się bardzo zaskoczona. Długie, czarne włosy opadały jej na ramiona jak narzutka i miała na sobie ten sam prześwitujący peniuar co owego znamienego wieczoru. Wyglądała młodzieńczo, lecz przy tym bardzo kobieco. Edward poczuł bolesny skurecz serca i na chwilę opuściła go odwaga. Wnet jednak dostrzegł wyraz twarzy Pegeen.

- Ho, ho - powiedziała i uśmiechnęła się kpiąco. - Czemu zawdzięczam przyjemność tych odwiedzin, milordzie?

Edward uświadomił sobie, że prawdopodobnie w tej chwili ratuje Alistairowi życie. Może przyjaciel nie od razu to doceni, ale któregoś dnia z pewnością podziękuje mu za ocalenie przed tą sarkastyczną osóbką.

Muszę z panią porozmawiać - powiedział.

Może pan to zrobić jutro przy śniadaniu. Dobranoc. Chciała mu zatrzaskać drzwi przed nosem, ale Edward był szybszy. Wsunął stopę między skrzydło drzwi a framugę i Pegeen nie zdołała urzeczywistnić swojego zamiaru.

Po chwili przestała napierać na drzwi. Wsparła się pod boki i spojrzała na niego niewzruszenie.

Dobrze pan wie, Edwardzie, że nie mogę pana wpuścić. Wie pan przecież, co się ostatnio stało w podobnej sytuacji.

Pamiętam. Byłem tam tak samo jak pani, Pegeen. Ale proszę się nie martwić. Tym razem chcę tylko porozmawiać.

Ostatnio chciał pan tego samego - przypomniała mu Pegeen.

- To bardzo ważne, Pegeen, musi mnie pani wpuścić.

- Co sobie pomyśli służba? Pani Praehurst...

- Do diabła z panią Praehurst!

Edward znieacka otworzył drzwi nogą i zatrzasnawszy je za sobą, wkroczył do przytulnego pokoju, w którym na kominku migotały płomienie. Od czasu jego ostatniej wizyty Pegeen trochę przemeblowała wnętrze. Nad kominkiem wisiał portret jej matki z czasów panieńskich, przybyło też wazonów z kwiatami. A na stoliku pod ścianą leżał ten przeklęty tomik poezji miłosnej, który Cartwright podarował jej poprzedniego dnia. Niektóre ustępy były zaznaczone czerwoną tasiemką. Edward podszedł do stolika i wziął książkę do ręki.

- O tym chcę z panią porozmawiać - oznajmił, potrząsając małym, oprawnym w skórę tomikiem.

Pegeen, stojąc z ramionami skrzyżowanymi na piersi, spojrzała na niego...

- Chce pan porozmawiać o sonetach Szekspira?

- Nie. - Edward podszedł do niej, wyciągając przed siebie książeczkę. - Chcę porozmawiać o Alistairze.

Jeden z kącików jej ust nagle się uniosł.

- Rozumiem, Edwardzie, pańską zazdrość. Wiem, że pan się z nim spotkał pierwszy.

Edward uderzył pięścią w stół z taką siłą, że ten nie wytrzymał i zamienił się w stertę intarsjowanego drewna i mosiężnych okuć. Pegeen spokojnie zmierzyła wzrokiem ten obraz zniszczenia, choć każda inna kobieta na jej miejscu uciekłaby gdzie pieprz rośnie.

- Czy poczuł się pan lepiej? - spytała oschle. - A może chciałby pan rozbić coś jeszcze? O, tam jest odpowiedni wazon. Przypuszczalnie duma rodu. A może wolałby pan uderzyć mnie?

- Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety - odparł machinalnie. Katastrofa stolika trochę go zdetonowała. Nie zamierzał grzmotnąć w blat z taką siłą. Ale nie mógł też pozwolić, by Pegeen odwidła go od tematu. To była jedna z jej wypróbowanych metod.

- Niech pani mnie posłucha, Pegeen...

- Zdaje się, że nie mam wyboru, prawda? - Rozplótszy ramiona, podeszła do łóżka. Zdjęła pantofelki na wysokim obcasie i wsunęła się pod ciężką koldrę. - Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza. - Usiadła oparta o wezłowie i zaczęła palcem jednej ręki rysować kółka na pościeli wokół swoich kolan. - Musiałam się położyć, bo w pokoju jest dość zimno.

W tym wielkim łóżku wydawała się taka krucha i niewinna, że Edward na chwilę zapomniał, co chciał powiedzieć. Wyobraził sobie, że kładzie się przy Pegeen tak zwyczajnie, jakby od dawna byli małżeństwem, które spotyka się każdego wieczoru. Wyobraził sobie, jak zsuwa peniuar z jej gładkich ramion i całuje jedwabistą skórę, która ukazuje się jego oczom...

Zobaczył, że nadal trzyma w ręce tomik wierszy. Zaczął mówić, ale głos miał tak chropawy, że trudno było coś zrozumieć. Odchrząknął.

- Pegeen, nie mogę na to pozwolić.

Spojrzała na niego nieufnie.

-Na co nie może pan pozwolić?

Nie mogę pozwolić na to, żebyś poślubiła Alistaira.

Aha, nie może pan. - Siedziała częściowo w cieniu. Światło ognia nie sięgało wezłowie łóżka.

Nie mogę. Nie pasujecie do siebie. Skończy się na tym, że będziecie się wzajemnie unieszczęśliwiać, a ja nie chcę, żeby was to spotkało. Dlatego przyszedłem powiedzieć pani... musi pani wytłumaczyć Alistairowi, że nie może go poślubić. Głos Pegeen brzmiał bardzo pewnie.

Przede wszystkim, Edwardzie, Alistair nie zaproponował mi małżeństwa. Po drugie, gdyby nawet tak się stało, to nic panu do tego.

Edward zbliżył się o kilka kroków, ciekaw, jaką też ona ma minę. Niestety, Pegeen musiała być bardzo zła. Jej zielone oczy lśniły jak klejnoty.

Przeciwnie, dużo mi do tego - powiedział ciszej niż przedtem. - Alistair jest moim przyjacielem. Nie chcę widzieć go w nieszczęściu. Pegeen uniosła głowę i przeszyła go gniewnym spojrzeniem.

A skąd ta pewność, że go unieszczęśliwię?

Przede wszystkim jest pani dla niego zbyt uparta. Nie zna yo pani tak jak ja.

To, że usiadł na krawędzi łóżka, wydało mu się całkiem naturalne. Pegeen nie zaprotestowała, ale może ze złości po prostu tego nie zauważyła. Edward zaś przypomniał sobie, że mimo pozorów miękkości materac jest twardy.

-Proszę mnie zrozumieć, Pegeen - powiedział, odrzucając tomik poezji na ziemię. - Znam Alistaira całe życie. Wiem, jakiej kobiety potrzebuje. On powinien mieć cichą żonę, która będzie go pielęgnować i pilnować, żeby nosił skarpety do pary.

-Nie obchodzi mnie, jakie skarpety nosi mężczyzna - odparła cicho Pegeen.

Edwarda trochę rozpraszał fakt, że pod peniurem Pegeen ma

tylko cienką koronkową koszulkę. Wyraźnie widział zarysy jej sterczących piersi.

- No właśnie, Pegeen - powiedział i podniósł wzrok, by popatrzeć jej w oczy. - W tym problem. Alistair potrzebuje kobiety, którą interesują jego skarpety.

- Zdaje mi się, że Alistair jest dorosły - mruknęła Pegeen. Zaintrygowało go, dlaczego jej powieki zrobiły się nagle dziwnie ciężkie: zamiast oczu widział teraz tylko wąskie szparki. - Moim zdaniem, sam może zdecydować, jakiej kobiety potrzebuje.

- Myli się pani.

Edwardowi przyszło do głowy, że siedzą za blisko siebie. Czuł gorąco emanujące z prawie nagiego ciała Pegeen i wdychał kwiatowy aromat jej rozpuszczonych włosów. Dzieliły ich centymetry. Wystarczyłoby mu się pochylić i mógłby ją pocałować, posmakować jej różowych ust, wtulić twarz w szyję. Gdy uświadomił sobie, o czym myśli, bardzo się zdziwił. Dopiero po chwili zorientował się, że Pegeen coś do niego mówi.

- ...a nie sądzę, żeby to było uczciwe - ciągnęła swym gardłowym głosem, który budził u niego piękne wspomnienia. Najpierw mówi mi pan, że powinnam wyjść za męża, a kiedy ktoś rzeczywiście chce mnie poślubić, domaga się pan, bym mu odmówiła. Doprawdy, Edwardzie, zaczynam podejrzewać, że sam pan nie wie, czego chce. Miałam rację, gdy powiedziałem przed pańskim wyjazdem do Londynu, że pan się boi.

- Boję się jedynie tego - odburknął Edward - że wzajemnie zrujnujecie sobie życie. Nie sądziłem, Pegeen, że będę musiał się do tego uciec, ale skoro zamierzasz trwać w uporze, to nie mam wyjścia. Powiem mu.

Zielone oczy urosły do niewyobrażalnych rozmiarów.

- Co takiego?

- Nie chcę tego. To mu złamie serce. Ale nie mam wyboru.

Błyskawicznym ruchem odrzuciła kołdrę i uklękła obok niego, przyciskając dłonie do policzków.

Edwardzie, nie może pan tego zrobić! Po co? To go tylko zrani!

Nawet bardzo. Ale wtedy przynajmniej zastanowi się dwa razy, zanim panią poślubi.

Ku jego zaskoczeniu do oczu Pegeen napłynęły łzy. Małą pięścią wymierzyła mu wcale nielekki cios w korpus.

Jak pan może! - krzyknęła. - Naprawdę mógłby pan tak ohydnie postąpić?!

Próbując złapać oddech, Edward przycisnął dłonie do tułowia na wysokości splotu słonecznego. Boleśnie przypomniało mu się, jaka siłę mają ciosy Pegeen.

Nie może mnie pan mieć dla siebie, więc chce pan, żeby nie miał mnie nikt inny, tak? - spytała rozwścieczona. - Ty arogancki egoisto! I jeszcze się zastanawiasz, dlaczego nie chcę cię poślubić?!

Edward jeszcze czuł skutki poprzedniego uderzenia, gdy Pegeen zaatakowała go ponownie. Nigdy dotąd nie został napadnięty przez kobietę, więc nie bardzo wiedział, jak zareagować. Przed chwilą panna żałośnie płakała u jego boku, a teraz siedziała na nim okrakiem i wbijała jego ciało w materac nieprawdopodobnie silnymi pięściami. Przez chwilę leżał nieruchomo i patrzył w górę na to rozszalałe wcielenie gniewu. Widział groźnie lśniąca zielone oczy i powiewające czarne włosy.

Wnet jednak chwycił obie atakujące ręce za nadgarstki i zamknął je w stalowym uścisku. Pegeen walczyła jak tygrysica, ale w końcu Edward przygniótł ją do materaca ciężarem swego ciała, a ramiona przytrzymał jej nad głową.

Leż spokojnie, kotku! - mruknął.

Czuł dotyk falujących piersi zdyszanej Pegeen, spoglądającej na niego nienawistnie.

Niech pan puści - syknęła. - Niech mnie pan puści, bo zacznę krzyczeć. Przysięgam.

Ale ciało zdradziło Edwarda. Przypomniało sobie podobną

sytuację, kiedy ta sama zwinna, drobna kobieta leżała pod nim uległa i spragniona. Czując powiększające się grudki pod cienkim peniuarem, Edward jęknął. Wiedział, że i on szybko traci kontrolę nad sobą.

Poczuła to również Pegeen, a oczy, którymi się w niego wpatrywała, nie wyrażały już złości, lecz błaganie.

- Nie - westchnęła. - Puść mnie, Edwardzie, proszę. Puść mnie, zanim będzie za późno.

Ale już było za późno.

Nie, tylko nie to.

Znowu to samo.

Pegeen, przygnieciona ciężarem Edwarda, bezskutecznie walczyła z porywającą ją falą namiętności. Oboje pragnęli się równie mocno. I chociaż rozum podpowiadał im wstrzemięźliwość, to ciała zdawały się całkiem obojętne na te sugestie.

Pocałunki Edwarda były namiętne. Zdawało się, że chce ją posiąść wargami i językiem. Nie tylko usta, lecz również szyję, piersi i brzuch. Zdarł z niej peniuar, by móc wytyczyć gorący szlak pocałunków. Raz po raz wsysał wrażliwe, twarde grudki jej piersi, obejmował je też dłońmi, głaszcząc i przygniatając. Pegeen instynktownie wyprężyła ciało i naparła biodrami na Edwarda.

Natychmiast wtulił twarz w gęste, czarne włosy u zbiegu jej ud. W chwili gdy językiem odnalazł najwrażliwsze miejsce, Pegeen krzyknęła zaskoczona i zacisnęła dłoń, które dotąd głaskały go po głowie. Czują jego ręce na biodrach, świeży zarost drapiący delikatną skórę wnętrza ud i gorące usta, które wyzwalają w niej nieznane doznania. Odruchowo zacisnęła uda wokół głowy Edwarda, ruchami bioder podsuwając mu do pieszczot coraz to nowe miejsca.

W końcu Edward poczuł, że dłużej nie może zwlekać. Uniósł się nad Pegeen i zsunął spodnie. Wyciągnęła ręce, jakby chciała go powstrzymać, poruszona widokiem jego podniecenia, ale gdy opadł na nią i szepcząc schrypniętym głosem jej imię, odnalazł drogę do ciasnego, wilgotnego wnętrza, zacisnęła mu dłonie na ramionach i poddała się rytmowi silnych, głębokich pchnięć, z których każde zbliżało ją do granicy, za którą mogło być już tylko szaleństwo. Ilekroć Edward się cofał, ścisnęła go kurczowo, pocałunkami podsycając jego żądze...

Wreszcie eksplodował w jej wnętrzu, a Pegeen wydała chrapliwy okrzyk, oślepiona nagłym blaskiem. Potem leżeli w świetle płonącego kominka. Pegeen pomyślała, że powinna coś powiedzieć, ale wciąż jeszcze rozkoszowała się doznaniem, których dostarczył jej Edward, nie chciała więc rozwiać czaru tej chwili. Zamknąwszy oczy, pogłaskała go po czarnych, kręconych włosach i powtórzyła ten gest jeszcze wiele razy, nawet wtedy, gdy znalazła się po stronie snu.

Edward nie mógł zasnąć. Chodził tam i z powrotem po sypialni, ściskając szyjkę karafki, raz po raz przeczesał dłonią długie włosy i kłął pod nosem.

Wprawdzie twierdził, że do Londynu pojechał po to, by pozbyć się niechcianych gości, lecz tak naprawdę chodziło mu o to, by zapomnieć o pieszczoszce, która miała sypialnię w tym samym co on korytarzu Rawlings Manor. Jego pociąg do tej panny osiągnął wręcz niedorzeczną siłę i doprowadził do niespodziewanej kulminacji w wieczór balu. Potem Edward chciał postąpić honorowo, więc najpierw się oświadczył, a potem odgrodził od pokusy.

Już myślał, że się wyleczył.

Wmawiał sobie, że to był przelotny kaprys. Ta panna po prostu urozmaiciła mu życie, zaskoczyła go swą śmiałością, bystrością, oczarowała urodą i świeżością. Okazała się też wyjątkowo namiętna. Potrzebował tych kilku tygodni spokoju, aby odzyskać równowagę i uporządkować hierarchię ważności spraw. Miał niewiarygodne szczęście, że Pegeen odrzuciła jego oświadczenia, a jeszcze większe szczęście, że nie zaszła w ciążę.

Myślał, że się wyleczył.

Tymczasem od jego powrotu minął niecały tydzień. Dłuższe udawanie nie miało sensu. Pragnął jej. Wiedział, że nie powstrzyma się przed niczym, byle ją mieć. Tysiąc podróży do Londynu nie mogło go z tego wyleczyć.

Wciąż chodził po pokoju i raz po raz przytykał do ust szyjkę karafki. Na czole perlił mu się pot. Otworzył wszystkie okna w pokoju, ale nawet podmuchy zimnego wiatru znad wrzosowisk nie przynosiły ulgi jego rozpalonemu ciału. Nie miał pojęcia, co robić. Z pewnością nie mógł pozwolić, by sprawy toczyły się dalej tak jak teraz.

Zmęczony usiadł na czarnym, obitym skórą fotelu przy kominku i wbił wzrok w ogień. Czy to jest miłość? Nie potrafił znaleźć innej nazwy dla swoich uczuć. Nigdy czegoś podobnego nie przeżywał. Nieustannie wracał myślami do Pegeen. To była pierwsza kobieta, która doprowadziła go do takiego stanu. Co miał teraz robić?

Trudno. Musiał znaleźć sposób na skłonienie jej do małżeństwa.

Czy jednak miałby ożenić się z siostrą kobiety, która zamordowała jego brata? Było coś odstręczającego w takim pomysle. Z drugiej strony Pegeen nie ponosiła winy za zachowanie swojej siostry. Kogo obchodziło to, co zrobiła jej siostra? Dla niego ważne było tylko to, żeby Pegeen została jego żoną.

Ale co powiedzieć Alistairowi?

Edward zamknął oczy. Natychmiast przypomniał mu się widok Pegeen sprzed zaledwie godziny. Wargi lekko rozchylone we śnie, równy oddech. Gdy uniósł głowę spomiędzy jej piersi, wciąż trzymała dłonie w jego włosach. Pamiętał, jak czule go głaskała przed zaśnięciem i nawet jeszcze potem. Czy to możliwe, że wbrew swoim deklaracjom jednak się w nim zakochała?

Jego oświadczyzny potraktowała jak przejaw poczucia obowiązku. Miała rację, w swoim czasie rzeczywiście tak było. Czy mógł postąpić inaczej? Pegeen gościła w jego domu, była dziesięć lat młodszą, a on po prostu ją wykorzystał. Nieważne, że sama

z entuzjazmem w tym uczestniczyła. Dżentelmeni nie śpiąją ze swoimi niedoświadczonymi szwagierkami. To, że Edward nigdy nie uważał się za dżentelmena, a Pegeen również nie próbowała udawać damy, nie zmieniało faktu.

Jeszcze próbował wszystko poukładać, ale Pegeen zniweczyła jego dobre intencje. A potem historia się powtórzyła. Rozkosz miłosnego uniesienia była jeszcze większa niż za pierwszym razem i Edwarda ogarnęła tęsknota nie do opanowania.

Nic dziwnego, że zostawił śpiącą pannę i poszedł szukać ukojenia w karafce whisky.

Dopiero przed świtem zapadł w niespokojny sen, a osobisty służący zbudził go około południa. Niestety, od razu na dzień dobry miał przykrą nowinę.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milordzie - powiedział, kar cąco spoglądając na buty, których Edward nie zdjął przed położeniem się spać - ale może chciałbyś wiedzieć, że na dole jest lady Ashbury.

Edward, który leżał w ubraniu na kanapie, natychmiast usiadł.

- Arabella? -Jego zaspany głos brzmiał jeszcze bardziej warkliwie niż zwykle. - Mój Boże, Arabella tutaj?

- Tak, proszę pana. - Daniels podniósł halsztuk z podłogi i obejrzał go z wyraźnym niesmakiem. Chce się z panem widzieć. Czy mogę poradzić, żeby pan się ogolił przed zejściem na dół?

Edward oparł łokcie na kolanach i machinalnie przesunął dłońmi po policzkach pokrytych świeżym zarostem. Arabella tutaj? Dlaczego nie w Londynie? Do diabła, cóż za niesprzyjającą chwila na tę wizytę. Co sobie pomyśli Pegeen?

No, właśnie. Co zrobić z Pegeen?

Edward zerknął na służącego i z wystudiowaną nonszalancją zapytał:

- Czy ktoś towarzyszy wicehrabinie, czy może przyjechała sama?

Daniels obchodził pokój, po drodze odkładając na miejsce przedmioty, które Edward porzucił poprzedniego wieczoru.

- O ile wiem, tymczasem dotrzymuje jej towarzystwa pan Cartwright. Są w pokoju dziennym.

- Czy pan Cartwright...? Czy są sami? Chcę powiedzieć... Może wiesz, Daniels, czy jest z nimi panna MacDougal?

Na szczęście Daniels pokręcił głową, choć równie dobrze mógł tak zareagować na widok przewróconej karafki, którą właśnie odkrył na podłodze za kanapą.

- Nie, proszę pana - powiedział obojętnie. - Niedawno przyjechała panna Annę Herbert. Sądzę, że panna MacDougal towarzyszy jej w szklarni.

Edward odetchnął z ulgą. Los przynajmniej oszczędził Pegeen przyjmowania jego byłej kochanki dzień po... no, właśnie: dzień po. Może Alistair dowiedział się zawczasu o przyjeździe Arabelli i dopilnował, żeby Pegeen się na nią nie natknęła.

Co, na Boga, zrobić z Alistairem?

Dziesięć minut później Edward wykąpany, ogolony i gruntownie przebrany stanął na progu dziennego pokoju, starając się ukryć kwaśny grymas, uznał bowiem, że Arabelli lepiej się zanadto nie narażać. Rozzłoszczona wicehrabina była zdolna do wszystkiego.

- Witaj, Arabello - powiedział. Nie starał się jednak wykrzesać z siebie entuzjazmu. - To miło, że przyjechałaś.

Arabella odwróciła się tyłem do okna i przesłała mu uśmiech. Jak zawsze hołdując najnowszej modzie, miała na sobie lazurową suknię pod szyję, obficie zdobioną białą koronką. Obok niej stał Alistair z miną tak żalną, że aż prawie śmieszna. Na widok Edwarda wyraźnie się rozchmurzył.

- Ach, Eddie! - zawołał. - Wyglądasz okropnie. Czyżbyś wczoraj wieczorem wypił, staruszk, trochę za dużo sławnego porto Rawlingsów?

Edward odpowiedział mu nieznacznym uniesieniem kącika ust, ale ich druga połowa była wyraźnie niedopasowana do tego

półśmiechu. Widok znajomej, ufnej twarzy z haczykowatym nosem obudził w nim wyrzuty sumienia. Jak, u diabła, powiedzieć to Alistairowi? I co właściwie mu powiedzieć? „Posłuchaj, Cartwright, przykro mi, ale zakochałem się w tej pannie, do której smalisz cholewki, więc musisz się z tym pogodzić, staruszk”. Edward wcale nie był przekonany, czy Alistair potulnie się wycofa. Ostatnio, gdy pokłócili się o pannę, skończyło się to bójką. Tym razem mogło być jeszcze gorzej. Nie należało wykluczać nawet pojedynku.

- Czy to nie miło ze strony naszej starej, poczciwej Arabelli - Alistair uśmiechnął się blade do wicehrabiny - że przyjechała odwiedzić Pegeen? Niestety, panna Herbert przyjechała pierwsza i gdzieś ją porwała. Pani Praehurst próbuje je wytropić.

Edward zdobył się na uśmiech.

- Zaiste miło.

Arabella miała minę kota, który szykuje się do polowania. Naturalnie jej wizycie przyświecał konkretny powód, toteż niezwłocznie go wyłuszczyła.

- Pozwoliłam sobie na te niespodziewane odwiedziny, Edwardzie - powiedziała z wdziękiem - bo wstyd mi wobec biednej panny MacDougal.

Edward zrobił zdziwioną minę.

- Czyżby? A dlaczego?

- Och, mieszkamy o rzut kamieniem od siebie, a ja jeszcze nie zaprosiłam nowej sąsiadki na herbatę do Ashbury House. Czuję się bardzo tym zawstydzona.

Niestety, nie dość zawstydzona, by trzymać się z dala od Rawlings Manor, pomyślał Edward. Zastanawiał się, jak długo Arabella zamierza go zatrzymać w pokoju dziennym. Był gotów znieść najwyżej pięć minut. Potem musiał porozmawiać w cztery oczy z Alistairem i odszukać Pegeen. Postanowił, że nie będzie dłużej ukrywał swoich uczuć. To było ponad ludzkie siły.

Ignorując mało zachęcające milczenie Edwarda, Arabella zaczęła

przechadzać się po pokoju, starając się, by jej spódnica uroczo falowała. Edward rozszyfrował ten manewr. Zakrył usta, próbując ukryć ziewnięcie. Chętnie zjadłby śniadanie. Gdzie się podział Evers z kawą?

- Powiedziałam więc sobie: „Arabelciu kochana... - Arabella uwielbiała zdrabniać swoje imię - ...musisz jak najszybciej za prosić pannę MacDougal na obiad do Ashbury House”. - Arabella przystanęła obok Edwarda. Pociągnęła go za rękaw fraka i z miną winowajczyni spojrzała mu prosto w przejrzyste, szare oczy. Przyjechałam więc wystosować zaproszenie osobiście, żeby trudniej ci było odmówić. Nie odmówisz mi, Edwardzie, prawda?

Zatrzepotała rękami tak, jakby naprawdę była zawstydzona. Edward przewrócił oczami.

- Niech będzie, Arabello, jak sobie życzysz. Ale na razie wróć do siebie. Chcę zjeść śniadanie.

Arabella natychmiast puściła rękaw.

Och, Edwardzie, zawsze byłeś grubianinem. Oczekuję was wszystkich punktualnie o ósmej. A wy dwaj macie być trzeźwi. - Odwróciła się do drzwi.

Co?! Grzmiący głos Edwarda zatrzymał ją w pół drogi. Odwróciła się i przybrawszy nadąsaną minę, powiedziała:

- Doprawdy, Edwardzie. Tyle razy prosiłam cię, żebyś nie mówił „co?”. To jest niestosownie pospolite...

- Nie możemy dzisiaj zjeść z tobą obiadu - powiedział z naciskiem Edward.

- Dlaczego nie? Czyżbyście mieli inne plany?

- Tak - odparł Edward. - Prawda, Cartwright?

Alistair usadowił się tymczasem w miękkim fotelu i machinalnie zapatrzył w ogień. Edward nie wątpił, że przyjaciel marzy o białych udach panny MacDougal... no, nie, o udach nie, przecież nigdy ich nie widział. Gdyby było inaczej, Edward musiałby go zabić.

Edward pokonał trzema dużymi krokami odległość dzielącą go od przyjaciela i kopnął fotel, w ten sposób wyrzuwając Alistaira z rozmarzenia.

- Prawda, Cartwright? - powtórzył groźnie.

- Nie wiem, o czym mówisz, staruszk - odrzekł Alistair, mrugając jak człowiek, który właśnie zbudził się z drzemki. Plany na dziś wieczór? Nie, nie mamy żadnych planów.

Zachwycona Arabella klasnęła w dłonie.

- To wspaniale! Oczekuję was punktualnie o ósmej. Nie zapomnijcie wziąć z sobą młodego księcia. Bardzo chciałabym lepiej poznać to urocze dziecko. Do zobaczenia, panowie.

Znalazła się za drzwiami, zanim Edward zdążył zaprotestować. Naturalnie sprzeczenie się z Arabella w ogóle nie miało sensu. Jeśli nie podobało jej się to, co ktoś mówił, po prostu udawała, że tego nie słyszy.

Do pioruna, co za niezręczna sytuacja. Teraz trzeba będzie wytrzymać długi i nieprawdopodobnie nudny obiad, a przy okazji również Cartwrighta wpatrującego się w Pegeen cielęcymi oczami. Nie. Co to, to nie. Edward postanowił niezwłocznie porozmawiać z przyjacielem, a obiad u Arabelli niech diabli wezmą. Odwrócił się i zaczął dość niepewnie:

- Posłuchaj, Cartwright...

Drzwi pokoju nagle się otworzyły i na progu ukazał się Evers, niosący na tacy kawę i jedzenie.

Śniadanie, milordzie - oznajmił.

- Dobrze, dobrze - mruknął Edward, zbywając kamerdynera lekceważącym gestem. - Postaw to gdziekolwiek.

Evers spokojnie rozłożył śniadaniową zastawę na stole. Edward przyglądał się zastraszająco wolnym postępowi w tej czynności z bardzo kwaśną miną. Tymczasem Alistair, wciąż spoczywający na fotelu, powiedział nieprzytomnie:

- Mam nadzieję, że Arabella nie poda znowu tych przeklętych przepiórczych jaj w galarecie. Tego nie zniósę.

Edward aż się zatrząsł. Ech, do diabła z Eversem. Nie takie rzeczy słyszał.

- Posłuchaj, Alistair. Chodzi o Pegeen.

Alistair oderwał wzrok od swojego paznokcia, który od dłuższej chwili pilnie badał.

- O Pegeen? - Zauważył zbolaną twarz przyjaciela, więc zrobił błagalną minę. - Edwardzie, proszę cię, nie zaczynajmy jeszcze raz rozmowy o tym, że nie powinienem się do niej zalecać. Nie mogę znieść twojego nudzenia o tym, jak to Pegeen jest jeszcze dzieckiem i znajduje się pod twoją opieką...

- Milordzie. - Evers stanął sztywno wyprostowany. - Czy jestem jeszcze potrzebny?

Edward podziękował mu skinieniem głowy i starszek opuścił pokój, ale wyraźnie było słychać jego cichutki chichot. A więc teraz cała służba się dowie. Do diabła z tym, i tak wszystkim się zdawało, że wiedzą. Edward postanowił zacząć rozmowę od początku.

- Posłuchaj, starszku - zaczął, ale drzwi znowu się otworzyły. Tym razem zmaterializował się w nich temat ich rozmowy. Pegeen stanęła jak wryta na widok Edwarda, wcale nie mniej zdumionego. Oboje poczuli, jak policzki zalewa im rumieniec. Edward nie był w stanie wytrzymać spojrzenia Pegeen, utkwił więc wzrok w spódnicę jej zielonej, aksamitnej sukni.

- Bardzo przepraszam - powiedziała swym gardłowym głosem, który zdawał się źle dobrany do jej delikatnej budowy. - Myślałam... Evers powiedział mi, że przyjechała lady Ashbury i chce mnie zobaczyć.

- Była tu i rzeczywiście chciała - potwierdził Alistair, który zerwał się z fotela i natychmiast stanął przy Pegeen. - Ale Rawlings pozbył się jej za cenę obietnicy zjedzenia z nią obiadu dziś wieczorem.

Edward szybko pochwycił spojrzenie Pegeen, bardzo się bojąc, by nie nabrała niewłaściwego wyobrażenia o sytuacji.

- Wicehrabina zaprosiła nas wszystkich do Ashbury House - powiedział. - Nie mogłem wymyślić zręcznej wymówki, a obecny tu pan Cartwright...

- Co ja takiego zrobiłem? - obruszył się Alistair. Ujął Pegeen za rękę i pociągnął ją w stronę niewielkiej kanapy. Wyraźnie miał ochotę usiąść z nią i o czymś poszeptać. Edwarda bardzo ucieszyło, że Pegeen stawiła mu opór.

- Nie, nie, panie Cartwright - powiedziała, próbując uwolnić rękę z jego uścisku. - Muszę wrócić do szklarni. Czeka na mnie Annę...

- Nudna jest, niech poczeka... - Alistair wczuł się w rolę młodzieńca zakochanego do obłędu. Edward przesłał mu gniewne spojrzenie, ale zrobiło ono wrażenie jedynie na Pegeen, która jeszcze bardziej się zmieszala.

- Nie mogę na to pozwolić - odparła, teraz już bardzo stanowczo próbując wyrwać rękę z uścisku. - Nie mogę również dziś wieczorem zjeść obiadu w Ashbury House, ponieważ zaprosiłam Annę na obiad tutaj.

Edward miał tego dość. Jednym susem znalazł się przy Pegeen. Chwycił Alistaira za nadgarstek i wykręcił mu rękę. Ten natychmiast puścił Pegeen, choć atak przyjaciela bardziej go zdziwił, niż sprawił mu ból. Pegeen cofnęła ręce i zaczęła oglądać sobie palce, jakby obawiała się, czy nie zostały zmiażdżone.

Alistair, prawie zgięty wpół wskutek dźwigni, którą zastosował Edward, burknął:

- Miej litość, Rawlings. Chcesz mi złamać rękę?

Nie zwalaniając uścisku, Edward szepnął przyjacielowi do ucha:

- To nie jest zły pomysł. Nauczyłbyś się, chłopie, trzymać ręce przy sobie.

- O co ci chodzi? - Alistairowi łamał się głos. Ból musiał jednak dać mu się we znaki. - Ja tylko...

- Edwardzie! - Pegeen przestała zajmować się swoimi palcami

i przybrała bardzo gniewną pozę, wsparłszy się pod boki. Już opanowała zmieszanie i zdążyła bardzo się zniecierpliwic. - Nie zachowuj się jak szalencie! Puść go.

- Posłuchaj jej, Eddie - poparł ją Alistair. Przy słowie „Eddie” Edward spojrzął na niego wściekle i mocniej wykręcił mu rękę. Alistair zawył z bólu.

Pegeen skoczyła na nich jak kocica rozdzielająca swoje dzieci.

- Edwardzie - skarciła go, wymierzywszy mu mocne uderzenie dłonią w tył głowy. - Puść go natychmiast! Czy wy dwaj naprawdę...?

Edward był tak zaskoczony jej interwencją, że istotnie puścił Alistaira, który uciekł w drugi koniec pokoju, przyciskając do boku bolącą rękę. Co ona wyrabia? - pomyślał Edward. Nie wdzięcznica. Przecież wcale nie czerpał przyjemności z tego, że sprawia ból przyjacielowi. No, może niewielką.

Przynajmniej jednak nie spieszyło jej się do pocieszenia Alistaira po doznanej przezeń krzywdzie. Przesławszy im obu potępiające spojrzenie, stanęła pośrodku pokoju wsparta pod boki. Policzki jej pałały. Wyglądała tak uroczo, że Edward najchętniej by ją pocałował.

Pegeen jednakże była bardzo niezadowolona.

- Jeśli pozwolicie, panowie - powiedziała - wrócę teraz do mojej przyjaciółki w szklarni. Nie będę obecna podczas obiadu z wicehrabiną, więc życzę wam miłego wieczoru. Do zobaczenia.

Zamiotła krynoliną, rekompensując panom tę rugę przelotnym widokiem swych smukłych kostek, i opuściła pokój. Edward zerknął na Alistaira, przekonał się, że przyjaciel wciąż zajmuje się swoją obolałą kończyną, i pospieszył za Pegeen. Dogonił ją w wielkiej sali, chwycił za smukłe ramię i wciągnął za masywny, drewniany filar.

Pegeen chciała się cofnąć, ale filar zagroził jej drogę. Nie miała innego wyjścia, jak robić dobrą minę do złej gry, więc dumnie uniosła głowę i przybrała nonszalancką pozę.

- Czego pan chcesz? - spytała napastliwie, krzyżując ramiona na piersiach.

Edward oparł ramiona o filar tak, że uwięził Pegeen między nimi. Spojrzął na nią z góry, świadom tego, że serce zabiło mu mocniej. Jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia jak ta wątła, zielonooka czarownica. Jakaś magiczną sztuczką skradła mu serce, a co gorsza Edward wcale nie chciał go odzyskać.

- Posłuchaj mnie, pani - powiedział tubalnym głosem. Pochwycił nozdrzami lekką, świeżą woń pachnidła, może z polnych kwiatów? To go rozproszyło. Nie uszło jednak jego uwagi, że wargi Pegeen pozostają czarująco pełne, nawet gdy są zaciśnięte.

- Co? - spytała zniecierpliwiona. - Czego pan chce? Anne Herbert czeka na mnie...

- Wiem, wiem, w szklarni. - Na miłość Boską, czy ta panna jest z kamienia? Jak mogła zapomnieć te namiętne chwile, które razem przeżyli ostatniego wieczoru? - Proszę posłuchać, Pegeen. Masz coś do powiedzenia Alistairowi.

- Ja? - Głos Pegeen stał się o oktawę wyższy. - A to ci dopiero!

- Pst! - Edward położył jej palec na ustach. - Nie tak głośno, bo Alistair usłyszy...

- On jest pana gościem - odparła Pegeen, nie zważając na palce Edwarda. - To pan powinien mu coś powiedzieć.

- Już to zrobiłem. - Odsunął jej rękę od ust i widząc, że Pegeen próbuje wysunąć się z jego objęć, unieruchomił jej rękę przy talii. Co się z nią dzieje? Po ostatnim wieczorze nie przypuszczałby, że jeszcze coś może ją zawstydzić. Czemu tak się usztyniła? - Alistair nie chce mnie słuchać, Pegeen. A ja nie chcę go urazić...

- Ja też nie.

- Będzie pani musiała. Chyba że chce pani być świadkiem tego, jak spiorę go na kwaśne jabłko.

- Nie rozumiem, dlaczego zachowuje się pan jak dziecko. - Pegeen zniżyła głos do szeptu, wciąż jednak sprawiała takie

wrażenie, jakby rugała urwipolcia. - To, co zaszło między nami ostatniej nocy, niczego nie zmienia. Edward wytrzeszczył na nią oczy.

- Jak to? Niemożliwe. To zmienia wszystko!

- Nie. - Jeszcze bardziej wysunęła podbródek do przodu. - Po prostu znowu straciliśmy głowę. Najlepiej, żebyśmy o tym zapomnieli i robili to, co do nas należy.

- Pegeen, oszalałaś? Nie rozumiesz? Kocham...

Nie spodziewał się takiego zakończenia. Nagle tuż przy jego twarzy pojawiła się ręka i wymierzyła mu policzek. Nie poczuł bólu, ale jakże uraziło to jego godność. Spojrzał oszołomiony na tę porywczą pannę. Chciał jej wyznać miłość, a ona go uderzyła! Czyżby była niezrównoważona? Ale w jej oczach zobaczył łzy, a nie wyraz nienawiści. Pegeen chlipnęła. Edward nie wiedział, co robić. Co się z nią dzieje? Co znowu źle zrobił?

Chciał ją chwycić za ramiona, żeby mu nie uciekła, ale nie zdążył. Zaszeleściła suknia, pantofelki na wysokim obcasie zastukały na kamiennej posadzce korytarza. Pozostało mu śledzić wzrokiem oddalającą się postać, przyciskając dłoń do policzka.

Coś ją ugryzło. Postanowił dać jej trochę czasu na ochłonięcie i spróbować jeszcze raz.

Co innego mógł zrobić?

27

Upewniwszy się, że drzwi do sypialni są zamknięte na klucz, a w pobliżu nikogo nie ma, Pegeen bezsilnie rzuciła się na łóżko. O, Boże! Co teraz zrobić? Dusił ją szloch. Skąd u niej takie niedorzeczne zachowanie?

Czy nie na to czekała? Czy nie o tym marzyła od tygodni? Edward Rawlings ją pokochał, a co ona zrobiła? Wymierzyła mu policzek!

Nie mogła opanować szloch, lecz starała się przynajmniej racjonalnie pomyśleć. Swojego zachowania nie umiała wytłumaczyć inaczej niż strachem. Bała się. Ale czego? Z pewnością nie Edwarda. Przecież przyszła chwila, o której od dawna marzyła. Wreszcie Edward powiedział to, na co czekała, lecz ona uciekła jak opętana. O, Boże!

Po kilku minutach trochę się opanowała i otarła oczy aksamitnym rękawem sukni. Już wiedziała, czego się boi, ale ta wiedza była dla niej paraliżująca.

Musiała wyjawić Edwardowi sekret, straszny sekret, którego nie znał nawet Jeremy. Edward ją znienawidzi, gdy się o tym dowie. Co gorsza, będzie miał do tego powód.

Po co w ogóle przyjechała do Rawlings? Po co usłyszała

o Rawlings? Mogliby dalej mieszkać z Jeremym w Applesby tak jak dawniej. Gorzko żałowała dnia, w którym poznała sir Arthura Herberta. Ale trudno, stało się. Tylko co dalej?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Obawiając się, że to Edward, Pegeen zawołała ochryplym od płaczu głosem:

- Idź sobie!

- Pegeen? - Zza ciężkich drzwi doleciał ją zatroskany głos Annę Herbert. - Czy wszystko w porządku? Lord Edward przysłał mnie z pytaniem, czy czegoś nie potrzebujesz. Powiedział, że źle się poczułaś.

Wydawszy z siebie ostatnie chlipnięcie, Pegeen wstała i otworzyła drzwi. Annę wyglądała tak, jakby próbowała nie dziwić się na widok nieszczęśliwej, zapłakanej twarzy przyjaciółki.

- Przepraszam, Annę - powiedziała Pegeen, unikając jej wzroku. - Zdaje się, że mam dzisiaj zły dzień. - I znów zaczęła płakać.

Annę Herbert, rozsądna, zwyczajna panna, okazała się w tej chwili wymarzoną towarzyszką. Nie próbowała dopytywać się o powód rozżalenia Pegeen, lecz zaczęła ją serdecznie pocieszać. Kojącym głosem mówiła, że wszystko będzie dobrze, i namówiła ją na wzięcie odrobiny laudanum z flakonika zostawionego przez pana Parksa po wypadku powozu.

- Przepraszam - powtórzyła Pegeen. Wkrótce poczuła się znacznie lepiej. Naturalnie zawdzięczała to laudanum, ale naprawdę była skłonna uwierzyć, że wszystko się ułoży.

- Nie wiem, co mnie naszło. Bardzo mi głupio. Czy wyglądam jak straszny?

- Wyglądasz uroczo jak zawsze. - Annę uśmiechnęła się do niej. - Poprośmy panią Praehurst, żeby podała nam herbatę, usiądziemy przy kominku i pomyślimy, jak się ubierzesz na obiad w Ashbury House.

Pegeen żałośnie jęknęła.

- Chyba żartujesz. Nie idę dzisiaj do Ashbury House!

- Idziesz, idziesz. - Annę była bardzo stanowcza. - Lord Ed-

ward powiedział mi, że wicehrabina zaprosiła was wszystkich i nie było sposobu, żeby odrzucić to zaproszenie.

- Lord Edward może sobie dużo mówić. Co za zuchwałość!

Lęk Pegeen przerodził się w głębokie oburzenie. Mimo że była beznadziejnie zakochana, nie przestała dostrzegać, jakim krętaczem i intrygantem potrafi być Edward. Ośmielił się powiedzieć osobistemu gościowi Pegeen, że ona ma inne plany na wieczór! A potem jeszcze przysłał do niej tę biedaczkę, żeby ją uspokoiła! Teraz już ani trochę nie żałowała, że wymierzyła mu policzek.

- Bez ciebie nie pojedę do Ashbury House - powiedziała z uporem.

Annę wpadła w popłoch.

- Nie, Pegeen. Nie mogę z tobą jechać. Nie zostałam zaproszona...

- Ja cię zapraszam.

- Ale nie mam co na siebie włożyć...

- Pożyczę ci którąś z moich sukni.

- Nie będzie pasować. Jesteś o wiele węższa w talii niż ja.

- Każę Lucy popuścić zaszewki. Możesz włożyć tę niebieską suknię z tafty. Będzie ci ślicznie pasować do oczu.

Pegeen była niezłomna. Postanowiła, że nie zostanie sam na sam z Alistairem i Edwardem nawet na okres jazdy między posiadłościami. Jeśli okaże się to konieczne, będzie dotrzymywać towarzystwa Annę Herbert nie tylko przez cały wieczór, lecz nawet do końca miesiąca. Nie miała siły znosić ataków zazdrości dwóch panów. Również rozmowy z jednym z nich były absolutnie wykluczone. Jej cierpliwość się wyczerpała.

Zbiła więc wszystkie argumenty Annę i przywoławszy lokaja, wysłała go do Ashbury House z wiadomością, żeby oczekiwano czterech osób z Rawlings Manor na obiedzie. Potem wespół z Lucy zaczęły przeobrażać Annę w modną damę.

Zanim Edward przysłał na górę wiadomość, że od półgodziny czekają z Alistairem na dole i jeśli Pegeen się nie pospieszy, nic

nie uratuje ich przed spóźnieniem, Annę Herbert wyglądała olśniewająco, a Pegeen prawie odzyskała spokój ducha. Obie stanęły jednocześnie u szczytu schodów, Annę w turkusowej taftce, a Pegeen w pawiej zieleni. Pierwsza zeszła na dół Annę, Pegeen jeszcze trochę się ociągała, bała się bowiem spojrzeć Edwardowi w oczy.

Niepotrzebnie się martwiła. Edward, zdaje się, również nie miał ochoty wspominać o popołudniowym zającu. Tylko bacznie się przyjrzał jej nienaturalnie intensywnym rumieńcom oraz gorączkowo błyszczącym oczom. Ale Pegeen przez cały czas miała spuszczone wzrok i podniosła go tylko na chwilę, gdy Edward bez słowa odepchnął Alistaira i podał jej ramię.

Już miała go skarcić za brak manier, gdy nagle oczy zapłonęły jej radością na widok Jeremy'ego, który ubrany w swoje najlepsze aksamitne spodnie stał oparty o ozdobny słupek poręczy schodów.

- Jerry! - zawołała głosem, w którym wciąż jeszcze pobrzmiwały echa długotrwałego płaczu. - Co ty tutaj robisz tak pięknie ubrany? Czy nie czas położyć się do łóżka?

- A skądże. - Jeremy wydawał się oburzony jej niewiedzą. - Jadę z wami na obiad do Ashbury House.

Dziwactwo tego pomysłu i uroczysty ton, jakim Jeremy oznajmił swoje zamiary, znów wytrąciły Pegeen z równowagi. Roześmiała się nerowowo.

- Nie ma mowy - wydusiła z siebie w końcu. - Natychmiast idź do siebie na górę i połóż się do łóżka.

Jeremy spojrział na nią ze złością, a Edward powiedział cicho:

- Obawiam się, Pegeen, że Jeremy jedzie z nami. Arabelli bardzo zależało na jego obecności.

Pegeen przestała się śmiać.

- Nic mnie nie obchodzi, na czym zależy Arabelli. Jeremy jest małym chłopcem i powinien już leżeć w łóżku.

- Och, Pegeen! - Jeremy porzucił swoją arogancką pozę i tupnął nogą. - Jak to możliwe, że wolno mi jeść z dorosłymi w Rawlings, ale jestem za mały, żeby jeść z dorosłymi w Ashbury House?

- Nie w tym rzecz, kochanie, tylko...

- Pegeen, niech mu pani pozwoli. - Alistair z grzeczności ofiarował ramię Annę Herbert. Był wyraźnie zadowolony ze skrepowania Pegeen w towarzystwie Edwarda. - Prędeż czy później musi się do tego przyzwyczaić.

Również Edward poparł bratanka.

- Jeszcze nie jest tak późno, Pegeen - powiedział dudniącym głosem. - Jeśli pojedzie, Arabella będzie miała dobrą zabawę... i powstrzyma się przed poruszaniem innych tematów.

Pegeen musiała przyznać, że obecność Jeremy'ego gwarantuje utrzymanie konwersacji przy stole w granicach przyzwoitości, wszak rozmowa z udziałem wicehrabiny zwykle zbaczała na grząski grunt. Wydawszy wargi, wzruszyła obnażonymi ramionami.

- Zgoda - powiedziała. - Jeremy, możesz jechać, ale pod warunkiem, że będziesz zachowywał się bez zarzutu. Zrozu miałeś?

Chłopiec energicznie skinął głową i potulnie poddał się przeszukaniu kieszeni, które zakończyło się konfiskatą procy i łasiczki. Potem jak z katapulty wyskoczył z domu i pognął do powozu.

Pegeen wkrótce odkryła, że choć Edward raczej nie zamierza ponawiać miłosnych wyznań, to nie dopuszcza nikogo innego, by służył jej ramieniem. Osobiście pomógł jej wsiąść do powozu i zajął miejsce obok niej. Jeśli miała wątpliwości co do głębi jego uczuć, to tym pokazem przykładowych manier znacznie je osłabił.

Alistaira ta demonstracja zirytowała, więc przez całą drogę patrzył na Edwarda bardzo koso, poza tym był jednak bezsilny. Pegeen cieszyła się z obecności Annę, która z wielkim taktem starała się nie dostrzegać napiętej atmosfery. Jeremy, jak zawsze, jechał na koźle przy stangrecie, chociaż było zimno jak w psiarni.

Gdy zatrzymali się na półkolistym podjeździe przed Ashbury House, paskudnie wyglądającym budynkiem z cegieł, Pegeen poczuła się raźniej, przekonała się bowiem, że nie są jedynymi

gośćmi. Stał tam również drugi, dość pretensjonalny pojazd. Gdy Bates zszedł z Jeremy'ego z kozła, chłopiec, szcękając zębami, powiadomił Pegeen, że jest to czterokonna kareta z Londynu. Pegeen przez chwilę zastanawiała się, zresztą bez szczególnego zainteresowania, czyje towarzystwo zamierza im narzucić wicehrabina. Z pewnością nikogo szacownego, na co wskazywało jaskrawoczerwone wykończenie pudła karety.

Lokaje, którzy powitali gości z Rawlings, mieli niebiesko-złote liberie i staromodne, pudrowane peruki, na widok których Jeremy wybuchnął śmiechem. Ponieważ jednak Pegeen pstryknęła go w ucho, natychmiast zamilkł. Damy wprowadzono do jednej z sypialni na górze, aby mogły zdjąć okrycia i zadbać o naprawę zniszczeń, jakich doznała ich uroda podczas podróży przez wrzosowiska. Podczas gdy Pegeen przyszczypywała policzki, by ładnie się zarumieniły, zauważyła pelerynę podbitą gronostajami, leżącą na łóżku. Okrycie bez wątplenia należało do właścicielki niegustownej karety. Peleryna była fioletowa, droga i dość ordynarna. Pegeen nie zdradziła się ze swymi podejrzeniami przed Annę, uznała jednak, że pozostali goście wicehrabiny niekoniecznie wywodzą się z wyższych sfer.

Annę wprawdzie nie zwróciła uwagi na to okrycie, lecz zauważyła dziwne zachowanie Edwarda i jakby na złość Pegeen wspomniała o nim, choć bardzo oględnie.

- Wiesz, Pegeen... - powiedziała, udając całkowite zaabsorbowanie widokiem swojej postaci w lustrze, znajdującym się w kącie sypialni. - Mam nadzieję, że w razie gdybyś kiedykolwiek odczuła potrzebę opuszczenia... Rawlings Manor na pewien czas, rozważyłabyś możliwość zatrzymania się u nas, w Herbert Park. - Uroczo się zaczerwieniła. Chciała powiedzieć „opuszczenia Edwarda Rawlingsa”, ale w ostatniej chwili znalazła delikatniejszy sposób wyrażenia swoich myśli.

Pegeen była pod wrażeniem spostrzegawczości Anny. Ciepło się do niej uśmiechnęła i odrzekła:

- To całkiem dobry pomysł. Może jutro, kiedy ojciec przyśle po ciebie powóz, spakuję niewielki sakwojaż i rzeczywiście z tobą pojedę. Tylko na kilka dni.

- Naturalnie. - Annę odwróciła się od lustra i uśmiechnęła do niej całkiem szczerze. - Na pewno bardzo miło spędzimy ten czas, tak samo jak wtedy, kiedy gościłaś u nas pierwszy raz, z Jeremym, w drodze do Rawlings z Londynu.

Pegeen z wdzięcznością uścisnęła jej dłoń. Jak dobrze mieć życzliwą przyjaciółkę. Annę podsunęła jej najlepszą możliwą myśl: na pewien czas wyjechać z Rawlings Manor. Może kilka dni spokoju wystarczy jej na przemyślenie swoich problemów. Musiała znaleźć sposób, by przekonać Edwarda, że biorąc ją za żonę, popełniłby wielką życiową omyłkę. Tymczasem jednak nie potrafiła wymyślić dobrego sposobu, by to osiągnąć, oprócz powiedzenia Edwardowi prawdy. A prawdy nie mogła mu powiedzieć, już wolałaby wrócić do Applesby.

Dokończywszy toalety, obie panny zeszły na dół. Edward, Alistair i Jeremy czekali na nie u podnóża schodów razem z kamerdynerem Ashburych. I znów Pegeen musiała wesprzeć się na ramieniu Edwarda Rawlingsa. Nawet ukradkiem się uśmiechnęła, widząc kolejny przejaw jego zazdrości. Ale gdy Edward spojrział na nią z kamienną twarzą, uśmiech zamarł jej na ustach. Biedak! Co on musi o niej teraz myśleć! Próbuje się oświadczyć, a ona ucieka przed nim jak przed skazańcem. Gdyby chociaż mogła mu wszystko wytłumaczyć...

- Jego wysokość książę Rawlings - oznajmił kamerdyner Ashburych i Jeremy z dumnie wypiętą pierśią wkroczył do salonu, w którym czekali wicehrabina i jej goście. Pegeen z trudem powstrzymała chichot.

Kamerdyner zrobił pauzę, a potem zaanonsował:

- Lord Edward Rawlings i panna Pegeen MacDougal.

Pegeen poczuła, jak ramię Edwarda tężeje. Przekroczyli próg i znaleźli się w brzoskwiniowo-białym, dość dusznym pokoju.

Pegeen zdążyła już przykleić do warg stosowny uśmiech i właśnie odwracała się, by podać rękę Arabelli Ashbury, która z sobie tylko znanego powodu uśmiechała się bardzo szeroko, gdy nagle jej wzrok padł na drugą kobietę obecną w pokoju. Ta, widząc wchodzących, raptownie wstała.

Niewątpliwie to właśnie ona była właścicielką fioletowej pele-ryny. Suknię miała modną, lecz nieco zbyt krzykliwą, w zjadliwym odcieniu różu, z bardzo śmiałym dekoltem. W smolistoczarne włosy wpięła pióra dopasowane kolorystycznie do sukni, a jej grubawą szyję zdobiły szmaragdy lśniące podobnie jak zielone oczy. Na widok Pegeen oczy te otworzyły się szerzej, a Pegeen wydało się nagle, że opada w mroczną czeluść.

Kobietą, która skrzyżowała z nią spojrzenie, była jej siostra Katherine.

28

Edward poczuł, jak Pegeen konwulsyjnie zaciska palce na jego ramieniu; zaraz potem zaczęła się osuwać na ziemię.

Zręcznie ją podtrzymał, zanim upadła na dywan, potem wziął na ręce i przeniósł na jedną z sofek. Ułożywszy ją na białych poduchach, przyklęknął obok. Nie miał pojęcia, co zrobiło na niej takie wrażenie, doskonale jednak wiedział, że Pegeen nie należy do nieustannie mdlejących panien. Nie straciła przytomności ani tego dnia, gdy pierwszy raz ją odwiedził, ani po wypadku powozu, kiedy odniosła ciężką ranę. Wbrew swej wątłej powierzchowności miała siłę szetlandzkiego kuca, co zresztą mógłby osobiście potwierdzić. Wciąż bolała go szczeka po ciosie otrzymanym przed kilkoma godzinami.

Jeremy naturalnie natychmiast znalazł się przy nim. Oczy miał wytrzeszczone ze strachu.

- Co się stało Pegeen? - spytał drżącym głosem, położywszy mu dłoń na klapach fraka. - Co jej się stało? Czy umarła?

- Nie, Jeny. - Edward przytknął dłoń do gładkiego czoła Pegeen. Było zimne jak lód. - Po prostu zemdląca. Arabello, podaj sole trzeźwiące.

- O, ja niemądra. - Arabella przygryzła wargę. Spoglądała na

bezwładne ciało Pegeen nie bez satysfakcji. - Powinam była to przewidzieć.

Wysoki mężczyzna, którego Edward nigdy przedtem nie widział, spytał, czy posłać po lekarza. Alistair przyniósł kieliszek brandy i koniecznie chciał wlać jego zawartość do gardła Pegeen. Ciemnowłosa kobieta w krzykliwej sukni wycofała się do kąta i stała tam, wyraźnie rozeźlona. Tylko Annę Herbert nie straciła głowy. Podpałiła kostkę torfu na kominku i zaczęła wymachiwać żarzącym się kawałkiem przed nosem Pegeen.

Po chwili Pegeen zamrugała powiekami, potem westchnęła i odzyskała przytomność. Zdumionym wzrokiem spojrzała na Edwarda.

- Zemdląłeś, kochanie - szepnął Edward i musnął wargami jej czoło. Przestało go obchodzić, kto co o tym pomyśli. - Daj mi tę brandy, Cartwright.

Alistair zauważył jednak pocałunek i usłyszał towarzyszące mu słowa. Wlepił wzrok w Edwarda zdumiony w najwyższym stopniu.

- A niech mnie! - mruknął. - Powinienem być się domyślić. Nic dziwnego, że tak się odniosłeś do moich zalotów. Chciałeś ją mieć tylko dla siebie!

Edward skarcił go wzrokiem.

- Nie teraz, Cartwright. Podaj mi brandy i przestań zachowywać się jak dziecko.

Alistair przewrócił oczami i wręczył mu kieliszek. Edward przytknął krawędź naczynia do warg Pegeen, która odwróciła głowę, krzywiąc się.

- Wypij to - polecił jej Edward. Przypomniła mu się podobna sytuacja sprzed wielu miesięcy. I podobnie jak za pierwszym razem, Pegeen nie chciała go usłuchać. - Wypij - powtórzył groźnym tonem. - To brandy. Kiedyś ci smakowało, pamiętasz?

- Co to?

Głos, który dobiegł z kąta pokoju, wydawał się dziwnie znajomy,

choć Edward z pewnością nigdy go nie słyszał. Obróciwszy głowę, zobaczył, że krzykliwie ubrana kobieta zaciska dłonie na oparciu obitego atłasem fotela i śmieje się histerycznie.

- Zemdląłeś, co? - odezwała się znowu pulchna kobieta obwieszona biżuterią. Akcent miała, podobnie jak Pegeen, trochę szkocki. I zdawała się widzieć coś zabawnego w tej sytuacji. - Podobno zostałeś elegancką damą!

Na dźwięk tego głosu Pegeen jednym haustem wypila całą brandy. Odstawiła kieliszek i ze zgrozą spojrzała na zwracającą się do niej kobietę. Jeremy skulił się przy sofce i kurczowo ścisnął rękę Pegeen, aż pobieleły mu knykcie. Cicho coś powiedział, a Pegeen skinęła głową. Jeremy pobladł. Z ruchu warg chłopca Edward zorientował się, że pytanie brzmiało:

- Czy to ona?

Edward wstał i zwrócił się stanowczym tonem do Arabelli, która z kąpiącym uśmiechem przyglądała się otyłej kobiecie.

- Arabello, czy mogłabyś mnie przedstawić swojemu uroczemu gościowi?

- Z największą przyjemnością, milordzie. - Uśmiech Arabelli stał się diaboliczny. Edward widywał już ten uśmiech, zawsze tuż przed tym, nim wicehrabina dochodziła do pointy swojego wyrafinowanego i złośliwego żartu z jakiejś poczciwej, niczego nie spodziewającej się ofiary.

Arabella wykonała szeroki gest dłonią odzianą w rękawiczkę i z irytującym spokojem oznajmiła:

- Milordzie, czy mogę przedstawić...

- Nie!

Edward zwrócił głowę w stronę, z której dobiegł krzyk. Pegeen, o dziwo, stała już o własnych siłach, blada, lecz z wyrazem zdecydowania na twarzy. Głowę miała dumnie uniesioną, ramiona opuszczone wzdłuż ciała, dłonie zaciśnięte w pięści. Słysać było jej urywany oddech. Edward nigdy nie widział jej tak wzburzonej, jeśli istotnie było to wzburzenie, a nie symptomy postradania

zmysłów. Nawet Jeremy skulił się i schował za spódnicami Annę Herbert.

- Chodź - zwróciła się Pegeen do kobiety w jaskrawej sukni. Jej głos brzmiał teraz lodowato. - Zamienimy parę słów na osobności.

Kobieta umilkła i zapatrzyła się w Pegeen z uniesionymi ze zdziwienia brwiami. W tej chwili Edward uświadomił sobie, że brwi te zostały w całości wyskubane i narysowane od nowa ołówkiem.

- Dobrze - powiedziała po chwili dziwnie spokojnym głosem, zważywszy na rehot, jaki z siebie wcześniej wydawała. Najwidoczniej Pegeen wzbudziła w niej respekt swą wściekłą miną.

Edward też poczuł się nieswojo. Gdy Pegeen odwróciła się do drzwi, chwycił ją za ramię i szepnął jej do ucha:

- Pegeen... co się dzieje? Kto to jest? Pozwól, że pójde z tobą...

Ale Pegeen wyswobodziła się z uścisku wzruszeniem ramion i znikła za drzwiami. Nieznajoma wyszła za nią, lecz choć głowę trzymała wysoko uniesioną, kątem oka zerkała na mężczyznę, który przedtem proponował wezwanie lekarza. Również on miał uniesione brwi, ale raczej powątpiewająco niż ze zdziwienia. Gdy kobiety opuściły pokój, Edward raptownie się odwrócił i dopadłszy Arabelli, z całej siły ścisnął ją za ramię.

- O co tu chodzi, Arabello? - Z trudem poznał własny głos. - Powiedz mi natychmiast, bo jeśli nie, to, na Boga, skręcę ci ten kościsty kark.

Arabella zdołała się wyswobodzić, ale na jej twarzy odmalował się nagle strach.

- Edwardzie, sprawiasz mi ból!

- Oderwę ci rękę, jeśli okaże się, że chcesz skrzywdzić Pegeen. - Znów chwycił ją z całych sił, by pokazać, że nie żartuje. - Powiedz mi, kto...

- Edwardzie! - Alistair próbował odciągnąć go od Arabelli. - Edwardzie, puść ją. Opanuj się.

- To jest Kathy Porter - syknęła Arabella, odwzajemniając wściekle spojrzenie Edwarda. Jej bladoniebieskie oczy lśniły w tej chwili jak szafiry. - Pamiętasz Kathy Porter, Edwardzie, prawda? - Arabella uśmiechnęła się gorzko. - Jeśli się nie mylę, kilkakrotnie odwiedziłeś jej zakład w Londynie.

Edward skrzywił się. To było w stylu Arabelli oznajmić skandalizującą informację głośno w obecności kogoś takiego jak Annę Herbert, która miała oczy otwarte nie mniej szeroko niż Jeremy, choć na szczęście zdawała się nie wiedzieć, że Kathy Porter prowadziła jeden z najczęściej odwiedzanych burdeli w Londynie. Edward nigdy nie miał do czynienia z właścicielką osobiście, choć wieść głosiła, że ma ona niemałe umiejętności zabawiania dżentelmenów. Dlaczego Arabella postanowiła zaprosić Kathy Porter na kolację, tego nie potrafił zrozumieć. I skąd, u diabła, Pegeen znała taką osobę...

Nagle poczuł, że ktoś silnie ciągnie go za frak. Zerknąwszy w dół, dostrzegł przy łokciu bladą twarz Jeremy'ego.

- Wuju Edwardzie, proszę. - Łzy lały mu się strumieniem. Żałośnie szlochał. - Proszę, nie pozwól, żeby mnie zabrała. Nie pozwolisz, prawda?

Edward odepchnął wicehrabinę, która wpadła w objęcia obcego mężczyzny, rujnując sobie fryzurę. Sprawiała takie wrażenie, jakby zaczynała żałować swojej intrygi. Tymczasem Edward pochylił się nad Jeremym i potrząsnął go za ramiona.

- O co chodzi, wasza wysokość? - spytał żartobliwie, choć wcale nie było mu do śmiechu. - Po co te łzy?

Jeremy ledwie mógł wydobyć z siebie głos.

- Ona przyjechała mnie zabrać - wyszlochał. - Wiedziałem, że kiedyś to zrobi.

- Kto przyjechał cię zabrać, Jeremy? O czym ty mówisz?

- Moja mma... matka. - Jeremy chlipnął. - Och, wuju, nie rozumiesz? Ta kobieta to moja matka!

Edward zacisnął palce na ramionach chłopca. Jeremy wzdrygnął

się z bólu, ale nie krzyknął. Dopiero Alistair przyszedł chłopcu z pomocą, chwytając Edwarda za nadgarstki.

- Spokojnie, przyjacielu - powiedział, choć i jemu głos drżał. - Na pewno jest racjonalne wyjaśnienie...

- Niezaprzeczalnie. - Arabella już wzięła się w garść, wygładziła suknię i teraz z jej głosu przebijała duża pewność siebie i niemała satysfakcja. - Katherine Rawlings poślubiła zabójcę twojego nieżyjącego brata, niejakiego Thomasa Portera, i stała się w ten sposób Katherine Porter, złej sławy królową nocy...

Edward poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego kubel zimnej wody.

- To nieprawda - zachnął się. - Arabello, to jest twój wymysł, którym chciałaś zaszkodzić Pegeen!

Arabella wybuchnęła chłodnym, ostrym śmiechem.

- Pochlebiasz sobie, Edwardzie. Czy naprawdę, twoim zdaniem, obchodzi mnie, że sypiasz z suką? To nie moja sprawa, jeśli podoba ci się życie z siostrą dziwki.

- Dość, Arabello! - zagrział Edward. Spojrzał na wysokiego, obcego mężczyznę, który chciał wezwać lekarza.

- Ty jesteś Porter? - spytał.

- Zabójca twojego brata, milordzie? - Wysoki mężczyzna roześmiał się, jakby ta sugestia bardzo go rozbawiła. - Czy naprawdę spodziewasz się twierdzącej odpowiedzi na to pytanie? Nie wątpię, że wtedy rozerwałbyś mnie na strzępy.

Arabella wciąż uśmiechała się jak kot, który dobrał się do śmietanki.

- Thomas Porter zginął wiele lat temu, Edwardzie. Podczas burdy w gospodzie. To jest pan Clyde Stephens, który jest... buchalterem Kathy Porter.

Stephens strzelił obcasami i wykonał parodię ukłonu.

- Do usług, sir.

- No, dobrze. - Arabella była bardzo zadowolona z siebie. - Za parę minut służba poda obiad. Czy tymczasem ktoś chce się czegoś napić?

Edward wpatrywał się w nią i nie rozumiał, jak mógł tak nisko upaść, by wziąć ją za kochankę. Również Alistair przyglądał się wicehrabinie tak, jakby była karlicą pokazywaną na jarmarku. Wreszcie Edward bez słowa wstał i wyszedł z pokoju poszukać Pegeen.

Pegeen ani razu się nie obejrzała, żeby sprawdzić, czy Kathy jest za nią. Pierwszy raz odwiedzała Ashbury House, więc naturalnie nie miała pojęcia, dokąd się kieruje. Po prostu szła przed siebie, chociaż raz po raz robiło jej się ciemno przed oczami. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, by zawróciła do frontowych drzwi, wyszła na drogę przez wrzosowiska i nie ustawała w marszu, póki nie dotrze do Applesby. Powstrzymywała ją przed tym jedynie świadomość, że w obecnym stanie prawdopodobnie padłaby bezsilnie po kilkudziesięciu metrach.

Znalazłszy się w mrocznej galerii w głębi domu, Pegeen wreszcie straciła energię i przystanąła. Po jednej stronie wisiały na ścianach rodowe portrety Ashburych, po drugiej był rząd okien z widokiem na zaśniewane trawniki przydomowego parku. Przez małe szybki sączyła się do wnętrza księżycowa poświata. Gdy Pegeen się obróciła, mimo półmroku dostrzegła uśmiech na twarzy siostry. Z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby nie zedrzcć jej tego uśmiechu jednym uderzeniem pięści.

- No i co? - Katherine wyminęła Pegeen. Stała przy jednym z okien i popatrzyła na zimowy krajobraz.

Katherine MacDougal Rawlings Porter była dziesięć lat starsza

od Pegeen i prawie piętnaście centymetrów wyższa. Miała apetyczną figurę, a choć niektórzy z pewnością nazwaliby ją otyłą, w pewnych kręgach wciąż uchodziła za piękność. Przed dziesięcioma laty, gdy udało jej się skłonić lorda Johna Rawlingsa do małżeństwa, była jeszcze bardziej urodziwa. Nawet w ciemnym pomieszczeniu Pegeen widziała, że czas obszedł się z Katherine łaskawie, mimo trybu życia, jaki sobie wybrała. Zważywszy na jej profesję, z cudem graniczyło to, że jeszcze żyje, więc o urodzie w zasadzie nawet nie było sensu mówić.

Katherine jeszcze przez chwilę obserwowała coś za oknem, potem odwróciła się do siostry.

- Witaj, Peggy. - W jej zielonych oczach nie było ani odrobiny ciepła. Pegeen zresztą wcale tego nie oczekiwała. - Podrosłaś, odkąd ostatnio cię widziałam.

- Ostatnio mnie widziałas, kiedy miałam dziesięć lat - odparła.

- Doprawdy? Czyżby minęło aż tyle czasu? - Katherine nie sprawiała wrażenia, jakby naprawdę miało to dla niej znaczenie. - Nie sądziłam...

- To było tego wieczoru, kiedy przywieźliście Jeremy'ego. Ty i tamten człowiek. - Pegeen sama się zdziwiła, że to wspomnienie budzi w niej tyle zawziętości. Nie sądziła, że żywi tak silną niechęć do swej jedynej żyjącej krewnej.

- Niemożliwe...

- Rano nawet nie poczekałaś, żeby mnie zobaczyć. Byłam w szkole, a ty i tamten człowiek zostawiliście go jak paczkę i czym prędzej zabraliście się z powrotem jak...

- Proszę cię, Peggy, nie niżajmy się do wyzwisk.

- Nie? - Pegeen usłyszała, że jej głos staje się niebezpiecznie piskliwy. Tylko nie wpadnij w histerię, rozkazała sobie. Zachowaj spokój, to twoja jedyna szansa. - Dobrze więc. Nie nazwę cię bezduszną, wredną suką.

Katherine zamachnęła się na nią, ale Pegeen chwyciła ją za

nadgarstek, zanim siostra zdążyła rozorać jej policzek szponiastymi paznokciami. Zaskoczyła Katherine szybkością reakcji.

- Widzisz - powiedziała, wykręcając siostrze rękę tak, że ta wydała okrzyk bólu. - Dużo się nauczyłam od czasu, gdy uciekałaś. Musiałam dbać i o siebie, i o twojego syna.

Katherine wyszarpnęła rękę z uścisku i cofnęła ją poza zasięg Pegeen. Potem cofnęła się o krok i widać było, że następnym razem pomyśli dwa razy, zanim spróbuje ją uderzyć.

- Jesteś śmieszna - powiedziała, choć głos jej nieco drżał. - Opowiadasz o tym tak, jakby nie było ojca, który mógł się zająć i tobą, i nim.

- Ojciec? - Pegeen parsknęła śmiechem. - Owszem, ojciec był, w każdym razie fizycznie. Ale ty, Kathy, złamałaś mu serce. Wszystkim to zrobiłaś. - Pokręciła głową. - Jak mogłaś? Rozumiem, że chciałaś wynieść się z Applesby, ale jak mogłaś porzucić Jeremy'ego?

Katherine popadła w zakłopotanie.

- Przysyłałam pieniądze...

- Na początku. Ale ojciec ci je odsyłał, pamiętasz? Nie wzięłyby ani pensa od prostytutki, powinnaś była o tym wiedzieć. Gdybyś zadała sobie trud powiadomienia mnie, jak można się z tobą skontaktować, to napisałabym ci...

Katherine pokręciła głową, trzęsąc bujnymi, czarnymi lokami, niewątpliwie nie własnymi, bo Pegeen pamiętała, że siostrze włosy nigdy nie chciały się kręcić.

- To nie moja wina, Peggy. Próbowałam, sama wiesz.

- Czyżby?

- A co innego mogłam zrobić?! - krzyknęła, jakby była na scenie. - Nigdy nie chciałam mieć dziecka. Bóg świadkiem, że John też nie. Nie mogę sobie wyobrazić gorszej matki niż ja. Nawet nasz ojciec, który bez przerwy chował nos w książkach, był lepszym rodzicem. Ale wiedziałam, że ty też tam jesteś, Peggy. Wiedziałam, że zaopiekujesz się Jerrym. Zawsze lubiłaś wynaj-

dywać chore i zabłąkane zwierzątka, żeby się nimi zająć. Jesteś opiekuńcza. To było widoczne nawet u małej dziewczynki. Wcale nie zostawiłam Jeremy'ego na łasce losu, całkiem bez opieki...

- Masz rację. - Pegeen skrzyżowała ramiona na piersiach. - Byłaś przekonana, że poczciwa Peggy wychowa za ciebie syna. A kiedy ojciec umarł, zapewne uznałaś, że świetnie daję sobie radę bez niczyjej pomocy.

- Peggy, ja nawet nie wiedziałam, że on umarł. Przecież jeszcze nie miał pięćdziesięciu lat! Skąd mogłam wiedzieć?

- Mogłaś napisać.

- Mogłam. - Katherine wzruszyła ramionami. - Ale sama wiesz, że niełatwo mi coś napisać, Peggy.

Pegeen rozłożyła ręce. Nie bardzo rozumiała, czego właściwie mogłaby spodziewać się po Katherine. Siostra nigdy nie grzeszyła rozumem. Dlaczego miałaby zacząć się nim posługiwać właśnie teraz?

- Co wobec tego robisz w tym miejscu, Kathy? Czy przyjechałaś po to, żeby mnie upokorzyć? Zniszczyć życie swojemu synowi?

- Naturalnie, że nie. - Katherine oglądała swój nadgarstek w miejscu, gdzie ścisnęła go Pegeen. Na jasnej skórze były widoczne okrągłe, czerwone ślady palców. - Tak się składa, że jestem zaprzyjaźniona z lordem Derby...

- O, nie... - Pegeen przewróciła oczami.

- To prawda. Lord i lady Ashbury powiedzieli mi, że mamy nowego księcia Rawlings. Nigdy nie przypuszczałam, że staruszek zmienił testament i przekazał tytuł Jeremy'emu. Ale gdy Arabella zapewniła mnie, że tak właśnie jest... no, po prostu musiałam przyjechać. - Kathy uśmiechnęła się protekcyjnie. - Musiałam ostatni raz zobaczyć mojego chłopca.

- Naturalnie. Skoro jest księciem...

Teraz to Pegeen zaczęła się nerwowo przechadzać po galerii. Przemierzała ją tam i z powrotem, z całej siły zaciskając dłonie.

- Co masz na myśli? - spytała Kathy. - Nie podoba mi się ta aluzja.

- To nie aluzja, Kathy. Po prostu wydaje mi się interesujące, że gdy Jeremy i ja żyliśmy z łaski kościoła, zagrożeni przeniesieniem do przytułku, nie usłyszeliśmy od ciebie ani jednego słowa. A teraz, kiedy na własność Jeremy'ego przeszedł jeden z największych majątków w Anglii, pojawiaasz się nagle na uroczystej kolacji!

Kathy pociągnęła nosem.

- Jesteś...

Pegeen podeszła do siostry i popatrzyła jej prosto w oczy.

- Jeremy jest wszystkim, co mam, Kathy. Nie chciałam, żeby dowiedział się prawdy o tobie. Bądź co bądź, poślubiłaś człowieka, który zabił jego ojca!

- Pst! - Katherine przytknęła pulchny palec do warg. - Nie tak głośno, jeśli możesz.

- Tak zrobiłaś. Dlatego wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli rozgłoszę, że nie żyjesz.

Katherine wlepiła w nią wzrok.

- Pewnie masz rację - powiedziała po chwili. Zaskoczyła Pegeen tą reakcją. - Nawet się nie spodziewałam, że wyrośniesz na taką ładną pannę.

Pegeen uśmiechnęła się kwaśno.

- Dziękuję - powiedziała z czystej uprzejmości. Nie ceniła sobie komplementów.

- Nawet więcej niż ładną. - Katherine zmierzyła ją wzrokiem, dokładnie taksując wszystkie szczegóły wyglądu od pantofelków na wysokim obcasie po kunsztowną fryzurę. - Przyniosłabyś duży zysk mojemu domowi, wiesz?

Pegeen splonęła się rumieńcem.

- Jak możesz, Kathy!

- Wstrząsnął tobą ten pomysł, co? - Katherine obeszła młodszą siostrę, nie odrywając wzroku od jej osiej talii i kształtnych

piersi. - Wiem, że mężczyźni zapłaciliby niemało za taką okazję. Chyba nie dałaś temu Edwardowi Rawlingsowi, co?

- Kathy! - Pegeen spurpurowiała. Czuliła, że traci inicjatywę. Niedobrze...

- Och, widzę po twoim dziewiczym rumieńcu, że nie. Cóż, zawsze byłaś bardziej powściągliwa niż ja. Muszę przyznać, że również Edward ma się czym szczycić, jeśli zważyć na to, jaki był jego ojciec. I jego brat też, skoro o tym mowa. Trudno na tym świecie o dwóch okrutniejszych sukinsynów. Gdyby Thomas nie zabił Johna, sama pewnie bym to zrobiła.

To stwierdzenie, wypowiedziane tym samym beznamiętnym tonem, jakim Kathy prowadziła przez większość czasu rozmowę, było przerażająco szczere. Wpatrując się w siostrę, Pegeen pomyślała nagle, że w ogóle nie zna swojej najbliższej krewnej. Posądzała ją o wiele, ale żeby była zdolna do morderstwa? Za nic. Teraz Pegeen doszła do wniosku, że musi przemyśleć to wszystko jeszcze raz.

Nie zwracając uwagi na minę siostry, Katherine ciągnęła obojętnie:

- Edward jest bardzo przystojny. Na pewno bardziej niż John. I ma lepsze maniery, to od razu widać. Czy on cię kocha? - Nie czekając na odpowiedź, skinęła głową. - Tak myślałam. A ty? Czy ty go kochasz?

Pegeen tupnęła nogą. Tego było już za wiele.

- Kathy, przestań!

- Co mam przestać? Uważasz, że jestem bezduszną, wredną suką, i może jestem, ale przynajmniej znam swoje miejsce. A ty chyba nie sądzisz, że po tym wszystkim Edward Rawlings się z tobą ożeni, co?

Pegeen przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że jej serce jest rozdzierane na kawałki.

- Nie sądzę.

- To dobrze. Cieszę się, że wreszcie okazujesz trochę rozsądku.

Ta kobieta, wicehrabina, kocha go i wie, że on kocha ciebie. Dlatego właśnie zaaranżowała dzisiaj tę małą szaradę. Dość niefortunny pomysł, ale takie jest życie. Wszyscy musimy znać swoje miejsce. Skoro zaś pokazano ci twoje, to powinnaś jechać ze mną do Londynu.

Oszołomiona Pegeen zmarszczyła brwi.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Jak najpoważniej. Jestem kobietą interesu, Peggy. Na pierwszy rzut oka umiem poznać dobrą inwestycję. Ty stanowisz zadatek fortuny. I na pewno nie możesz zostać tutaj. Jeremy da sobie radę. To o ciebie się martwię.

Pegeen zaśmiała się niedowierzająco.

- Dlatego zamierzasz się mną zaopiekować i wyszkolić mnie na prostytutkę?

Katherine się skrzywiła. Ze zmarszczkami na twarzy wyglądała znacznie starzej.

- Nie lubię tego słowa, Peggy. Jest wulgarnie. Wolę „kurtyzanę”. I na twoim miejscu wcale bym się nie śmiała. Jakie masz inne możliwości? Nie jesteś dostatecznie wykształcona, by zostać guwernantką, a masz stanowczo zbyt upartą naturę, by iść na służbę. Słyszałam, że masz talent do liczenia, ale to kobiecie na nic. - Katherine westchnęła i zerknęła na jeden z wielu swoich pierścieni z drogimi kamieniami. - Mogłabyś pewnie wyjść za mąż, ale czy małżeństwo nie jest również formą służby? A poza tym masz siostrę prostytutkę. Nie, Peggy. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się bardzo przekonująco, niemal ciepło. - Chodź ze mną, wrócimy do Londynu razem. Wyjedziemy zaraz. Przysięgam ci, że zarobisz więcej pieniędzy, niż umiesz sobie wyobrazić.

- Nie chcę pieniędzy - odparła Pegeen.

- A czego chcesz? Miłości? - Katherine zaśmiała się zimno. - Peggy, najdroższa, będziesz miała u swoich stóp więcej adoratorów, niż potrzebujesz. Kieszonkowe, klejnoty, własną kariolkę z parą koni, kamienicę w Londynie...

- To wszystko brzmi bardzo kusząco. - Z mroku dobiegł ich dudniący, męski głos. Pegeen natychmiast go poznała. Obróciła się i w świetle padającym z korytarza zobaczyła roslą postać Edwarda Rawlingsa, opierającego się o kamienną framugę. Z jego swobodnej pozy można było wywnioskować, że przysłuchuje się tej rozmowie już od dłuższego czasu.

Pegeen wciąż usiłowała cokolwiek z siebie wydusić, gdy Katherine powiedziała wyniośle:

- Powinieneś być pan dać znać o swojej obecności.

- Miałbym stracić tak wspaniałą pochwałę prostytutki? - Zachichotał. - Może mój brat przerwałby taki wywód, ale nie ja. O, nie. Muszę przyznać, że jesteś wyborną mówczynią, pani Porter. A może powinienem zwracać się do pani „Katherine”? Bądź co bądź, jesteś pani moją szwagierką.

Katherine przyjrzała mu się nieufnie.

- Możesz mnie pan nazywać, jak sobie życzysz. I wybac mi obcesowość, ale w tej chwili rozmawiam z siostrą, a nie z tobą. Byłabym wdzięczna, gdybyś zachował pan swoje poglądy dla siebie.

- Och, ma pani na myśli moje poglądy na swoją profesję? - Edward skinął głową i potarł szczękę długimi palcami. - Naturalnie rozumiem, dlaczego chciałybyś, pani, bym się nie odzywał. Rzecz jasna, zapomniałaś wspomnieć Pegeen, co się dzieje z - zaraz, jak pani to ujęłaś? - ach, z kurtyzanami, które się starzeją i nie mogą już pracować.

- Nie sądzę...

- Pewnie wiesz, Pegeen, że większość kurtyzan umiera przed trzydziestym rokiem życia, prawda? Pani Porter nie wspomniała też o chorobach. Ani o możliwości zajścia w ciążę. Ani o tym, że prostytutka jest w gruncie rzeczy nielegalna. Ile dziewcząt z pani domu aresztowano w ostatnim miesiącu, pani Porter? A ile nabawiło się paskudnych chorób przenoszonych drogą płciową? Ile umarło od spędzania niechcianego płodu?...

Pegeen nie mogła tego dłużej znieść. Zatkąła sobie uszy i powiedziała:

- Edwardzie, na miłość boską, niech pan przestanie!

Odepchnął się od framugi i podszedł do niej. Położył jej ciężką rękę na obnażonym ramieniu.

- Chodź, Pegeen - powiedział, muskając wargami jej włosy. - Jedziemy do domu.

Podniosła załzawioną twarz i uważnie mu się przyjrzała, żeby sprawdzić, czy słuch jej nie mylił. Może jednak nie... Tymczasem odezwała się Katherine.

- Nie mówisz tego poważnie, milordzie. - Zaśmiała się. - Czyżbyś nie wiedział, kim ona jest?

- Ciotką księcia Rawlings. - Twarz Edwarda była nieprzenikniona. - Wychowuje go od małego, ponieważ, o ile wiem, chłopca porzuciła matka.

- Jest siostrą kurwy! - zarechotała Katherine. - A twój tak zwany książę Rawlings jest synem tej samej kurwy! I co ty na to, milordzie? Co masz do powiedzenia na to, że książę Rawlings ma mamuszkę kurwę?

- Tylko tyle - odparł Edward, otaczając ramieniem Pegeen - że jeśli jeszcze raz spróbuje pani zbliżyć się do Pegeen albo do mojego bratanka, to każę panią aresztować. A potem dopilnuję, żeby spędziła pani w więzieniu resztę swojego życia. Czy teraz się rozumiemy?

Pegeen zobaczyła, że siostra stoi z otwartymi ustami.

- Ccco? - wybąkała w końcu Katherine.

- Życzę dobrej nocy, pani Porter - powiedział spokojnie Edward. I pociągnął Pegeen za sobą.

- Co?! - krzyknęła za nimi Katherine. - Oszalałeś, człowieku? Dziewczyno, czyś ty straciła rozum, który ci Bozia dała? Peggy, to jest wielkie ladaco! Uwiedzie cię i sprowadzi na złą drogę, tak samo jak jego brat postąpił ze mną! - Głos Katherine brzmiał coraz bardziej piskliwie. Edward z Pegeen byli już w korytarzu, wciąż jednak słyszeli ten przenikliwy krzyk.

- Sprowadził mnie na złą drogę, a potem zostawił. Chciał tylko pić, grać w karty i mieć swoje kurwy. Poczekaj, Peggy! Jego brat zrobi to samo z tobą i gdzie wtedy pójdziesz? Zostaniesz sama tak jak ja, tylko z małym prezentem, ślicznym, płaczącym, szczącym prezentem. John też mnie tak urządził. Zobaczmy, jak wtedy mała Peggy sobie poradzi, zobaczymy!

W korytarzu na stole stał kandelabr z zapalonymi świecami. Pegeen zauważyła, że cienie jej i Edwarda wydłużają się i powoli stapiają w jeden.

Z przejścia wciąż ścięły ich wściekłe krzyki Katherine:

- Zobaczmy, co się stanie z żalosną, śliczną Pegeen, zobaczymy!

Zar na kominku w różowym pokoju dogasał. Pegeen, mająca na sobie jedynie muślinową, zdobioną koronkami koszulę nocną próbowała podsyć ogień miechem i pogrzebaczem, ale nie miała serca do tej pracy. Gdy płomyki wreszcie liznęły dołożone polana, nawet tego nie zauważyła. Siedziała na obrzeżu kominka, obejmując kolana, i drętwo wpatrywała się w punkt pośrodku dywanu. Teraz nie było już nadziei. Nie pozostawało jej nic innego, jak wyjechać.

Po powrocie do Rawlings udała się prosto do swojego pokoju. Jazdę z Ashbury House zniosła w milczeniu, przez całą drogę tuląc płaczącego Jeremy'ego. Ani razu nie patrzyła ani na Alistaira, ani na Annę. Wpatrywała się wyłącznie w czubek ciemnowłosej głowy Jeremy'ego i nawet kątem oka nie odważyła się zerknąć na Edwarda, który siedział obok niej groźny i milczący.

Nikt nie powiedział jej złego słowa, gdy wrócili z Edwardem z galerii. Polecenie Edwarda, by wszyscy natychmiast przygotowali się do wyjazdu, spotkało się jedynie z komentarzem wicehrabiny, która głośno nabrała tchu i spytała, dlaczego mimo wszystko nie zostaną na obiedzie. W odpowiedzi Edward obrzucił ją morderczym spojrzeniem. Lokaje w perukach niewiarygodnie szybko przynieśli

okrycia i wszyscy goście z Rawlings w milczeniu opuścili Ashbury House.

Po drodze do domu odzywał się tylko Jeremy, biedny, niepokieszony Jeremy, który trzymał się Pegeen jak koła ratunkowego i nieustannie ją pytał, czy pozwoli, żeby matka go zabrała. Pegeen całowała go w czoło i zapewniała, że matka chce zostawić go w Rawlings.

- Ona przyjechała tylko po to, żeby cię zobaczyć, Jerry - powiedziała. - Żeby się przekonać, jakim już jesteś dużym chłopcem. - Mimo tych zapewnień nie była w stanie przekonać Jeremy'ego, że nic mu nie grozi.

Gdy znaleźli się w wielkiej sali Rawlings Manor, Alistair odzyskał humor i zaproponował grupowy najazd na kuchnię. W końcu przecież nie zjedli obiadu. Ale Pegeen się wymówiła i zaprowadziła Jeremy'ego prosto do dziecięcego pokoju. Tam ku jej radości pocieszono chłopca filiżanką czekolady i wyborynym puddingiem. Ech, gdybym i ja jednym deserem mogła wszystko załatwić, westchnęła zazdrośnie, patrząc na pogodną twarz uspio-nego malca.

Doskonale rozumiała, że w dziecięcym pokoju znalazła sobie azyl przed stawieniem czoła problemom. Musiała przecież spojrzeć w oczy Annę Herbert, której ojca okłamała, mówiąc mu, że Katherine Rawlings nie żyje. Była nie w porządku wobec Alistaira, którego nie tylko okłamała, lecz również łudziła tym, że odwzajemni jego uczucie, chociaż w głębi serca doskonale wiedziała, że kocha Edwarda Rawlingsa. No, i naturalnie pozostawał też sam Edward.

Edwarda przynajmniej nie okłamała, chociaż Bóg świadkiem, że próbowała. Ale nie, wobec niego popełniła tylko grzech zaniedbania. Nie powiedziała mu, że Katherine Rawlings została właścicielką domu rozpusty ani że ponosi odpowiedzialność za śmierć swojego męża. Jak można jednak kochać kobietę, której najbliżsi są zdolni do takich potworności? Pegeen nie wyobrażała sobie

możliwości przebaczenia za to nawet w najlepszym ze światów, gdzie ludzi mierzy się wartością ich czynów, a nie tym, kim są ich bliscy. Była pewna, że Edward nigdy jej nie przebaczy.

Z trojga ludzi, których zraniła najbardziej - choć przecież byli jeszcze inni, tacy jak Lucy albo pani Praehurst, którzy też mieli przeżyć wstrząs, gdy prawda wyjdzie na jaw (czego wicehrabina z pewnością zamierzała dopilnować) - najmniejszy powód do urazy miała chyba Annę Herbert. Chcąc się o tym upewnić, Pegeen przystanęła przy pokoju Anny, idąc do swojej sypialni, gdy Jeny już zasnęła.

Annę natychmiast zareagowała na ciche pukanie i równie szybko dała Pegeen do zrozumienia, że nie ma do niej najmniejszych pretensji. Przyjaciółka może mieć za siostrę nawet wcielenego diabła i niczego to nie zmienia. Tak powiedziała Annę, ale Pegeen mimo wszystko próbowała się przed nią wytłumaczyć. Annę nie chciała jej jednak słuchać. Ujęła ją za rękę i powiedziała:

- To jest bez znaczenia, Pegeen. Zupełnie bez znaczenia. Kochasz Jeremy'ego i chciałaś dla niego jak najlepiej. Wszyscy to rozumieją.

Pegeen odczuła olbrzymią ulgę. Wiedziała jednak, że musi jeszcze poprosić Annę o przysługę, niemałą, jeśli zważyć na okoliczności.

Zrobiła to, a gdy Annę roześmiała się i powiedziała, że to nie kłopot, Pegeen zrozumiała, że naprawdę znalazła nieocenioną przyjaciółkę.

Następnie musiała załatwić sprawy z Edwardem, a to było znacznie trudniejsze.

Po powrocie z Ashbury House Edward przychodził kilka razy pod jej pokój. Początkowo ograniczał się do pukania, ale kiedy trzeci raz kazała mu odejść, spróbował poruszyć klamkę. Potem bez powodzenia kopnął w zamknięte na zamek drzwi. Pegeen korciło, żeby je uchylić i powiedzieć mu, że jeśli chce bez potrzeby wydawać pieniądze na kowala, to jego sprawa, ona jednak mu to

odradza, Edward zaczął jednak przemawiać do niej tak ciepłym i sugestywnym głosem, że omal nie zmiękła. W ostatniej chwili przypomniała sobie jednak, co działo się za każdym razem, gdy wpuszczała Edwarda do sypialni, pozostała więc głucha na jego argumenty.

Dwie godziny później poczuła się wreszcie dostatecznie silna, by stanąć z nim twarzą w twarz. Wiedziała, że cała służba udała się już na spoczynek, więc nie groziło jej spotkanie z panią Praehurst, Lucy lub Eversem i znoszenie ich współczucia, a może nawet wyniosłego milczenia. Alistair bez wątpienia dawno upił się do nieprzytomności, a chociaż nie należało wykluczać, że podobnie postąpił gospodarz tego domu, to Pegeen miała nadzieję, że zastanie Edwarda w bibliotece i uda im się tam odbyć cywilizowaną rozmowę, która nie zakończy się ani policzkowaniem, ani wybuchem namiętności prowadzącym prosto do łóżka.

Włożyła męski, dość zniszczony szlafrok, którego nie nosiła od wyjazdu z Applesby, uznała bowiem, że zapewni jej on lepszą ochronę przed wścibskim wzrokiem Edwarda niż zwiewny peniuar, który potraktował tak brutalnie. Z tą myślą wyszła na korytarz i rozejrzała się po mrocznym, chłodnym krużganku.

Naprzeciwko jej drzwi, na krześle przyniesionym z biblioteki, siedział w swobodnej pozie Edward, a na podłodze obok niego stała karafka brandy.

- Dobry wieczór, panno MacDougal - powiedział niefrasobliwie, jakby często siadywał przed sypialniami młodych dam. Pegeen zorientowała się jednak natychmiast, że choć sili się na lekki ton, jest bardzo zakłopotany.

- Jeśli szuka pani swojej służącej, to godzinę temu kazałem jej położyć się spać. Gdyby pani czegoś potrzebowała, z wielką ochotą zajmę się tym osobiście. Co mam przynieść? Może szklanke ciepłego mleka? Albo książkę z biblioteki dla ukojenia skołatanych nerwów? A może po prostu usłużyć męskim ramieniem, na którym można się wyplakać?

Pegeen oparła się o framugę i zaczęła mu się przyglądać. Nie zdjął jeszcze fraka, chociaż halsztuka już nie miał, a koszulę rozpiął do pasa. Ciemne owłosienie na torsie wyraźnie kontrastowało ze śnieżnobiałą koszulą. Pegeen z trudem powstrzymała się przed wsparciem głowy na jego szerokich ramionach.

- Wysłałam pana poszukać - powiedziała z przejęciem. W odpowiedzi przybrał kpiącą minę.

- Co za szczęście. Zdaje się, że mnie pani znalazła.

- Jak długo pan tu siedzi?

- Wystarczająco długo, by załęgło się we mnie podejrzenie, że już nigdy nie ukaże się pani na progu. - Wyprostował swe długie, smukłe nogi tak, że aż zatrzeszczały mu stawy. - Domyślam się, że mnie pani nie wpuści do swojego pokoju. Ale na korytarzu jest zimno, a to krzesło wydaje mi się z każdą chwilą mniej wygodne.

Pegeen nerwowo zerknęła przez ramię. Jej pokój był naturalnie przytulny i dobrze ogrzany, z pewnością też lepiej nadawał się do rozmowy niż korytarz czy nawet biblioteka Edwarda, której wystrój wydawał się Pegeen odrobinę zbyt męski. Stanowczo jednak nie życzyła sobie, by powtórzyła się ich erotyczna przygoda z ostatniego wieczoru.

Edward zdawał się czytać w jej myślach, bo odstawił pusty kieliszek i trochę chwiejnie wstał.

- Zapewniam panią, że te ręce - podsunął jej pod nos wielkie dłonie - będę trzymał przez cały czas przy sobie. No, chyba że życzyłaby sobie pani ode mnie tego czy owego.

Pegeen nie próbowała się domyślać, co mogłoby znaczyć „to lub owo”, lecz po kilku sekundach zastanowienia westchnęła i otworzyła drzwi sypialni. Edward nie okazał ani zadowolenia, ani rozczarowania ze zwycięstwa w tej małej potyczce. Wydawał się zresztą dziwnie niespokojny. Może zamierzał ją poprosić o opuszczenie Rawlings? Czym innym był pokaz solidarności w Ashbury House dla zachowania pozorów, a czym innym zamiesz-

kiwanie pod jednym dachem z bliską rodziną mordercy brata. W każdym razie Pegeen zamierzała szybko go uspokoić.

- Może pan usiądzie - zaproponowała sztywno, wskazując miękki fotel przy kominku.

- Nie, dziękuję. - Edward wspiął się na palce i z powrotem stanął na całej stopie. Na Pegeen jego rosła sylwetka zawsze robiła wrażenie, ale w tym pokoju odczuwała to bardziej niż gdzie indziej. Przy Edwardzie wszystkie meble, nawet masywne łóżko z baldachimem, wyglądały tak, jakby zrobiono je do dziecięcego pokoju. - Wolę postać, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Siedziałem już dość długo.

-- Sam jest pan sobie winien, jeśli nabawił się odcisków - mruknęła. - Nikt panu nie kazał obserwować mojej sypialni, jakby to była jaskinia zbójców. Co pan tam w ogóle robił? Obawiał się pan, że przestępca ucieknie i rozplynie się w mroku nocy, tak?

Nawet mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że postępuje wobec Edwarda nieuczciwie, ale złość była silniejsza od rozsądku. Spojrzał na nią rozbawiony.

- Właściwie - odrzekł, splatając ręce za plecami i stając w bardzo swobodnej pozie - po prostu skorzystałem z pani rady.

- Mojej rady?

- Twierdziła pani, że nie byłoby rozsądnie, gdybym próbował wyłamać drzwi, więc się z panią zgodziłem. O wiele rozsądniej było poczekać, aż sama pani wyjdzie. Prędzej czy później było to nieuniknione. Służąca powiedziała mi, że w pokoju nie ma nic do jedzenia. - Uśmiechnął się bardzo zadowolony z siebie. -I rzeczywiście w końcu pani wyszła.

- Mógł pan tak siedzieć całą noc - powiedziała, kręcąc głową z podziwu.

- Och, niejedną noc przesiedziałem na krześle, moja panno. To mi nie przeszkadza. - Przyjrzał jej się badawczo i zmarszczył czoło tak, że aż zeszyły mu się brwi. - Po co włożyłaś tę starą

szmatę? - Niewątpliwie miał na myśli jej szlafrok. - Co się stało z tym pierzastym czymś?

Pegeen potrząsnęła głową. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona.

- Och, na pewno pan pamięta, co się stało, kiedy ostatnio włożyłam tamten peniuar.

- Owszem, pamiętam dobrze. - Uśmiechnął się lubieżnie. - To bardzo miłe wspomnienie.

Pegeen natychmiast splonęła rumieńcem i musiała pochylić głowę, żeby ukryć to przed Edwardem. Z pewnością nie zachowywał się jak człowiek, który zamierza dać komuś stanowczą odpawę. Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że wypił sporo whisky. W każdym razie Pegeen doszła do wniosku, że to ona powinna jasno postawić sprawę.

Ponieważ nie mogła usiedzieć na miejscu, zaczęła spacerować po pokoju, wcisnąwszy ręce do kieszeni szlafroka, żeby Edward nie zauważył ich drżenia. Kilka razy głęboko odetchnęła i wreszcie powiedziała, spoglądając w smagane przez wiatr szybki w oknie:

- Edwardzie, nie mogę tutaj zostać.

- Dokąd chcesz iść? W bibliotece jest duży ogień w kominku.

Nie odrywając oczu od płatków śniegu wirujących za oknem, pokręciła głową.

- Chciałam powiedzieć, że nie mogę zostać w Rawlings.

- Aha. - Również Edward ruszył w obchód pokoju. Słyszała, jak deski podłogi trzeszczą pod jego ciężarem. - A dlaczego konkretnie nie może pani zostać w Rawlings?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Czy pytasz poważnie, milordzie? Powody... no, powodów są tysiące. - Podejrzliwie zmrużyła oczy. - Edwardzie, proszę, niech pan nie będzie protekcyjny. Nie chcę też współczucia. Dam sobie radę. Już rozmawiałam z Anną Herbert. Zamieszkać u rodziny sir Arthura, póki nie znajdę posady...

- Posady? - Edward już nie trzymał rąk za plecami. Przystanął

koło łóżka i zacisnął palce na jednej z jego grubych kolumn. - Widzę, że pani przemyślała to zagadnienie - stwierdził sarkastycznie. - A jakiej posady pani szuka? Spiorunowała go wzrokiem.

- Doskonale pan wie. Guwernantki albo czegoś podobnego.

- Czegoś podobnego. - Edward energicznie odepchnął się od łóżka. Pegeen odruchowo zrobiła krok do tyłu i wpadła na ciężką draperię. - Niech więc pani mnie oświeci, proszę, w kwestii pani pozostania tutaj. Wciąż nie rozumiem, dlaczego jest ono niemożliwe.

Pegeen wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała się pomodlić.

- Edwardzie, przecież to oczywiste. Lady Ashbury rozpowie o tym, co się stało.

- Naturalnie. Ale co z tego? Jakie znaczenie ma jeszcze jedna mało ważna plotka o Rawlingsach? Tyle ich już było.

- To nie jest mało ważna plotka, Edwardzie. Za sprawą mojej siostry zginął pański brat, a ona jest właścicielką burdelu...

- O ile wiem, pani Porter ma niejednego zakład - skorygował ją Edward.

Pegeen przesłała mu gniewne spojrzenie. Dlaczego tak lekko traktuje poważne problemy? Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, że jej pozostanie w Rawlings zagroziłoby jego pozycji społecznej? Czy nie rozumie, że miałyby przez to zszarganą reputację?

- Okłamałam pana - powiedziała z rozpaczą w głosie. - Okłamałam wszystkich. Sir Arthura, panią Praehurst... wszystkich. Nie mogę tu zostać. Ludzie będą mówić...

Edward nie patrzył na nią. Wziął do ręki pogrzebacz i przesunął płonące polana na środek paleniska. Gdy wreszcie się odezwał, zrobił to tak cicho, że Pegeen ledwie go usłyszała.

- A co z Jeremym?

Nabrała powietrza, lecz mimo to nie zdołała opanować chlip-

nięcia. Odzyskała kontrolę nad głosem dopiero wtedy, gdy zamknęła ślinę.

- Jeremy zostanie z panem. Musi to zrozumieć.
- Najpierw opuściła go matka, a teraz pani chce zrobić to samo?

Pegeen podeszła doń o krok, splotła przed sobą ręce i zaczęła nerwowo wyłamywać sobie palce.

- Och, Edwardzie, niech pan nie utrudnia mi tego jeszcze bardziej. Któregoś dnia Jeremy zostanie księciem. Nie mogę zostać w Rawlings i zniszczyć jego szansy na wszystkie przywileje, które może zyskać z racji swojej pozycji społecznej.

Edward wciąż na nią nie patrzył. Oparł nogę na obrzeżu kominka i stał z ramionami skrzyżowanymi na torsie.

- Czyżbym słyszał moją płomienną wyznawczynię liberalnych poglądów? Nigdy nie sądziłem, że tak bardzo przejmują się pani przywilejami z tytułu pozycji społecznej. Zdawało mi się, że raczej gardzi pani wyższą sferą.

- Nienawidzę pańskich przyjaciół - odparła Pegeen. - Ale to nie o nich mi chodzi, gdy mówię o pozycji społecznej. Mam na myśli... och, sama nie wiem. Prawdziwych ludzi. Porządnych ludzi. Takich jak sir Arthur i jego żona.

Edward wreszcie na nią spojrział. Oczy podejrzanie mu lśniły.

- Czy nie powiedziała mi pani przed chwilą, że zamierza się zatrzymać u Herbertów do czasu znalezienia mitycznej posady?

No, owszem.

- Skoro więc ważna jest na przykład opinia Herbertów, a oni nadal cenią sobie pani towarzystwo, bo przecież zamierzają panią gościć do czasu, gdy znajdzie pani inne schronienie, to czy warto przejmować się moją reputacją?

Pegeen otworzyła usta, ale zamknęła je bez słowa, bo rozumowanie Edwarda wydało jej się słuszne. Naturalnie, nie dbała o zdanie wicehrabiny i jej podobnych snobów. A tacy ludzie jak Herbertowie i pani Praehurst prawdopodobnie nie pogardzą nią za

to, co zrobiła. Niewykluczone nawet, że na jej miejscu lady Herbert postąpiłaby identycznie.

Przegrywała. Żaden z powodów opuszczenia Rawlings, które podała Edwardowi, nie mógł go usatysfakcjonować. A prawdziwego powodu nie mogła mu podać. Musiałaby wtedy wyznać, że kocha go nieodwołalnie i bezwarunkowo, więc gdyby została z nim pod jednym dachem, to w końcu znowu znaleźliby się razem w łóżku. Teraz zaś, gdy dowiedział się prawdy o jej siostrze, nie mogła już liczyć na jego oświadczenia.

Przez całą noc dźwięczało jej w uszach ostrzeżenie siostry: „Zobaczymy, co się stanie z żalną, śliczną Pegeen, zobaczymy!” Mimo incydentu w Ashbury House, Pegeen nadal czuła nieodpartą pokusę na widok nagiego, owłosionego torsu Edwarda, jego płaskiego brzucha, gry mięśni okrytych idealnie skrojonym frakiem. Wiedziała, że nie panuje nad swymi uczuciami do Edwarda i że jedynym sposobem ucieczki przed losem siostry jest dla niej wyjazd z Rawlings Manor na zawsze.

Ale nic z tego nie mogła powiedzieć Edwardowi. Za kogo by ją uważał? I tak już wiedział, że powściągliwości ma nie więcej niż zwierzę, a nawet gorzej: niż mężczyzna. Kobiety nie powinny pożądać mężczyzny, no, chyba że takie jak Kathy. Ale nie takie jak ona. Za nic w świecie. Edward z pewnością myśli o niej podobnie jak o jej siostrze. I ma rację.

Przygryzła wargę i zapatrzyła się w jego buty, usiłując wymyślić prawdopodobny pretekst. Ale w głowie miała pustkę. Wreszcie Edward zniercierpliwiał się jej milczeniem. Zdjął nogę z obrzeża kominka, oparł ręce na fotelu i podsunął go Pegeen.

- Niech pani tu usiądzie - odezwał się dudniącym i dość groźnie brzmiącym głosem. - Chcę pani coś powiedzieć.

Pegeen trochę bała się do niego podejść, kiedy oczy tak mu lśniły. Bała się jednak również okazać nieposłuszeństwo, bo w znajomy sposób drgał mu mięsień w policzku. W końcu ciałniej

ściągnęła poły szlafroka i po kilku niepewnych krokach sztywno usiadła we wskazanym miejscu.

Edward obszedł fotel Pegeen i usiadł na brzegu kominka, plecami do ognia. Znalazł się tak blisko niej, że owionął ją zapach upręży i tytoniu. Musiał wypić dużo brandy, ale mimo to nie był pijany. Woni alkoholu nie wyczuła.

Siedział z łokciami wspartymi na kolanach i splecionymi dłońmi. Wzrok miał wbity w czubki swoich butów.

- Proszę pozwolić, że coś pani powiem o swojej tak zwanej reputacji - zaczął. - Pani siostra wcale nie przesadziła, twierdząc, że trudno było na tym świecie o dwóch okrutniejszych sukksynów niż mój ojciec i brat. To jej słowa, ale podpisuję się pod nimi w całej rozciągłości. Wiem, że dorastałem, mając przywileje, o jakich inni mogą tylko marzyć, i wcale się nie skarzę. Życie młodszego syna księcia nie jest przykre. Ale dziękuję Bogu za to, że pani nigdy nie poznała mojego brata i ojca. Gdyby ich pani znała, pewnie zrozumiała by, dlaczego nie tylko pani siostrę winię za to, czym w końcu się stała.

Pegeen chciała mu przerwać, ale Edward uniósł dłoń, więc bez słowa zamknęła usta.

- Dzieciństwo miałem szczęśliwe, wręcz sielskie, aż do dnia śmierci matki - ciągnął Edward. - Potem ojciec przestał dbać o pozory. Dom stracił swoje ciepło i dla niczego ani nikogo nie było już tam litości, wszystko jedno, pies czy służący. Zasady moralności przestały obowiązywać. Ojciec pozwalał i mnie, i bratu na dzikie wybryki, a nawet zachęcał nas do używania życia, wszystko jedno, czy chodziło o uwiedzenie służącej, czy o tor turowanie kotów. Przepraszam, że narażam panią na słuchanie takich okropności, ale to jest prawda.

John zawsze był bystrzejszy ode mnie i bardziej twórczy. Prawdopodobnie dlatego stał się również bardziej niebezpieczny i wyjątkowo okrutny. Nie będę zmuszał pani do wysłuchiwania szczegółowych opisów jego nieludzkich wyczynów. Wystarczy, jeśli powiem, że nikomu nie przepuścił.

Zanim dorosłem na tyle, by zrozumieć, że sposób, w jaki wychował nas ojciec, był błędny, wielu przyzwyczajęń nie mogłem już się pozbyć. Ale przynajmniej próbowałem. Przekonałem księcia, żeby wysłał mnie na uniwersytet i po ukończeniu studiów starałem się jak najwięcej przebywać w Londynie. Niestety, reputacja mojej rodziny została ustalona znacznie wcześniej. W całym mieście nie było matrony, która dopuściłaby mnie na pięćdziesiąt metrów do swojej córki, a ojcowie również nie byli szczęśliwi, że zadają się z ich synami. Jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem, był i jest Alistair. Nie miał rodziny, więc nikt nie zabraniał mu ze mną przestawać.

Tymczasem ojciec z Johnem terroryzowali całe Yorkshire, aż w końcu nie było w całym hrabstwie rodziny, która posłałaby do nas dzieci do pracy, ani hodowcy, który sprzedałby nam psa albo konia... Ojciec i John odczuwali przyjemność zabijania. Były konie zajeżdżone na śmierć i psy załuczone kijem... Pegeen, niech pani nie patrzy na mnie w ten sposób...

Pegeen przyglądała mu się zażawionymi oczami. Dłonią zasłaniała usta. Naturalnie wiedziała o złej reputacji starego księcia; pani Praehurst nie lubiła o nim mówić, a reszta mieszkańców Rawlings Manor nawet nie wspominała jego imienia. Ale żeby ojciec i brat Edwarda tyle mieli na sumieniu... tego nawet się nie domyślała.

Współczuła mu, choć wiedziała, że Edward wcale tego od niej nie oczekuje. Życie bez miłości wydawało jej się nieludzkie. Sama nigdy tego nie doświadczyła. Jak sięgała pamięcią, zawsze miała ojca i Jeremy'ego. I to jej wystarczyło. To ją ocaliło.

- Przykro mi... - powiedziała i otarła łzy wystrzępionym końcem rękawa. - Nie miałam pojęcia, że tyle pan przeszedł w tym domu.

- Do diabła, nie powiedziałem tego po to, żeby mi pani współczuła! - Edward zerwał się na równe nogi i odszedł w drugi koniec pokoju. Gdy odwrócił się do niej, wyczytała z jego oczu,

że jest poruszony, ale nie umiała nazwać uczucia, które się w nich odbijało. - Po prostu chcę, żeby pani wiedziała, że to, co ludzie mówią o mnie i mojej rodzinie, wcale nas nie oczernia. Prawda jest taka, że oni byli źli, a ja niewiele lepszy od nich.

Ciężko westchnął i Pegeen zrozumiała, że stara się powiedzieć coś, co jest dlań trudne. Zapewne coś bardzo osobistego.

- Bywałem w zakładach pani siostry, Pegeen. Zadawałem się z wieloma ludźmi, z którymi nie powinienem był się zadawać. Mógłbym twierdzić, że to przez moją rodzinę nie chcą mnie przyjmować w przyzwoitych domach, ale prawda jest taka, że szukałem takiego towarzystwa jak Arabella i lord Derby, bo z czystym sumieniem tylko od nich mogłem czuć się lepszy. A ponieważ wiem, że jestem znacznie gorszy od przyzwoitych ludzi, potrzebowałem też kogoś, kto byłby gorszy ode mnie.

Edward odwrócił się do niej plecami, wyraźnie skrepowany. I nagle trzema długimi krokami znalazł się przed nią. Pochyliwszy się, oparł dłonie na poręczach fotela i spojrzął jej w oczy.

- Żyłem tak przez trzydzieści lat i żyłbym przez trzydzieści następnych, gdybym nie stanął przed niewielkim domem w Applesby i nie został przez panią staranowany.

Pegeen wcisnęła się w oparcie fotela, świadoma ciepła, promieniującego od Edwarda. Było ono intensywniejsze niż to, które dawał ogień na kominku. Dzieliła ich tak mała odległość, że Pegeen wyraźnie widziała jego świeży zarost, nieznaczne drżenie mięśnia w policzku i pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej tam, gdzie długie, kręcone, ciemne włosy dotykały kołnierzyka koszuli.

Ogarnął ją dziwny lęk, niezwykle intensywny, lecz jednocześnie przyjemny, tak jakby instynktownie spodziewała się czegoś nieokreślonego, co ma nastąpić. Nagle zabrakło jej tchu. W gardle poczuła suchość. Nie wydobyłaby z siebie słowa, nawet gdyby wiedziała, co chce powiedzieć.

- Czy pamięta pani, jak się poznaliśmy? - spytał. - Pamięta pani nauki o zepsuciu mojej sfery, których wysłuchałem? Z dzie-

cięcą naiwnością oświadczyłaś mi, że jestem odpowiedzialny za niewolenie mas i utrudnianie kobietom starań o osiągnięcie równej pozycji społecznej z mężczyznami. - Puścił do niej oko. - Najpierw zobaczyłem tylko kruchego, alabastrowego aniołka, ale gdy otworzył usta i wygłosił tak zajadłą przemowę, pomyślałem: „To ci panna. Jest zupełnie inna niż wszystkie”.

Pegeen przełknęła ślinę i powiedziała z pozorną niefrasobliwością:

- Powinien był pan natychmiast dać mi spokój.

- O, nie. Gdy tylko pani się odezwała, zrozumiałem, że spotkałem kogoś, kogo nie wolno mi stracić z oczu. Nie umiałem dociec, w jaki sposób taka urocza istota może tak dziwacznie myśleć. Ale już po pierwszych zdaniach naszej rozmowy wiedziałem, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo zakochania się w pani.

Pegeen otworzyła usta ze zdumienia. Oblizła wargi; serce waliło jej jak młotem. Wiedziała, że nie powinna się odzywać, ale to było od niej silniejsze.

- Niemożliwe - powiedziała, siadając prościej. Ich twarze znalazły się o centymetry od siebie. - Pan nie może być we mnie zakochany.

- Nie mogę? - Ironiczny uśmiech Edwarda pozostawał w jasnej sprzeczności z jego namiętnym spojrzeniem. -A dlaczego nie?

Pegeen zaczęła wylizywać powody na palcach.

- Spędził pan cały miesiąc w Londynie...

- Pani nie chciała mnie poślubić, ja nie mógłbym żyć bez pani. Spotykaliśmy się codziennie na kolacji, ale nie wolno by mi było pani dotknąć. Wiedziałem, że muszę panią mieć, ale pani była taka stanowcza...

- Oświadczył mi się pan wyłącznie z głupiego poczucia obojętności - obruszyła się.

- Naturalnie. Ale cieszyłem się z tego, co zaszło między nami. W Londynie dzień w dzień modliłem się o to, żeby pani zaszła

w ciąży i nie miała innego wyboru, jak mnie poślubić. A pani miała to niedorzeczne przekonanie, że nigdy nie wyjdzie za mąż...

- Nie mogłabym pana poślubić! - krzyknęła ze złością. - Moja siostra zabiła pańskiego brata i została prostytutką! Poza tym nigdy ani słowem nie wspomniał pan o miłości.

- Pani też nie.

- Ale ja pana kochałam! Przecież wpuściłam pana do swojego łóżka, prawda?

- Doprawdy, Pegeen, przez panią popadnę w obłąd. Ja chcę się oświadczyć, a pani mi nieustannie przerywa.

- Oświadczyć? - Głos jej się załamał. - Pan chce mi się oświadczyć?

Edward zdjął jedną rękę z oparcia fotela i zacisnął ją na ramieniu Pegeen. Gdy spojrzała mu w oczy, przekonała się, że bije z nich zdecydowanie, lecz również niezwykle blask.

- Tak, chcę się oświadczyć. - Roześmiał się i pocałował ją w rękę, drapiąc delikatną skórę świeżym zarostem. - Nie odważył bym się zaproponować niczego innego, skoro znam już siłę i szybkość pani pięści. Pegeen, jest pani najbardziej upartą, irytującą, zjadliwą, najpiękniejszą i najwspanialszą kobietą, jaką znam, dlatego jeśli się nie zgodzisz mnie poślubić, będę cierpiał i rozpacział do końca życia. Pegeen, nie chcesz tego, prawda?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ujął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Oparła dłonie na jego torsie i poczuła, jak mocno bije mu serce. Zaraz potem Edward zaczął ją żarliwie całować i mogła już myśleć tylko o jednym: kocha mnie, kocha, naprawdę mnie kocha.

Wydawało się to niewiarygodne, a jednak... kochał ją i chciał się z nią ożenić. Przez chwilę trwali zwarci w namiętym pocałunku, potem Edward zaczął pieścić wargami jej szyję i rozpinąć perłowe guziczki muślinowej koszuli nocnej. Czowała na skórze gorący oddech, gdy szeptał jej imię.

- Powiedz „tak” - zażądał, delikatnie skubiąc ją wargami za uchem. Przeszył ją miły dreszczyk, a czubki piersi wyraźnie zarysowały się pod tkaniną koszuli. - Powiedz „tak”.

- Tak - odszepnęła schrypniętym głosem, który ledwie sama poznała. A potem nagle zorientowała się, że namiętnie odwzajemnia jego pocałunki. Coś głęboko ukrytego w jej wnętrzu niespodziewanie wydostało się na wolność, coś mrocznego, lecz bardzo przyjemnego, coś, co sprawiało, że nie miała nic przeciwko temu, by Edward zsunął jej szlafrok z ramion. Podniósł ją tak, że ukłękła pochylona na fotelu, a dłońmi oparła się o jego twardy, płaski brzuch. Podbródek miała w tej chwili na wysokości jego pasa. Gdy Edward pomógł jej pozbyć się szlafroka i cisnął okrycie na podłogę, zaczęła się śmiać z jego gorliwości.

Śmiech jednak zamarł jej na ustach, kiedy pochwyciła jego wzrok. Szare, półprzymknięte oczy Edwarda dziwnie lśniły, pełne uznania dla zarysu jej ciała pod muślinem.

Nie ze zwykłej skłonności do igraszek sięgnęła Pegeen do guzików jego spodni, a raczej z próżności podpowiadającej jej, że może sprawdzić, jaką władzę ma nad Edwardem. Zdziwiła się, że aż tak dużą, gdy ujęła w swe drobne dłonie ogromny, pulsujący członek i ostrożnie, jakby z ciekawości, dotknęła go językiem.

Edward, zniewolony tym dotykiem, zacisnął dłonie w jej włosach, a zachęcona jego odzewem Pegeen eksperymentowała dalej. Śmiało objęła wilgotnymi wargami rozpalone narzędzie rozkoszy. W odpowiedzi poczuła, jak palce Edwarda zaciskają się kurczowo na jej głowie.

Całkiem niespodziewanie dla niej Edward nagle wsunął jej ramię pod kolana i poderwał ją z krzesła. Ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy, zaniósł ją do wielkiego łóżka z baldachimem.

Ułożył ją na materacu z taką delikatnością, jakby była porcelanową lalką, cofnął się o krok i zapatrzony w jej biodra, zrzucił

frak, a potem koszulę. Stał z obnażonym torsem, oświetlony blaskiem ognia. Ściągnął i niedbale odrzucił buty z cholewami. Potem rozpiął pas spodni.

I wreszcie znalazł się obok niej zupełnie nagi. Muskularnymi ramionami przyciągnął ją do siebie i wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek. Pegeen czuła, jak dłoń Edwarda zręcznie rozpinając pozostałe guziczki jej koszuli, która wnet znalazła się na podłodze. Och, jak podobał mu się kontrast między jej alabastrową skórą i czarnymi jak noc włosami. Zaczął całować jej łabędzią szyję, a dłońmi objął krągłe, jędrne piersi o sterczących szczytach.

Pegeen czuła żar rozlewający się po jej ciele. Opadła na miękkie poduchy zamoczona pożądaniem, a Edward przykrył ją swym ciałem.

Usta Edwarda wessały jej sutkę, a wolna ręka zabłądziła między smukłe uda. Pegeen głośno nabrała tchu, zaskoczona śmiałością pieszczot Edwarda, ale wnet przywarła do niego jeszcze mocniej i otoczyła dłonią jego stwardniały członek. Zadrżał i gwałtownie pocałował ją w usta, rozchylając jej uda kolanem.

Wiedziała, że stara się być delikatny, ale namiętność była od niego silniejsza. Poczuvszy go w sobie, wydała okrzyk, spłoszona prawie tak samo jak wtedy, gdy kochali się pierwszy raz. Znów obawiała się, że nie sprosta jego oczekiwaniom. Kurczowo wpiła palce w jego ramiona i ruchem bioder powitała jego mocne pchnięcia. Miała takie wrażenie, jakby płynęła na grzbiecie coraz większej fali pożądania, która może ją w każdej chwili cisnąć na bezludny brzeg i zostawić tam bezsilną i bezradną. Resztkami świadomości zarejestrowała, że Edward przyspiesza rytm ich zepolenia, wdzierając się w nią coraz głębiej, a ona instynktownie wychodzi mu naprzeciw.

Ale fala, na grzbiecie której płynęła, wcale nie wyrzuciła jej na brzeg, lecz przygniotła ją do skał i załamała się prosto na nią,

a potem następna i jeszcze jedna. Doznanie było tak intensywne, że Pegeen musiała krzyknąć. Kurczowo uchwyciła się Edwarda, jedyne stałe punktu w tym szaleńczym wirze. Mglisto zdała sobie sprawę z tego, że również Edward wydaje głośny okrzyk i opada na nią całym ciężarem ciała. Czuła bicie jego serca. Uśmiechnęła się, słysząc przyspieszony i nierówny rytm.

Oboje leżeli zdyszani w blasku ognia, odprężeni i wtuleni w siebie. Dopiero po kilku minutach Pegeen doszła do wniosku, że ma siłę cokolwiek powiedzieć, a zdobyła się na to tylko dlatego, że Edward zbyt mocno ją przygniół. Słyszając jej cichutką prośbę, roześmiał się i serdecznie ją ucałował, jak mężczyzna, który został wyjątkowo hojnie nagrodzony przez los. Przetoczył się na bok i przytulił do jej pleców, jedną ręką obejmując ją w talii, a drugą podkładając jej pod głowę.

- Tak chcę spędzać wszystkie noce do końca życia - szepnął jej do ucha. - Tutaj, z tobą w ramionach. Jutro pojedę do Londynu po specjalną licencję, żebyśmy mogli niezwłocznie się pobrać. Nie chcę dłużej czekać.

- Nie dziwię się. - Pegeen wydała z siebie senny chichot.

Edward pochylił się nad nią i pocałował ją w skroń.

- Bardzo przepraszam, ale to pani rzuciłaś się na mnie przed chwilą. Byłem wstrząśnięty tym niezwykle śmiałym zachowaniem.

- Ja? Rzuciłam się na pana? A to dobry dowcip. - Pegeen była taka szczęśliwa, że nawet nie dała się sprowokować. - Ale nie może pan dzisiaj zostać u mnie całą noc.

- Jak to? - Edward przytulił ją jeszcze mocniej. - Tym razem nigdzie nie idę.

- Och, Edwardzie! A co rano pomyśli służba?

- Że jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, a pani - nieoprawną i bardzo śmiałą młodą damą.

- Och, Edwardzie. - Pegeen westchnęła. Nie mogła jednak się

PATRICIA CABOT

na niego złościć, kiedy był tak blisko. Edwardowi przemknęła przez głowę myśl, że jeśli dzieci odziedziczą urodę po matce, to będą bardzo ładne. Najlepiej, żeby urodziła gromadkę chłopaków, pomyślał, zasypiając. Będą potrzebni do odganiania niepożądanych zalotników od swoich sióstr.

Pegeen, rozkoszując się sennym odrętwieniem po chwilach miłosnego uniesienia, spuściła powieki. W ostatniej chwili pomyślała jeszcze, że Kathy grubo się myliła.

Epilog

Lato było krótkie, ale ciepłe, a wrzesień oprócz chłodnych wiatrów znad wrzosowisk przyniósł płaczące niemowlę z szarymi oczami Edwarda, upartą miną Pegeen i masą złocistych loczków. Rodzice nazwali je Elizabeth na cześć matki Edwarda, po której dziewczynka odziedziczyła kolor włosów. Oboje godzinami siedzieli przy maleństwie i wpatrywali się to w nie, to w siebie, zachwyceni, że ich miłość przyniosła tak drogocenny owoc.

Jeremy był znacznie mniej oczarowany kuzynem, ale tolerował jego obecność jako zło konieczne, bo widział, że jego ciocia jest w końcu szczęśliwa. Ciężar opieki nad Pegeen przejął Edward, książę mógł więc bez przeszkód włóczyć się po okolicy, wyszukując sobie przeciwników do bitki i powozy do obejrzenia. Cierniem w jego oku była tylko mała Maggie Herbert, często odwiedzająca Rawlings Manor, bo choć zdecydowanie od niego młodsza, była wyraźnie wyższa i z tego powodu zadzierała nosa.

Któregoś dnia Edward siedział w szklarni, miesięczna córeczka smacznie spała mu na rękach, a Pegeen przeglądała miejscową gazetę, szukając doniesień o drobnych przewinieniach, których autorem mógłby być jej siostrzeniec. Nagle przez ogrodowe drzwi wszedł do pomieszczenia Alistair Cartwright.

- Witajcie! - pozdrowił wesoło rodzinę Rawlingsów.
Pegeen zerwała się z krzesła, odrzuciwszy gazetę, podbiegła i pocałowała go w policzek.
- Dzień dobry! - zawołała ucieszona. - Jak to się stało, że tak szybko pan wrócił? Myślałam, że spędza pan swoje dwa tygodnie we Florencji...
- Owszem, byliśmy tam. - Alistair westchnął i usiadł na kutej ławce z miękkim siedzeniem, jednej z tych, które Edward specjalnie zamówił do szklarni, żeby latem mogli tam z Pegeen wygodnie przesiadywać. - Ale w „Timesie” natknąłem się na ogłoszenie o sprzedaży pewnej nieruchomości...
- Edward, trzymając na ramieniu bezwładną główkę śpiącej córeczki, mruknął:
- Jeśli mówisz o Ashbury House, to masz świętą rację. O ile wiem, Arabella poślubiła włoskiego księcia i zaszyli się gdzieś w Toskanii.
- A dopiero co pochowała wicehrabiego. Fe! - powiedział Alistair.
- Pegeen podeszła do ogrodowych drzwi i wyjrzała na dwór. Wieczór był bardzo pogodny i pachniał lawendą.
- Alistairze - powiedziała podejrzliwym tonem. - Co pan zrobił ze swoją żoną?
- Z żoną? - Alistair założył ręce za głowę i zapatrzył się w różowiejące niebo, widoczne przez szklany dach. - Jaką żoną?
- Pegeen lekko klepnęła go po głowie.
- Tą, którą pan ma od miesiąca. Proszę się nie wykręcać, byłam na ślubie. Co pan zrobił z Annę?
- Ach, o tę żonę chodzi - przypomniał sobie Alistair. - Annę chyba jest w domu i coś przymierza.
- Pegeen z powrotem usiadła na ławce i poprawiła szeroką spódnicę bladezielonej sukni.
- W domu? Chce pan powiedzieć, że została w Londynie?
- Nie, skądże. - Alistair leniwie zamrugnął, wpatrując się w za-

- chodzące słońce. - Jest tu, niedaleko. Nic wam nie powiedziała? Ashbury House już nie jest na sprzedaż. Kupiłem tę posiadłość. Radosny okrzyk Pegeen i gratulacje Edwarda zbudziły Elizabeth, ale niemowlę tylko westchnęło, niezadowolone z naganego zachowania rodziców, i natychmiast znowu zapadło w sen.
- To cudownie! - entuzjazmowała się Pegeen. - Jesteśmy sąsiadami. Och, sir Arthur będzie uszczęśliwiony.
- Alistair przybrał sceptyczną minę.
- Hm, kupując Ashbury House, nie stawiałem szczęścia teścia na pierwszym miejscu, ale można spojrzeć na to i z tej strony...
- To bardzo wygodne rozwiązanie dla rodziny Annę, Cartwright - powiedział Edward. - Dobrze pomyślane, staruszk.
- Alistair wydawał się coraz bardziej zaniepokojony.
- Do licha, nie pomyślałem o tym. Powinienem iść do domu i porozmawiać z Annę. Nie możemy pozwolić, żeby jej rodzice nieustannie siedzieli nam na głowie. Chybabym oszalał.
- Nie przejmuj się, staruszk - powiedział Edward. - Zawsze możesz się wymknąć kuchennymi drzwiami i poszukać samotności w Rawlings.
- Do diabła! - Alistair zerwał się na równe nogi, bąknął jeszcze coś o konieczności porozmawiania z żoną, po czym znikł w ogrodzie, nad którym rozciągał się baldachim różowofioletowego nieba.
- Uśmiechnięta Pegeen wstała i podeszła do męża, nadal siedzącego na krześle z uśpioną córeczką. Objęła go od tyłu i przytuliła policzek do jego policzka.
- Hej, hej - powiedział Edward i czule pogłaskał ją po ramionach. - Szczęśliwa jesteś, mała czarownico? Nie dość, że wyswatałaś go z Annę, to jeszcze będziesz ją codziennie widywać. Czy na pewno jesteś Szkotką, a nie Irlandką? Bo przysięgłbym, że umiesz czarować.
- Nie jestem czarownicą - odparła Pegeen, całując go w policzek. - Nie zamieniłam ostatnio w żabę ani jednego księcia.

- Czyżby? Bo na mnie z pewnością rzuciłaś urok. - Edward zrobił groźną minę. - Co zaś do Alistaira, to wcale nie jestem pewien, czy chcę mieć tego wesołka za sąsiada. Bądź co bądź, były takie czasy, że się w tobie kochał.

Pegeen cicho się roześmiała i pogłaskała śpiącą córeczkę po loczkach.

- Nie martw się, milordzie. Jestem tak samo zauroczona naszą miłością jak ty...

Zaczęli się całować skąpani w świetle zachodu, a dookoła unosił się upojny zapach róż.

W serii ukazały się:

Amanda Quick <i>SKANDAL</i>	Betina Krahn <i>SPISEK</i>
Jude Deveraux <i>WRÓŻKA</i>	Jude Deveraux <i>MIRANDA</i>
Jude Deveraux <i>KUSICIELKA</i>	Amanda Quick <i>LEGENDA</i>
Amanda Quick <i>KONTRAKT</i>	Jude Deveraux <i>UJARZMIENIE</i>
Jude Deveraux <i>PRZEBUDZENIE</i>	Jill Barnett <i>ZYCZENIE</i>
Amanda Quick <i>RENDEZ-YOUS</i>	Georgette Heyer <i>MASKARADA</i>
Jude Deveraux <i>OSZUSTKA</i>	Elizabeth Thornton <i>POCALUNKI</i>
Jude Deveraux <i>UCIEKINIERKA</i>	Iris Johansen <i>POGANKA</i>
Amanda Quick <i>FASCYNACJA</i>	Amanda Quick <i>PODSTĘP</i>
Jude Deveraux <i>UWIEDZIONA</i>	Georgette Heyer <i>KUZYNKA</i>
Amanda Quick <i>RYZYKANTKA</i>	Julie Garwood <i>POŻĄDANIE</i>
Jude Deveraux <i>DZIEWCA</i>	Julie Garwood <i>KSIĘŻNICZKA</i>
Jennifer Blake <i>LUIZJANA</i>	Julie Garwood <i>NIMFA</i>
Iris Johansen <i>NIEWOLNICA</i>	Donna Davidson <i>WIZJONERKA</i>
Amanda Quick <i>GINEVRA</i>	Olivia Fontayne <i>KSIĘŻNA</i>
Georgette Heyer <i>NIESFORNA</i>	Jude Deveraux <i>KLAMCA</i>
Amanda Quick <i>BESTIA</i>	Julie Garwood <i>RÓŻA</i>
Georgette Heyer <i>ZAKAŁA</i>	Georgette Heyer <i>SIEROTKA</i>
Iris Johansen <i>NIEWINNA</i>	Cathy Maxwell <i>PRZYSIĘGI</i>
Jude Deveraux <i>PORWANIE</i>	Jude Deveraux <i>SŁONECZKO</i>
Jude Deveraux <i>ZDOBYWCA</i>	Amanda Quick <i>INTRYGA</i>
Diana Palmer <i>AMELIA</i>	Jill Barnett <i>WYSPA</i>
Julie Garwood <i>PODARUNEK</i>	Jude Deveraux <i>DAMA</i>
Iris Johansen <i>BURZA</i>	Cathy Maxwell <i>WDÓWKA</i>
Amanda Quick <i>PULAPKI</i>	Julie Garwood <i>LWICA</i>
Jude Deveraux <i>WYBA WCA</i>	Georgette Heyer <i>PRYZYWOITKA</i>
Iris Johansen <i>LAJDAK</i>	Donna Davidson <i>RYWAL</i>
Jude Deveraux <i>DZIEDZICZKA</i>	Julie Garwood <i>NIEWOLA</i>
Julie Garwood <i>MONTANA</i>	Iris Johansen <i>OSACZONA</i>
Jill Barnett <i>CZARY</i>	Georgette Heyer <i>ROZTERKA</i>
Jude Deveraux <i>ZAPROSZENIE</i>	Julie Garwood <i>REWANŻ</i>
Iris Johansen <i>ZAGADKI</i>	Julie Garwood <i>SZKATUŁKA</i>
Julie Garwood <i>ANGIELKA</i>	Amanda Quick <i>ALCHEMIA</i>
Jude Deveraux <i>WIEDŹMA</i>	Diana Palmer <i>MAGNOLIA</i>
Julie Garwood <i>NAGRODA</i>	Maggie Osbome <i>PRERIA</i>
Amanda Quick <i>KOCHANKA</i>	Jill Barnett <i>ZAMĘT</i>
Jude Deveraux <i>OBIETNICA</i>	Jude Deveraux <i>KLĄTWA</i>
Julie Garwood <i>TAJEMNICA</i>	Lynn Kurland <i>PRZEKŁĘCI</i>
Diana Palmer <i>MEZALIANS</i>	Georgette Heyer <i>DECYZJA</i>
Julie Garwood <i>OBLUBIENICA</i>	Judith O'Brien <i>LABIRYNT</i>
Elizabeth Thornton <i>SERENA</i>	Jill Barnett <i>TĘSKNOTA</i>
Jill Barnett <i>MARZENIA</i>	Julie Garwood <i>SZMARAGD</i>
Georgette Heyer <i>HAZARDZISTKA</i>	Jude Deveraux <i>BLIŹNIACZKI</i>
Diana Palmer <i>ARIZONA</i>	Georgette Heyer <i>REZOLUTNA</i>
Catherine Hart <i>ZASŁĘPIENIE</i>	Jillian Hunter <i>DZIKUSKA</i>

Lord Edward Rawlings nie ma najmniejszej ochoty zrezygnować z beztroskiego i wesołego życia, zostając księciem. Ta rola wydaje mu się stanowczo zbyt odpowiedzialna i nudna.



Niestety, jeśli jego dziesięcioletni bratanek nie przyjmie tytułu księcia, lordowi Rawlings przyjdzie zanudzić się na śmierć.



Wszystko zależy od opiekunki chłopca, pewnej starej panny, liberalnie myślącej, wykształconej córki pastora. A że dotychczas żadna panna nie oparła się urokowi lorda, jest przekonany, że tym bardziej poradzi sobie ze starą panną.

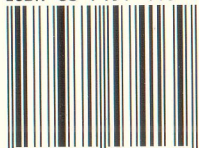


Tyle że stara panna po pierwsze wcale nie jest taka stara, po drugie jej intelekt niekoniecznie musi być wadą, po trzecie ma urzekające zielone oczy, po czwarte jest obdarzona zmysłową naturą, po piąte...



„Sukcesja” to debiutancka powieść Patricii Cabot, amerykańskiej autorki romansów, która mieszka wraz z mężem i jednooką kotką Henriettą w Nowym Jorku.

ISBN 83-7157-413-4



9 788371 574139 >

DC
DZ CITO